

# SŁOWIAŃSKIE KOSZMARY



SŁOWIAŃSKIE  
KOSZMARY

Copyright © Wydawnictwo Horror Masakra, 2017  
Główny Wydawca – Za Rogiem PL

Prawa autorskie do poszczególnych utworów są własnością ich autorów:

Witold Jabłoński – *Wstęp*

Dagmara Adwentowska – *Żółte oczy lasu*

Maciej Szymczak – *Wróżda*

Agnieszka Kwiatkowska – *Szeptucha*

Anna Musiałowicz – *Baga Jaga*

Marta Krajewska – *W czasie dodanym*

Tomasz Krzywik – *Sepia*

Piotr Ferens – *Cmentarzysko demonów*

Katarzyna Bromirska i Mikołaj Rybacki – *Svantevit*

Mariusz Orzeł Wojteczek – *Już nigdy nie spadnie tu deszcz*

Honza Eraserhead Vojtišek – *Najodleglejsze wspomnienie*

Flora Woźnica – *Najwyższy czas, by naprawić swój błąd*

Sandra Gatt Osińska – *W pełnym słońcu*

Grzegorz Kopiec – *Dziennik praktyk*

Michał Stonawski – *Reguła niczego*

Redakcja: Maciej Szymczak

Korekta: Anna Musiałowicz, Dagmara Adwentowska, Agnieszka Kwiatkowska

Tłumaczenie opowiadania *Najodleglejsze wspomnienie*:

Z czeskiego na angielski – Milan Žáček

Z angielskiego na polski – Paweł Waśkiewicz

Projekt okładki:

Maciej Zawitaj

Skład i łamanie:

Sandra Gatt Osińska

Wydanie I

ISBN: 978-83-944847-6-7

e\_wydanie eLJot

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Dagmara Adwentowska - Żółte oczy lasu

Maciej Szymczak - Wróżda

Agnieszka Kwiatkowska - Szeptucha

Anna Musiałowicz - Baba Jaga

Marta Krajewska - W czasie dodanym

Tomasz Krzywik - Sepia

Piotr Ferens - Cmentarzysko demonów

Katarzyna Bromirska i Mikołaj Rybacki - Svantevit

Mariusz Orzeł Wojteczek - Już nigdy nie spadnie tu deszcz

Honza Eraserhead Vojtišek - Najodleglejsze wspomnienie

Flora Woźnica - Najwyższy czas, by naprawić swój błąd

Sandra Gatt Osińska - W pełnym słońcu

Grzegorz Kopiec - Dziennik praktyk

Michał Stonawski - Reguła niczego

## Wstęp

Koszmary słowiańskiej tożsamości

Horror słowiański? Powie ktoś, że to sprzeczność sama w sobie. Wszak Słowiańszczyzna to kraina błogiej sielanki, nieskażonej okrucieństwem, mroczną magią czy demonizmem... Tak właśnie ujmuje ten temat klasycyzujący Literat w III części Dziadów Adama Mickiewicza:

*Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,  
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi...*

I konkluduje sławetną maksymą:

*Sławianie, my lubim sielanki.*

Chociaż słowa te padają w kontekście ironicznym, a Mickiewicz nie stronił bynajmniej w swoich dziełach od „scen okropnych, gwałtownych”, trzeba jednak stwierdzić, że sam wieszcz przyłożył również rękę do powielania powyższego schematu, o czym opowiemy za chwilę.

Skąd wzięły się te – w znacznej mierze fałszywe – przeświadczenia? Odpowiedź znajdziemy u progu epoki romantyzmu. To właśnie wtedy urodzony w Morągu (wówczas Mohrungen) uczoney niemiecki Johann Gottfried Herder w swych *Myślach o filozofii dziejów* stworzył wizję łagodnych, idyllicznych

Słowian, żyjących niczym pasterze mitycznej helleńskiej Arkadii: „warzyli sól, tkali płótno, sycili miód, sadzili drzewa owocowe, wiodąc na swój sposób życie radosne, wypełnione muzyką” (cytuję za: Maria Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna*, Kraków 2006). Owa idealna społeczność miała jednak w takim ujęciu istotną wadę: wskutek swej wrodzonej łagodności dawała się łatwo podbijać i zniewalać. Trzeba zaznaczyć, że niemiecki filozof, pisząc to, miał jak najlepsze intencje. Przejęty współczuciem dla pokonanych, pozbawionych przez zaborców własnej państwowości Polaków, wykreował obraz pięknego, nieszczęśliwego ludu, gnębionego przez silniejszych, agresywnych najeźdźców. Nie szczędził przy tym słów krytyki swym rodakom, stwierdzając: „słowiańskie niedobitki w Niemczech każą nam myśleć o tym, co Hiszpanie uczynili z Peruwianczykami [Inkami – WJ]”, ukazywał zatem Germanów w roli okrutnych, bezwzględnych konkwistadorów i

kolonizatorów. Upiększona, przesłodzona wizja Słowiańszczyzny stała się niezwykle głośna i szeroko rozpowszechniona, również w polskim piśmiennictwie historycznym, będąc dla elity naszego społeczeństwa dość wygodnym usprawiedliwieniem klęski utraty niepodległości i ukojeniem porobiorowej traumy. Idylliczną fantazję podchwyciła i rozbudowała część polskich literatów, począwszy od programu ideowego Kazimierza Brodzińskiego (prawdopodobnie pierwowzór mickiewiczowskiego Literata) oraz wielu historyków doby romantyzmu. Wizja ta miała wszakże drugie, znacznie mniej dla nas przyjemne dno: ukazywała wprawdzie „polskich” Słowian jako lud pokojowo nastawiony i pracowity, ale przy tym niezdolny do stworzenia wyższej kultury. Dopiero gdy Słowianie zostali podbici przez sprawniejszych organizacyjnie i zaawansowanych cywilizacyjnie najeźdźców, (w zależności od ujęcia poszczególnych badaczy, mogło chodzić o Germanów lub Celtów), potrafili rzekomo zbudować pierwociny własnego państwa, a i to tylko dlatego, że znajdowali się pod „świątymi” rządami zdobywców. W taki właśnie sposób wytworzyła się sławetna „teoria najazdu”, pokutująca do dzisiaj w rozmaitych pseudonaukowych opracowaniach, chociaż obecnie zasługę stworzenia polskiego państwa przypisuje się wikingom, od których miał ponoć wywodzić się Mieszko I.

Także Adam Mickiewicz w „naukowych” wykładach paryskich podkreślał prymitywizm dawnych Słowian, mający się wyrażać między innymi brakiem twórczości poetyckiej, w tym eposów, czy niemożnością wymyślenia własnego panteonu bogów i mitologii (pomijam już kuriozalną tezę poety i części ówczesnych historyków, z Joachimem Lelewelem na czele, że pierwotni Słowianie byli... monoteistami!). W wykładzie VII stwierdzał: „...u Słowian nie było wcale czci oddawanej bogom, a jeśli była, istniała tylko na ziemiach pogranicznych. (...) Rzecz oczywista jednak, że ów kult był jeno wytworem wpływów obcych. Tak więc **Słowianie tylko naśladowali** [podkreślenie moje – WJ] ...stykali się bowiem z Północą i Południem, z ludami o wysoce rozwiniętej mitologii”. W tym samym odczycie wyraził też przekonanie, że „Słowianie nie znali i nie uprawiali żadnej sztuki... Pomędzy tymi bożkami jest kilka słowiańskich, wyrzeżanych w drzewie, (...) ale według wzorów dostarczonych przez mitologię normandzką czy skandynawską”. Uporczywie lansowana przez narodowego wieszczka i największe autorytety historyczne epoki wizja wszechstronnie prymitywnej, biernej i wtórnej kulturowo Słowiańszczyzny wywarła niezwykle trwałe piętno zarówno w polskiej historiografii, jak i w literaturze. Jeszcze bowiem w dwudziestowiecznych pracach historycznych, pomimo postępującego rozwoju odkryć archeologicznych i dotarcia do nieznanych wcześniej materiałów źródłowych, możemy znaleźć podobnie kontrowersyjne, niesprawiedliwe i krzywdzące oceny.

Na przykład z opracowania Henryka Łowmiańskiego *Religia Słowian i jej upadek* (Warszawa 1986) dowiadujemy się, iż Świątowit z Arkony był naśladowaniem świętego Wita (!), a szczeciński Trzygłów zobrazowaniem chrześcijańskiej Trójcy (!!!). Gdyby nie wybitne skądinąd zasługi wymienionego historyka, należałoby skomentować: bzdura bzdurę pogania...

Literackie wizje i „naukowe” hipotezy, wsparte dodatkowo brakiem dostępnych źródeł, powielają zatem aż do niedawna obraz Słowian jako z gruntu dobrych, poczciwych i pracowitych, wszelako niezdolnych do stworzenia rodzimej mitologii, państwowości, czy wyżej zorganizowanych struktur i hierarchii społecznych. Według tak zarysowanego planu dziejów byli to więc ludzie ciemni i ubodzy myślowo, niemający własnych bogów ani ich wizerunków, świątyń, grodów, wojowników, kapłanów, ani też rodzimej kultury i sztuki, gdyż czerpanej jedynie z importu. „Dobrze, że przynajmniej umieli trafić łyżką do gęby (przy założeniu, że wiedzieli, co to łyżka)”, ironizował Dariusz Seweryn w znakomitej pracy *Prehistoria – średniowiecze – romantyzm. W kręgu indoeuropejskich tematów mitologicznych...* (Warszawa 2014), z której zaczerpnąłem powyższe cytaty. Można by ten żarcik rozwinąć, stwierdzając, że do zejścia z drzew skłoniło naszych praprzodków dopiero polanie wodą święconą. Albo stwierdzić jak Andrzej Sapkowski w eseju *Piróg albo Nie ma złota w Szarych Górach* (1993): „...przed rokiem 966 niczego u nas nie było, tylko chaos, czerni i pustka, mrok, który rozjaśnił nam dopiero rzymski krzyż”. Na takim tle historycznym, przenikniętym wpajaniem nam przez dwa wieki kompleksem niższości i przekonaniem o kulturotwórczej niemocy, narodził się stopniowo koszmarny stereotyp wąsatych, płowowłosych matołków w siermięgach i łykowych łapciach, beztrósko pływających po łąkach, co radośnie i rzekomo „bezkolizyjnie” przyjęli nową religię „miłości i pokoju”. W pewnym stopniu ten idiotyczny i zafałszowany obraz naszej tradycji funkcjonuje do dzisiaj, wywołując twórczy paraliż u artystów pragnących czerpać z przedchrześcijańskiej kultury słowiańskiej. Również władarze kultury w PRL upierali się, że Słowiańszczyzna była „ludowa” i na ową (zresztą źle pojętą) „ludowość” kładli największy nacisk, robiąc z niej przasną i infantylną cepeliadę. Na szczęście nowsze prace wybitnych mitoznawców, jak *Mitologia Słowian* Aleksandra Gieysztor (wydanie III, Warszawa 2006) czy *Religia Słowian* Andrzeja Szyjewskiego (Kraków 2003), a także Jacka Banaszkiewicza *Podanie o Popielu i Piaście...* (wydanie II, Warszawa 2010) w znacznym stopniu zweryfikowały i zdezaktualizowały przytoczone wcześniej błędne w założeniach i szkodliwe w skutkach twierdzenia i tezy.

Naturalnie taka wizja samych siebie i tak pomyślana autopromocja (by nie rzec: autoparodia) nie były dobrym podglebiem do wytworzenia

się w naszej literaturze choćby załączków powieści grozy opartych na rodzimej demonologii. Prekursorskie dla romantycznej literatury angielskiej i niemieckiej były tak zwane powieści gotyckie i opowieści niesamowite, czerpiące z bogatej spuścizny ludowych baśni. W literaturze polskiego romantyzmu podobne dążenia przyniosły, niestety, mizerne rezultaty. Maria Janion, omawiając w *Gorączce romantycznej* (wydanie II, Gdańsk 2007) młodzieńcze powieści Zygmunta Krasieńskiego, zauważa specyficzny niedowład naszej twórczości: „zamki są niby rodzime (...), ale upiory je zamieszkujące – wyraźnie importowane, jakbyśmy mieli za mało własnych duchów, rezydujących na zamkach”. W dalszej części wywodu przekonująco uzasadnia nikłość naszych na tym polu dokonań: „Idzie tu przede wszystkim o obudzone [w epoce romantyzmu – WJ] zainteresowanie demoniczną stroną natury ludzkiej. Gawędziarz szlachecki nie miał – i trudno tego od niego wymagać – do niej szczególnego nabożeństwa. (...) Nasz opowiadacz mógł się fascynować diabłami i robił to, ale nie był podatny na satanizm. Dialogi z nieczystą siłą stanowiły pokaz wzajemnych przechytrzeń, nie pojawiała się w nich filozoficzna problematyka bytu. W ogóle z powodów, o których jeszcze za chwilę, satanizm romantyczny w Polsce prawie wykluczyć się nie mógł” – stwierdza stanowczo uczona i dalej konkluduje: „Kultura polska nie mogła dopuścić do siebie... decydującej dla gotycyzmu kontaminacji Piękną i Złą. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że zło może być piękne, a piękno złe. Nie chciała tolerować pewnego typu złowrogiej, ponurej piękności buntowników zrewoltowanym przeciw wszelkim prawom boskim i ludzkim [czyli atrakcyjnych, pociągających demonów – WJ]. Kultura szlachecka ze swoim dobrodusznym nastawieniem do życia, prostolinijnością stylu gawędowego i upodobaniem w rubasznej cudowności, nie zrodziła warunków ani na stworzenie, ani na przyjęcie gotycyzmu”.

Ustalenia badaczki nie napawają więc optymizmem. Znowu nasza słowiańska „pocziwość”, nasze upodobanie do sielanki zablokowały rozwój ważnej gałęzi literackiej! Czyżby nawiązując do rodzimej tradycji romantycznej skazani jesteśmy wyłącznie na blade Świtezianki, duchy Jasiów „przy swej Karusi”, ewentualnie najbardziej chyba udany słowiański thriller, to jest Lilie tegoż autora? Pewnym wsparciem mogłaby być bez wątpienia twórczość Juliusza Słowackiego, który w okrutnych dramatycznych baśniach (*Balladyna*, *Lilla Weneda*) i poematach (*Król-Duch*) próbował wskrzesić mit i epos słowiański. Powiedzmy sobie otwarcie, że podobnych wzorców nasza klasyka literacka nie dostarcza zbyt wiele. Jednak warto nadmienić, że cytowana wcześniej autorka niezwykle interesująco zanalizowała w eseju *Polacy i ich wampiry* (Wobec zła, Chotomów 1989) niesamowitą „pieśń wampiryczną” Konrada z III części



Dziadów („Pieśń ma była już w grobie, już chłodna...”). Autorka omawia ją następująco: „Pieśń Konrada – czarownika, proroka, szamana, wampira – tchnie obcością pierwotną, wampiryczną. Nie da się jej ani oswoić, ani złagodzić, ani podrobić: to nie jest ogólnie uprawiana przez romantyków literacka stylizacja, na folklor’ (...). Pieśń Konrada poraża dzikością i obcością. Ujawnia straszny, szalony zew zemsty, słycać go w niej, jak wycie wampirów i wilkołaków. Czujemy, że Mickiewicz stanął tu wobec jakiejś ostateczności i zmierzył się z nią poza domeną moralności chrześcijańskiej [podkreślenia Autorki – WJ]”. Tak interpretując utwór, Maria Janion powołuje się na samego Mickiewicza: „Wiara w upiory wyszła z łona ludu słowiańskiego... Są dowody, że wszystkie baśnie o upiorach mają wspólny początek, że pochodzą od ludów słowiańskich” (wykład VIII); Aleksandra Brucknera: „Najciekawsze wytwory fantazji słowiańskiej, wcale nie tak sielankowo nastrojonej, jakby się na zasadzie Starej baśni Kraszewskiego wydawało, to upiory i wilkołaki” (Mitologia słowiańska i polska, Warszawa 1980); a także Kazimierza Moszyńskiego: „właśnie w dorzeczu dolnej Wisły do ostatnich czasów znajdowało się wybitne ognisko wampiryzmu” (Kultura ludowa Słowian, Warszawa 1967). Wielka uczona daje w ten sposób wyrazisty trop literacki młodym autorom, na który warto zwrócić uwagę i na pewno nie należy go lekceważyć.

Mam nadzieję, że powyższy wywód historyczno-literacki wystarczająco dobrze uzasadnia, czemu uważam wydaną rok wcześniej antologię Krew zapomnianych bogów oraz niniejszą, Słowiańskie koszmary, za wydarzenia na naszym gruncie bezprecedensowe, nowatorskie i przełomowe. Młodzi twórcy poruszają się na jeszcze słabo zbadanym, nieomal dziewiczym terenie, a jednak, działając w odmiennych warunkach niż ich literaccy antenaci, wyzbywają się dawnych kompleksów i zahamowań, czerpiąc bez wahania z przebogatego źródła rodzimej demonologii. Świat słowiański nie jest w ich utworach, jak we wcześniejszej polskiej literaturze, prząsny, pocziwy i infantylny, lecz stanowi wybuchową mieszankę tajemniczości i grozy, demonizmu i okrucieństwa. Świadczy to o chęci przełamania wielowiekowego szkodliwego szablonu, ale też o poszukiwaniu nowego stylu „swojskości”, nowego paradygmatu Słowiańszczyzny i odmiennego wzorca kulturowego, odwołującego się do przedchrześcijańskiej tradycji. Duże zainteresowanie, jakim cieszy się taka literatura, świadczy o ogromnym zapotrzebowaniu na podobną tematykę i o społecznym oczekiwaniu na wypełnienie „słowiańskiej luki” w naszej kulturowej tożsamości.

Najogólniej można stwierdzić, że młodzi autorzy radzą sobie z niełatwym przecież zadaniem na dwa sposoby. Jedni, jak Dagmara Adwentowska, Maciej Szymczak, Agnieszka Kwiatkowska, Piotr Ferens,

Katarzyna Bromirska i Mikołaj Rybacki, eksplorują świat prasłowiański w duchu fantazy historycznej, dochodząc niekiedy do niezwykle zaskakujących spostrzeżeń i wniosków, wykraczających poza nasz historyczny szablon. Drudzy, jak Anna Musiałowicz, Marta Krajewska, Tomasz Krzywik, Mariusz Orzeł Wojteczek, Honza Vojtisek, Flora Woźnica, Sandra Gatt Osińska Grzegorz Kopiec, czy Michał Stonawski, zderzają realia współczesne, a nawet fu-turystyczną postapo- kalipsę z odradzającym się niespodzianie, a raczej „wiecznie żywym” światem słowiańskich upiorów i demonów, czego efekty bywają naprawdę wstrząsające, by nie rzec piorunujące. Celowo nie zdradzam fabuł utworów, mam bowiem świadomość, że w dobrym horrorze liczą się przede wszystkim umiejętności sprawnego budowania napięcia, jak też zaskakujących zwrotów akcji. Na ile zaś powiodły się autorom owe twórcze eksperymenty, najlepiej niech Czytelnik przekona się sam. Pozostaje jedynie żywić nadzieję, że horror słowiański, stosunkowo mało reprezentatywny dotychczas gatunek, zdobędzie dla siebie trwałe miejsce w polskiej literaturze.

**Witold Jabłoński**

# Dagmara Adwentowska

## Żółte oczy lasu

*1030. Ludzie, powstawszy, pozabijali biskupów, popów i bojarów i było u nich powstanie.*

**Nestor, Powieść minionych lat**

*W 1030 zmarł Lambert, biskup krakowski.*

**Rocznik kapituły krakowskiej**

*W 1030 roku umarł Roman, biskup sandomierski.*

**Jan Długosz, Roczniki,  
czyli kroniki słynnego Królestwa Polskiego (zapis wymazano  
z kart księgi)**

– Co rzekli?

*Co rzekli, co rzekli, co rzekli, odbija się echem po głowie Siegfrieda Haasa. Czy to deszcz szumi, co opływa mury krakowskiego siedliscza księcia Kaźmierza, czy szepce listowie, zielona kopuła nad głową? Sieć utkana gęsto z gałęzi, w którą Siegfried Haas został pochwycony i wyswobodzić się nie może, a im rozpaczliwiej by walczył, tym mocniej się umota.*

– Co rzekli?

Nie książę pyta, lecz biskup Aaron siedzący po jego prawicy. Oczy byłego iryjskiego zakonnika, dziś najznacniejszego pośród dostojników Kościoła nad Wisłą, są siwe jak dym kadzideł, wyblakłe ze starości, lecz bystre i uważne. Wwiercają się w duszę jak świdry, drążą za grzechem. Siegfried milczy, z karku pod przeszywanicę spływa mu strużka zimnego potu. Spojrzenie Kaźmierza, druha, przyjaciela, dla którego rycerz opuścił dwór niemiecki, który go przywiódł do tego dzikiego kraju, traci na atencji i estymie, jakimi książę ode zawsze darzył starszego ode siebie Burgundczyka.

– Ogłuchłeś, Siegfried?

*Ogłuchłeś, ogłuchłeś, ogłuchłeś... echo niesie korytarzami podniesiony głos władcy. Nie, błogosławieństwa głuchoty rycerz od niebios nie otrzymał. Słyszy wszystko ostro i wyraźnie jak nigdy. Deszcz tłucze o*

mury. Na zasłaną ajerem podłogę kapie woda z płaszcza Siegfrieda. Dudni serce rycerza, jakby na wraże szeregi szedł. Palce księcia niczym bitewne tarabany wybijają o podłokietnik niespokojny, rwący rytm. I wtem gdzieś w głębi Kaźmierzowej siedziby odzywa się płacz dziecięcy, gwałtowny, wysoki, zachłystujący się. Targa słuchem rycerza i targa jego sercem, i Siegfried podejmuje decyzję.

– Rzekli: idź po nich, jeślić odwagę masz. – Głos zgrzyta jak paznokcie o puklerz, twardy i nieprzyjemny, pobrzmiewa w nim nadal obcy akcent. Gdy Burgundczyk już zdecydował, w postawie jego zmiana zaszła, wyprostował się z dumą, przestał dygotać wewnątrz, stanął w lekkim rozkroku, oczami wodząc od księcia do biskupa.

– I poszedłeś? – Kaźmierz nieoczekiwanie odzyskał humor. Dłońmi prasnął w uda z uciechy, spodziewając się przed- niej opowieści.

Rycerz skinął głową pomału.

– Rzekli też: zabierz ich, jeśli zdołasz.

Jakże niezwykle odmienia się oblicze książęcego majestatu, jak obłoki wietrzyskiem gnane nad koronami pradawnej puszczy, co wchłonęła dwóch kościelnych hierarchów i oddać ich nie chce, dzierży w uścisku krzepko a mocarnie.

– Nie trzymajże serc naszych dłużej w okowach niepokoju, szlachetny rycerzu – napomina łagodnie biskup Aaron. – Mów wprost, choćby i prawda smutna była, stawić jej czoła musimy. Jaki los okrutny spotkał braci naszych, dostojnych biskupów Lamberta i Romana z rąk pogan... Czyś odzyskał ich umę- czone kości?

Twarz Siegfrieda jest niewzruszona. Czyż nie tego, hartu serca, oczekują władcy od swych rycerzy? Dziecko oddzielone od rozmawiających wieloma ścianami przestaje zanosić się płaczem, teraz kwili jeno, cicho, lecz nieustannie. Jakby chciało, by o nim pamięci nie zgubić.

– Roman i Lambert straceni są dla krzyża i świętej matki, Kościoła – oznajmia Burgundczyk prosto.

*Straceni, straceni, straceni...* Na obliczach księcia i biskupa odbijają się bliźniaczo zamęt myśli i osłupienie.

Rycerz, widząc to, czuje dziwną satysfakcję i to go martwi.

Wie, że nie powinien.

Niebawem wyproszony uprzejmie, acz stanowczo, kłania się przedstawicielom władzy ludzkiej i boskiej. Nogi same go niosą ku kaplicy. Klęka przed obliczem Ukrzyżowanego, ale nie znajduje w sobie woli ni potrzeby modlitwy. Nawet słowa pacierza, tak dobrze znane, powtarzane po wielokroć, umknęły gdzieś w mroczne zakamarki pamięci. Siegfrieda nie odium świętości tu zresztą przywiodło. Przyciągnął go spokój i cisza pustego o tej porze przybytku Pańskiego.

Łatwiej mu tu było zebrać myśli. Serce tłukące w piersi rycerza o pręty żeber jak oszalały w uwięzieniu ptak powoli się uspokaja. Nic nie wskazuje na to, że książę i biskup nie uwierzyli. Ni znający go niby na wylot dawny druh, ni bystry mnich, co grzech przez siedem zasłon tajemnicy potrafi wytropić, nie dopatrzyli się prawdy.

Wtem Burgundczyk błednie bardziej niż bielone wapnem ściany kaplicy.

*Wezwą mnie raz kolejny, zdaje sobie nagle sprawę. Nie zapytali o Ziemowita. Jeszcze zapytają...*

\*\*\*

Zmierzchało już, gdy na miejsce przybyli. Wisła toczyła mętne, zielonkawe fale przez pradawną puszczy, zbyt w tym miejscu szeroka, by wojacy tak doświadczeni jak Haas i Ziemowit, zaufani domownicy książęcy i wysłannicy Kaźmierzowi, porwali się, by brać ją wpław. Na drugim brzegu nad koronami drzew były w niebo sine słupy dymów. Musi być, że trafili dobrze. Iście stała tam osada, jak wiele sadyb ukrytych w borach nazwy pozbawiona, bo i jej zbędne było miano. Ci, co ją zamieszkiwali, najpewniej dalej nade pięć dni marszu od swego progu nie odeszli nigdy. Tutaj właśnie szesnaście wiosen temu ostatnie kroki zawiodły biskupów Lamberta i Romana. Kraj ogarnęła pogańska pożoga i głowy sług Chrystusowych i władków wiernych prawowitemu, namaszczoneму przez księży władcy toczyły się jedna za drugą jak otoczaki niesione rzeczonym nurtem. Dwaj dostojnicy ku Czechom zbiec chcieli, poza granicami bezpiecznego schronienia szukać. Śmierć męczeńską miast tego w drodze znaleźli z rąk zaciekłych pogan.

I choć książę Kaźmierz powrócił z wygnania, choć kraj jednoczył na powrót pod swym władztwem i ukarał winnych tych, których pochwyć zdołał – nic nie wskazywało na to, by przez lata, które minęły od klęski przeniewierców, coś się zmieniło. Chrześcijaństwo do możnych i grodów warownych tuliło się jeno, jak pacholęta do mocarnego ramienia ojca.

– Sługi Pana to jeno w więzach tu trafiają, krzyże jako łup – rzekł ponuro Siegfried, oczami wodząc po milczących dębach-olbrzymach na drugim brzegu rzeki. – A ołtarza Bożego to żaden z tutejszych na oczy pewnie nie obaczył... I nie ujrzą ich następne pokolenia. To ta ziemia. Przerabia na modłę swą, wszystkich przedzierzgnie w pogan...

– O nie, nie – nie zgodził się Ziemowit i roześmiał się perliście, aże się echo nad wodą poniosło. – Poganin to ja może i jestem. Ale z was, szlachetny Siegfriedzie, to jest pospo- lity grzesznik!

Roześmiał się ponownie, beztróska i swobodnie. Burgundzki rycerz w odpowiedzi skrzywił wąskie, przecięte blizną wargi. Nie przypadli sobie do serca z Ziemowitem i nie przypadną nigdy, choć jednemu

władcy służyli, los dobry i zły wspólnie przyszło im dzielić, jako i łaski księcia na dworze i miskę polewki w podróży. Ziemowit był młodszy, urodziwy z postawy, gładki z oblicza, a z natury beztroski, jakby dzień Sądu miał nigdy nie nadejść. Nad modlitwę i cnoty rycerza oddanego Bogu przedkładał miody sycone oraz towarzystwo niewiast bezwstydnich tak w mowie, jak i w obyczajach. Pogańskiej duszy i przyzwyczajień nie spłukała z niego nawet woda chrztu świętego... choć, jak kiedyś wielce kontent wyznał Siegfriedowi, trzy razy go już chrzczono, przy różnych okazjach. Żadnego z imion nadanych mu w majestacie Boskim jednakże nie spamiętał i nie używał. Także i teraz bardziej niż własnym zbawieniem i miłą Bogu misją odzyskania kości dwóch biskupów, którzy polegli męczeńską śmiercią podczas rewolty, przejmował się własnym wyglądem i wyglądem spotykanych białek. Wielkie nadzieje pokładał w osadzie, do której dążyli.

– Wybarłogę się za wszelkie czasy... – zapowiadał chępliwie. – Dziewki, co z dala od kropidla i księżej gadki o piekle żywią, smakuja lepiej niż krakowskie szczapy z zaciśniętymi ustyma i zasznurowanymi kuciapkami. Sam zaznasz, to ci się już zawsze cknąć będzie.

Siegfried zaznawać ni smakować nie zamierował, ani tęsknić tym bardziej. Ludzi okrzyknął, by obozem stanąć. Jutro, Bóg da, a znajdzie się koncept, by przez rzekę przeprowić się.

W nocy spać nie mógł, co znużoną głowę na korzeniu derą końską okrytym położył, co powieki przymknął, coś go na nogi podrywało, kazało obóz obchodzić, warty sprawdzać, czy czuwają, i konie, czy z pęt nie zerwały się. Niepokój jakowys go gniótł, a instynkt wyostrzony podczas życia pełnego niebezpieczeństw ostrzegał, że ktoś patrzy. Ktoś go obserwuje. Ktoś lekkostopy skrada się bezszelestnie, ostrożnie, pomału. Zachodzi go od jednej strony, by wycofać się i spróbować z drugiej. Nie wzrokiem i nie słuchem go wyczuwał, lecz innym zmysłem, co się objawiał uciskiem w gardle i w piersi. Wreszcie zacisnął zęby, a palce zaplótł na wytartej rękojeści miecza, wyszedł poza obóz. Oczywiście przyzwyczajają się do ciemności.

Tak, coś tam było. Dwa żółte, świetliste punkty, rozjarzone nisko, bo gdzieś na poziome Siegfriedowego pasa.

– W imię Jezu Chrysta, a kysz! – warknął rycerz i tupnął. Ślepią przygasły, a z ciemności dobiegły odgłosy ciała przeciskającego się przez zarośla.

*To był żbik*, wytłumaczył sobie Haas, nim na powrót zaległ na twardym posłaniu. *Żbik lubo ryś*, powtarzał sobie, przekładając w palcach paciorki różańca, dopóki nie zasnął.

Rankiem poszedł jednak w krze, gdzie oczy ku niemu zabłysły. Poszedł, choć słyszał już wesołe perory Ziemowita, a przybocznicy mu donieśli, że bladym świtem z drugiego brzegu tratwą przypłynął człek

przysłany przez starszyznę wioski, by się wywiedzieć o ich zamiary. Żarciki i wesołe przygadywania targującego się z przewoźnikiem Ziemowita zwały się nagle w jeden szum, jak brzęczenie owadów krążących nad bagnem.

Wczepiony w cierń głogu, w podmuchach wiatru od rzeki drgał skrawek bielonego lnu, wyszarpany z czyjegoś gieżła.

\*\*\*

Podobno najważniejszym jest pierwsze wrażenie. Przybyły z drugiego brzegu przewoźnik dobrego wrażenia nie zrobił – na Siegfriedzie, bo Ziemowit rzecz jasna w takiej już był z nim komitywie, jakby ziomkami byli od dzieciństwa, a przynajmniej na to pozował. Burgundzki rycerz zaś uważał, że zabieganie o fawory kogoś takiego byłoby poniżej jego godności... Mężczyzna lat mógł mieć może z dwadzieścia, długonogi i długoręki, spod wyszarganej, spłowiałej tuniki wystawały żylaste węzły mięśni. Zdawał się wychudzony, lecz twardy jak stary korzeń. Coś w jego ruchach chyba, bo po ciele nie znać było ułomności, budziło w Siegfriedzie odczucie nienaturalności jego osoby, kaleczności jakiejś, czegoś mu w nim brakowało. Twarz o drobnych, ostrych rysach i małych, ale odstających mocno pod strzechą rudawych włosów uszach przywodziła na myśl łasicę. I niby nie było to oblicze brzydaczne, ale także w jakiś sposób odstręczające. Wrażenie pogłębiała dziwaczna, czerwona czapka, coś jakby kaptur przycięty... Spod jego strzępiącej się krawędzi obcy gapił się na Haasa. Ni przychylnie, ni wrogo, ale jakby go mierzył i ważył z chłodnym umysłem. Uniżoności ni nawet szacunku w tym wzroku badawczym nie było, jeno ciekawość.

– Mogę zabrać was – oznajmił wolno i uśmiechnął się po raz pierwszy. Zęby też miał drobne, białe, a błyszczące jak rzeczne perły. I bardzo ostre. – Ziemowita i was, ritter. Lecz nikogo więcej.

Omiótł spojrzeniem przybocznych, których ze sobą przywiedli. Siegfried uniósł krzaczaste brwi.

– A czemuż to jeno dwóch? I nie dosłyszał żem mia- na twego.

– Bom go nie rzekł – wyłuszczył przewoźnik, krzywy uśmiezek zniekształcił mu wargi. – Zabiorę dwóch. Bo mi więcej na tratwę nie wlezie. A machać wiosłem po próżnicy nie będę, w te i nazad pływać, by przewieźć wszystkich. Starszyzny nie ciekawią słowa byle ciury, co worek z obrokiem za twym koniem nosi i buty czyści ci.

Siegfried ocenił spokojnie rozmiary tratwy uwiązanej do pnia, nurzającej się w wodzie wierzby.

– Jeszcze jeden prócz nas zmieści się – zauważył.

– Siostra ma także płynie – uciął przewoźnik i szarpnięciem głowy wskazał na tratwę.

Na jej krawędzi przycupnęło w kucki chuderlawe stworzenie w świtce zarzuconej na zieloną spódnicę. Dziewczę rozczapierzonymi palcami dłoni mąciło wodę, a gdy uniosło głowę, ukazało Haasowi spod skołtunionych konopnych fircyfuszek twarz szczupłątką, w brzydocie, co brzydota nie do końca była, zdradzającej pokrewieństwo z rudzielcem. Tyle że w jej oczach zamiast ciekawości uderzała obcość i dystans. Do tego Siegfried pewność miał, że jeszcze przed chwilą dziewczki na tratwie nie było...

– Jako twe miano, nadobna rusalko? – uderzył do niej z miejsca bynajmniej nie zdziwiony nagłym jej pojawieniem Ziemowit. Dziewczyna odwróciła się do niego szczupłymi plecami. Pod świtką odznaczył się zarys wypustek kręgosłupa.

– Nie gadajcie do niej – mruknął przewoźnik. – Um ma poplątany. Rzadko mówi, a jak mówi, to nigdy mądrego nico z ust jej nie wyszło. Niestanka się zwie. Ja jestem Modrzew.

Siegfried skinął mu głową. Rady posłuchał, ale jeno po temu, że gadanie z podlotkami, szalonymi czy nie, nie leżało nigdy w jego naturze. Odmienne zaś Ziemowit – ten pytlował jak najęty. Zgarnął nawet białe kwiecie kwitnące pośród liści pokrywających spokojne rozlewisko poza głównym nurtem rzeki i podał je dziewczęciu. Tym przykuł wreszcie uwagę. Niestanka kwiat wyjęła ostrożnie z jego palców, i nim wycofała się na swoje miejsce obok brata, obdarzyła Ziemowita niepewnym i nieśmiałym, ale całkiem ładnym uśmiechem. Siegfried zmarszczył brwi. Nie podobało mu się to. Dziewka była za młoda, z dzieciństwa ledwo wyrosła, i słabowita na umyśle. Rycerz był przekonany, że diabły w piekle szczególnie wielki kocioł wyrzuchiwały i dobrze pod nim napaliły dla tych, co bezpiecznie chcą takowe podlotki wykorzystać i wyobrać. Zamknął w żelaznym uścisku przedramię towarzysza.

– Ostaw. Tę. Dziewkę – wycedził cicho, by Modrzew i siostra jego nie dosłyszeli.

Słodki uśmiech nie zniknął z gęby Ziemowita. Pewnie i kostucha by go kosą nie starła, nie wypalą go i ognie piekielne...

– Widziałeś, co brzydula ma na szyi? – odszeptął ciągle uśmiechnięty Ziemowit.

Siegfried zerknął odruchowo, wbrew woli. W wycięciu świtki, pomiędzy małymi, spiczastymi piersiami kołysał się złoty krucyfiks, krzyż ciężki, przebogaty a misterny. Zdobiące go duże rubiny siały w słońcu błyskami szkarłatnymi jak krew. Czegoś takiego nie mógł nosić byle ksiądz... musiał należeć do kogoś ważnego i dostojnego.

– Nie wyślepiaj się już. Zamknij gębę, bo ci muchów nawpada – poradził mu towarzysz zduszonym szeptem. – Wiem, co robię. A robię, co trzeba.



Na to Siegfried nie znalazł odpowiedzi. Było mu jednak z tym milczącym przyzwoleniem na ukrzywdzenie niewinności Niestanki nieswojo. Sumienie go piekło mocniej niż letnie słońce, jak zawsze gdy wiedział, że grzech popełnia wstrętny Bogu.

\*\*\*

Osada była spora, Burgundczyk naliczył tuzin chat. Wszystkie zamieszkane być musiały, bo gdy Modrzew wyprowadził ich ścieżką wpierw wśród sitowia, wierzb karłowatych i osik wiodącą, wspinającą się zakosami pod stromy brzeg rzeki i kluczącą leśnymi ostępami, wokół zaroilo się od ludzi. Otoczyli ich krzepcy mężczyźni o posturze znamionującej, że nie tylko praca, ale i wojaczka im znana, i niewiasty, po których znać było, że trudy i znoje życia także niestraszne i im. Wokół obszytych barwnymi krajkami spódnic kobiet ganiał się bosi i półnagi drobiazg dziecięcy. Ostatni z chałup wychodzili starcy, wolno i dostojnie, niektórzy o kostury się wspierając, inni o ramiona młodszych krewniaków. Zresztą, jak po chwili skonstatował Siegfried, wszyscy tu musieli być ziomkami, połączonymi więzami krwi. Sędziwe, dojrzałe i młodzieńcze oblicza cechowało rodzinne podobieństwo, którego jeno Modrzew i siostra jego byli wyzbyci. Tylko przewoźnik i Niestanka zdawali się tu inni i obcy.

W takich wioskach na końcu świata, o których Bóg zapomniał, księżę i ludzie, słowo starszego znaczyło więcej niż patriarchów i królów. Jeden obok drugiego murem stawał, gotów za krewniaka i zabić, i umrzeć. Wszyscy łąkali jednym głosem i wspólnie kłamstw swych bronili. Dojść prawdy z takimi często niepodobna. *Źle*, pomyślał Siegfried ponuro, *jest źle*.

I było.

Nawet las zdawał się działać mu na przekór. Poczul to, gdy nie do żadnego z domostw ich powiedziano, lecz pod wiekową lipę, wokół której stały chaty o dachach mchem i ziołami zarosłych. Wokół złocistego kwiecica uwijały się pszczoły, ich brzęczenie wypełniło głowę Burgundczyka aż pod sklepienie czaszki. Upojny, słodki zapach oblepił go całego, otumaniał. Rycerz siadł na przyniesionej przez włościan ławie i sam siebie przyłapał na tem, że się jak durnowaty młodzieniaszek szczerzy do Niestanki wychylonej zza pnia lipy i zerkającej ku niemu ciekawie i płochliwie. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, to i jej skinął... i zdał sobie sprawę, że dziewczka nie jego uwagę ściągnąć pragnie, a siedzącego obok Ziemowita. Ogarnął go smutek i pustka jakaś niemożliwa. Jakby ktoś mu żywcem z piersi, kawałek po kawałku, serce rwał. Jakby jego drogę ocieniła klęska – jego, który wychodził z uniesioną dumnie głową z niezliczonych starć i potyczek. Poczucia

straty nie umniejszało nijak to, że przedmiot jej był mu nienazwany. Skupić się próbował na tym, co było mówione, lecz nie mógł. Brzęczały pszczoły wśród lipowego listowia i w głowie rycerza brzęczało, szeleściło i szeptało.

*Chodź w cień. Legnijmy wśród chłodu paproci.*

Potrząsnął głową, przełknął ślinę i szarpnął wiązanie kaftana pod szyją.

*Mchy nam będą poduszką...*

– Nie żywią owi mężowie, co ich szukacie – słowa jak żalobne krakanie kruka wdarły się w szept czarownicy. – Po co tych, co do świata naszego nie należą już, niepokoić – tłumaczył jeden ze starszyny, chyba już po raz kolejny, bo w głos wkradły się już zgrzytliwe tony irytacji.

– Księżę wynagrodzi was sowicie – pospieszył z zapewnieniem Ziemowit. Starzec parsknął, a jego równie wiekowy towarzysz dodał z rozbawieniem, że księżę jest od tego, by brać.

– Jako żyję, a żyję lat ponad sześćdziesiąt, zem nie dostał nic od księcia.

– Kura czerwonego na strzesze zawsze dostać możecie! – warknął Ziemowit, a Siegfried wreszcie zebrał się sobie. Szorstka, żyłasta prawica rycerza spadła na ramię młodszego z wysłanników Kaźmierza.

– Ziemowicie, zamilknij. – Głos Burgundczyka nie dopuszczał sprzeciwu. Rycerz podniósł się z wolna i mówić począł. Tłumaczył, że jeno po kości męczenników przyjechali, by im godny pochówek sprawić. Zapewniał, że szukać winnych śmierci biskupów nie będzie ni on, ni księżę Kaźmierz. Do krześcijańskich praw się odnosił i zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Obiecywał nagrody sute, na tym świecie i na tamtym, poza bramami śmierci. Wszystko na próżno. Jeno tyle zyskał, że się włościanie jeden na drugiego jakby ze sromotą spojierali, może czekali na pierwszego odważnego, a może na nie wiadomo co, znak jakowyś niebieski czy nieczysty.

– Nie na naszych rękach krew owych ludzi, nie nasi to ziomkowie i nie naszą sprawą oplakiwać ich i pogrzeby im sprawiać orzekł siwobrody starzec po szeptanej naradzie z towarzyszami. Nie patrzył Siegfriedowi w oczy. Ponad jego ramieniem spoglądał niespokojnie na ścianę lasu... Nie. Burgundczyk rzucił spojrzeniem za siebie. Na stosie schnącego, wonnego sitowia przysiadł Modrzew, przewoźnik w kapturze czerwonym. Żdźbłem trawy dłubał w zębach, drobnych i ostrych.

– Lecz znany wam jest los owych możnych? – dociekał rycerz. –

Wiecie, gdzie padli i gdzie kości ich leżą?

Starzec zacisnął zęby i Siegfried obawiać się zaczął, że ni słowa już więcej nie powie. Patrzył na las i patrzył na Modrzewia. Trwoga znalazła drogę na jego twarz, ścięła usiane zmarszczkami rysy. Bał się. Bał się czegoś bardziej niż księżęcego gniewu i pomsty Kościoła.

– Los ich spotkał słuszny a sprawiedliwy. Kara zasłużona... – przemówił jednak starzec. – Na brzegu, z którego przybyliście, głowy złożyli. Macie odwagę, idźcie szukać pode drzewami. Macie rozum? To ostawcie nas i ich w spokoju, wracajcie do siebie.

Siegfried otworzył usta, ale zamknął je zaraz. Pojął, że ile by śliny nie napsuł, starzec nie rzeknie tu i teraz nic ponadto. Powstał, podnosząc za ramię opierającego się lekko Ziemowita.

– Niechaj Bóg was błogosławi.

– Niech i ciebie we względach ma – odparł mu sędzi- wy przywódca.

– Co czynisz? – syknął Ziemowit, gdy odchodzili.

– Nie dopuszczam do bitki, z której się następne zarzewie buntu, mordy nowe a pożoga rozdmuchać może – sarknął Siegfried. – Brak ci pokory i cierpliwości, a to najważniejsze cnoty rycerskie. Naucz się czekać. Póki rozmawiamy, zdanie może się starszyźnie odmienić. Gdy przemówią miecze, odwrotu już nie będzie.

– Co zatem uczynić radzisz? – burknął młodzik obcesowo.

– Wracamy na lewy brzeg. Rozbijamy obóz i czekamy, aż się włością z naszą obecnością oswoją. Spyży od nich kupimy i zapłacimy godnie. Poszukamy po lesie, Bóg z nami, może natrafim na co przypadkiem. I pomówić trza z ową dziewczką, Niestanką. – Imię niewiasty opłynęło spierzchnięte usta rycerza jak chłodna rzeczna woda. Haas potrząsnął głową skonfundowany i pociągnął pewnym głosem. – Nawet jeślić słabowita na umyśle, to krzyż nosi... znaczy, krześcijanka. Będzie nam przychylną... Ziemowit wytrzeszczył oczy. Wybuchnął śmiechem srebrzystym, i w tym rozbawieniu utonął cały jego wcześniejszy gniew.

– Naiwniście jako podłotek, cny Siegfriedzie – rzekł, łzy krotochwilne wierzchem dłoni ocierając. – Krzyż nosi... Wilcze szczenię łącno możesz weń obłożyć, a jakże. Lecz nie robi to z niego jagnięcia.

– Zamilknij – polecił mu Burgundczyk po raz wtóry. – I odstęp od niej. Zabraniam ci. Pojąłeś?

– Przysięgam na Boga, że biegać za nią nie będę – obiecał Ziemowit, rękę do piersi przykładając uroczyście. Wiedział Siegfried, ile warte Ziemowita słowo. Wiedział też i to, że młodzik biegać za dziewczkami nie musi. Same do niego przychodzą, skuszone gładką twarzą i gładką gadką. Zacisnął zęby i wsiadł na chybotającą się na wodzie tratwę. Modlił się o rozwagę dla towarzysza, czujność i cierpliwość dla siebie.

Las patrzył.

\*\*\*

Nie odeszli, choć starszy osady dwa dni później na Modrzewiowej tratwie przebył Wisłę, by raz jeszcze im rzec, że najlepiej dla nich, by wrócili do siebie. Drugiego dnia przyszedł z tym samym, trzeciego nie przy płynął wcale. W obozie wyrosło kilka solidnych szałasów, w których wysłannicy książęcy i ich słudzy chronili się przed nocnym chłodem i deszczem. Poszukiwania grobów czy kości niepochowanych w lesie dały tyle co nic, choć szukali wytrwale. Modrzew czasem odwiedzał Siegfrieda z bukłakiem miodu. Nie doradzał, nie bronił niczego. Patrzył się tylko jasnozielonymi ślepiami spod ryżych włosów, podpytywał o dwór książęcy i świat szeroki. Kpiący uśmiezek nie schodził mu z warg, choć po marsie na czole znać było, że nie w smak mu kształt tych opowieści. Siegfried uprzejmie podejmował przewoźnika. Na poły po temu, że liczył, iż Modrzew zmięknie i coś powie, lub na widok komitywy z osobliwym rudzielcem, którego się obawiali, rozplączą się języki starszyny. Na poły z powodu Niestanki, kręcącej się zawsze za bratem. Nie podszedł Siegfried do młódki ni razu, ale łowił zajadle jej płochliwe spojrzenia, choć nie je- mu były przeznaczone.

Nocami z kolei ktoś przychodził patrzeć na niego. Chciał wierzyć, że to młodziak jakowyś wysłany na przespiegi z wioski przeprawia się przez rzekę, by popodglądać obcych, a może Modrzew lub Niestanka to czynią... Jednak czasem w ciemności rozpalały się żółte, nieludzkie ślepia. Po deszczu zaś znalazł w rozmięklej ziemi odciski bosych stóp, dziwnie długich i wąskich.

Tak jak się domyślił, to Ziemowit zburzył ten chybotliwy spokój, utrzymywaną siłą woli Siegfrieda sielankę. Gorącogłowy woj nie zdzierzył mozolnego oswajania miejscowych, posuwania się ku celowi ospałym tempem ślimaka. Ziemowit musiał teraz i natychmiast, nie bacząc na koszt i konsekwencje.

Krzyk Niestanki wyrwał Haasa z drzemki. Rycerz wypadł z szałasu, jednym wprawnym ruchem obnażył miecz i biegiem ruszył ku wrzaskom, nie zważając na gałęzie chlaszczące go po twarzy. Dziewka zamilkła. Teraz krzyczał Ziemowit, z głosu kapał ból.

Z początku jej nie dostrzegł. Tylko towarzysza, skulonego, klęczącego w wysokich trawach. Ziemowit przyciskał prawicę do twarzy i nie reagował. Gdy go Siegfried za łokieć poderwał, błysnął gniewnym spojrzeniem, zęby obnażył w grymasie jak zwierzę. Pomiedzy palcami przyciśniętymi do policzka spływała obficie krew, a gdy młodziak dłoń odjął, ukazała się rana i płat skóry wiszący.

– Ugryzła mnie, wywłoka...

Siegfried litować się nie zamierzał. Mocniej łokieć Ziemowita ścisnął, szarpnął, potrząsnął.

– To nie pies wściekły, by uzreć bez powodu. Coś jej uczynił?

– To, co wszystkie lubią. Jeno to dzikuska jakaś i nie wie, że się zdania nie zmienia w trakcie.

Burgundczyk wspaniałomyślnie nie przypominał, jak własnymi słowy wychwalał wyższość owych dzikusów nad bogobojnymi a bezwolnymi i drewnianymi niewiastami z Krakowa. Łaskawości starczyło mu tylko na tyle. Pięścią huknął Ziemowita znienacka między oczy. Woj padł, znów się krwią żywoczerwoną zalewając, z nosa tym razem.

– Rzekłem, byś ją ostawił.

– Trochę bym popieścił, zmiękłaby zaraz – warknął Ziemowit. – Ujeździłbym, toby popiszczala, a potem i gadać zaczęła. Żeś się wmieszać musiał musiał, obrońco dziewic...

Na to tłumaczenie Haas mu na odlew poprawił, pięścią w lewy, niepokancerowany policzek. Z satysfakcją zauważył, że Ziemowit stracił sporo na swej męskiej krasie. Przyjemność mu to sprawiło, choć po krześcijańsku nie powinno.

– Tknij ją jeszcze raz, to inszych nie będziesz miał czym obsłużyć.

Wtedy zauważył w ręce towarzysza złoty krucyfiks na pękniętym łańcuszku. Musiał go gołowąs zerwać z szyi dziewczki w szamotaninie.

– Nie twoje. Oddawaj.

Wołał ją potem, szukał w wysokich trawach i trzcinach nadbrzeżnych. Przepadła. Przestraszona, pójść musiała w las... a tam Siegfried nie chciał zapuszczać się samotnie. Przed zmierzchem oddał krucyfiks Modrzewiowi, który się zaszył przy ich brzegu koło kępy wierzb i rybaczył w najlepsze. Zębami zgrzytając, opowiedział o zajściu. I zdziwił się niepomierne, bo przewoźnik machnął lekceważąco ręką.

– Ma siostra nie jest już dzieckiem. Umie się obronić. Silniejsza jest, niż wam się zdaje, ritter. Nie wróciła jeszcze... lecz i to nic nadzwyczajnego. Idźcie spocząć, martwić się nie ma czym.

Przyszła do niego, gdy – jej brata posłuchawszy – na spoczynek się udał. Bezszelestnie wsunęła się do szałas, przysiadła na piętach przy barłogu, które sobie z młodych gałązek wilczurą okrytych wyrzycił. Musnęła jego policzek chłodną dłonią, palcami wodziła wzdłuż szczęki i z początku zdawało mu się, że mara to senna.

– Pójdzie – rzekła Niestanka krótko, gdy powieki rozwarł. Głos miała szeleszczący i przyjemny dla ucha. Rękę zabrała, ku zawstydzonemu i skrytemu niezadowoleniu Siegfrieda.

– Dokąd? – spytał równie treściwie.

– Do tego, czego szukał.

Jakże mógłby odmówić. Takiemu zaproszeniu. Jej.

Szła przez las lekko i szybko, a przy tym tak pewnie, że zdjęło go podejrzenie, że dziewczka widzi w ciemnościach niby drapieżnik nocny. On dyszał za nią, starał się nadażyć, tempo utrzymać. Wpatrzony w jej plecy, pozwalał się wciągnąć coraz głębiej w knieje.

Nie dostrzegł nic, gdy zatrzymała się gwałtownie i rzekła szeptem, że już, że to tu. Nie zobaczył niczego, dopóki szczupłą rączką nie rozgarnęła gałęzi leszczyny, palcem nie wskazała. Pomyślał w pierwszej chwili, że to gałązki młode, wody wzięły i kora z nich opadła, i teraz bielą świecą wśród runa. A to były kości.

Szkielecowa dłoń ciągle zaciskała się na rękojeści pordzewiałego miecza, choć reszty ciała widać nie było. Może gdzieś pod liśćmi tkwiło, może rękę oderwano... Dalej – czaszka mchem porosła. Obok coś, co skrzynią podrózną mogło być, nim zbutwiało. Tam piszczał sterczała ze ściółki, tu kość uda czy ramienia. Na trupich palcach tkwiły pierścienie, wśród kości błyskały monety rozsypane ze sparciałych ode słońca i wilgoci mieszków, zapinki płaszczy w resztki zbutwiałych tkanin wpięta ciągle... Ktokolwiek ubił biskupów wraz z orszakiem, nie ograbił pokonanych. Zostawił ich lasowi tak, jak padli.

– Co... co tu stało się? – wydusił Siegfried przez ściśnięte gardło.

– Żli ludzie – odparła Niestanka z miążdżącą pewnością.

– Żli ludzie ich zabili, kto? Widziałas to? – doskoczył do niej. Nie odsunęła się, patrzyła mu w oczy, głowę krzywiąc jak ptak. Jej własne oczy, które z początku wydawały mu się jasnozielone jak u Modrzewia, błysnęły żółto jak siarka.

– Jam jeszcze nieurodzona była. Modrzew wie. Jego porwali, źli ludzie. Matka przyszła go odzyskać – klarowała wolno i spokojnie.

– Kim rodzicielka twa? Jest z osady na drugim brzegu? Ona widziała, co stało się? – Pochwycił ją za ramię, ścisnął mocniej, niż zamierzał. Przechyliła tylko głowę, by się przyjrzeć jego dłoni na swojej ręce.

– Ojciec Modrzewia bronił. Znaczący, mój ojciec, nie jego – dodała po chwili zastanowienia, a Siegfrieda tchnęło, że wbrew słowom brata, Niestanka wcale nie jest słabująca na rozumie. Tylko mówić nie lubi i rzadko usta rozwiera, to i gładkiej mowy nigdy nie wyćwiczyła.

– A tamój leży ten drugi. – Dziewka machnęła szczupłą, białą jak brzoza rączką w stronę najbliższych zarośli. Pod ciernistym głógiem iście coś bieląło...

– Ten drugi? – nie zrozumiał Burgundczyk.

– Ano. Ten drugi, co przybył z ojcem.

Siegfried krok postąpił sztywny tamtą stronę. Nie dotknął pękniętej czaszki. Nie schylił się po pierścień biskupi ze szmaragdem przepyszny, ni misterny różaniec. Obrócił się wolno do młódki.

– Krzyż ten, co na piersi nosisz? Skąd masz go?

– Ode oca dostałam. – Zacisnęła palce lewej dłoni na kru- cyfiksie.

– A... ojciec twój kim w osadzie?

– Nikim. My w lesie i z lasu żyjem i z rzeki. Ojciec stary już, niedołączny. My się nim opiekujem...

Rzec chciał, że to wielce po krześcijańsku, ale kolejne jej słowa nogi mu wmroziły w leśne runo.

– Roman. Tako miano jego.

Zamarł rycerz jak żona Lota, zdumieniem ścięty, myśli próbował zebrać rozlatane. Zaprzeczyć chciał, krzyknąć, że leż to – aleć mu Niestanka nigdy nie wyglądała na zdolną do kłamstwa. Stał z otwartymi ustami i dyszał jak ryba z więcierza na piach wyrzucona.

Nie zareagował, gdy dziewczka za dłoń go ujęła leciuchno. Drgnął dopiero, gdy prawicę jego powiodła pod swoje gieżło.

– Nie godzi się – oznajmił twardo i rękę chciał zabrać z wdzięków dziewczęcych, które mu tak hojnie podsunęła. Odkrył, że nie może. Palce Niestanki, tak szczupłe, że niemal przezroczyste, ścisnęły jego nadgarstek z mocą godną imadła. Druga dłoń młódki z wprawą i zdecydowaniem znamionującą pewne obeznanie spoczęła na jego kroczu, palce już rozplątywały rzemienie. Napierała na niego całym ciałem, a on cofał się krok za krokiem, aż się plecami wsparł o pień buka. *Silniejsza niż wam się zdaje*, przypomniał sobie. *Silniejsza niż się godzi dziewczce...*

– Słuchaj ty mię... – spróbował raz jeszcze. Tyle że ona bynajmniej słuchać nie chciała, że cnoty winna strzec, a on tu obcy, nic jej dać nie może, a do tego podle wieku i jej ojcem mógłby być. Zamiast chłonąć jego rady, na przemian to kąsała mu ramię i szyję ostrymi jak igły zębami, to przywierała łapczywie do jego ust. Jej oddech pachniał słodko brzozowym sokiem i Siegfried odkrył, że co prawda dalej sam siebie w myślach upomina, iż nie powinien, wbrew honorowi to rycerskiemu i prawom boskim wbrew, ale jego dłonie międlą zachłannie już gieżło młódki, zadzierają spódnicę, sięgają do wilgotnych kędziorów i żaru między nogami. Warknął gardłowo, zwierzęco. Szarpnięciem rozerwał len, prawicą objął jedną małą, spiczasto zakończoną pierś. Drugą na przemian przygryzał i obcałowywał, a gdy krucyfiks zawieszony na szyi dziewczki zaczął mu w tym poczynaniach przeszkadzać, przerzucił go jej na plecy. Gięła się ku jego dłoniom, przywierała do niego jak bluszcz przywiera do dębu. Zaczynała już mu mięknąć ulegle w ramionach, choć ledwie przed chwilą pokazała, że dość krzepy ma, by rosłego rycerza przestawiać jak pacholę. Objął ją pod pośladki i oparł o pień drzewa, a gdy zaplotła wokół jego bioder nogi i zanurzył się w gorącej wilgoci, opadły z niego resztki skrupułów i wątpliwości. Brał, co mu dawano w

zapamiętaniu, gwałtownie i zaciekle.

Po rozkoszy przyszło otrzeźwienie, a wraz z nim wyrzuty sumienia. Okrył dziewczkę własnym płaszczem i znów rozmawiać próbował, tłumaczyć, obiecywać. Niestanka pozwoliła otulić się grubą, ciepłą wełną, ale nie dbała ani o przeprosiny, ani o obietnice. Siedziała na piętach, dłońmi wodząc po swoim brzuchu, i uśmiechała się, szczerząc drobne ząbki. Potem powstała, otrzepała się i odeszła bez słowa, jakby nic się nie wydarzyło.

\*\*\*

– Na swawole wam się zebrało, co?

Stojący po kolana w rzece Modrzew uniósł rudawe brwi na pół czoła. Wyprostował się, a Siegfried obejrzeć mógł wychudzone, ale nabite splotami węzlastych mięśni ciało. Skóra przewoźnika upstrzona była piegami i czerwonymi plamami, jakimi słońce zawsze naznacza rudych ludzi. Modrzew zdawał się tym nie przejmować, tak jak nie baczył na to, że nagość jego może szlachetnego rycerza ubość. Brodził po płyciźnie, kołysząc członkiem sromotnym i świecąc pośladkami, co miesiąc by mogły zawstydzić bladością. Raki łowił gołymi rękoma i w wór pakował.

– Zabawa to jakaś krakowska?

Zapewnił go Siegfried, że poważny jest i poważnie gada.

– Uciekać przede owocami czynów własnych nie będę. Jeśli poczęcia będę przyczyną, byt zapewnię, a dziecię wezmę na wychowanie...

Wzburzając wiry w mętnej wodzie, wyszedł Modrzew na brzeg ku niemu, sak z rakami na trawę rzucił i odziewać się zaczął.

– Jak żeście się mieli ku sobie, to co mnie obchodzi to. Jej zdobycze. Czy twoje – westchnął. – Bachora najpewniej uczyniłeś swym wichajstrem, ritter. Ot, niewiasty w naszej rodzinie przeze bogów pobłogosławione. Ledwie przysiądą na męskich portkach, a już im kałduny pod brody rosną, a piersi puchną. – Machnął ręką. – Niestanka będzie chciała, to sama ci bachorzę podrzuci. A jak nie... to nie i nic z tym nie uczynisz.

– To dziecko i moje będzie. – Burgundczyk zębami zgrzytnął.

– Nie żartujesz. Tyś po prostu umu się wyzbył – parsknął Modrzew w odpowiedzi. – Dobry człek z ciebie. Pewnikiem dlatego ostatecznie wybrała ciebie, nie tego gołowąsa z twarzą gładką jak tyłek Najświętszej Pani. Tedy słuchaj: ostaw. Nie dla cię ona. Żadnego wspólnego losu szczęśliwego nie ma przede wami.

– Dla kogo zatem siostra twa?

– Dla nikogo – zachnął się Modrzew, o wiosło oparł się i otaksował rycerza z rozmysłem. – Nie przyjmiesz na wiarę, co? Chodź, zobaczysz...  
– wskoczył na uwiązaną przy brzegu tratwę – jak się miłości takowych



jak siostra ma kończą.

– Jak kończą się? – spytał Siegfried odruchowo, choć krok już postąpił, złapał równowagę na śliskich belach drewnianych.

– Smutno. Bolesciwie też. Ale przede wszystkim smutno.

W dwa pacierze później przybili do niewielkiej wyspy wiślanej, piaszczystej łachy zarośniętej grabami, brzozami i olszyną. Przy brzegu kołek był wbity do wiązania łodzi czy tratew, a przez brzezinkę wiodła wydeptana ścieżyna. Często tędy wędrowano...

Niebawem oczom Siegfrieda ukazała się ziemianka mizerna, a wraz z nią jej gospodarz. Wynurzył się z owej nory ziemnej, szczupły i prosty jak włócznia, mimo leciwego wieku. Wiatr dzielił i unosił długie pasma jego rzadkich, białych włosów. Proste miał odzienie i po wielokroć łatanie, wyleniała wilczurę zarzuconą na ramiona dla ochrony przed chłodem, choć dzień był letni. Klóciła się owa przyodziewa z obliczem jego, znamionującym pewną szlachetność jeśli nie urodzenia, to przynajmniej myśli.

– Tyś to, żono? – wyszeptał starzec drżącymi, zwiędniętymi ustami. Głowę ku przybyłym obrócił, ale słuchem musiał kierować się, nie wzrokiem. Jego oczy zarosło starcze bielmo.

– To ja, Modrzew – odparł przewodnik. Popchnął Siegfrieda przed siebie i przedstawił. – Gościa ci przywiódłem...

– Sądziłem, że przyjdzie dziś matka twoja. Śniło mnie się, że odwiedziła mnie. – Staremu mężczyźnie zatrzęsły się powykręcane dłonie.

– Nie przyjdzie dziś, wątpię, by przyszła jutro – odburknął przewoźnik. – Sprawy mamy. Goście zjechali...

– To ja podejmę, podejmę gości... dopóki ona nie wróci.

Podniósł się z trudem i poczłapał do ziemianki. Wrócił po chwili z kubkiem z kory brzozowej poczynionym, wetknął go w dłoń rycerza. Nie napełnił naczynia jednakże niczym – najwyraźniej przepomnieć musiał.

– Rzeknij jej, że cknę mi się za nią.

Rozmowa brnęła jak ciężkobrajny konny przez mokradła. Niby toczy się do przodu, ale przystaje co chwila, a drogę pogubił już dawno. Starzec każdą kwestię potrafił sprowadzić do nieobecnej, a umiłowanej żony. Jedynym, co go ożywiało, była myśl, że jego niewiasta będzie znów spała przy nim w nocy, a żyła codziennym trudem, gdy słońce wespnie się nad horyzont.

– Pójdźmy już – zarządził w końcu Modrzew, ale Siegfried wstał, do starca podszedł i nachylił się do jego ucha.

– Biskupie Romanie... – zagaił. Nie był pewien do końca, ale pewnośc zyskał, gdy starzec siwą głową skinął, jakby miano akceptował. Szukali go możni po kraju całym, a on na tej łasze piasku wiódł życie nędzarza...

– Czcigodny ojcze, jedno twe słowo, a zabiorę cię z wyspy tej, do Krakowa, gdzie księżę ugości cię i...

– Nie! Nie! – zakrzyknął starzec w proteście, poruszony i nagle skoncentrowany. – Nigdzie nie idę! Muszę na nią czekać. Ona nie znajdzie mnie w Krakowie, za daleko to...

Zapewnił go Haas, że tam godnie i suto żyć będzie, rzec coś jeszcze chciał, lecz dawnemu patriarsze sandomierskiemu oczy rozbłysły, policzki pokraśniały od rumieńców. Starzec pchnął oburącz piersi rycerza, zakrzyknął, plując śliną przez wybrakowane zęby.

– Wynoś się, wynoś! – wrzeszczał. – Precz z domu mego!

Modrzew już jednakże Burgundczyka odciągał, plótl słowa jakoweś, kojące i pozbawione znaczenia. Gdy do tratwy zeszli, bukłak z miodem wydobyl i podał Siegfriedowi bez słowa. Rycerz pił jak umierający z pragnienia.

– Tedy pojmujesz... – rzekł w końcu Modrzew – klęską twa wyprawa, i klęską twe mej siostry miłowanie. Wracaj do swego pana, rzeknij, żeś nic nie znalazł. O Niestance zapomnij. Chyba że chcesz ojczymowi memu być podobnym.

– Cóż mu się stało?

– On ją kochał nad życie, ona znużyła się i odeszła – parsknął przewoźnik. – On czekał, aż mu się w głowie z tę- sknoty poprzestawiało...

– Czemu on przeżył, z orszaku całego? Czemuście jego akurat oszczędzili? – zapytał w końcu Siegfried wprost.

– My? Ci z osady bali się choćby do trupów podejść. Nie ma żadnych nas. Jest mać moja i Niestanki. Jam wtedy pacholęciem był, ledwie od ziemi odrosłem. Nad rzeką mnie złapali. Umyślili sobie, że jak śmiercią moją zagrożą, to przewodnika przez lasy dostaną i przejście bezpieczne. Pogryzłem tego drugiego klechę, zbiec próbowałem... to kijami swym sługom kazał poobkładać. Roman bronił mnie, ale na niewiele się to zdało. I wtedy przyszła matka.

Modrzew podrapał się po ryzej czuprynie, ale w geście nie było krzty zakłopotania.

– Wątpie latały jako ptaki niebieskie, krew lała się jak deszcz. Niezbyt czuła mać moja, ale dziatwy swej ukrzywdzić nie zezwoli.

– Jedna niewiasta kilku zbrojnych mężów ubiła? – skrzywił się Burgundczyk z powątpiewaniem. Ale potem przypomniał sobie siłę, z jaką Niestanka w ramiona go pochwyciła, zacisnęła jak w kleszczach.

– Siostra twa – odchrząknął – rzekła, że Roman jej ojcem.

– Ano – poświadczył Modrzew i w wodę śliną strzyknął przeze zęby. – Poczciwy człek z niego. Może i owymi świętymi olejami wysmarowany, aleć serce ma miłosierne. Matka ku takim zawsze przychętna.

Oszczędziła, do towarzystwa sobie wzięła i by jej barłóg grzał. Rozkochała, a potem zostawiła, jako i innych przed nim. Niestanka jeszcze gadać dobrze nie umiała wtedy...

– Jaka niewiasta męża swego opuszcza, dziatwę maleńką. Toć serca trza nie mieć, okrucieństwo nie niewieście, nieludzkie...

– Widzę ja, że nie dotarło do was jeszcze – wciął mu się Modrzew w perorę, i tak się spojrział przedziwnie, iż Siegfried

zamilkł w jednej chwili. – Widzę, żeście człek prosty i wam wprost rzecz trzeba. Tedy mówię. Matka moja nie jest zwykłą niewiastą.

Burgundczyk trwał w bezruchu, świadom, że dotyka czegoś obcego, nienazwanego i straszego.

– I tak, my z Niestanką jeno na poły ludzie.

\*\*\*

Odsunął się Siegfried od Modrzewia, na ile pozwalała tratwa, i tak płynęli. Uwierzył w tę historię. Wszak widział rozwłózione, potraskane kości zbrojnych biskupich, spękany czerep Lamberta. Na własnej skórze czuł krzepę Niestanki i we własnym sercu słyszał uwodzicielski, czarowny szept. Uwierzył, jako i w diabły wierzył. Tylko rozum bronił się przed niezwykłością istot tak obcych, że nie pokazywały się każdemu.

– Matka w dawnych czasach do orszaku Dziewanny należała. Wilki prowadziła, gdy piękna pani rozeźliła się i chciała zapolować.

Burgundczyk odchrząknął. Nie miał pojęcia, kim była kapryśna Dziewanna. Plaśnięciem dłoni ubił komara na swym karku. Zmierzchało już i całe chmary owadów krążyły nad wodą.

– Rzekłeś, że matka twa nie zwykła białogłowa. Tedy... kto ona?

Zaśmiał się Modrzew donośnie, gardłowo a bezradośnie.

– Bogu swemu miana nie nadajecie, a ciemnościom pod drzewami chcecie jakoweś narzucać?

– Toć nie nazywam po swojemu, jeno pytam, jako wy to czynicie – odparł rycerz niewzruszenie.

Modrzew gębę rozwarł i znać było, że już-już się łamie, już rzecz ma, lecz zamiast słów z jego ust rozległ się wrzask, krótki i wysoki, gdzieś z brzegu, ku któremu zdążyli.

– Niestanka! – syknął Modrzew i mocniej napał na wiosła.

Gdy tylko tratwa stuknęła o brzeg, przewoźnik wyskoczył na trawę, przywiązywaniem swego dobytku się nie turbując. Nura dał w zarośla głogu i czeremchy, biegł na przełaj, na złamanie karku po leśnych wykrotach, a Siegfried za nim. Trzy słowa jeno kotłowały się bezrozumnie i wściekle pod sklepieniem czaszki Burgundczyka. Moje

dziecię i ubiję.

Słudzy i zbrojni w obozie zostawieni, poderwani na nogi krzykiem Siegfrieda jeno to rzekli, że pił wino Ziemowit z dziewczką, a jak się jej głowa kolebać poczęła na boki, to ją w las pociągnął. Modrzew odetchnął, uśmiechnął się nawet złośliwie.

– No to obje siostra ma gębę twemu druhowi, i tyle...

Warknął rycerz w odpowiedzi, że żaden to jemu druh i że pysk mu pierwej on sam naznaczy niż Niestanka.

– Struł ją czymś, by powolną była!

Bladość jeszcze bielsza niż przyrodzona rudym wzięła w posiadanie Modrzewiowe lica.

– Kędy poszli?

Znów pobiegli. Gałęzie chlastały ich po twarzach, rżęzili urywanymi oddechami. Szybko pojęli, że się po lesie kręcą w kółko.

– Nie widziałeś tego – rzekł nagle Modrzew, przystanąwszy pod kępą młodych dębów, i zagwizdał wysokim, ptasim trelem. Gdzieś w górze wśród gałęzi ruch się wszczął i ferwor. Z trzepotem maleńkich skrzydełek na wysunięte przedramię przewoźnika spłynęło kilka lelków. Kilkanaście otoczyło chmarą sylwetkę Modrzewia, by się zaraz rozprysnąć we wszystkich kierunkach.

– Znajdą ją – wystękał rudzielec i zaległ na korzeniu dąbczaka, by odsapnąć przed podjęciem pościgu.

– Mówić z pactwem potrafisz i zwierzyną? Jak Noe? – wydusił z siebie Siegfried.

– Nie. Jak Dziewanna. Wszystkie swe przyboczne mowy zwierzęcej nauczyła, a matka sekret przekazała mnie.

Powstał, jakby i do tego zawczasu wyczuwał, że powracają jego skrzydlaci zwiadowcy. Wysłuchał trelu i z pewnością w głosie wskazał, gdzie biec mają. Haas miecz wysunął z pochwy objijającej się mu w biegu o nogi i nie zatrzymał się, gdy przez listowie dojrzał pochyloną nad czymś sylwetkę Ziemowita. Nie wyhamował go krzyk Modrzewia za plecami. Dopiero widok szerokiego, myśliwskiego noża przytkniętego do gardła Niestanki otrzeźwił pałającą żądzą odwetu głowę, kazał przystanąć w miejscu.

Dziewka pólleżała wśród wysokiej trawy i ziół bezwładna i nieprzytomna, z rękami skrępowanymi na plecach. Powieki miała wpółprzymknięte, z jej skroni i nosa sączyła się krew. Ziemowit za włosy konopne uniósł jej głowę i ostrze trzymał przy szyi.

– O. Jest i brat. Wielce politycznie z twej strony, łązić nie będę musiał daleko.

– Ostaw dziewczkę – warknął Siegfried i krok bliżej postąpił ku niemu.

– Ostaw, ostaw... – przedrzeźniał go młodzik z kwaśną miną. – Nużący

się robisz, Siegfriedzie, nudny jak proso z pasternakiem. Po prawdzie, to nigdy żeś zbyt intrygujący nie był. – Obrócił się ku przewoźnikowi. – Gadaj, co klechów spotkało i ich kości gdzie leżą?

– Dziwożona porwała bidulków świętobliwych. Jednego ku rozpuście. A innych na strzępy...

– Krotochwile sobie urządzasz?! – wrzasnął Ziemowit. Burgundczyk także krzyknął. Na widok cienkiej strużyny krwi, co się spod noża na piersi niewieście wysączyła. Krzyknął straszliwie i skoczył, ostrze miecza w tył zwracając. Z rozmachem łupnął jelcem między oczy dawnego druha. Ziemowit zachwiał się, juchą zalał, to kopniakiem w brzuch mu poprawił, odepchnął. Stał w rozkroku nad nieprzytomną dziewczką, gotów bronić tego, co w łonie jej kielkowało nawet za cenę sławy swej, łask księcia, życia własnego. Ziemowit zbierał się na nogi powoli, plunął krwią z ziemią przemieszaną przez wybite zęby. Rycerz burgundzki całą uwagę mu poświęcał, by go nową sztuką zdradziecką nie zaskoczył... tedy nie zoczył, co wokół dzieje się, dopiero szept Modrzewia kazał mu rozejrzeć się ostrożnie.

Niebo pociemniało. Konary drzew się pochyliły, jakoby wiatr je przygiął. Powietrze przesycił zapach paproci i wilgotnego mchu, a wszelkie ptactwo i zwierzyna przycichły, jakby przypadły gdzie skulone...

– Matka – wydukał ponownie Modrzew zduszonym do trwożliwego szeptu głosem. – Matka idzie.

Zarośla po drugiej stronie polany rozłożyły się z trzaskiem na boki, rozgarnięte jednym ruchem silnych ramion. Pędziła ku nim, szybka jak atakujący wilk, długoręka, długonoga istota. Pomarszczona skóra opinała ciało chude i twarde jak stary rzemień, piersi o ciemnych sutkach, długie i puste zwieszały się niemal do kibici. Głowę i łono pokrywały jednak bujne, czarne kłaki, bardziej sierści niedźwiedziej podobne niżli włosom. Spod kołtuna łyaskały dziko żółte ślepia.

Ziemowit miecz dobyć zdążył i się zastawić, zgrzytnęły o stal czarne, zakrzywione pazury. Drugą ręką za nadgarstek prawy go chwyciła, w jednej chwili i lewe przedramię unieruchamiając. Trzymała go, wyższa i silniejsza od niego, a on miotał się wściekle, próbując jej sięgnąć. Wreszcie oklapł w uścisku bezsilnie, wykończony.

Na potwornej twarzy nie wywołało to żadnego wrażenia. Trzymała go jeszcze pół pacierza. A potem ramiona ciągnąć poczęła na boki. Wrzasnął z bólu rozrywany Ziemowit, Siegfried cucący Niestankę zacisnął zęby. Na jego oczach krew się lała na darń leśną, kości, mięśnie, wątpia i wszelkie tajemnice ciała człowieka, które Bóg schował w środku, właśnie w całej swej ohydzie i sromocie zostawały odkryte. Jedno po drugim, z wolna, bo dziwożona nie spieszyła się nigdzie. Krzyki Ziemowita niosły się po lesie, póki się młodzik nie zachłysnął własną

krwią i z bólu nie omdlał. Potem skonał. I nie był już tak gładki jak za życia, szpetnie zszedł i szpetnym został trupem.

Leśna panna przestąpiła nad jego umęczonym ciałem, ku Siegfriedowi się zwracając. Twarz miała wąską, policzki zwiędnięte i zmarszczkami pokryte jak u wiekowej staruszki. Opuchnięte powieki raz po raz przykrywały żółte jak żywica ślepie, drgały wąskie nozdrza. Zatrząsał się rycerz, lecz nie odstąpił, nadal z mieczem w dłoni zastawiał dziewczkę, co bez ducha wśród traw leżała. Gdy nachyliła się nad nim, przez obraz pokręconej, potwornej staruchy jak przez najcieńszy len ujrzał cerę gładką, policzki rumiane i usta słodko, miękko wykrojone. Twarz hożą i urodziwą okalały jasne loki, długie rzęsy ocieniały oczy pełne obietnic.

Rozwarły się usta dziwożony, czarna jama najeżona sztyletami zębów, i popłynęły składane z trudem, zaskakujące słowa.

\*\*\*

Drewniany Zbawiciel rozpięty na krzyżu spogląda wzrokiem pustym, zimnym a obojętnym. Deszcz bębni monotennie o okiennice, a w uszach Burgundczyka rozbrzmiewają raz po raz własne i cudze słowa, to szeptane szeleszcząco, to dudniące jak grom.

Ta ziemia przerabia na modłę swą, ze wszystkich robi pogan...

Wilcze szczenię łącznie możesz wełną obłożyć. Lecz nie robi to z niego jagnięcia.

Z was, szlachetny Siegfriedzie, to jest pospolity grzesznik!

Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?

Stupor zdjął rycerza przemożny, niemoc zawładnęła członkami strudżonymi długą wyprawą. Znużone powieki ciężą, aż wreszcie opadają, jak i głowa Siegfrieda. Zapada rycerz w sen czujny, niedający odpoczynku i męczący. Przed oczami mary snują mu się, poszarpane jak skrawki mgły. Oto z Modrzewiem na tratwie siedzi i gwarzy leniwie, miód sycony sączą pospołu z tego samego bukłaka. Na wierzbie na huśtawce z żywych witek zielonych kołysze się Niestanka. Bose stopy dziewczki śmigają nad migotliwym lustrem rozlewiska, muskają wodę długimi palcami. Gaworzy dzieciątko, które dziewczyna przytula jedną ręką do piersi. Synaczek jego lub córka. Las patrzy. Żółte oczy dziwożony pobłyskują to tu, to tam pośród listowia.

Siegfried gwałtownie unosi głowę. Ślinę przetyka, co z trudem przechodzi przez zduszone gardło.

Rozmyśla, że biskupów martwych odpuszczają, szukać już nie będą, by wynieść ich na ołtarze. Nie po tym, jak nakłamał im, że się w lasach

ukryci wszem i wobec wyrzekli świętej wiary. I nie męczeńską śmiercią w imię Boga zesłi, a w zwykłej swadzie o ziemskie dobra położyli grzeszne głowy.

Ale i Kaźmierz, i Aaron przypomniał sobie rychło o Ziemowicie. Będą pytać o niego przybocznych, aż do ostatniego ciury. Będą pytać i jego, aż w końcu pogubi się we własnych łgarstwach. Nie będzie baczył Kaźmierz na przyjaźń dawną. Na męki pośle, a kat najtwardszym język rozplątuje. Do nadwiślańskiej wioski zjadą książęcy i kościelni siepacze. Zginie owo dzieciątko z krwi jego, nim się życiem nacieszyć zdąży.

Powstaje gwałtownie. Wyjście jest jeno jedno. Zełgać raz, a dobrze.

Nim nastał świt, w izbie czeladnej każdy, kto chciał, mógł zobaczyć, jak się dumny dotąd Burgundczyk pospolituje ze służbą. Pijany Siegfried bełkotliwie opowiada, jak swary jego z Ziemowitem na wyprawie zaogniły się, i w gniewie zadusił towarzysza. Bije się rycerz w piersi pokutnie. Łzy roni nad zgaszonym przedwcześnie młodym żywotem Ziemowita i własną duszą grzeszną. Wieszczy ponuro o karze straszliwej, o wyrokach sądu książęcego i sądu ostatecznego. Gdy kończy opowiadać, opowiada od początku, coraz bardziej bełkotliwie, bo miodów ni piwa sobie nie żałuje. Wreszcie porzyguje się rzęsiście i, pokierowany przez jakowąś duszę litościwą, na miękkich nogach opuszcza towarzystwo, co ściągnęło do czeladnej zwabione jego sromotą.

Chłód poranka lekko go orzeźwia. Przygląda się rycerz światłu wspinającemu się nieśmiało na nieboskłon, a potem toczy ku stajniom, przytrzymując się ściany z bali gliną uszczelnionych.

Konikowi swemu resztkę smakołyków dla niego po przyodziewie chowanych pod pysk podtyka, muska pieszczotliwie ciepły bok. Potem sięga po swą kulbakę wytartą, na ziemi ją ustawia. Wchodzi na nią i przez belkę przerzuca sznur.

Nim pętla zadzierzguje się do końca na jego szyi, twarz sinieje, a stopy kończą podrygiwać w powietrzu w obscenicznym tańcu, przed gasnącymi oczami Siegfrieda migają owe ślepie żółte, straszliwe, nieludzkie. Otwierają się usta, czarna jama najeżona sztyletami zębów. Wąskie, ciemne wargi dziwożony z trudem gną się do dźwięków człowieczej mowy.

*Jesteśmy jedno, rycerzu.*

W ostatniej chwili żywota musi przyznać jej rację.  
On też za nic nie pozwoliłby skrzywdzić własnego dziecka.

\*\*\*

– Jak to, powiesił się? – Książę Kaźmierz usta wydyma, sroży się, jakby gniew jego mógł sięgnąć Siegfrieda na tamtym świecie.

– Niestety... – Biskup Aaron nie kryje ubolewania. – Wygląda na to, że ubił druha za podszeptem Złego, i nie zniósł ciężaru przewiny. Zacnym i silnym wydawał się... a z jednego grzechu w inny, jeszcze poważniejszy uciekł.

– Znaczy?

– Niwy niebieskie nie na tych, co na własne życie targ- nęli się...

Kaźmierz macha lekceważąco ręką. Nieciekaw dziś jest teologicznych rozważań. Sprawę ma o wiele bardziej ważką, boć polityczną, i kraj do odbudowania po latach buntów i wojen.

– Cóż z Romanem i Lambertem uczynim?

– Obawiam się, dostojny panie, że do tego, by ich wynosić ponad lud prosty i możliwych jako świętych pasterzy, to oni jednak niezdatni. Więcej nam owi grzesznicy i wiarołomcy zaszkodzą, niż dopomogą.

Oblicze księcia chmurzy się jeszcze bardziej. Rodzimy święty, co tutejszą ziemię krwią zrosił, uświęciłby któreś z miast, ściągnął pielgrzymów, podniósł znaczenie...

– Co tedy radzisz? Losy bardziej święte, śmierć bardziej godną im dopisać?

– Zapomnieć. Z ksiąg wymazać i pamięci ludzkiej.



# Maciej Szymczak

## Wróżda

### PROLOG

Patrzył zafascynowany na głąz ociekający krwią. Strużki ciemnoczerwonej cieczy płynęły wydrążonym w kamieniu kanalikiem, wypełniając nieckę ofiarną u podstawy głązu. Kapłan podniosłym tonem recytował inwokacje do bogini. W dłoniach wciąż trzymał zakrwawiony sztylet, którym poderżnął gardło przeznaczonego na ofiarę jeńca. Wyblakłe wzory tatuaży drgały na policzkach żercy, trzepocząc niczym wzlatujące w powietrze motyle. Zanurzył palce w niecce, skrapiając krwią oblicze kniazia.

– Wrota Nawii stoją teraz przed tobą otworem! W świętym gaju znajdziesz odpowiedź. Umarli mogą teraz usłyszeć cię i dojrzeć twą postać. Ruszaj po odpowiedź, po przepowiednie dla ludu naszego!

Lestek wkroczył w ciemny bór, zostawiając za sobą zastygły w milczeniu tłum. Grube pnie drzew zdawały się sięgać nieboskłonu, który rozciągnął swój błękitny majestat na rozłożystych koronach prastarych dębów. Książ poruszał się niemal bezszelestnie, ze spuszczoną głową, okazując szacunek bogom i przodkom. Wkroczył do najświętszej strefy gaju, tam gdzie śmiertelnicy tylko w sprawach największej wagi winni się zjawiać. W błocie na skraju niedalekiego moczaru tarzał się ogromny dzik, przewracając się z boku na bok. Czerwone ślepia jarzyły się w wielkiej niczym u tura głowie, a kły połyskiwały srebrzystą poświatą. Dzik stanął na dwóch nogach niczym narowisty ogier, prezentując niewiarygodnych rozmiarów posturę. Parsknął dziko, wbijając krwiste spojrzenie w Lestka. Czysty nieboskłon przecięła błyskawica. Świetlisty piorun roziskrzył się ponad głowami wiernych. Chwilę potem nad koronami drzew przetoczył się potężny grzmot. Książ odczytał wiadomość, dostał odpowiedź od przodków, bogowie przemówili.

Lestek wyłonił się z lasu, spoglądając z zadowoleniem na kapłana Mokozy i starszyznę plemienia.

– Wojna! – rzekł wyraźnie podniecony. – Czas uderzać na chrześcijan!

Duszący kaszel wydobywał się ze ściśniętej gardzieli żercy. Nie mógł wypluć własnej krwi, która dławiała go od środka. Leżał na wznak, spoglądając na górującą nad nim sylwetkę rosnącego rycerza. Ciemnowłosa

wojownik drwił z niego, miażdżąc krtań butem z cielej skóry. Pożółkłe oczy starca naszły krwią, twarz zaczęła sinieć, zalewając oblicze śliwkowym kolorem. Najeźdźca przemawiał niezrozumiale do swych pachołków, nawołując do niszczenia świętego gaju Prowe.

Intruzi pojawili się nagle wraz ze wschodem słońca, wprawiając w osłupienie leciwego ofiarnika. Z dzikim krzykiem sforsowali ogrodzenie uroczyska i wkroczyli na ziemię poświęconą bogom. Żerca Myślidar nie zdążył zareagować, obcy byli szybcy i brutalni. W ruch poszły siekiery i topory. Knechci przystąpili do wyrębu prastarych, majestatycznych drzew. Pod wpływem gwałtownych uderzeń runął poświęcony Tryglawowi dąb, drzewo, które zamieszkiwali przodkowie. Na nic zdały się zawrota i błagalne prośby ofiarnika, profani byli nieustępliwi; po ugaszeniu świętego ognia przystąpili do bezczeszczenia drewnianych idoli. Posąg Prowe został strącony z piedestału i rytualnie wyszydzony przez biskupa misyjnego Arnolda. Towarzyszący mu bracia zakonni chłostali rzeźbę różgami, rzucając w jej stronę obelżywe oskarżenia. Zrozpaczony Myślidar chwycił w kościstą dłoń drewnianą pałkę i rzucił się na urągających posągowi zakonników. Na drodze stanął mu dowódca oddziału, barczysty i rosły niczym tur. Był szybki jak lis i silny jak niedźwiedź, bawił się z żercą niczym kot swą ofiarą, zadając mu liczne płytkie rany.

Zakrwawiony i upokorzony Myślidar otrzymał potężny cios obuchem topora w głowę. Strumień krwi wystrzelił w górę, opadając na kosmyki siwych włosów. Żerca zachwiał się i upadł na ziemię. Rycerz wpadł w amok, kopiąc leżącego ofiarnika. Przyduślił go stopą, naciskając z całych sił na gardło. Myślidar czuł, jak życie powoli z niego uchodzi, jak dusza przygotowuje się do astralnej wędrówki. Wszystko stawało się rozmazane i niewyraźne, a krzyki najeźdźców mniej słyszalne. Nagle rycerz zwolnił nacisk i dał umęczonym płucm chwilę wytchnienia. Żerca charknął przeraźliwie, spluwając krwią na swoją brodę. Złapał oddech, odzyskując świadomość. Spojrzał w górę, na ciemnowłosego, zakutego w zbroję rycerza. Na jego piersiach widniało godło rycerskie, przedstawiające stojącego na dwóch nogach lwa. Świergoczące, bełkotliwe oskarżenia wypływały z jego ust, wprost na posiniąte oblicze starca

– I gdzie są teraz twoi bogowie? Głupcze? To koniec waszego świata, waszych wierzeń, zbrukaliśmy wasze święte miejsce, a twoi bogowie są zbyt słabi, aby nam się przeciwstawić!

Myślidar odkaslnął boleśnie, strużka krwi popłynęła z kącika ust, spływając na kosmyki białych niczym kość słoniowa włosów. Uśmiechnął się kpiąco, marszcząc czoło z bólu. Przemówił językiem najeźdźców, wprawiając w osłupienie ro- słego rycerza:

– Wam tylko się wydaje, iż zwyciężyliście. Nie jesteście w stanie

zmienić naturalnego porządku rzeczy. To, że niszcycie każdy skrawek naszej ziemi, wypalacie łąki, wycinacie lasy, plugawicie chrztem rzeki oraz jeziora, nic nie zmieni. Czas zatoczy swój krąg na nowo, świat uleczy się z choroby, którą niesiecie. Okaleczony las znów zazieleni doliny, starzy bogowie zatryumfują, przywracając odwieczny porządek rzeczy. To, co tutaj czynicie, nie ma żadnego znaczenia, nie jesteście w stanie zmienić praw natury.

– Znasz nasz język? – rzekł rycerz, bawiąc się swoim wąsem – Jestem pod wrażeniem! Ale i tak nie unikniesz śmierci w męczarniach. To już koniec, bałwochwalco, ty i twój lud skończycie w piekle!

– Jakim piekle? – zaśmiał się cicho starzec. – Jaka śmierć? Tak jak wąż zrzuca swą skórę, tak dusza zmienia swoje ciało. Możesz mnie porąbać mieczem, szczątki porzucić na cztery strony świata i dać drapieżcom na pożarcie. Ja powrócę, odrodzę się ponownie na tym świecie. Nie jesteś w stanie unicestwić tego, co wieczne.

Rycerz zagryzł mściwie wargi, wyjął z pazuchy sztylet i zanurzył go w ciele żercy po samą rękojęść.

Kapłan skrzywił się z bólu, zaciskając mocno zęby. Wysyczał cichym, cierpiącym głosem, przez zakrwawione, napuchnięte usta:

– Odkąd najeżdżacie nasze ziemie i wprowadzacie wasz ład, nasz lud cierpi nieustannie. Nie znaleźliśmy głodu, nie znaleźliśmy podłości, byliśmy równi, a wy nas skłóciliście, wynosząc naszych kniaziów do godności książęcej. Wasz bóg, który miał czelność ogłosić się jedynym, przyniósł na te ziemie jeno śmierć i pożogę... – urwał, słabnąc z utraty krwi. Rycerz uśmiechnął się kpiąco, spluwając na konającego kapłana. Balansujący na granicy życia i śmierci ofiarnik zdołał wypowiedzieć swoje ostatnie słowa:

– Wszyscy zginiecie w wielkich męczarniach, wasze ziemie spłyną krwią, ogień i pożoga strawią miasta. Ty sam odbierzesz sobie życie, krwawa wróżda wypełni się, klnę się na bogów... – wystękał cicho stary kapłan, po czym wyzionął ducha. Graf uniósł ciężki topór w górę, ostrze zawisło złowieszczo nad głową kapłana.

– Sram na wasze klątwy! – krzyknął pogardliwie i zatopił żeleźce w czaszce żercy.

– Barbarzyńska dzicz! Wildness! – wrzasnął rozwścieczony rycerz, odganiając natrętne komary, zawzięcie kąsające spoconą, śliską skórę.

Pot lał się z niego strumieniami, a potworny upał utrudniał przemarsz. Cień rzucany przez rozłożyste świerki i buki wcale nie dawał wytchnienia. Było duszno i parno, a słońce zdawało się grzać coraz mocniej, na przekór wędrowcom, podążającym wzdłuż koryta Łaby. Graf ściągnął z siebie ciężką kolczugę, dając wytchnienie zgrzanemu ciału. Obrócił się, spoglądając na zgraję umorusanych mnichów w

podartych habitach. Ich łysiny połyskiwały w słońcu opalenizną w kolorze czerwieni, a mokre lica lepily się od kłających je insektów. Namolne muchy penetrowały nozdrza i uszy braciszków, a komary znaczyły bąblami coraz to większe połacie twarzy. Mimo to mnisi wykonywali swą misję żarliwie, taszcząc na barkach drewniany posąg o wzroście dwóch dorosłych mężczyzn i wadze co najmniej kilku. Szóstka duchownych szła zakrzaczonym traktem, uginając się pod ciężarem niesionej figury. Graf spojrział kąśliwie na towarzyszącego mu kapelana, w jego czarnych niczym węgiel oczach błysnęła pogarda.

– Pozwól moim ludziom dźwigać to coś. Zamęczysz tych gamoni!

– Nie – odmówił uprzejmie ojciec Arnold. – To zadanie dla sług bożych, musimy gorliwie wykonywać naszą misję. Będziemy wodzić bałwana po wsiach i miastach, aby pokazać ludowi niewiernemu, iż diabeł ten mocy nie ma. W tenże sposób zasiejemy w nich zwątpienie, przywracając dusze zbłąkane do owczarni Pana.

– Jak chcesz, klecho – rzucił pogardliwie rycerz, sięgając po blaszaną manierkę przypiętą do pasa. Zwilżył twarz pitą łapczywie wodą. – Wy macie swoje metody, my mamy swoje. Ja tam nosa w wasze sprawy nie wtykam. Ale do diaska, czemuż konia nie mogliśmy wziąć ze sobą? Łatwiej byłoby tę gru- bą belę przetransportować do Stargardu!

– Słowianie na pewno wykryliby naszą obecność. To diabelnie sprytny lud, gotowy ukryć swoich bożków przed naszymi toporami. W tej bezbożnej dziczy nigdy byśmy nie odnaleźli tych szkaradnych świadectw kultu diabła i nasza misja zostałaby skazana na niepowodzenie! Pamiętaj, panie, że uczestniczysz w zadaniu wyznaczonym przez samego papieża! Ogień i miecz to jedyna droga prowadząca ku zbawieniu dusz tych barbarzyńców! Musimy złamać ich szaleńczy opór, upokorzyć zatwardziały bałwochwalców. Dlatego powinniśmy działać z ukrycia, niszczenie miejsc kultu jest najważniejsze w ewangelizacji pogan.

Rycerz wzruszył obojętnie ramionami, dając do zrozumienia, iż nic go to nie obchodzi. Koniec końców, czeka go jeszcze wiele godzin mozolnej wędrówki, nim dotrą do pierwszej zamieszkannej wioski. Na wszelki wypadek przed Stargardem dołączy do nich drugi oddział. Wieśniacy wszak gotowi rzucić się na nich z tym, co mają akurat pod ręką. A nawet dziesięciu zaprawionych w boju siepaczy nic nie zdziała przeciw setce zdesperowanych bałwochwalców, choćby mieli przeważać wśród nich starcy i dzieci.

Graf Henryk zagadnął kapelana:

– Arnoldzie, słyszałem, że w prowincji ostatnio niespokojnie, podobnoż Słowianie organizują powstanie. Myślisz, że nasze działania zduszą bunt w zarodku? A co, jeśli spowodują wściekły odwet? Czy wy, mędrkujący za murami klasztorów, wzięliście to pod rozwagę?

Kapelan zmarszczył czoło, jakby myśląc intensywniej. Odrzekł uspokajającym tonem:

– Jesteśmy tego pewni, Henryku. Stąd zaplanowane ataki na ośrodki ich kultu, im więcej ich zniszczymy, tym łatwiej będzie nam ich podporządkować. To znaczy wam ściągać daninę, a nam pozyskać dusze dla chwały Pana.

Czarnowłosa rycerz uśmiechnął się kpiąco, gładząc bujny wąs. Spojrzał na kapelana. Niski grubasek z rudą, włosistą aureolą okalającą stożkowatą łysinę. Piegowata skóra nosiła ślady opalenizny, najwyraźniej ojczulek źle znosił letni skwar.

– Nieźle was tam karmią – zauważył Henryk. – Mimo że przypominacie kreatury z piekła rodem, to poszerzyliście teren marchii swą misyjną działalnością, macie łeb na karku, to muszę wam przyznać!

– Dziękuję, panie – odparł mnich kurtuazyjnie. – Jednak, jak szpiedzy donoszą, coś się zaczyna dziać, ktoś nakłania do buntu tych niewiernych Słowian. Powiadają, że Mojmir zwany Ślepym powrócił, podobno mobilizuje oddziały pogan.

– Mojmir Ślepy? – zamyślił się graf głęboko. – A tak! To on sprzeciwił się ufundowaniu kościoła w Stargardzie! Zebrał buntowników i ruszył na nasz oddział. Byłem tam przy tłumieniu buntu. Przy pomocy księcia Przybysława zdołaliśmy opanować sytuację, powywieszaliśmy pogan jak psy, a Mojmir został oślepiiony i wygnany w dzikie knieje. On był kimś w rodzaju kapłana, czarownika, prawda?

– Żercą był – wyjaśnił rudzielec. – Miejscowi nazywają ich żercami, to kapłani, którzy kontaktują się z bogami. Niebezpieczni ludzie, według instrukcji otrzymanych z Magdeburga należy ich wszystkich co do nogi wybić. Bez nich i bez wiedzy, którą przekazują, pamięć o biesach i ich obrzędach niechybnie zginie.

– Myślisz, że ten Mojmir mógł przetrwać, wrócić?

– Nie, to niemożliwe – odparł uspokajająco Arnold. – Nikt by nie przeżył w tej dzicy, to pewnie jakiś naśladowca, może uczeń tego czarnoksiężnika. Ale nie martw się, gdy wywlecemy tę drewnianą kukłę na rynek w Stargardzie – skinął głową na idola niesionego przez mnichów – to odechce im się buntów, wierz mi, Henryku.

Rycerz nic nie odpowiedział, chwycił bukłak i opróżnił jego zawartość. Zarządził chwilę postoju, każąc wszystkim napełnić pojemniki na wodę w rzece. Knechci odetchnęli z aprobatą, ściągając z siebie ciężkie kolczugi. Strudzeni bracia zakonnicy ostatkiem siły odstawili ciężki posąg. Posiniaczone barki z trudem wytrzymały obciążenie niesionym idolem. Masowali się po obolałych krzyżach, stękając z bólu.

Henryk zbliżył się do koryta rzeki, spoglądając w lśniąca, przejrzystą wodę. Wartki nurt unosił na jej powierzchni połamane gałęzie drzew,

meandrując wzdłuż zalesionego brzegu. Szum rzeki działał kojąco na zmysły. Henryk zwilżył twarz, wcierając chłodną ciecz w spieczoną skórę. W połyskującym zwierciadle wody nagle ujrzał czyjaś sylwetkę. Zdeformowana twarz starca z dwiema szpecącymi bliznami zamiast oczu migotała w promieniach słońca, marszcząc się w przezroczyściej tafli Łaby. Henryk poczuł w sercu głęboki niepokój, słowa przepowiedni konającego żercy rozbrzmiały w jego głowie.

– Zły znak – wyszeptał, nie zważając na chlapiących się wodą, rozweselonych żołnierzy.

Wyprostował się, dając rozkaz do wymarszu. Było już jednak za późno.

Nad posągiem Prowe zawisła ciemna chmara owadów. Gęstniała z minuty na minutę, przybierając olbrzymie rozmiary. Jakimś cudem armia pszczół, os i szerszeni zebrała się w jedną zwartą kupę i zaczęła atakować odpoczywających w cieniu idola zakonników. Przeraźliwy krzyk wzniósł się w niebiosa, braciszkanie bronili się zawzięcie przed skrzydlatymi agresorami ale ich walka skazana była na przegraną. Zdumiony Henryk stał niczym słup soli, wpatrując się w tę iście biblijną scenę. Złowrogi szelest trzepoczących skrzydełek rozbrzmiewał nad głowami biegnących w panice zakonników. Rozwścieczona armia insektów była niczym dręcząca faraona plaga egipska. Owady nie ustępowały, atakując zawzięcie grupkę duchownych. Twarze mnichów puchły jak balony pod wpływem ukąszeń, zmieniając ich głowy w napuchnięte gule. Henryk oprzytomniał w końcu, użądłony w policzek przez namolną pszczołę. Bolesny skurcz wykrzywił jego oblicze. Piekielna armia insektów zaatakowała grafa i przyboczny oddział rycerzy.

– Do rzeki! – wrzasnął, wskakując w wartki nurt Łaby.

Siepacze rzucili się za nim, kryjąc swoje pokąsane sylwetki pod wodą. Ledwo żywi braciszkanie cudem oswobodzili się z gęstej chmury obsiadających ich pszczół i ostatkiem sił rzucili się w kierunku zbawczego nurtu rzeki. Tylko biskup Arnold pozostał na brzegu, nie odstępując na krok od posągu. Stał pokornie, z dłońmi wyciągniętymi w górę. Jego sylwetka ginęła w tłumie obsiadających go pszczół, os i szerszeni. Mimo to kapłan pozostawał niewzruszony, modląc się żarliwie do Boga. Wypowiadał na głos łacińskie sekwencje egzorcyzmów, pogrążony w pobożnym transie. Zniekształcona przez jad pszczeli twarz zaokrągliła się jeszcze bardziej, przybierając kolor gnijącej czerwieni. Kleiste gluty wymieszane z krwią ciekły mu z nosa, a biała piana wypływała z ust wprost na brązowy ha-bit. Po chwili armia owadów odpuściła, odlatując tak nagle, jak się pojawiła. Biskup chwiały się na nogach ledwo przytomny, dziękując świętemu Michałowi za cudowną interwencję. Henryk wypłynął na powierzchnię, rozglądając

się nieufnie na wszystkie strony. Na widok zdeformowanej twarzy kapłana zrobiło mu się niedobrze. Wypełznął na brzeg, podbiegł do mdlejącego kapelana. Arnold osunął się w ramiona grafa, wyrzuając na niego flegmę wymieszaną ze śliną.

– Do diabła! Co tu się stało?!

Biskup bełkotał coś niezrozumiale. Jad pszczeli, którego jego organizm miał w nadmiarze, sączył się porami w skórze.

– Diabelska magia! Klątwa czarodzieja! – postękiwali braciszczowie, łagodząc ból pokąsanej skóry w chłodnym nurcie rzeki.

– Szybko! Wyłazić z wody! – warknął dowódca na towarzyszy broni, którzy wyraźnie ociągali się z opuszczeniem bezpiecznej kryjówki.

Rycerze niechętnie wypelzli na piaszczysty brzeg, na którym przed chwilą rozpełtało się prawdziwe piekło. Rozglądali się nerwowo na wszystkie strony, chcąc się upewnić, że armia skrzydlatych drapieżców odleciała. Braciszczowie, zawodząc głośno, wynurzyli się z rzeki i stanęli obok leżącego posągu.

– Pomożecie im to wlec – rozkazał graf knechtom. – W pierwszej lepszej wiosce, spalimy to paskudztwo i wracamy do Hamburga.

Rycerze odetchnęli z ulgą, nawet gorliwi w wierze mnisi nie protestowali. To była ciężka próba dla ich wiary, zbyt ciężka. Graf Henryk dał znak do kontynuowania marszu, gdy nagle ziemia zaczęła dudnić. Narastający hałas dobiegał z głębi lasu i zdawał się kierować w ich stronę. Łomot bębnowy mieszał się z obezwładniającym dźwiękiem dudniących rogów i piszczących kozlich dud. Apokaliptyczne dźwięki płoszyły zwierzynę leśną i osiadłe na drzewach ptactwo. Coś potężnego zbliżało się ku nim, burząc harmonię otaczającej ich krainy. Cały las zdawał się kołysać, ustępując potężnej sile, która się przez niego przedzierała. Graf zacisnął dłoń na rękojeści miecza, uważnie wsłuchując się w narastający rumor. Dał znak swym przybocznym, aby zwarli szyk bojowy.

– Do broni! – wrzasnął, dobywając miecza. – A wy, czarcie pomioty, co wyrabiacie?! – krzyknął w stronę siłujących się z posągiem mnichów. – Ruszać, kurwa wasza mać! Zostawcie tego czorta w spokoju!

Potężny ryk wydobył się z setek gardeł niewidocznych napastników. Zaskoczony graf upuścił oręż, zatykając uszy. Ból był przeszywający. Nieludzki skowyt otaczał ich zewsząd. Po chwili z lasu na wąską polanę wybiegło mrowie wojów w pełnym rynsztunku bojowym. Muskularne ciała wojowników połyskiwały w słońcu, światło podkreślało tatuaże, którymi zdobiona była ich skóra. Długowłosi, brodaci mężczyźni z krzykiem furii na ustach wyłaniali się z gęstwiny leśnej, dzierżąc w mocarnych dłoniach włócznie i topory. Graf instynktownie zwrócił się ku rzece, ale na jej drugim brzegu zebrał się już spory oddział

uzbrojonych po zęby Słowian. Ucieczka nie miała najmniejszego sensu. Pozostało tylko zachować zimną krew i czekać na dalszy rozwój wypadków. Zastępy piechurów coraz śmielej podchodziły do trzęsących się ze strachu saskich żołnierzy. Ich morale upadło na widok wytatuowanych, półnagich wojaków, złaknionych niemieckiej krwi. Uderzali orężem w kolorowe tarcze, wywołując jeszcze większe zamieszanie w szeregach grafa Henryka.

– Lutycy – wyszeptał cicho nazwę szatańskiego plemienia, zaprzysięgłych wrogów cesarza. Ci arcyroganie pałali wyjątkową nienawiścią do imienia Chrystusowego.

Arnold zaczął się głośno modlić, prowokując wściekłość urągających im pogan. Zdezorientowany Henryk próbował zapanować nad swoimi ludźmi, ale ci byli tak przerażeni widokiem wiwatujących oddziałów nieprzyjaciela, że w ogóle nie reagowali na komendy swojego dowódcy. Ubranych w skórzane kolczugi agresorów wciąż przybywało, niektórzy z nich byli lepiej uzbrojeni, okuci w pancerze, w pełnym rynsztunku bojowym. Na ich głowach połyskiwały lśniące szyszaki z końskim włosiem. Henryk wprawnym okiem weterana ocenił siły wroga na co najmniej cztery setki, a z lasu wyłaniały się kolejne oddziały dzierzące stanice z rodowymi herbami. Po obu stronach Łaby zebrała się prawdziwa armia złaknionych rzezi Słowian.

Z jej szeregów wyłoniło się czterech wojów w paradnych strojach. Na szerokiej, okrągłej tarczy nieśli połączony posąg bogini. Drewniana figura dzierżyła w prawej dłoni miecz, a w lewej przytulony do piersi róg obfitości. U jej stóp kłębiły się węże, a nad włosami unosiły się ptaki. Henryk słyszał wieści o straszliwym posągu bogini, który zawsze towarzyszył barbarzyńcom w boju. Ponoć miał magiczną moc, wrogom odbierał męstwo, mieszał szyki atakujących, przynosząc szczęście Lutykom. Za statuą kroczyli kapłani w przepasanych czerwoną nicią śnieżnobiałych koszulach i podkasanych w kroku długich spodniach. Wymachiwali w powietrzu drewnianymi kosturami, miotając przekleństwa w stronę wędrowców. Towarzyszyła im stara wiedźma w długiej lnianej koszuli, z wiankiem zeschniętych kwiatów na włosach. W prawicy swej trzymała kość ludzką przyozdobioną runicznymi znakami. Celowała nią w grafa, wypowiadając na głos zaklęcie śmierci. W końcu wrzawa ucichła, a na czele tłumu stanął przygarbiony starzec.

Miał zdeformowaną twarz i dwie brzydko zrosnięte rany w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. Cała jego twarz była potwornie pomarszczona, a ciało powykręcane i żylaste niczym obumarły korzeń drzewa. Poruszał się z trudem, kuśtykając na jedną nogę. Brat Arnold rozpoznał w niedołężnym starcu Mojmira, tego samego, który dziesięć lat temu, wypędzony ze Stargardu, powinien był niechybnie zginąć, stając się pokarmem dla dzikich zwierząt. Widok kalekiego, ale



dumnego żercy zbił biskupa z tropu. Zaprzestał modlitwy, czując na sobie zaciekawione spojrzenia otaczających Mojmira kapłanów bogini. Nie mógł w to wszystko uwierzyć. Oślepiiony czarownik niczym zjawa stanął na czele diabelskich hord. To nie mogła być prawda. To nie mógł być on, to niemożliwe...

Mojmir wystąpił przed szereg, badając węchem otoczenie.

– Sasi, chrześcijanie! – stwierdził z obrzydzeniem. – Co was, nieszczęśni głupcy, sprowadza w te rejony?!

Odpowiedziała mu cisza, nikt nie śmiał się odezwać choć- by jednym słowem.

– Ruszamy odbić Stargad z rąk Sasów, a potem spalić Hamburg! – przemówił żerca niezwykle hardym głosem; tłum wojowników zawtórował mu z aprobatą. – Nasi przyjaciele Obodryci łupią już zapewne Lubekę, połączymy nasze siły, zamieniając cesarstwo w płonące zgliszcza! Słowianie nie będą więcej uginać karków, nastał zły czas dla chrześcijan! Zginiecie lub oddacie się w niewolę!

Graf Henryk zacisnął palce na główicy miecza, przygotowując się na śmierć. Jakimś cudem Słowianie nie dostrzegli jeszcze sprofanowanego idola, leżącego nad brzegiem rzeki. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, iż jest to tylko kwestia czasu.

Tłum rozstąpił się, przepuszczając jeźdźca na karym koniu. Dumna postać siedziała wyprostowana na wierzchowcu, gniewnie przyglądając się zgrai pokąsanych mnichów. Spod krzaczastych brwi spoglądały szarozielone oczy, które zdawały się strzelać piorunami. Bujny wąs opadał na posiekaną bliznami brodę. Lewa strona głowy była całkowicie wygolona, eksponując spiralne wzory tatuaży ciągnących się od nasady czaszki po wystające kości policzkowe. Z czubka głowy opadał na prawą stronę twarzy bujny pukiel włosów sięgający przedramienia. Swą posturą mężczyzna wzbudzał strach i poszanowanie, wyglądał na doświadczonego w bojach zabijakę, z którym wolał nikt nie zadzierać. Jeździec dostrzegł leżącego w trawie zbezczeszczonego idola i cały zagotował się od gniewu. Szarpnął za lejce, potężny wierzchowiec stanął dęba, wierzagając kopytami.

– Hańba! – wydarł się, wywołując popłoch w szeregach Henryka.

Uderzył strzemionami w bok ogiera, zmuszając zwierzę do galopu. Wjechał wprost w grupę mnichów, tratując kapelana. Wierzchowiec wierzgał, następując na walczącego o życie Arnolda. Potężne kopyta miażdżyły jego klatkę piersiową, łamiąc wszystkie żebra po kolei. Ogier parskął dziko, rozgniatając korpus walczącej o życie ofiary. Twarz kapelana poczerwieniała niczym poddane obróbce żelazo, z jego nosa i ust wystrzeliła fontanna krwi. Wnętrznosci wypłynęły z rozwartych ust. Po chwili Arnold dławił się już własnymi flakami, które wyrzygiwał na zgniecioną klatkę piersiową. Henryk odwrócił głowę, z trudem

powstrzymując się od mdłości. Nawet dla doświadczonego dowódcy był to widok nie do zniesienia. Koń następował na pogruchotane ciało Arnolda, które coraz bardziej przypominało rozdeptaną glistę. Dławiący smród uniósł się w powietrzu, a widok parujących biskupich wnętrzności spa-raliżował całkowicie zakonników.

– Sława, Lestek! Chrobry mąż! Chrobry Książ! – wykrzykiwali pochlebstwa wojownicy, sycąc swe oczy obrazem kaźni. Jeździec wydał komendę, krzycząc w stronę rozochoczonego tłumu wojów. Z szeregu wybiegli ochotnicy, z dziką furią rzucając się na skamieniałych ze strachu mnichów. Wyłapywali ich po kolei, szydząc z ich niezgrabnych, pulchnych ciał.

– Łyse wieprze! Tłuste larwy! – nawoływali podchmieleni wojownicy, okładając grubymi kijami przygarbione karki błagających o litość braciszków.

Najbardziej pulchnego z zakonników skrępowali i ostrymi nożami pocięli habit na strzępy. Na jego torsie wyłobili krwawy znak krzyża, po czym otwarli jamę brzuszną, wywlekając na zewnątrz klejące się, oślizgłe flaki. Z cuchnących jelit zrobili pętlę, którą zawinęli wokół szyi mnicha. Drugi koniec trzewi posłużył za stryczek, na którym powieszono nieszczęśnika. Zwiisał na gałęzi drzewa rozplatanay niczym wyfiletowana ryba, trzęsąc się w przedśmiertnych konwulsjach. Pozostałych mnichów wyłapywano ku powszechnej radości wiwatującego wojska. Okładano ich na zmianę żeliwami toporów, szydząc z tonsur okalających łyse głowy. W ruch poszły siekiery. Oderżnięte koniczyny fruwały w powietrzu, zapowiadając przyszłą ucztę dla leśnych padlinożerców. Okaleczone ciała mnichów układano na posągu, po czym obuchem siekiery roztrzaskiwano im głowy. Galaretowata struktura mózgu zmieszana z odłamkami kości spływała z idola na ukwieconą łąkę. Zhańbiony posąg Prowe sycił się teraz krwią swych profanów.

Henryk obserwował rzeź duchownych kątem oka, wciąż wypatrując sposobu ucieczki. Szanse miał jednak niewielkie. Miał nadzieję, że nie zabraknie mu odwagi w chwili śmierci, kiedy to Słowianie będą zdzierać z niego żywcem skórę. Nie chciał kwilić i błagać o zachowanie żywota, to hańba dla stanu rycerskiego. Wiedział także, iż opór na nic się zda, co najwyżej przysporzy im więcej cierpień w ostatnich chwilach życia. Lutycy potrafili obchodzić się ze swoimi ofiarami nie mniej okrutnie niż Sasi; jedyne, na co mógł liczyć to szybka i nagła śmierć.

Widział zwątpienie w oczach swych podwładnych, najwidoczniej pogodzili się już z losem. Wyglądali koszmarnie, niczym stado umorusanych giermków, budząc tylko śmiech Słowian. Co za upokorzenie!

Graf Henryk wystąpił naprzód, zaskakując szykującego się do ataku

nieprzyjaciela:

– Wiem, iż niektórzy z was znają nasz język! – próbował przekrzyczeć uderzających toporami w tarcze wojów. – Jesteście ludźmi honoru, tak jak my! Nie odpowiadamy za to świętokradztwo, to było zadanie tych gamoni, których usiekliście! – Wskazał palcem na stos zmasakrowanych, okaleczonych ciał. – My tylko eskortowaliśmy ich do Stargardu, przysięgam na Boga, że nie mieliśmy nic wspólnego z tym bluźnierstwem!

– Nie wierzę ci! – odezwał się w języku Sasów Mojmir. Wrzawa ucichła. – Zapłacicie za wszystkie krzywdy, jakie wyrządziliście nam i naszym bogom. Krwawej wróżdy nastał czas, nie zostanie kamień na kamieniu po waszych kościołach, drogo odpłacicie za swe zbrodnie!

– Zatem niechaj rozstrzygnie o naszej winie sąd boży – zaproponował Henryk. – Niechaj bóg rozsądzi!

Mojmir pokręcił przecząco głową, spluwając pogardliwie.

– Za późno na sądy boże, czeka was jeno śmierć, a wasze ścierwa użyźnią ziemię!

– Czyżby nie było wśród was żadnego dzielnego męża, który mógłby stanąć do boju z żołnierzem Chrystusa?! – wykrzyknął desperacko Henryk, zwracając się do jeźdźca ubrozonego krwią zasieczonych zakonników.

Lestek zmrużył oczy, badawczo przyglądając się posturze czarnowłosego krzyżowca.

– Kto stanie do pojedynku z chrześcijaninem?! – zwrócił się do wojowników.

Ochotnicy przekrzykiwali się nawzajem, pragnąc wziąć udział w chwalebnej potyczce. Mojmir stęknął niezadowolony.

– Zatem niech bogowie osądzą! – zawyrokował żerca; w jego głosie pobrzmiwał żal.

Z tłumu wyłonił się wybraniec, kłaniając się słońcu i posągowi patronującej bitwie bogini. Niski szatyn z długą brodą zaplecioną w warkocz pozdrowił wszystkich znanych sobie bogów. Na spalonym przez słońce czole widniał wycięty ostrzem znak ukośnego krzyża, symbol wojów Radegata, piechoty o złej wśród Sasów sławie. Ta doborowa słowiańska jednostka dziesiątkowała szeregi niemieckiego rycerstwa, siejąc wokół chaos i zniszczenie. Henryk wiedział, że losy cesarstwa spoczywają teraz na jego barkach. Musi pokonać barbarzyńcę i jak najszybciej dotrzeć do granic Rzeszy, zanim zrobią to Słowianie. Stargard i tak już jest spisany na straty, ale Hamburg da się jeszcze ocalić. Słowianin przebierał w orężach, wypróbowując różne rodzaje białej broni. W końcu wybrał lekką włócznię z długim, ostrym grotem. Henryk stanął do pojedynku ze swym mieczem, wykutym przez

frankijskich mistrzów kowalskich. Słowianin był znacznie niższy od niego, ale za to bardzo szybki i krzepki w walce. Kręcił włócznią młynka ponad głową, popisując się przed towarzyszami broni. Henryk zignorował go, przygotowując się do modlitwy.

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie, aghrrr! – Grot włóczni zanurzył się w jego barku, podcinając więzadła mięśniowe.

Atak był błyskawiczny. Graf wrzasnął rozwścieczony i zamachnął się mieczem, który świsnął tuż obok ucha zaskoczonego przeciwnika. Ten nie pozostawał mu dłużny, pchnął drzewcem w tors grafa, ale ten w ostatnim momencie zdołał sparować pchnięcie. Wojownik powtórzył ten sam manewr, tym razem wbijając grot między żebra rycerza. Włócznia wy- żłobiła głęboką ranę w ciele Henryka, o włos omijając jego narządy wewnętrzne. Na żółty piach połała się gęsta struga krwi. Oszałamiający ból przejął kontrolę nad rycerzem, w oczach mu pociemniało, upadł na jedno kolano, przyciskając

dłoń do krwawiącej rany. Słowianin tryumfował, zlizując krew z grotu włóczni. Przechwalał się, ukazując oręż swym pobratymcom. Henryk zaczął słabnąć; czuł, że kolejne pchnięcie zakończy pojedynek i położy go trupem. Musiał zebrać w sobie wszystkie siły i zaatakować czym prędzej. To jego jedyna szansa. Krzyknął, zaciskając zęby z bólu. Na szczęście jego członki nie odmówiły mu posłuszeństwa. Zerwał się i z dziką furią popędził ku zbierającemu oklaski przeciwnikowi. Ostrze powędrowało na spotkanie z drzewcem, łamiąc włócznię na pół. Kolejne cięcie pozbawiło zaskoczonego wojaka dłoni. Miecz zakręcił młynek w powietrzu, strącając głowę z umięsnio- nego karku.

Słowianin padł na ziemię, ze zdekapitowanego korpusu wystrzeliła gęsta fontanna krwi. W szeregach armii pogan zapanowało wielkie poruszenie. Zniekształcona twarz Mojmira przybrała ponury wyraz, jeździec patrzył z niedowierzaniem na broczące posoką ciało kompana. Henryk chwiał się na nogach, z trudem utrzymując miecz w dłoni.

– CISZAAAA! – wrzasnął dowódca na karym koniu.

Gwar ustał, wszyscy w napięciu oczekiwali na roz- wój wydarzeń.

– Idź, jesteś wolny – rzekł stary żerca głosem pełnym smutku. – Masz czas do zmierzchu! Po tym jak zajdzie słońce kilku wojowników ruszy za tobą w pościg. Nie ujdzie ci ta zbrodnia na sucho, chrześcijaninie! – Gniew zmieszany ze smutkiem wybrzmiał w głosie Mojmira.

– Odejdiesz sam! Twoi ludzie zostaną! Zapłacą za zniszczenie gaju Prowe! – zarządził dowódca, spoglądający nienawistnie z wysokości wierzchowca. Henryk ruszył przed siebie, nie oglądając się na swoich towarzyszy broni. Wycieńczony walką i osłabiony od utraty krwi nie przejmował się teraz losem swoich podwładnych. Gdy dotarł na wzgórze i wkroczył do boru, usłyszał wrzask bitewny i szczęk stali. Jego ludzie darli się wniebogłosy, poddani torturom z rąk słowiań- skich

wojowników.

Obudził się z krzykiem na ustach. Wszechogarniająca ciemność wzbudziła w nim trwogę, mrok przesłaniał świat, kryjąc w sobie bezbożne cienie. Henryk wymachiwał w powietrzu rękoma, tocząc pojedynek z niewidzialnym wrogiem. Dostał ataku duszności, dławiąc się własnym strachem. Stał na nogi, uderzając boleśnie czołem o gałąź drzewa. Przeturlał się po ziemi, unikając ciosu nieistniejącego przeciwnika. Charczał, waląc na oślep pięściami. Minęła dłuższa chwila, nim zdał sobie sprawę, że nie walczy już z dziarskim wojem, a pojedynek na śmierć i życie zakończył się jego wygraną. Nie był jednak bezpieczny, jego egzystencja wciąż była zagrożona.

– *Oręż!* – Myśl ta rozgorzała w jego umyśle, przyprawiając go o drżenie serca.

Pełen obaw czołgał się, brodząc wśród runa leśnego w poszukiwaniu zagubionego miecza. Odetchnął z ulgą, wymacawszy znajomy kształt, zakopany pod sosnowym igliwem. Poczul szorstką skórę rękojęści, gładząc palcami po wysłużonej klindze rodowej pamiątki. Miecz dodał mu odwagi i przywrócił jasność myślenia. Był zwierzyną, a myśliwi podążali jego tropem. Wróg czai się gdzieś w ciemnościach, złąkniony jego krwi. Przykucnął i tkwił w bezruchu, starając się zachowywać możliwie jak najciszej. Pełen skupienia nasłuchiwał dźwięków niosących się przez las. Żywioł ten od zawsze jawił mu się jako obcy i wrogi człekowi świat. Krył w sobie przerażające tajemnice, zagadki, od których aż włos się na skórze jeżył. Henryk wiedział, że nie powinien był odpoczywać, ale zasnął od utraty krwi i zemdłał, przedzierając się przez knieje. Miał dużo szczęścia, gdyż szukający go zwiadowcy jakimś cudem jeszcze go nie wytropili, choć drogę uciekającego znaczył krwawy ślad.

Dotknął klutej rany, wyżłobionej w prawym boku. Wciąż bolała jak diabli, ale zaimprovizowany opatrunek z podartej koszuli zdołał zahamować krwawienie. Henryk uniósł głowę, skronie paliły go żywym ogniem, czoło zdawało się ciężkie, zupełnie jakby pod skórą znajdowały się ołowiane odważniki. Miał zapewne gorączkę, może wdało się zakażenie, nie ma zatem dużo czasu. Musi jak najprędzej dostać się na trakt prowadzący do Hamburga, może trafi na jakąś karawanę bądź oddział rycerski.

Spojrzał w niebo, starając się odczytać z gwiazd właściwy kierunek.

Nagły trzask łamanej gałęzi poderwał go na nogi. Ruszył przed siebie wzdłuż zdradliwych, stromych pagórków. Teren był trudny, o bardzo zróżnicowanej rzeźbie, rycerz odczuł to na własnych nogach. Wciąż miał niepokojące wrażenie, że ktoś za nim podąża. Ponowny trzask łamanych gałęzi wzbudził w nim najwyższą czujność. Przypomniał sobie wszystkie opowieści swojego dziadka, który stacjonował za młodu w garnizonie na słowiańszczyźnie. Opowiadał on o licznych plugawych

stworach kryjących się pod osłoną nocy w kraju niewiernych pogan. Ich świat pełen był plugastw, prowadzących na manowce leśnych czortów, przerażających leśnych bab, które wysysały krew z aort niemowlaków. Ale najgorsze były upiory, potępione dusze błakające się nocami po bezludnych krainach. Samym swym spojrzeniem mogły zwalić rosłego mężczyznę z nóg. Ich zatrute kły były przesiąknięte jadem, a rany po ugryzieniach w ogóle się nie goiły, powodując martwicę tkanek. Dziadek opowiadał mu kiedyś, jak w kraju Stodoran natknął się na takiego stwora i cudem uszedł żywy, prosząc o wybawienie świętego Jakuba. Być może las nadal jest pełen potworności, które tylko czekają na jego fałszywy krok. Przecież to ziemia dziewicza, nieochrzczona, kto wie, jakie stwory czyhają w ciemności na życie chrześcijanina? Oręż na nic zda się w walce z upiorami.

Nagle usłyszał cichy szmer rozmów, który niósł się z wiatrem z oddalonego nieopodal wzgórza. Po chwili graf ujrzał tajemnicze światła rozjaśniające pomrokę puszczy. *Zjawy, duchy!* pomyślał przerażony, zapominając o ścigających go Lutykach. Wpatrywał się jak zaczarowany w ogniste kule, które zdawały się tańczyć, rozświetlając mrok nocy. Płomienne kształty rosły w jego oczach, wyraźnie zmierzając w jego kierunku. Henryk wyteżył wzrok, wlepiając spojrzenie w niepokojące zjawisko. To nie duchy ani zjawy, tylko znacznie groźniejsze istoty.

Tajemnicze ogniki okazały się pochodniami, niesionymi przez ścigający go oddział Słowian. Oprzytomniał, zmuszając obolałe ciało do działania. Skulony niczym pies ruszył przed siebie, starając się zachowywać możliwie jak najciszej. W oddali majaczyła rozświetlona przez księżyc ciemna plama, najpewniej graniczące z krajem Sasów jezioro. Graf skradał się powoli, modląc się w duchu, aby zdążyć do akwenu, nim dosięgną go strzały Słowian. Pochodnie zbliżały się do niego w zastraszającym tempie.

Henryk nie miał złudzeń co do swojego losu, jeśli trafi w ręce pogan. Z pewnością poddadzą go wymyślnym torturom, czeka go nie lepszy los niż zakonników usieczonych jak psy. Stał na krawędzi wysokiego brzegu, w dole połyskiwały drgające fale jeziora. Henryk postąpił naprzód, ale potknął się o wystający korzeń drzewa. Przekoziółkował, turlając się w dół. Wpadł w kępę trzin porastających jezioro. Co gorsza zgubił podczas upadku miecz, teraz był zupełnie bezbronny. Stojący na szczycie klifu myśliwi zdołali go wypatrzeć. Zawyli dziko, przygotowując broń. Henryk przedarł się przez szuwały i zanurkował w chłodnej toni jeziora. Z góry posypał się w jego stronę grad włóczni i kamieni wystrzelianych z procy. Pociski lądowały w wodzie, niemal ocierając się o grzbiet pływającego rycerza. Na szczęście Słowianie nie użyli bardziej precyzyjnych łuków, widocznie nie chcieli marnować przeznaczonych na bitwę zatrutych strzał. Z oddali dolatywały obelgi i najbardziej

wymyślne przekleństwa – świadomi swojej porażki zwiadowcy klęli ile sił w płucach. Henryk płynął, widząc majaczący zarośnięty trawą drugi brzeg jeziora. Stamtąd było już blisko do traktu prowadzącego do Hamburga. Zimna woda kołała bolącą ranę. Pełen nadziei graf wypełznął na brzeg i ruszył czym prędzej w stronę drogi.

Oprzytomniał, spoglądając w niebo. Czysty i błękitny nieboskłon wydawał się nierealnie piękny. Boski raj musiał być gdzieś tam w górze, ponad światem, który niszczy nieustanne wojny i gwałty. Światem, który niesie ból wszystkim narodom, chrześcijanom i poganom, Sasom i Słowianom. Na tym łożu padole każdy jest równy wobec śmierci i cierpienia. Henryk odwrócił wzrok od palącego słońca, które spiekało jego skórę, tworząc na jej powierzchni wypukłe pęcherze. Było duszno i parno. Czuł się, jakby ktoś polewał go płynnym żarem, ciekącym wprost z rozgrzanego nieboskłonu.

Leżał na wznak przykryty białym sukniem. Uświadomił sobie, że jakimś cudem znalazł się na tyłach drewnianego wozu, w którym przewożone są towary. Ostatnie, co pamiętał, to mroczne odmęty jeziora, które przemierzał, umykając przed procami i włóczykami Lutyków. Jak to możliwe, że się tutaj znalazł? To było zbyt piękne aby mogło być prawdziwe...

– Patrzaj! Obudził się – odezwał się woźnica do swego kompana, popijając wino z glinianego naczynia. – Obok ciebie, panie, leży kosz, jest tam trochę jadła, posil się! – *Rodzimy język*. Graf niemal popłakał się ze szczęścia, chciał coś odpowiedzieć, podziękować swoim wybawcom, ale całkowicie zaniemógł. Nie miał siły na rozmowę, musiał zachować ostatki energii, aby zawiadomić wartowników broniących mury Hamburga o nadciągającym zagrożeniu. Obok niego leżał wiklinowy kosz, po brzegi wypełniony smakowitymi owocami. Sięgnął dłonią, chwycił dorodne jabłko. Wbił zęby w miękką, aksamitną skórę owocu. Sok spływał mu po brodzie, a Henryk rozkoszował się każdym kęsem. Nigdy nie doceniał smaku jabłek, teraz wprost je ubóstwiał. Zjadł kolejne owoce, zaspokajając dręczący go głód.

– Dokąd zmierzacie? – zapytał głosem tak słabym, że niemal niesłyszalnym.

– Do Hamburga, panie. Wieziemy owoce na miejski targ.

– Jak wy? Jak ja się tutaj znalazłem? – zapytał, chwytając się za głowę. Przed oczyma mu pociemniało. Wciąż był słaby, naprędcie opatrzona rana przypominała o sobie co chwila, promieniejąc nieznośnym kluciem w boku.

– Leżałeś, panie, na drodze. Mój brat Manfred dostrzegł cię pierwszy. Poznaliśmy cię po godle rycerskim.

– Dziękuję, dobry człowieku. Jak się nazywasz?

– Gunter, panie.

– Zostaniecie sownie wynagrodzeni, gdy dotrzemy na miejsce. A teraz wybaczcie mi, proszę, jestem zbyt słaby... Muszę odpoczywać, a mam ważne wieści do przekazania jego ekscelencji. Dlatego zmierzajcie czym prędzej do miasta i nie zatrzymujcie się nigdzie po drodze.

– Jak sobie życzysz, panie – odpowiedział wieśniak, wcale niezainteresowany, jakież to wiadomości ma rycerz do przekazania.

Henryk odpoczywał, zbierając resztki sił. Do walki się już nie nadawał. Nie wiadomo, czy wyliże się z ran; czuł, że jego dni są już policzone. Odpłynął w myślach do czasów dzieciństwa. Nie miał ojca, wychowywał go dziadek, graf Magnus. Był dla niego kimś więcej niż tylko opiekunem, zapewniającym wikt i wychowanie – był najjaśniejszą gwiazdą w jego życiu, wzorem, który pragnął naśladować, drogowskazem, za którym ślepo podążał. Dziadek nauczył go fechtunku i rozbudził w nim miłość do Boga. Często razem polowali. Pewnego razu, gdy pędzili galopem przez las w pogoni za uciekającym jeleniem, natknęli się na nieznanego wędrowca. Młody Henryk nigdy wcześniej nie widział podobnego człowieka.

Długowłosa mężczyzna z bujnymi włosami nosił kolorową przepaskę na czole, cały jego strój był przeplatany fantazyjnymi haftami. Wyglądał dość niesamowicie i odróżniał się znacznie strojem od znanych mu mężów. Sasi nosili się skromnie, nie zdobili dłoni pierścieniami ani nadgarstków złotymi bransoletami, tak jak ten barbarzyńca. Nie obwieszali się dziesiątkami połyskujących amuletów, które błyszcząły, zdobiąc klatkę piersiową tego człowieka. Nieznajomy miał ze sobą fantazyjny instrument, dziwacznie wykonaną lutnię. Wyróżniała się jednak bogatym zdobieniem drewnianej rękonożki, której gryf częściowo zdobiony był szlachetnym srebrem.

Mężczyzna był wędrownym grajkiem, których Słowianie zwali gęślarzami. Początkowa fascynacja nieznajomym przemieniła się w trwogę o jego życie. Bogobojny i szlachetny Magnus rzucił się z nienacką na wędrowca wraz ze swoimi pachołkami. Zaskoczony mężczyzna nie był w stanie poradzić sobie z pięcioma przeciwnikami, którzy szybko go obezwładnili. Wpierw obcięli mu włosy, po czym ogolili strojne wąsy, cały czas szydząc. Zdarli z niego okrycie, przywiązując nagiego do pnia drzewa. Strwożony młodzieniec nie poznawał własnego dziadka, człowieka, który jawił mu się jako wcielenie miłości i sprawiedliwości.

– Tak się postępuje z poganami, Henryku! Patrz i ucz się! – zwrócił się do niego Magnus z żądzą mordy w oczach.

Chwycił myśliwski nóż i wykastrował nieszczęśnika. Henryk nigdy nie zapomniał widoku gęstej krwi, płynącej niczym spieniona rzeka po udach okaleczonego grajka. Na koniec rozplatali jego brzuch, wyciągając na wierzch wnętrzności. Chłopiec widział, jak trzewia wylewają się z



jego ciała, zalegając na dywanie stęchłych liści, którymi pokryty był o tej porze roku las. Tego makabrycznego widoku nigdy nie zapomniał. Pierwszy raz w życiu obserwował śmierć człowieka. Obraz konającego nieszczęśnika wrył mu się w pamięć, na zawsze zmieniając jego życie. W tamtym czasie stracił niewinność, przeszedł chrzest, stając się mężczyzną. Ten dzień zaważył na jego przyszłości i zrodził w jego sercu pogardę wobec pogańskich sąsiadów. Odtąd stał się ich zażartym przeciwnikiem i uczestniczył w niejednej kampanii wojennej. Doświadczył ich wielu i jak dotąd zdrowie go nie opuszczało. Po chwili nawiedziło go kolejne wspomnienie. Silne i intensywne niczym wizja śniącego na jawie mistyka.

Krzyk tłumu rozbrzmiewał złowrogo. Chór setek zdartych gardeł wył co sił, prześcigając się w coraz to bardziej wymyślnych przekleństwach:

– Aby szczyły ci członki, by zatkało ci rzyć, byś obrósł parchami!!!

Skazaniec stał na drewnianej platformie, która górowała nad żądną krwi tłuszczą. Czuł na sobie oddech śmierci, mimo to nie dawał po sobie poznać strachu, na przekór gawiedzi spragnionej jego cierpienia. Milczał, wypatrując kata. Był w podeszłym wieku, pojedyncze siwe kosmyki wyzierały spomiędzy gęstej czupryny opadającej na plecy. Miał skrępowane sznurem dłonie i skute łańcuchem łydki. Zamieszkujący Stargard sascy przesiedleńcy z euforią wyczekiwali egzekucji, w przeciwieństwie do rodowitych mieszkańców, których sprzeciw skutecznie tłumiała straż książęca. Atmosfera gęstniała z minuty na minutę, zbuntowana grupa wieśniaków obrzucała przeciwników wyzwiskami, próbując wywołać zamieszki. Po chwili z tłumu wyłonił się kat, krocząc obok dostojnika kościelnego. Zakapturzony osiłek wszedł na drewnianą balustradę, pozdrawiając rozbawiony motłoch.

Chwycił w potężne kowalskie szczypce rozgrzany do czerwoności pręt, zanurzając jeden jego koniec w beczce z wodą. Ujął w masywną dłoń ostudzone żelazo, demonstrując publiczności gorejący czerwienią koniec pręta. Zbliżył się do skazańca, który na jego widok stracił pewność siebie i zaczął się wyraźnie pocić. Oprawca czekał na znak dany przez brata Arnolda, sługę bożego, ścigającego heretyków i innowierców.

– Mojmirze! – zagrzmiął oskarżycielsko duchowny, a jego piegowata cera poczerwieniała z gniewu. – Zostałeś skazany na wygnanie za notoryczne łamanie pierwszego przykazania. Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną! – krzyknął, tłum zawtórował mu, nagradzając oklaskami. – Ponieważ ślepy jesteś na miłość chrystusową, a oczy twe oglądały codziennie czorta Jarowita, zostaniesz oślepiiony! Nie porzuciłeś błędnej wiary w fałszywych bożków. Czciłeś złotego cielca, buntując ludzi przeciwko Bogu żywemu! Ponieważ sprzeciwiłeś się powstaniu domu bożego w tym mieście, skazuję cię na wygnanie!

Skazaniec zbladł, mimo to nie odwrócił wzroku od duchownego, patrząc nań z wyższością i pogardą.

– Po tym, jak kat cię oślepi, straż książęca odstawi cię poza granice marchii, gdyż zostałeś skazany na wieczną tułaczkę. Ktokolwiek udzieli ci azylu, tego czeka stos! Nie wyrzekłeś się zwodniczych bogów, jako żerca przez całe życie służyłeś szatanowi! Skoroś tak ukochał leśne diabły, niech ochronią cię teraz przed drapieżnikami. Niechaj roztańczone boginki udziela ci teraz schronienia, a leśne skrzaty nakarmią owocami lasu – zaśmiał się Arnold, a jego wąskie usta zadrżały.

– Chwała Jarowitowi! – Zwolennicy żercy wykrzykiwali imię boga, któremu Mojmir poświęcił swe życie.

Straż książęca z jeszcze większą zawziętością poczęła pacyfikować adoratorów pogańskiego kapłana.

– Chwała i cześć Jarowitowi! Sława temu, co przychodzi wraz z wiosną i budzi świat do życia! – przemówił niespodziewanie Mojmir, wprawiając w oburzenie brata Arnolda. Zakonnik dał znak katu. Potężny krzyk wzniósł się w niebiosa. W powietrzu czuć było nieprzyjemną woń topionej skóry i ściętego białka. Mojmir wrzeszczał, a brat Arnold zagłuszał jego krzyki modlitwą.

Henryk ocknął się. Ciemne chmury przesłaniały niebo. Wiatr przybrał na sile, świszcząc upiornie ponad jego głową. Słońce schowało się za kotarą ciemnobrunatnych obłoków, które zdawały się zwiastować burzę. Przerażliwa cisza wwiercała się w uszy, nawet śpiew ptaków zamilkł.

– Woźnico, woźnico – wystękał graf, starając się mówić jak najgłośniejszy – dlaczego stoimy?

Odpowiedziała mu ta sama dojmująca cisza. Henryk poruszył obolałymi członkami i usiadł. Wóz był pusty. Woźnica wraz z jego kompanem zniknęli bez śladu. Co więcej, na ziemi leżał rozbity garniec po winie. Coś musiało ich śmiertelnie przerazić. Henryk w wielkich boleściach wygramolił się z wozu i podniósł z ziemi masywny badył, podpierając na nim niezdolne do marszu ciało. Ruszył traktem w stronę brukowanego kamieniem mostu, wznoszącego się nad rwącym nurtem Łaby. W oddali majaczyły potężne mury i niewyraźne zarysy kamienic.

Coś było jednak nie tak. Nawet z takiej odległości powinny go dochodzić głosy tragarzy i kupców. Dukt także był opustoszały, mimo iż wiódł ku głównej bramie Hamburga. Coś złowrogiego wisiało ponad miastem. Gdy Henryk przekroczył most, dostrzegł niepokojącą lunę unoszącą się ponad dachami domostw. Nie zbierało się na deszcz ani na żadną nawałnicę. Ciemna mgła zaległa nad zgliszczami spopielonego grodu, przesłaniając całkowicie niebiosa. Do głębi poruszony tym widokiem Henryk omal nie spadł z mostu wprost w rwący nurt rzeki.

– Za późno... – Uświadomił sobie swą porażkę, czując, że widok odbiera mu wolę życia.

Gdy ujrzał wiszących nad bramą roznegliżowanych dostojników kościelnych, poczuł, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Drewniany kij nie utrzymał ciężaru jego ciała, pękł, a on sam runął boleśnie na kolana. Nie mógł odwrócić wzroku od zhańbionych ciał księży. Wisieli nad mostem zwodzonym, przykuci do wieży strażniczej. Zostali ukrzyżowani, poganie wiernie oddali obraz męczeństwa Pana. Na oskalpowanych głowach widniała cierniowa korona, upleciona z kolczastych róż. Wyglądniałe kruki obsiadły zwłoki, wydziobując co smakowitsze kęsy z zakrwawionych czaszek. Ale najgorsze było to, że Lutycy pozbawili duchownych męskości, wpychając oderżnięte członki wprost w ich gardła. Widok był odrażający. Zrozpaczony Henryk był pewien, iż oto nastał dzień sądu ostatecznego. Pan zesłał na nich apokalipsę. Graf czuł, jak żołądek podchodzi mu do serca gardła; gdyby miał czym, to z pewnością by wymiotował. Zaczął się czołgać, nie mogąc dalej oglądać sprofanowanych zwłok męczenników.

Zdzierając sobie kolana i nadgarstki do mięsa, przekroczył bramę Hamburga. Prócz trupów księży i rycerzy nie było tutaj absolutnie nikogo. Słowianie zwyczajem wojennym musieli zabrać ze sobą jeńców, których zapewne sprzedadzą na jednym z lokalnych targów niewolników, bogacąc się przy tym nieprzyzwoicie.

Chrześcijanie zhańbieni niewolnictwem! Henryk zapłakał, nie mogąc znieść takiego obrotu sprawy. Podczołgał się do trupa przepołowionego żołnierza. Zdążyły go już otoczyć wyglądniałe psy, które wyszarpywały spod odrąbanej części tułowia kawałki wypływających wnętrzności. Graf wrzasnął, odganiając złaknione ludzkiego mięsa kundle.

Zaszlachtowany rycerz trzymał w zaciśniętej dłoni sztylet, a tego właśnie Henryk teraz potrzebował najbardziej. Wyszarpnął kozik z rodowym herbem rzeźbionym na rękojeści i ostatkiem sił zmusił się do wstania. Chwiejąc się na nogach, spojrział w osnute dymem niebo.

– Boże, dlaczego?! – wrzasnął, po czym zatopił sztylet w sercu.

## EPILOG

Znajdował się pośrodku niczego. Otaczała go próżnia. Sam nie posiadał już kształtów, był świetlistym odbiciem dawnej postaci. Stał się bezcielesną egzystencją, dryfującą w pustej przestrzeni, która co jakiś czas wypełniała się migoczącymi obrazami, przedstawiającymi sceny z minionego życia. Unosząc się w kosmicznej próżni, oglądał własne wspomnienia, które tak jak on krążyły w mroku, wirując wokół jądra ciemności. Ujrzał Magnusa strzelającego z łuku do dorodnego byka,

kształtne piersi hrabiny Adelajdy, posiekaną twarz Huberta, który zginął w pojedynku o honor. Widział oślepiętego Mojmira i własny oddział masakrowany przez Słowian, w końcu ujrzał siebie popełniającego samobójstwo. I wtem obrazy znikły. Nastąpiła głucha ciemność, stał się jej częścią, powoli zapominając, kim był za życia.

Z niebytu nagle poczęły się wyłaniać dziwaczne postacie. Potężne istoty o wielu głowach, z trzema parami rąk i nóg. Z ich oczodołów wzywała potężna moc, równa sile tysięcy słońc. Z korowodu świetlistych istot wyłonił się potężny czterogłowy bóg, trzymając róg obfitości w dłoni. Stwórca opróżnił naczynie, wylewając płynną ambrosję z potężnego rogu. Mrok zadrgał, niby struna wprawiona w ruch. Z bezkształtnej masy wyłoniło się światło, zalewając jasnością pradawną próżnię. Pustka poczęła wypełniać się życiem. Na niebie zawisły lśniące gwiazdy, kosmos zaroił się od rozmaitych planet. Henryk widział, jak w bólach rodzi się Matka Ziemia, jak skalną pustynię zalewają wody praoceanu. Mijały eony, a ziemia poczęła wypełniać się życiem. Świat zaczął nabierać znajomych kształtów i barw, historia zatoczyła na nowo swój krąg.

– To tutaj, to jest właśnie gaj Prowe. – Piegowaty grubasek wskazał dłonią na zalesione wzgórze ogrodzone niskim, drewnianym płotem.

Henryk nie poznawał obdartego jegomościa w habicie. Nie poznawał także pozostałych mężczyzn w brudnych, brązowych sukniach ani groźnie wyglądających, zakutych w zbroję wojowników.

– Wszystko w porządku, panie? – zagadnął go jasnowłosy rycerz, na jego twarzy malowało się autentyczne zatroskanie.

– *Kim jestem?!*, pomyślał zbity z tropu. Po chwili wspomnienia powróciły do ogarniętego czasowym paraliżem umysłu. Rozejrzał się dookoła. Z niedowierzaniem macał się po własnym ciele. Był cały i zdrowy, w jednym kawałku! To przecież niemożliwe!

Spojrzał na oddział swoich przybocznych, znajome twarze druhów napełniły jego serce radością. Rzucił się im w ramiona. Ścisnął ich mocno, płacząc ze szczęścia. Skołowani knechci milczeli, nie wiedząc, jak się zachować. Graf uklęknął, całując ziemię. Wcierał ją sobie w twarz, upajając się zapachem porannej rosy. Świat wokół niego był taki piękny! Potężne pnie drzew zdawały się sięgać niebios, a leśne kwiaty zachwycały swymi soczystymi kolorami. Jeden obraz jednak nie pasował do tej całej sielanki. Pызaty zakonnik z rudawą tonsurą górującą nad spalonym od słońca czołem. Patrzył na Henryka zniecierpliwiony. W jego oczach nie dostrzegł graf cienia życzliwości czy dobroci. Otaczająca go zgraja podobnych mu obdartusów zdawała się również głucha na piękno tego świata.

– Musimy rozpocząć naszą misję! Słońce wstało, nie mamy czasu. Gaj

musi zostać zniszczony!

Henryk zapalał nienawiścią do rozpalonego fanatyzmem mnicha. To jego kościół był odpowiedzialny za wieczne wojny i cierpienia tego świata. Chwytał topór i jednym błyskawicznym uderzeniem strącił z barków głowę zaskoczonego biskupa. Upadła na miękką glebę i potoczyła się w pobliskie zarośla. Okrągły czerep z rudawą tonsurą wylądował w jeżynach. Zakonnicy zamarli z przerażenia.

– Won, psie syny, albo oddam wasze nędzne skóry na ofiarę pogańskim bogom!

Braciszkanie rzucili się do ucieczki i zniknęli w leśnej kniei.

– Nawet nie pytajcie – ubiegł pytanie rycerzy. – Właśnie ocaliłem wasze żywoty. – Wiedział, że brzmi jak szaleniec. Nie dbał jednak o to. – Co powiecie na to, aby zbiec do słonecznej Italii?

Zaśmiał się, klepiąc po plecach trzęsącego się ze strachu siepacza. Za tę zbrodnię czekał ich w najlepszym przypadku stryczek.

– Na co czekacie? – rzucił Henryk całkowicie odmieniony. – Świat czeka na odważnych! – Uśmiechnął się, po czym ruszył przed siebie, zostawiając znany mu świat za sobą.

# Agnieszka Kwiatkowska

## Szeptucha

Zima wypełzła powoli na świat już pod koniec listopada. Jej pierwsze, dychawiczne tchnienia okryły wieś chłodem i otuliły ją srebrzystym woalem. A potem, tuż przed Wigilią, niespodziewanie pojawił się mróz. Rozkasał okolicę, ścinając lodem jezioro i malując na oknach fantastyczne wzory. Rozhuczały się paleniska we wsi, wyjęto ciepłe czapy i zimowe okrycia. Zbliżała się Gwiazdka. Wszyscy szykowali się do świąt, a z każdym upływającym dniem strach dławiał ich coraz bardziej.

Skoro jednak uradzono, co zrobić należy, nie można było się wycofać.

W Wigilię w oknach wszystkich chałup migotały światła. Ludzie, jak nakazywała tradycja, zasiadali do stołów. Tym razem jednak nie było w tym radości, a przytłaczający lęk. Wystraszone oczy, drżące dłonie, niepewne głosy. I modlitwa. Kilku odważnych miało wyruszyć wraz z pojawieniem się pierwszej gwiazdy.

Tak też wyruszyli.

Zbych i Maciej czekali na kowala w dole wsi, tam gdzie droga rozpełza się na dwoje. Nie rozmawiali. Przyglądali się tylko w milczeniu, jak z każdym oddechem para bucha z ust, a pokryte lodem gałęzie drzew skrzypią złowroźnie. Gdy na drodze ukazała się postawna sylwetka kowala, obaj odetchnęli z ulgą. I choć żaden by się do tego nie przyznał, to gdyby mieli iść dziś nad rzekę sami, nie daliby rady przemóc lęku. A zresztą, szli tylko jako wsparcie.

– Gotowi? – W głosie Stacha nie było słyhać strachu, jedynie zacięcie. Nie czekając na odpowiedź i nawet się nie zatrzymując, szedł dalej, skręcił w lewo i zniknął za kępą drzew. Dwaj mężczyźni ruszyli za nim i po chwili go dogonili. Droga była oblodzona, a jak na złość zaczęło też mocno wiać. Zrównali się z kowalem i szli dalej w milczeniu; każdy z nich ścisnął w dłoni zawiniątko.

Oddaliby wiele, aby móc teraz siedzieć w chacie, przy palenisku, a nie tułać się po dworze. Tymczasem zbliżali się do siedliska złej siły, która grasowała po wsi i której nawet ksiądz nie był w stanie przepłoszyć. Nocą zapada cisza, a w ciszy każdy hałas zdaje się być głośniejszy niż w rzeczywistości. Toteż każde skrzypnięcie zmrożonej gałęzi, każde chrupnięcie śniegu pod stopami wydawało się im torturą. Uciec, odwrócić się i uciec. Ale szli dalej. Musieli.

Rzeka szumiała; w słabej poświacie księżycy jej wody były niemal czarne. Zarówno Zbychowi, jak i Maciejowi zdawało się, że rzeka pieni

się i syczy, zupełnie jakby w jej głębi czaiło się coś obcego, co tylko czyha, aby wypełznąć na brzeg. Jedynie Stach wydawał się nieporuszony. Podeszedł do wody i przez dłuższą chwilę się w nią wpatrywał.

– Zbliżcie się – powiedział chrapliwie. – Trzeba nam się usadowić nad samym brzegiem, coby chwycić, jak tylko będą wychodziła.

Powoli i ostrożnie dwaj mężczyźni podeszli do Stacha. Żaden z nich nie pojmował, skąd w kowalu tyle odwagi. Księżyc biegł po niebie, to kryjąc się za chmurami, to się odsłaniając. Gdyby choć zaszczekał pies... Ale nie, wieś siedziała cicho jak wymarła. Szumiała jeno rzeka i porastające ją chaszczce.

– Nie bójcie się – rzekł kowal. – Nie macie czego. I po prawdzie, ja też nie mam. Jeno baczcie na wodę, a jakbyście coś zobaczyli, od razu dajcie znać. Jutka zamknięta i pilnowana, jak przykazała babka?

– Od wczoraj siedzi w komorze – odparł Zbych. – Ale krzyczy i płacze, do drzwi się dobija. Ojciec siedzi i pilnuje, coby nie wyszła, bo siłę ma ogromną. Tłucze w drzwi jak opętana. A matuś płacze i się modli.

– I dobrze – rzucił Stach. – Dość nam już ofiar. Co rok jedna... dość tego. – Zapatrzył się w wodę, a jego twarz przybrała nienawistny wyraz. – Chłopaka nie żałuję. Niech mnie Bóg skarże, ale nie żałuję. Złe to nasienie było. Ale Marynia, Kachna, Antosia, a teraz Jutka... nie, one niczemu niewinne. Dwóm pozostałym życia nie wrócę. Ale kolejnej nieszczęsnej nie dam utopić.

\*\*\*

Stach dotarł do wsi o świcie, kiedy mgła już odchodziła z pól, snując się mlecznymi pasmami między gałęziami drzew. Wszystko nagle stało się wyraźne, nabrało kształtów; oczom kowala ukazał się nierówny, wąski trakt, otoczony z obu stron szpalerem pochyłonych wierzb. Było coś nieprzyjemnego w tych poskręcanych gałęziach, coś złowieszczonego. Stach przetarł dłonią zmęczone oczy. Zdawało mu się, że droga lekko faluje. Poczował lekki dreszcz. Pamiętał dobrze historie, którym przysłuchiwał się, będąc dzieckiem, gdy w długie, jesienne i zimowe wieczory w chacie gromadziły się sąsiadki. I, jak to baby, plotkowały.

Otrząsnął się. Nie był w końcu przesadną babą, by bać się głupot, które kobiety gadały o Lędzinach. O zapadającej się w ziemię wsi, której grzechy mieszkańców pogrążyły ją z roku na rok. Ale w sumie, skoro przyszedł tu po pomoc do mądrej babki... To, co się działo w Dymnem, a na co zaradzić nie umiał nawet ksiądz... Przywołał w pamięci twarz córki i ruszył przed siebie.

Gdy stał, trakt wydawał się nieskończenie długi, niemal jakby kończył się gdzieś za horyzontem. Ale gdy zaczął iść, już po kilkunastu

krokach zorientował się, że właśnie mija ostatnie wierzby w szpalerze. Zdjął go strach. Odwrócił się i ujrzał znów nieskończenie długą drogę, której koniec ginął gdzieś we mgle.

Przeżegnał się i ruszył dalej.

Gdy wszedł do wioski, miał wrażenie, że znalazł się na jakiejś polanie, dokoła której rozsypano w nieładzie pojedyncze chatki. Żadna z nich nie zapadała się pod ziemię, ale takiej wioski jak ta nigdy nie widział, a przecież nie raz jeździł na targi do okolicznych wsi i miasteczek, bywał nawet w dużym mieście. Znów powróciło wrażenie, że stoi na polanie, a wokół niego zapada zmrok, niczym w lesie, nad który nadciągają chmury, i zrywa się wiatr, i niesie ze sobą ciężkie krople deszczu. Powietrze było nasycone wilgocią. Dłoń Stacha odruchowo wykonała znak krzyża.

Drzwi jednej z chatek uchyliły się. Młoda kobieta o spokojnej twarzy dała mu znać gestem, by wszedł. Nie zastanawiając się dłużej, Stach przekroczył próg i znalazł się w ponurej, skromnie urządzonej izbie. Zdziwiony nieco rozglądał się dokoła. Dom wyglądał na zwykłą chłopską chatę.

– Babka zaraz przyjdzie – oświadczyła kobieta, podsuwając gościowi stółek. Nie zapytała nawet, z czym przybywa ani do kogo. Najwidoczniej jasne było, z jakiego powodu przybywali tutaj obcy. Stach usiadł, a zaraz potem do izby weszła staruszka. Niska i chuda, o pobrużdżonej twarzy, ale wzrok miała rozumny. Uśmiechnęła się i spytała, z czym gość przybywa.

– O pomoc, o poradę prosić – odrzekł Stach.

– Jak to każdy – roześmiała się szeptucha. – Jak zgryzota przyciśnie, to wszyscy do mądrej babki ruszają. Poznają was. Wyście kowalem z Dymnego?

– Znacie mnie? – spytał zdziwiony Stach.

Staruszka nie odpowiedziała na pytanie, zamiast tego powtórzyła własne. Stach ze ściśniętym gardłem rozpoczął opowieść. Opowieść o swojej córce i o tym, jak nędznie zakończyła swój żywot.

– Porządna była, robotna, a dała się zwieść – mówił. – Bałamutnik był z tego chłopaka, a ja żem o niczym nie wiedział. Dopiero jak mi w noc wigilijną zniknęła z chaty, a rankiem znaleźli ją w rzece...

– Z własnej ręki czy z cudzej? – przerwała babka, a widząc, że Stach nie rozumie, powtórzyła: – Sama skoczyła czy to młodzieniec wepchnął ją w kiel?

– Sama... chyba. – Stach spojrzał ze zgrozą na staruszkę. – Medyk mówił, że oczekiwała...

– A teraz nieszczęsna wróciła i domaga się pomsty? Młodzieniec, jak rozumiem, nie żyje?



– Nie żyje – odparł kowal. – Utopił się w rzece, w tym samym miejscu, co Marychna. Rok później, co do dnia.

– Więc z czym do mnie przybywasz? Bałamutnika spotkała kara, czyżbyś chciał się mścić za jego krzywdę?

– To się nie zakończyło.

W oczach szeptuchy zabłyśły ogniki.

– Aha! Tak więc to wygląda! – Pokiwała głową. – Takż w noc wigilijną?

– Tak.

– Od dawna?

– Cztery zimy...

– Zajadła jest... – szepnęła staruszka. Potarła sękatym palcem górną wargę, jakby się nad czymś zastanawiała. – Kto tam jeszcze się utopił? Rodzina tego chłopca?

– Tak. Najpierw matka. Rok po jego śmierci. W kolejną noc bożonarodzeniową wyłowili ojca. A potem... On już nie miał rodziny. Potem była Kachna, córka sąsiadów. Przyjaciółka Marychny. A w zeszłą wigilię wszyscyśmy się pilnowali. Ludzie siedzieli w kupie po domach i każdy na każdego miał baczenie. Nikt nie zauważył, kiedy wymknęła się Antosia...

– Przyzwała ich – mruknęła staruszka. – A taki zaśpiew kusi i nęci... Musowo coś ich wcześniej nosiło? Niepokój jakiś?

– Baby mówiły, że i Kachna, i Antosia jakieś nieswoje, dzikie były – szepnął kowal.

– Tak, tak – zamamrotała szeptucha. – Twoja córka, kowalu, śpi pod wodą. Nie ciało, któreście pochowali – dodała. – To pół jej duszy, co tam została. Ciało ma nowe, z tego, co na dnie rzeki.

– Dusza? Pół duszy? – Stach zerwał się ze stołka. – Matko boska, co wy wygadujecie?

– Że wbrew naukom księży wygaduję? – odpowiedziała ostro staruszka. – Jak to rani wasze uszy, to droga wolna, kowalu. Albo do księdza po poradę idźcie. Co tak patrzycie, jakbym rozum postradała? Ksiądz nie pomógł? Ach. To nie marnujcie mojego czasu, bom zajęta, i nie gapcie się głupio. Siadacie czy wychodzicie?

Patrzyła spođe łba, jak Stach niepewnie siada na stołku.

– No! – mlasnęła wąskimi wargami. – Twoja Marychna śpi pod wodą, nie dojrzysz jej ani nie wyłowisz. Tam śpi i sił nabiera. W Wigilię jej moc największa. Wtedy z wody wyłazi i woła. To dlatego dziewczęta takie nieswoje były i wymykały się nad rzekę.

– Ale co jej wadziły? – szepnęła z rozpaczą kowal. – Za co się mści?

– Z chłopca był bałamutnik – roześmiała się staruszka – a panny pewnie urodziwe. Marychna zabiła najpierw jego, a potem jego bliskich.

Topicha to okrutnie skrzywdzone stworzenie. Nie wybacza i nie zapomina. Zazdrosna jest. Niejedna panna we wsi dawała się obłapiać ładnemu chłopcu. Kachna, Antosia, pewnie jeszcze inne...

– Topicha? – Stach przełknął ślinę. – Że utopiec, mówicie?

– Topicha, mówię – odparła staruszka. – Utopiec jest z poronionego dziecka. A topicha to dziewczyna, co ją ukochany utopił. Nie zna litości, nie można jej udobruchać. Można je- no zabić.

– Nie rozumiem – wyszeptał Stach. – Nie można jej...

– Uśpić? Odesłać? Nie. – Szeptucha przyjrzała się kowalowi z uwagą. – Bacz, że to już nie jest twoja córka.

– Tak – potwierdził cicho Stach. W izbie zapadła cisza. Wreszcie kowal przemówił, a głos z trudem wydobywał się z gardła. – Zabić, rzekliście... Jak?

– Zabił ją ukochany – rzekła staruszka. – Teraz zabić musi ten, kogo też kochała. Kto jak nie ojciec?

\*\*\*

– Nie boicie się? – zapytał Zbych, rozcierając dłonie, które przemarzły mimo grubych rękawic.

Księżyc co chwila chował się za chmurami i wychodził zza nich, przez co tocząca się leniwie rzeka to rozbłyskiwała jasną poświatą, to nikła w smolistej czerni. Do uszu trojga mężczyzn dobiegał syk spienionej, przelewającej się przez kamienie wody. Żadnego plusku zwiastującego, że coś wychodzi na brzeg.

– Nie – odparł Stach głuchym głosem. – Co mam do stracenia? Pochowałem żonę, pochowałem córkę. A to, co z wody wyłazi, to już nie Marychna.

– Wierzycie tej babce? – spytał Zbych z powątpiewaniem.

– A nie powinienem? – Stach spojrzał na niego ostro.

– Jakież mi to się takie... Żle gadano o babach z Łędzin – mruknął Zbych. – Mówili, że ze złym w zgodzie żyją i mu służą. Podobno żadna z nich nigdy nie spełniła dobrego uczynku, a gdy komuś pomagały, brały za to solidną zapłatę. I to nie w pieniądzech. Coście jej obiecali?

– Nic żem nie obiecał – odparł Stach sucho – i niczego ode mnie babka nie żądała. A jak wiecie lepiej, co czynić, to mówcie.

– Tam...

Dopiero po chwili obaj mężczyźni zorientowali się, że milczący dotąd Maciej coś mówi. Spojrzeli na niego, a potem powiedli wzrokiem w miejsce, na które blady jak trup chłopak wskazywał palcem. Wyteżyli wzrok. Zrazu dostrzegli tylko czerń rzeki, a potem nagle zza chmur wyszedł księżyc, odbił się w wodzie, zaś tuż koło jasnej poświaty luny

dało się dostrzec bielejący podłużny kształt.

Zbych przeżegnał się, albowiem miał wrażenie, że dostrzega obłe cielsko ryby. Zaraz potem przeleciało mu przez głowę, że ktoś się znowu utopił. Z trwogą pomyślał o siostrze – czy jej nie upilnowano? – gdy nagle Stach wysunął się do przodu. Wyciągnął ręce. Sparaliżowany strachem Zbych zobaczył, jak kształt powiększa się, aż wreszcie powoli wynurza się z wody.

Głowa. Jasnoblond włosy, przyklepione do mokrej czaszki. Ramiona, piersi, brzuch. Kowalówna. Stała w lodowatej rzece, zupełnie naga, a woda dokoła niej syczała i przelewała się z bulgotem.

– Podejź tu, córko – rzekł Stach, pomny uwag mądrej babki, nie ruszając się z miejsca i bacząc, by nie wejść do wody, gdyż tam moc topichy jest największa. W ukrytej za plecami dłoni ścisnął samopał – jak rzekła starucha, nieważne czym, ważne, czy skutecznie. A na wrażenie noża w brzuch Stach wiedział, że się nie zdobędzie.

Topicha uniosła głowę, otworzyła oczy. Na jej twarzy malowała się rozpacz, ogromna udręka. Wyciągnęła blade ramiona w kierunku ojca.

– Tatusiu! – zawołała. – Tatusiu, pomóż mi!

Za sobą Zbych usłyszał jęk, a zaraz potem chrzęst śniegu i trzask łamanych gałęzi. To Maciej rzucił się do ucieczki, pozostawiając ich obu samych. On sam stał jak skamieniały ze strachu, nie będąc nawet w stanie się przeżegnać.

– Odwagi – jęknął, mając nadzieję, że Stach nie pójdzie w ślady Macieja. Ten jednak stał w miejscu, a topicha poczęła zawodzić. W jej lamentach było coś tak żalosego, że serce Zbycha ścisnęło się, ale jednocześnie ogarnęła go zgroza. To nie Maryś, którą znał od dziecka – to, co przed nimi stało, nie jawiło się człowiekiem, ale stworem z piekła rodem. Teraz rozumiał, czym tak przyciągało ofiary. Zaśpiew topichy był tak żalosiwy, że wkładał się w głowę, do serca i wzywał, przyciągał, aby podejść bliżej, wejść do kipieli, tej kojącej wody, tak ciepłej i kojącej...

Otrząsnął się. Nie! Zsunął rękawiczkę, sięgnął za pazuchę po kozik, który odruchowo zabrał przed wyjściem. Gdy znów spojrział na rozgrywającą się przed jego oczami scenę, zdrętwiał. Stach był już po kolana w wodzie. Dłoń, która trzymała wcześniej samopał, była pusta. A kowal parł prosto w głębinę, krok po kroku, bezwolny wobec nawoływania topichy.

– Nie wchodź! – krzyknął Zbych. Topicha oderwała wzrok od Stacha i spojrziała na wołającego, a zamiast oczu miała dwa czarne tunele. Patrzyła tak nieistniejącymi oczami, nie opuszczając ramion, aż otoczyła nimi kowala, który zanosił się łkaniem i obejmował widziadło, udające jego córkę. Zbych patrzył ze zgrozą, jak uścisk ramion topichy łamie

Stachowi kręgosłup, jak jego ciało upada w wodę, jak białe ramiona pozbawione życia wyciągają się teraz ku niemu.

Czuł, że wołanie przyzywa go i kusi, ale był w stanie dać mu opór. Pomyślał o matce, której nie mógł zostawić, o ojcu, o nieszczęsnej siostrze, a gdy o nich myślał, zawodzenie straciło swój urok. Zapłonęła w nim ogromna nienawiść, za te wszystkie utopione dziewczyny, za siostrę, którą zło chciało wciągnąć w kipiel, wreszcie za poczciwego i dobrego Stacha, który mu ojcem chrzestnym był, i nie zawahał się. Nie robiąc nawet kroku w przód, wyciągnął nóż i cisnął nim pewną ręką. Miał tylko jedną szansę, jeden rzut.

I trafił. Topicha wydała z siebie przeciągły ryk, ze zdumieniem patrząc na trzonek wystający z jej piersi. Jej twarz zaczęła falować, zmieniać się, aż przestała przypominać ludzką. Piękne niegdyś oblicze teraz wyrte były w uformowanym w ludzką postać błocie. Jasne włosy ściemniały i opadały kaskadą szlamu. Ale nie upadła, jak oczekiwał Zbych. Co gorsza, zaczęła wychodzić z wody.

Chlup. Chlup. I już stała na brzegu, tak blisko Zbycha, że mogła go dotknąć. Ten zaś nie był w stanie zrobić nawet kroku. Stał bezradnie i patrzył, jak za plecami topichy czarna woda zaczyna kipieć niczym wrzątek, a na jej powierzchni wypływają kolejne białe kształty. I podnosiły się, i stawały na nogi. I wyciągały ramiona, i krzyczały żałościwie, a ich zaśpiew leciał daleko.

Uścisk ramion był silny, zimny i trwał tylko chwilę. Topicha odrzuciła na bok ciało martwego Zbycha i wraz ze swymi siostrzycami kontynuowała upiorną pieśń, dziki śpiew wiodący ludzi na pokuszenie. Tyle lamentów niosło się w powietrzu, że nikt z mieszkańców wsi nie mógł pozostać na nie obojętny. Wylegli z chat wszyscy mieszkańcy, od dziecka do starego, i wszyscy podążyli nad rzekę. A tam z płaczem rzucali się w objęcia pięknych kobiet o dobrych oczach i każdy z nich rozpoznawał kogoś, kogo kiedyś utracił.

\*\*\*

Starucha z wnuczką wyszły z chaty późnym popołudniem. Szły długo, a nad rzekę dotarły, gdy niebo zdążyło już pociemnieć. W oddali dawało się dostrzec błyskawice, ale nie słychać było grzmotów.

– Czemuście rzekli temu człowiekowi, aby zabić topichę, nie zaś przebłagać? – spytała wnuczka.

– Bom niegłupia – zarechotała stara. – Rozwścieczył jeno, nie pokonał.

– Gdyby złożyli ofiarę...

– Wtedy uśpiliby topichę na wieki wieków, a co byśmy z tego miały? – odparła babka. Wskazała sękatym palcem gdzieś w dal, gdzie rzeka

zakręcała. – Spójrz. Już do nas płyną.

Dziewczyna zmrużyła oczy. Z początku nie widziała dobrze, ale po chwili zdało jej się, że dostrzega w wodzie coś białego, co niesie prąd. Dopiero po dłuższej chwili była w stanie rozpoznać, że rzeką płyną ciała. Dziesiątki ciał. Zimne, obojętne, poddające się silnemu nurtowi.

– Nadal nie rozumiesz? – W głosie szeptuchy zabrzmiała irytacja. – Toć to nasi są. Zaludnią nam wieś, odbudują chaty. Od lat żeśmy same w Lędzianach siedziały i starczy. Trochę czasu to zajmie – wymamrotała, pochylając się nad pierwszym ciałem, które do nich dopłynęło – ale oni wszyscy wstaną. Zasiedlą wieś i będą nam służyć. Dusze bez chrześcijańskiego pochówku! Tyle dusz!

Wnuczka wzdrygnęła się.

– Boisz się? – roześmiała się babka. – Toć ja ich do życia przywrócę. No, co tak patrzysz? Dawniej tak robiłam, to i teraz zrobię. Wyciągaj ich z wody. Chyżo! Ożywią ich i niczego nie będą pamiętać.

– Skąd to babka wie?

Szeptucha zmierzyła wnuczkę spojrzeniem, od którego młoda dziewczyna aż się zatrzęsała.

– A ty pamiętasz, co było, zanim się utopiłaś?

# Anna Musiałowicz

## Baba Jaga

Atmosfera w aucie była tak gęsta, że można by ją nożem kroić. Mariusz zaciskał dłonie na kierownicy tak mocno, że aż mu knykcie pobielały. Był wściekły – na siebie, na Marzenę, na złą pogodę, na rozładowaną komórkę, na niedziałającą nawigację, na źle oznaczone drogi, na nierówno chłodzącą klimatyzację, na wyboiste drogi – tylko czekać, aż urwą się pólisie. Brakowało paliwa. Kontrolka już od prawie dwóch godzin migiała, dręcząc go jak wyrzut sumienia, jakby chciała go jeszcze bardziej zirytować, mówiąc: „A trzeba było słuchać żony”. Szlag by to! Mariusz popatrzył na siedzącą obok Marzenę i natychmiast odwrócił wzrok. Nie mógłby znieść tego, gdyby ich spojrzenia się spotkały i, nie daj Boże, sprowokowały do dalszej dyskusji. Ba! Awantury! Marzena miała mocno zaciśnięte szczęki. Westchnęła bezgłośnie, po czym zagryzła wargi tak mocno, że jej usta zmniejszyły się o połowę. Jak dobrze, że przestała już drzeć mordę. Oj, jakże jej w tej chwili nienawidził. OK, wiedział, że głupotą było zjeżdżanie w boczną, nieznaną drogę tylko po to, by skrócić sobie trasę o kilkadziesiąt kilometrów. Ale chciał zaryzykować. Mogli przecież dojechać na miejsce nawet półtorej godziny wcześniej. Skąd miał wiedzieć, że jego komórka rozładuje się, a telefon Marzeny jest uszkodzony tak, że nie jest w stanie włączyć GPS-a? Że niby Marzena mu o tym mówiła? Musiał skupić się na drodze, nie mógł wечно słuchać jej narzekania. Głupia krowa. A paliwo? Ceny na ostatniej stacji były wywindowane, szkoda było niepotrzebnie tracić kasę. Może to tylko parę groszy, ale ziarnko do ziarnka... Tak to mu wypominała rozrzutność, a teraz wielce się czepiała. Kretynka. Przecież nie mógł się spodziewać, że przez dwie godziny nie napotkają żadnej stacji. I po co ta wielka awantura? Tylko Małgosia niepotrzebnie się zdenerwowała i popłakała. Mariusz zerknął przez ramię. Dziecko spało w foteliku, główkę niewygodnie opierało o szybę auta. W kąciку ust dziewczynki zaschła ślina. Trzeba kupić nowe siedzonko, mała rośnie – pomyślał Mariusz. Oczywiście to też spadnie na niego, choć podobno Marzena jest tym lepszym rodzicem.

– Ściemnia się. – Mariusz usłyszał głos żony. Oczywiście, że się ściemnia, przecież ślepy nie jest! Zjechali z dziurawego asfaltu. Zabłocona szosa prowadziła prosto w las. Nie było innej drogi, mogli tylko zawrócić. Ale ta opcja nie wchodziła w rachubę. Paliwa starczy jeszcze tylko na... Nie starczy. Jechali już na oparach, a Mariusz błagał w

myślach Boga, by nie trzeba było hamować w lesie. Obawiał się, że jeśli się zatrzymają, nie ruszą dalej. Modlił się, by siłą rozpędu auta dotarli w końcu do jakiejś pieprzonej stacji paliw. Stare drzewa uginały się nad nimi, potęgując mrok. Słońce już prawie zniknęło za horyzontem, przez gałęzie można było dostrzec nieśmiały rogalik księżycy. Mała posapywała cichutko. Już dawno powinna leżeć w łóżku, wtulając się w swojego ukochanego misia. Gdzie ta cholerna maskotka? Pewnie sturlała się pod fotel. Małgosia będzie wyć, jak się obudzi.

Ale Mariusz nie wiedział nawet, gdzie się znajdują, jak daleko mają do najbliższego miasta i, co najważniejsze, ile tak naprawdę kilometrów uda mu jeszcze się przejechać. Przecież nie będą nocować w lesie! Żeby chociaż napotkać jakiś samochód po drodze. Tak, teraz by poprosił o pomoc kogoś obcego, choć jasna cholera go brała, gdy wyobraził sobie trymfujący wzrok małżonki i jej cierpkie słowa: „A nie mówiłam? Mogłeś to zrobić wcześniej i zaoszczędziłbyś nam tyłu nerwów”. Nagle uświadomił sobie, że od dwóch godzin nie mijali żadnego samochodu po drodze, nie napotkali ani jednego człowieka. Jechali asfaltem pośród pól, potem przejeżdżali obok jakichś opuszczonych fabryk, następnie znów pola i teraz ten las. Naprawdę się zgubili.

– Sprawdź jeszcze tego GPS-a – odezwał się do Marzeny, nawet na nią nie patrząc.

– A co mam sprawdzać? Jak nie działa, to nie działa. Tutaj nie ma nawet zasięgu. – Słyszał, że żona próbuje mówić spokojnie, ale gorycz w jej głosie niemal wlała mu się do ucha.

– To może być łaskawie sprawdziła, czy może jakimś cudem nie uda się uruchomić mojego telefonu.

– Martwy – stwierdziła, gdy po kilku próbach włączenia urządzenia ekran nadal pozostawał czarny.

Mariusz zgrzytnął zębami. Jechali już na luzie. Szczęście w nieszczęściu, że droga była lekko pochyła i auto mogło się bezwładnie staczać. Czasem podskakiwało na wybojach, ale nie wytracało zbyt szybko prędkości. Była szansa, że uda im się przejechać ten las. Może za nim będą stały jakieś domy. Może uda im się odkupić parę kropel paliwa. „Gdzieś tu musi być cywilizacja” – zaśmiał się w duchu.

– Mam nadzieję, że orientujesz się, gdzie jesteśmy. – Marzena nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. Zerknął na nią. Przekręciła się na siedzeniu i przykryła swoim swetrem śpiącą Małgosię.

– Ja? Przecież to ty zawsze wszystko wiesz lepiej. – Ugryzł się w język za późno. Marzena, jakby w spowolnionym tempie, odwróciła się w jego stronę. Jej twarz, blada ze zmęczenia, nabrała rumieńców. Krew napłynęła do policzków, napęczniała wściekłością.

– A od kiedy ty tak nagle ufasz mojej mądrości? – wysyczała. – Jak

prosiłam cię, żebyśmy zawczasu zatankowali auto, bo nie znamy trasy, to mnie wyśmiałeś. A teraz to, kurwa, co?

– Nie klnij przy dziecku.

– Dziecko, kurwa, śpi. W aucie. Bo. Żeś. Kurwa. Nie. Dojechał. – Marzena próbowała się opanować, ale oboje wiedzieli, że jest na skraju wytrzymałości. Awantura znów zawisła w powietrzu.

– Nie ja sobie te wakacje wymyśliłem... – To nie była dobra odpowiedź. Mógł się zamknąć. Mógł się nie odzywać w ogóle. Marzena już zaczęła swoją tyradę. Jej głos się uniósł, miejscami przechodził w pisk. Mariusz nawet nie słuchał słów. Walnął pięścią w kierownicę. Miał ochotę uderzać w nią głową, choć najchętniej to rozwaliliby łeb swojej żonie. Suka. Całą trasę siedzi jak królowa, oczekuje od niego, żeby dowiózł jej tyłek na miejsce, wszystko ma w rzeczonym tyłku i nie interesuje się niczym. A przecież on jedzie już od tyłu godzin i ma prawo czuć się zmęczony. Kretynka. Sama nigdy nie prowadzi, a potrafi tylko mieć pretensje. Idiotka.

Nawet nie próbował przerywać monologu żony. Spojrzał tylko na tylne siedzenie, by sprawdzić, czy Małgosia śpi. Jeszcze tego by brakowało, gdyby mała się obudziła i oprócz wrzasków Marzeny musiałby wysłuchiwać płaczu córki. Nie ma co, udane wakacje.

Las zaczął się przerzedzać. Marzena umilkła, gdy zobaczyła, że jej paplanina nie robi na mężu żadnego wrażenia. Z niepokojem spojrzała na migającą kontrolkę, z wyrzutem – na Mariusza, po czym odwróciła głowę, wciskając nos w boczną szybę. Jechali kilka minut w pełnej napięcia ciszy.

– Mariusz... – Drgnęła.

– Czego?

– Tam chyba coś jest. – Wyprostowała się na siedzeniu, przymrużyła oczy, spoglądając przez okno.

Nagle autem zatrzęsło. Wyjechali z lasu i wpadli prosto w dziurę w nawierzchni. Mariusz przeklął pod nosem. Ani chybi, felga do wymiany. Ale faktycznie coś tu było. W odległości może stu metrów dostrzegł zarysy budynków. Samochód toczył się coraz wolniej.

Ale się toczył. W ślimaczym tempie jechali przez jakąś ciemną, zapadłą wieś. W żadnym z okien nie dostrzegli światła. Na ich widok żaden pies nie zaszczekał. Nawet furtki, popychane wiatrem, nie skrzypiały. Było cicho, zbyt cicho. Wieś wyglądała na wymarłą. Lekko zdezorientowani Marzena i Mariusz rozglądali się przez szyby auta, doszukując się choć- by najmniejszej oznaki, że ktoś w tej miejscinie żyje. Na próżno. Mijali budynki, skromne, zwykle drewniane, albo niewielkie lepianki, na ścianach których można było dostrzec zarysy namalowanych kwiatów i innych folklorystycznych wzorów. Malunki



były wyblaknięte, częściowo zamazane, jednak wciąż całkiem dobrze widoczne na bielonych ścianach, pomimo zapadającego zmierzchu. W niektórych dachach można było dostrzec dziury. Pojedyncze budynki częściowo zawaliły się. Płoty otaczające domy były zniszczone, często spróchniałe, połamane. Nie dostrzegli ani jednego człowieka. Nawet żaden zabłąkany kot nie czmychnął im przed autem. Samochód toczył się coraz wolniej i wolniej... A gdy dojechał do niewielkiego wzniesienia, siłą rozpędu wturlał się na nie, jednak zsunął się i zastygł w bezruchu. Mariusz nawet nie próbował na nowo odpalić silnika. Bak był pusty.

– No, pięknie – syknęła Marzena. Mariusz walnął pięścią w kierownicę.

– Małgosia śpi, przenocujemy w aucie, jutro się pomyśli. – Mężczyzna czekał na lawinę pretensji ze strony żony, ale ta siedziała cicho. Na jej twarzy było widać zmęczenie. Gdyby nie był na nią tak wściekły, jej widok rozczuliłby go. Zawiódł. Wiedział o tym. Był zbyt uparty, by posłuchać żony, gdy był na to czas, a teraz mógł mieć pretensje tylko do siebie. Ale gdyby Marzena nie była taką męczydupą i wciąż się tak nie wymądrzała, nie musiałby jej udowadniać, że nie jest takim idiotą, za jakiego go uważa. I właśnie jej udowodnił, cholera jasna. Zamiast podziwiać zachód słońca z wygodnych leżaków na tarasie, znaleźli się pośrodku... niczego. W dodatku cali obolali, na wpół ścierpnięci, zmęczeni i w podłych nastrojach. Spojrzał na śpiącą Małgosię. Dziewczynka kręciła się w foteliku. Musiało być jej bardzo niewygodnie.

– Mogę jeszcze się przejść i zobaczyć, czy dalej nie ma jakichś normalnych domów.

– Siedź. Gdzie będziesz łaził po nocy? – Marzena była zrezygowana. Oczy się jej szklily. Ze złości, ze strachu czy smutku? – pomyślał mężczyzna.

– Przejdę się – powiedział. Wysiadł z auta, starając się nie trzasnąć drzwiami, by nie zbudzić Małgosi. Wieczór był ciepły. Gdyby nie okoliczności, Mariusz mógłby stwierdzić, że znaleźli się w malowniczym miejscu. Z jednej strony otaczał ich las, z drugiej mieli wieś jakby żywcem wyjętą ze skansenu. Wyciągnął telefon z tylnej kieszeni spodni. No tak, rozładowany. Poszedł kilka kroków przed siebie, a gdy odwrócił się i spojrzał na auto, napotkał przestraszony wzrok żony. Wrócił do samochodu.

– Może to jednak nie najlepszy pomysł. Zostanę z wami. Nie wiadomo, czy nie ma w tym lesie jakichś dzików, nie wiadomo, co wyskoczy zza płotu. Może jakiś zapomniany dziadek ze strzelbą w ręce będzie chciał na mnie zapolować? – Spróbował się roześmiać. Wyszło żałośnie.

– Zostań. Jeśli gdzieś zbłądzisz pomiędzy tymi domami, nawet nie będziemy mogli się zdzwonić. – Marzena oczywiście znów zarzuciła mu

nieporadność. Zirytowany spojrzał na nią. W jej oczach dostrzegł zwykły strach.

Nie mówili nic. Delikatnie przełożyli Małgosię, wyciągając spod niej fotelik i układając dziewczynkę na tylnym siedzeniu auta. Podkładając jej pod głowę swoją bluzę, mężczyzna włożył córce do rąk jej ukochaną maskotkę, którą znalazł wciśniętą pomiędzy plecak a butelki z wodą, do tego przydeptaną – sądząc po wzorze podeszwy – jego własnym butem. Dziewczynka westchnęła, otworzyła usteczka i posapując cichutko, spała dalej.

Wrócili na swoje miejsca. Mariusz wpatrywał się w drogę przed sobą, w myślach analizował, jak mógł być tak głupi, by doprowadzić do takiej sytuacji. Raz po raz zerkał na żonę. Ta sięgnęła po telefon. Na ekranie dojrzał godzinę: dwudzie- sta druga.

– Jest zasięg? – zapytał.

– Nie, wciąż nie – odpowiedziała i wyłączyła telefon. – Lepiej oszczędzać baterię. Nie wiem, kiedy będę mogła go na- ładować.

– Racja. – Założył ręce za głowę, próbował przymknąć oczy, jednak patrzenie na pustą drogę uspokajało go. Obraz przed oczami zaciemniał się wraz z nadchodzącą nocą. Nie zauważył, kiedy zasnął.

Zerwał się jak oparzony, gdy usłyszał pukanie w drzwi. Było ciemno. Za oknem auta dojrzał jakiś cień. Postać. Prawie krzyknął, ale Marzena go w tym ubiegła.

– Zamknij się! Małgosię obudzisz – zawarczał. Dziewczynka jak na zawołanie zamamrotała:

– Mamo, głodna jestem...

– Zaraz, zaraz, kochanie.

Postać przytknęła nos do szyby. Mariusz ujrzał starą, pooraną zmarszczkami, brzydką twarz. Nie potrafił jeszcze rozpoznać, czy kobietą, czy mężczyzną. Nacisnął klamkę, drzwi auta uchyliły się nieznacznie. Postać odeszła kilka kroków, jednak

wciąż wpatrywała się w mężczyznę. Mariusz zawahał się. Usłyszał marudzenie Małgosi i uspokajający szept małżonki.

– No idź. – Marzena popchnęła go nieznacznie, szukając przy tym w plecaku kanapki dla córki.

Wyszedł. Ciemna postać okazała się staruszką opatuloną w chustki. W wyciągniętych rękach trzymała jakiś tobolek.

– Macie, panie – wyskrzeczwała. – Pewnikiem żeście się zgubili. Posilcie się z lekka i chodźcie do mnie na lepszą strawę.

Mariusz osłupiał. Nie wiedział, co powiedzieć. Stał w miejscu, uparcie spoglądając w oblicze starowinki. Wyglądała okropnie. Nie domykała jednego oka, pewnie była na nie ślepa. Drugim, z tak jasną, błękitną tęczę, że niemalże nie odróżniała się od białka, łąpała na niego

podejrzliwie. Twarz staruchy była pełna parchów i brodawek, z których gdzieś wyrastały włosy. Była najbrzydszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

– No macie, macie. – Kobięcina potrząsnęła ręką. Tobolek zakołysał się. Wyrwany ze stuporu Mariusz, nie myśląc wiele, wziął zawiniątko od kobiety. – Pałaszujta i poprowadzę was do mnie. Nie pierwsi żeście, coście się tu pogubili.

Mariusz nadal stał jak oszołomiony. Oczywiście Marzena potrafiła się znaleźć w każdej sytuacji. Wychyliła się zza jego pleców.

– Dziękujemy pani. Nie chcemy sprawiać kłopotu. Paliwo nam się po drodze skończyło. Przenocujemy w aucie i jutro pomyślimy, co dalej.

– A co wy mi tu pierdoły gadać będzieta? Spać z dzieciakiem w aucie? Zmysły postradali!

Staruszka odwróciła się, ukazując znacznej wielkości garb. Przeszła kilka kroków w stronę lasu, przez który rodzina tu dotarła. Przystanęła, pokręciła głową.

– No jak? Szamajta. Wiecznie czekać tu nie będę. Nie kazali się namawiać. Posłuchali.

Do lepianki staruszki dotarli, gdy księżyc już wysoko świecił na niebie. Małgosia, rześka jak o poranku, biegła zachwycona wokół staruchy.

– Wyglądasz zupełnie jak Baba Jaga! – Wpatrywała się w nią zachwycona. Mariusz i Marzena zakłopotani spojrzeli po sobie. Ale babinka tylko się zaśmiała, pozwalając dziewczynce bawić się fałdami jej obszernej spódnicy, szarpać za rękawy, a nawet zdjąć chustkę z głowy, spod której wychynął długi, cienki, siwy warkocz.

Domek staruszki stał tuż pod lasem. Składał się z kilku skromnych, wręcz biednie urządzonych izb, ale przy tym tak malowniczych, że małżonkowie poczuli się urzeczeni tym miejscem. W domu nie było elektryczności. Płomienie świec i nikłe światło lampy naftowej rzucały na ściany cienie, które tańczyły w rytm drgania ognia. Nastrój był istic magiczny. Obmyli twarz i dłonie w glinianej misce, zasiedli na ławie przy ogromnym stole. Małgosia uwijała się przy staruszce, pomagając przygotować jej posiłek. Pomiędzy nogami płatał się jej czarny kot. Marzena skomentowała, że w domu córka ma problem z posprzątaniem zabawek, a tu się zachowuje jak prawdziwa gospodyni. Starucha roześmiała się skrzekliwie, jednak w jej ochrypłym głosie wybrzmiała nuta ciepła. Twarz jej jakby na sekundę odmłodziła. Zaraz na stole pojawiły się chleb, pomidory i mnóstwo białego sera, jeszcze mokrego od serwatki.

– Pyszne! – Małgosia zjadała suchy chleb z apetytem, jakiego rodzice jeszcze u niej nie widzieli. Sami próbowali być bardziej powściągliwi, ale

po całym dniu mordęgi, zauroczeni chatą babinki i prostym, wiejskim jedzeniem, wcinali, aż im się uszy trzęsły. Humory też im się poprawiły.

Małgosia pierwsza odeszła od stołu i pobiegła do izby obok, gdzie staruszka przygotowywała dla nich posłanie. Marzena wstała, by jej pomóc, jednak została odprawiona stwierdzeniem, że jest za chuda i dopóki się nie naje porzą- dnie, ma się nie ruszać. Atmosfera rozluźniła się. Mariusz, zjadając kolejną pajdę chleba, usłyszał tylko, jak mała mówi:

– A jak ty masz naprawdę na imię?

Nie dosłyszał dobrze odpowiedzi. Drasznica? Czy takie imię w ogóle istnieje?

Tej nocy zasypiał spokojny, tonąc w puchowej pościeli, wdychając nieznanego nosowi zapachy. Drewno, zioła, nawet powietrze pachniało inaczej niż w mieście. Było mu błogo i bezpiecznie. Jakby całe zło, wściekłość i żal, które kłębiły się w nim przez cały dzień, ulotniły się. Przytulił się do pleców żony, pocałował ją w ramię. Na ustach poczuł sól lekko pokrytej potem skóry. Tak smakuje szczęście – pomyślał. Odpływając w sen, słyszał jeszcze, jak Małgosia śpiewa sama sobie kołysankę, a stara krząta się po kuchni.

Obudzili się rankiem wypoczęci jak nigdy dotąd, pełni energii i zadowoleni z życia. Przekomarzali się, jakby byli świeżo zakochanymi podlotkami. Jego Marzena... Taka jak kiedyś. Cudowna. Małgosi nie było w izbie, ale nie zaniepokoił się. Słyszeli jej szczebiotanie za oknem. Sądząc po tym, co mówi, chyba karmiła kury. Jakiś pies wesoło szczekał. Mariusz zdziwił się, gdyż pamiętał, że jadąc przez wieś, nie słyszeli odgłosów żadnych zwierząt. A może tylko mu się tak wydawało? Powoli wstali z łóżek. Stara akurat weszła do domu.

– Dzień dobry – przywitali ją równym chórem.

– Dobry, dobry. Małgorzatka już śniadała. Jadło na stole. Ja idę oprzątać. Smacznego. – Wzięła gar z pieca, obróciła się na pięcie i już jej nie było.

Jedli, radośnie ze sobą rozmawiając. Brudna jak nieboskie stworzenie Małgosia wpadła tylko na chwilę do izby, każdemu z nich dając soczystego buziaka. Marzena próbowała się oburzyć, widząc ubłoconą, poplamioną trawą sukienkę dziewczynki, ale mała była tak rozkoszna, że nie sposób było się na nią gniewać.

– Mamo, a wiedziałaś, że toaleta jest tutaj na dworze? – Nie czekając na odpowiedź, wybiegła na świeże powietrze.

– Szczęśliwe dziecko to brudne dziecko – zaśmiał się Mariusz, niechętnie odrywając się od żony. – Muszę iść zapytać, gdzie mogę załatwić paliwo.

Starą znalazł w chlewiku. Mieszała karmę dla świń. Małgosia

pomagała jej, zachwycając się małymi prosiaczkami.

– A to wy, panie, weźta lepiej rzeczy z auta, bo kilka dni tu pewnikiem zostanieta.

Zaniepokoił się, ale gdy zobaczył, że staruszka wydaje się być nawet zadowolona z takiego obrotu rzeczy, w głębi ducha się ucieszył. Przysiadł przy niej na zydelku i nie zważając na smród, który początkowo drażnił jego nos, słuchał jej słów.

Gdy wrócił do chaty, Marzena akurat rozczesywała włosy. Pomyślał, że dawno takiej jej nie widział: spokojnej, łagodnej, uśmiechniętej. Przeglądała się w małym, prostokątnym lusterku, poznaczonym plamami rdzy. Nie spieszyła się. Wpatrywał się w nią jak w obrazek. Już dawno nie myślał o niej dobrze. Zazwyczaj działała mu na nerwy. Była wiecznie niezadowolona, czepiała się wszystkiego. Czekał tylko, aż Małgosia podrośnie, by móc uwolnić się od żony. Teraz jednak był nią zachwycony. Jakby czas się cofnął. Przed nim stała kobieta, która skradła jego serce, dla której dałby się zabić.

– I co załatwiłeś? – zapytała, nie przerywając szczytkowania włosów.

– Tyle, że zostaniemy tu na dłużej. – Marzena odwróciła się gwałtownie. Jej twarz ściągnęła się w brzydkim grymasie. Mariusz w mgnieniu oka przypomniał sobie, dlaczego nie lubi żony.

– Coś się stało? – Powróciła do szczytkowania włosów. Znow była piękna i łagodna, przy tym urzeczona swoim odbiciem w lustrze. Mariusz wpatrywał się w nią, znow zafascynowany.

– I tak, i nie. Ten dom jest zupełnie odizolowany od cywilizacji. Rozmawiałem z tą babcią.

– Co mówiła?

Mariusz podszedł do żony, wyciągnął jej grzebień z dłoni. Dotknął jej włosów. Były takie miękkie, jedwabiste. Pachniały oszałamiająco. Zaczął je rozczesywać. Marzena lekko przymknęła oczy, zupełnie jak kot, wciąż jednak obserwując odbicie w lustrze. Byli piękni razem.

– Wieś jest zupełnie opustoszała. Jakieś dwadzieścia lat temu umarł czy wyprowadził się stąd ostatni mieszkaniec – oprócz naszej babci oczywiście. Nie ma tu prądu, gazu, woda jest ze studni. Niby wcześniej doprowadzono tu energię, ale gdy jakaś wichura przerwała trakcję, nikt nie przyjechał naprawdzić uszkodzeń. Babcia została tu jedynie ze swoimi zwierzętami. Mówiła mi, że kiedyś przyjechali z jakiegoś urzędu czy czegoś, chcieli ją oddać do zakładu opiekuńczego, ale się nie zgodziła. Tu jest jej miejsce...

– Starych drzew się nie przesadza...

– ... i chce tu zostać do końca życia. Raz w tygodniu przyjeżdża jakiś dostawca, przywozi potrzebne artykuły, zbiera zamówienie... I tak się to kręci. – Mariusz skończył, całując żonę w kark.

– Dziwne, że żaden ksiądz tu nie przyjeżdża. Starzy ludzie zazwyczaj są bardzo religijni.

– Powiedziała, że czarnej mafii przyjmować nie będzie. I że klechy to dopiero diabelski pomiot. – Roześmiał się, przypominając sobie wzburzoną twarz babki, gdy mu to mówiła.

– Czyli dopiero gdy ten dostawca przyjedzie, mamy szansę się stąd wyrwać? – Marzena odchyliła głowę, gotowa na kolejną pieśczołę.

– Na to wychodzi...

– A kiedy ma być?

– Wczoraj zabrał zamówienie. Pewnie za tydzień.

– Przepadną nam wczasy. – Przyłgnęła silniej plecami do klatki piersiowej Mariusza. Ten zaczął pieścić ją coraz odważniej.

– Nie szkodzi. Małgosi tu dobrze. Nam też będzie.

Kochali się w kuchni, odurzeni zapachem ziół. Byli spontaniczni, radośni, swobodni. Ani przez chwilę przez głowy nie przemknęła im myśl, że ktoś może ich najść. Mieli wrażenie, jakby skryli się w białej chmurze dymu, upojeni sobą nawzajem, rozpaleni, zachwyceni. Jakby świat poza nimi przestał istnieć, dopóki nie zaspokoją się sobą. Dym, aromat ziół, smak ich własnych ciał oszałamiały.

Ocknęli się, gdy usłyszeli szczekanie psa za oknem. Po chwili rozległ się śmiech córki. Z zaskoczeniem stwierdzili, że nastał już wieczór. Stara, dysząc, weszła do izby.

– Mam nadzieję, że miło spędziła dzień. – Uśmiechnęła się, łypiąc przy tym jedynym widzącym okiem.

Dni upływały tu spokojnie i leniwie. Małgosia niemal bez ustanku przebywała ze starą. Mała była zachwycona babinką, nie chciała odstępować jej na krok. Mariusz i Marzena mogli wręcz zapomnieć, że mają córkę. Okazję do rozmów z nią mieli właściwie tylko przy posiłkach. Lecz Małgosia pochłaniała jedzenie w jak najszybszym tempie, by móc pobiec i pomagać starej w gospodarstwie albo wychodzić z nią na długie spacer-y do lasu, by poszukiwać grzybów i ziół. Małżonkowie zachowywali się jak zahipnotyzowani. Istnieli tylko dla siebie, poznawali się na nowo. Krew im w żyłach wrzała, rozgorączkowani tonęli w zachwycie sobą nawzajem. Kochali się o każdej porze dnia i nocy. Zasmakowali w sobie, uzależnili się od siebie. To była magia.

Tego wieczoru zebrali się w czwórkę przy stole. Za oknem błyskawice rozcinały niebo, lał rzęsy deszcz. Pies piszczał przy drzwiach. Kot łasił się do nóg. Stara wyciągnęła chleb z wielkiego pieca. Tak ogromnego, że mógłby zmieścić się w nim człowiek. Na zapach świeżego pieczywa wszystkim popłynęła ślinka.

– Mamo, tato, a wiecie, że ten dom stał kiedyś na kurzej nóżce? –

Małgosia uporczywie, z ogromnym, dziecięcym zaangażowaniem głaaskała kota.

– Taaaak? – Mariusz nie mógł oderwać wzroku od żony.

– Tak, ale nóżka za bardzo wyschła i się zapadła. Dlatego nie ma tu piwnicy.

– Taaaak? – Marzena słuchała jednym uchem. Kot wyrwał się z dziecięcych dłoni. Małgosia westchnęła cicho, spoglądając na rodziców. Uśmiechnęła się i zerknęła na babkę. Ta wpatrywała się w Małgosię uważnie. Mała miała wrażenie, jakby ślepe oko starej potrafiło widzieć. Podbiegła do niej i przytuliła się z całej siły.

– Wiem, ty o mnie zadbasz. Ty nie pozwolisz mnie skrzywdzić nikomu. Nawet im.

Z błógiego odrętwienia Marzenę i Mariusza wyrwał grzmot. Deszcz uderzył w szyby ze zdwojoną siłą. Płomienie świec zakołysały się.

– Pani... – Mariusz uświadomił sobie, że pomimo niemal tygodniowego pobytu w tym miejscu nie zna imienia starej.

– Babciu! – krzyknęła Małgosia. Marzena zgromiła ją wzrokiem.

– Może być „babciu” – roześmiała się stara.

– Zatem pani babciu – Mariusz był lekko onieśmielony – już tyle czasu korzystamy z pani gościnności. Skoro jutro ma przyjechać dostawca, może uda nam się wyruszyć w dalszą podróż.

– Chyba wrócić do domu – wtrąciła się Marzena, uśmiechem rozjaśniając przestrzeń wokół siebie. Przynajmniej tak się Mariuszowi zdawało.

– Chcielibyśmy wiedzieć, jak się możemy z panią rozliczyć.

– Nie frasujta się! Nie pierwsi jesteście, coście się w tych stronach pogubili.

– Ale nie wypada tak... – Mariusz chciał nalegać, jednak stara wpadła mu w słowo.

– Uwierzta mi, zapłatę zostawicie. Każdy tu coś zostawił.

A ja temu kontenta będę.

Ten wieczór zdawał się wyjątkowy. Jedzenie smakowało lepiej, zioła pachniały mocniej, śmiech rozbrzmiewał głośniej. Gdy Mariusz kładł się tej nocy do łóżka, już smakując pot z ciała żony, myślał jednocześnie z żalem i radością o jutrzejszym wyjeździe. Powrót do codzienności będzie bolał. Lecz to małżeństwo da się uratować.

Następnego dnia około południa przed chatą stanął biały bus. Mariusz podszedł do kierowcy, chwilę rozmawiali, po czym wsiadł do dostawczaka i wyjechali. Wrócili po jakiejś godzinie. Gdy Mariusz poszedł pod las przelać paliwo z kanistra do baku własnego samochodu, Marzena zaczęła wkładać rzeczy do torby. Czowała, że coś jest nie tak. Jakiś ból, tęsknota złapała ją za serce. To miejsce tak na mnie działa. Będzie

mi go brakować – pomyślała.

Jeszcze nim wsiedli do auta, wyściskali starą serdecznie.

– Odwiedzimy panią w przyszłym roku, obiecujemy. – Marzena nie potrafiła oderwać się od babki.

– Wszyscy obiecują. Zgubić się tu łatwo, ale trafić trudno.

– Stara odwzajemniła uścisk, wpychając jej bochen chleba i pomidory na drogę.

– Ciągle mam wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy. – Mariusz nerwowo chodził od auta do chaty, rozglądając się wokoło.

– Pewnikiem tak. Przecież mówiłam, że każdy tu coś zostawia.

– No nic, najwyżej się wrócimy.

– Jeśli drogę tutaj odnaleźć się wam uda. – Stara łypnęła okiem. Marzena pomyślała, że jest w tym spojrzeniu coś złowieszczonego. Poczuli się nieswojo. To chyba jednak nerwy przed podróżą...

Wsiedli do samochodu. Ruszyli w stronę, z której przybyli. Urlop właściwie już im się kończył, morze zaczeka na nich rok. Ale gdzieś wewnątrz nich czaił się niepokój. Niezidentyfikowany, złośliwy jak wrzody żołądka.

– Mam wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy. – Mariusz nerwowo bębnił palcami o kierownicę.

– O czym znowu? – Marzena odezwała się lekko zirytowana.

– Nie wiem. Jakbym wiedział, tobym nie zapomniał. Albo bym się po to wrócił.

– Oczywiście, będziemy jeździć wte i wewte, bo masz jakieś urojenia. Mógłbyś raz kiedyś pomyśleć, a nie zwałać wszystko na mnie. Cała odpowiedzialność jest tylko moja. Ty jak zwykle niczego spałniać nie możesz. Nawet nad morze nie potrafiłeś trafić. – Marzena już nie była miła. Już nie była łagodna. Ani nawet piękna. Mężczyzna spojrzał na żonę. O, jakże jej czasami nienawidził! Wszystko potrafiła popsuć. Zabierała mu radość życia. Pół drogi będzie jazgotać, drugie pół – milczeć obrażona. Głupi babsztyl. Przy ludziach oczywiście gra cudowną, słodką do zepsucia zębów żonkę. Krowa. Jak mógł dać się namówić na wyjazd na te pieprzone wakacje?! Spojrzał na nawigację. Działała. Kierowali się w dobrą stronę. W milczeniu przycisnął pedał gazu.

– Pojechali... – Dziewczynka chwyciła się długiej spódnicy stojącej obok kobiety.

– Pojechali.

– I co teraz?

Kot podszedł do Małgosi. Ocierał się o jej nogę, mruczając przy tym z zadowolenia.



– Zaopiekuję się tobą. Od wieków dbam o dzieci, troszczę się o nie. Żadne przy mnie nigdy nie zostało ukrzywdzone. – Kobieta przytuliła Małgosię. Była piękna. Miałyby idealną twarz, gdyby nie szpeciła jej brodawka na brodzie i może zbyt haczykowaty nos. Ale i tak urzekła urodą.

– Wrócą tu?

– Trudno odnaleźć drogę do tego miejsca. – Kobieta poprawiła złocisty warkocz, który wysunął się jej spod chustki.

– Ale przecież tu trafili.

– Nie oni tu trafili, lecz ty ich tu przywiodłaś, by nigdy cię nie skrzywdzili.

– A przyjadą tu jeszcze?

– Jeśli uda im się odnaleźć drogę prowadzącą tutaj, to powrócą. Ale nie po ciebie. Jeno po ból, po krew, po nieszczęście.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Zapach ziół ją omamił.

## Marta Krajewska

# W czasie dodanym

Mówią, że gdy przytrafia nam się coś strasznego, czas staje w miejscu.

Z fizycznego punktu widzenia nie jest to możliwe, choćby dlatego, że czas miałby problem z rozpoznaniem, co jest dostatecznie przerażające i nie wiedziałby, kiedy zwolnić. Zapewne istnieją jeszcze inne, mądrzejsze powody, ale najprostszy jest właśnie taki – czas nie myśli i nie czuje. Natomiast ludzie – tak. Przynajmniej większość.

Zmysły wyostrzają się w chwilach zagrożenia wręcz niewyobrażalnie. W ułamkach sekund zauważamy miliony szczegółów, a myśli wybuchają w głowach jak supernowe. To nie czas staje w miejscu. To my przyspieszamy.

Tak właśnie wspominał wypadek Franek. Miał wrażenie, że w ciągu kilku sekund pomyślał więcej niż w ciągu ostatniego roku i w jego przypadku akurat mogła to być prawda. Nie zapamiętał wszystkiego, ale na zawsze pozostało mu wrażenie spowolnionego czasu.

To wydarzyło się tuż po świętach Bożego Narodzenia. Jechał do pracy na nocną zmianę, a jedyne, o czym marzył, to być w łóżku. Miał już blisko do fabryki, wyjechał właśnie z Tyńca na krętą trasę w stronę Skawiny. Znał każdy kamień na poboczu tej dziurawej drogi. Noc była ciemna i bezśnieżna. Nie spodziewał się zupełnie, że asfalt jest tak śliski. Odważnie wszedł w zakręt.

Naraz poczuł, że koła tracą przyczepność. Ratował się odruchowo, odbijając kierownicą w drugą stronę. Zapiszczały opony. Franek zaklął siarczyście, po męsku pokrywając lęk wściekłością.

W milisekundzie spadła na niego świadomość, że już nie wyprowadzi auta z poślizgu. Ciało jeszcze walczyło z prawami fizyki, jeszcze wciskał pedały i szarpał kierownicą, ale umysł już wiedział. W głowie pojawiła się spokojna myśl: w ciągu następnej chwili możesz przeżyć lub umrzeć. Przygotuj się. Przed tobą barierka. Uderzysz w nią. Oby wytrzymała, bo dalej jest przepaść.

Teraz. Będzie boleć. Uderzył.

To nie był pierwszy wypadek Franka. Dobrze znał to uczucie, gdy rozpędzony pojazd wytraca prędkość do zera. Nienawykłe do takich przeciążeń ciało zdaje się wtedy rozrywać na części. Pęd wyciska powietrze z płuc, mięśnie tężeją i na moment stajesz się jednym, wielkim, skupionym na so- bie cierpieniem.

Kangoo trafiło w barierkę i posunęło po niej. To złagodziło impet zderzenia. Do pisku opon dołączył zgrzyt gnącej się blachy. Rozbite reflektory zgasły.

Nie było tak źle – rozbłysło w głowie Franka. Wtedy właśnie auto zaczęło się przechylać.

Dobra – pomyślał chłopak nad wyraz optymistycznie – jeszcze tylko dachowanie.

Życie nie przeleciało mu przed oczyma. Może dlatego, że ani przez moment nie brał pod uwagę najgorszego. Śmierć nie była opcją. Jeszcze nie teraz.

Byle tylko nic nie wyjechało z za zakrętu – przemknęło Frankowi przez głowę.

Auto przewróciło się na bok, a potem na dach. Przednia szyba pękła, ale się nie rozsypała. Chłopak zdążył zauważyć ten zaskakujący fakt. Jego umysł nigdy nie był tak bystry jak wtedy. Z tylnej kanapy poderwały się puste puszki po napojach, stare „Auto-Światy” i cała masa śmieci, na posprzątanie których Franek nigdy nie miał czasu. Zza siedzenia kierowcy wyskoczyła gaśnica. Z brzdękiem uderzyła w dach tuż przy głowie chłopaka.

Zdążył zarejestrować także to.

W następnej chwili pusty termos po kawie wystartował z siedzenia pasażera, jak gdyby szykując się do ataku.

\*\*\*

Franek zawsze był szczęściarzem.

W jego rodzinie powtarzano opowieść o dzieciach, które umierały tuż po przyjściu na świat. Dziewczynkom udawało się przeżyć, jednak chłopcy byli za słabi. Dopiero Franek urodził się w czasach, gdy przypadłość tę można już było zdiagnozować. Rodowe przekleństwo okazało się wadą serca, i to w pełni wyleczalną.

Franek, chłopiec obciążony „złym dziedzictwem”, przeżył jako pierwszy.

Wszystko przychodziło mu łatwo. Za łatwo nawet. Rozleniwił się przez to okrutnie. Rodzice go rozpieszczali. W szkole najpierw szło jak po maśle, a gdy w liceum zaczęły się schody, po prostu przestał się przejmować. Ostatecznie nie zdał matury, nie poszedł na studia i nie został kimś wielkim, jak chcieli rodzice. Wada serca zapewniła mu ucieczkę od wojska. Pracował przy taśmie produkcyjnej i miał gdzieś awanse. Tu przynajmniej nie trzeba było się wysilać, mógł myśleć o niebieskich migdałach albo rechotać z kolegami ze świńskich dowcipów. Pieniądze regularnie trafiały na konto, a po to przecież chodzi się do pracy.

Niczego mu nie brakowało. Żył tak, jak chciał.

Zaliczył już dwa wypadki samochodowe – jedna czołówka i jedno drzewo. Za każdym razem był pasażerem i za każdym wychodził z nich bez szwanku.

– Istniejesz w czasie dodanym – powiedział mu kiedyś młodszy brat. On też urodził się z wadą serca i każdą życiową decyzją starał się udowodniać światu, że ocalenie go miało głębszy sens. – Nie powinno cię tu być, a jesteś – przekonywał czasami Franka. – Może ma to jakiś głębszy sens, co? Weźże się za siebie. Nie przesraj życia.

Franek rozumiał to po swojemu – życie jest zbyt ulotne, by tracić je na wyścig szczurów. Nie ma sensu planować, co będzie za rok, nie ma sensu odkładać ważnych spraw na jutro, bo dziś wieczorem może cię trafić zabłąkana kula albo nóż dresa w ciemnej uliczce.

Ewentualnie, możesz wpaść w poślizg na znajomej trasie, gdy czujesz się błogo, spokojnie i bezpiecznie.

\*\*\*

Termos nie trafił, a auto zatrzymało się sekundę potem. Franek zawisnął do góry nogami, ciesząc się, że Kangoo jest na tyle wysokie, że zgnieciony dach nie zmiażdżył mu karku. Podparł się ręką i wypiął pas. Po omacku wyczołgał się na asfalt. Otaczały go ciemność i cisza. Niebo było wyblęszczone, a księżyc świecił jasno. Chłopak wiedział, że za chwilę ktoś powinien się pojawić.

– Kau! – odezwał się niespodziewanie czarniejszy fragment otoczenia.

Franek wysilił wzrok i dostrzegł ptaka siedzącego na pogiętej barierce, nie dalej niż trzy metry od niego.

– O, kurwa... – jęknął, gdyż był to najbardziej upiorny widok w jego życiu.

– Kau! – powtórzył ptak i przysunął się o jeden podskok. Franek natychmiast namacał na ziemi kamień i rzucił. Trafione ptaszysko poderwało się z wrzaskiem, ale po chwili przysiadło z powrotem.

– Kau! – zaskrzeczało oburzone.

W tym momencie z za zakrętu wyłonił się samochód, oświetlając reflektorami rozbite Kangoo, smętnie tkwiące kołami do góry w poprzek drogi, Franka z wybałuszonymi w szoku oczami i przycupniętego na barierce ptaka.

Z piskiem opon auto zatrzymało się i troje ludzi otoczyło chłopaka, zasypując go pytaniami.

– Nic mi nie jest – odpowiedział półprzytomnie. – Widzieliście tego kruka? Jak w jebanym horrorze o tym koleśku, co się malował na klauna...

Zapadła chwila ciszy i konsternacji.

– Może niech pan usiądzie – zaproponowała młoda kobieta.

– Mąż już wezwał pogotowie.

Służby przyjechały nadspodziewanie szybko. Zjawiła się również policja, a młodszy funkcjonariusz był tak denerwująco podniecony zdarzeniem, że Franek miał ochotę wyrznąć go w zęby.

Zbadano go w karetce, ale okazało się, że nie ma nawet najmniejszego siniaka. Nie było potrzeby jechać do szpitala. Franek nie chciał, a ratownicy nie nalegali.

Ogarnięcie powypadkowego chaosu zajęło większą część nocy. Franek zadzwonił po swojego brata Staszka. Ten przyjechał, jak zwykle opanowany i rozsądny.

Przez cały czas upiorny ptak pojawiał się to tu, to tam, obserwując Franka znacząco. Ten widział zwierzę kątem oka, ale starał się nie patrzeć. Kruk przyprawiał go o ciarki. W końcu, gdy pocziwy „kangur” odjechał na lawecie, Franek został sam na sam z bratem i dziwnym ptaszyskiem. Świała lanosa rozpraszała noc.

– Stary. – Franek trącił Staszka łokciem. – Weźże oblukaj... Jest tam ten kruk, czy mi się już pojechało we łbie?

Młodszy powiódł spojrzeniem za jego wzrokiem, a potem z niepokojem popatrzył na Franka:

– No, jest. Kawka, nie kruk, tumanie.

– Nieważne. Ale jest. I gapi się na mnie, odkąd wylazłem z auta.

– Co ty? Kawka?

I wtedy Franek wybałuszył gały i rozdziawił usta, bo dotarł do niego jeszcze jeden głos:

– Wciórności, nic nie pojmuję, durnota...

Wyraźnie usłyszał kobiecy głos w swojej głowie, a ponieważ nikogo innego z nimi nie było, musiał to być głos kawki.

– To gada! – wrzasnął, odruchowo cofając się o krok.

– Nie może być! Usłyszał! – Ptak, podniecony, podskoczył na barierce i żwawiej przekrzywił łebek. – Słuchaj waść, bo...

– Ja pierdołę!

– Miarkujże słowa!

Franek zaniemówił, a Staszek, przerażony, chwycił brata za ramiona i potrząsnął:

– Ej, weź nie rób jaj! To tylko ptak. Kawka potarła główką o skrzydło.

– Ostaw go, chłopcze. Dyc za bogów nie da wiary w mo- je gadanie.

– Ja pierdołę! – wrzasnął znów Franek. – Gada, tylko nawijki nie mogę skumać! Dziwaczy strasznie.

Staszek znów zaczął go uspokajać, a kawka, najinteligentniejszą

będąc z całego towarzystwa, pomyślała chwilę i w końcu rzuciła:

– Może... Spróbujemy współczesnym gad... mówić? I ja, i ty? Tak? Czy teraz rozumiesz? O, zdaje się, że tak. No więc, on nie uwierzy, że rozmawiasz z ptakiem. A ja nie mam czasu go przekabacać. Jesteś teraz inny – przebudzony. Moc swoją musisz odkryć i pomóc mi. Tak?

Mówiła jak do trzylatka, dużymi i wyraźnymi literami. Franek gapił się na nią z przerażeniem, a gałki prawie mu wypadły z oczodołów. Staszek zaczął się bać, że brat oszalał po wypadku.

Z drugiej strony, kawka wciąż siedziała na barierce i patrzyła na nich dziwnie. Staszek był dzieckiem miasta, ale nawet on wiedział, iż tak nie powinno być.

– Spadajmy stąd, brat. – Pociągnął Franka za ramię, w stronę samochodu.

Widząc wahanie chłopaka, ptak przestąpił w miejscu.

– Jedź, jedź – polecił. – Odpocznij krzyń. Znaczy... trochę. Przylecę do ciebie. Wiem, gdzie cię szukać. A mocy się swojej nie przestrasz! Sama nie wiem, co właściwie ci się dostało, ale pewnikiem łącno przywyknąć nie będzie.

Po tych słowach podskoczyła i, machnąwszy czarnymi skrzydłami, odleciała gdzieś w okryte ciemnością tynie-ckie lasy.

Co miała na myśli, Franek zrozumiał pół godziny później, gdy lanos Staszka wtoczył się do Krakowa. Było już dobrze po siódmej i miasto zaczynało tętnić codziennością, mimo że grudniowy poranek ledwo się rozjaśniał.

Światła zatrzymały ich na Monte Cassino, tuż przed rondem Grunwaldzkim. Franek wciąż myślał o gadającym ptaku i o wypadku. To dachowanie, dosłownie i w przenośni, przewróciło jego świat do góry nogami.

Przyglądał się tępo stojącemu na sąsiednim pasie passatowi. Kierowca sięgnął po coś na siedzenie pasażera, a potem wyprostował się. Jego twarz na ułamek sekundy zmieniła się w ohydny pysk wilkołaka.

Franek głęboko wciągnął powietrze, gotowy krzyknąć z przerażenia, gdy potwór spojrział wprost na niego. Szczęśliwie wtedy właśnie światło zmieniło się na zielone i Staszek ruszył, zostawiając passata za sobą.

Przez całą Dietla starszy brat uspokajał oddech, desperacko starając się znaleźć wytłumaczenie. Nie znalazł.

Do kamienicy na Miodowej dotarł, rozglądając się podejrzliwie dokoła.

– Dasz se radę? – spytał Staszek, wychylając się z auta.

– Spoks. Jedź do Basi – odparł chłopak, siłąc się na pewność siebie.

Żona Staszka miała niedługo urodzić. Niestety, wszystkie znaki na

niebie i ziemi wskazywały, że mały przyjdzie na świat z wadą serca. Lekarze brali nawet pod uwagę operację tuż po porodzie i cała rodzina żyła ostatnio tylko tym jed- nym zmartwieniem.

Franek tymczasem miał od dziś swoje własne.

Gdy dzień na Kazimierzu rozkręcał się, chłopak leżał na kanapie z butelką piwa i rozmyślał, wbijając wzrok w absurdalnie wysoki sufit mieszkania.

Jeżeli kawka ma rację – a ma, ponieważ zaczął widzieć jakieś dziwne rzeczy – to oznaczałoby, że posiada jakieś supermoce, które powinien rozpracować. Może kiedy stracił przytomność po wypadku, ugryzł go pająk?

Spojrzał na nadgarstek, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Na wszelki wypadek machnął ręką, celując w okno. Sieć nie wystrzeliła z dłoni.

Zawiedziony, zaczął zastanawiać się nad innymi możliwościami. Z potworów znał tylko wilkołaki i wampiry. Jęknął w duchu na myśl o tym, że mógłby lśnić w słońcu jak ten pedalski koleś z wklęsłą twarzą... Z wilkołakami już lepiej, ten drugi był przynajmniej jakoś zbudowany.

No dobra, był zbudowany lepiej, niż Franek kiedykolwiek będzie, ale to na pewno hollywoodzka ściema.

Czym jeszcze może być?

Tym koleżką od kruka, co umarł i wstał. Klepał wszystkich złych, ale o co tak na serio chodziło, Franek nie pamiętał. No i miał nadzieję, że nim nie jest, bo tamten był w sumie trupem.

No właśnie, może jeszcze być zombie. Albo jakimś wirusem, który spowoduje apokalipsę. Ale czuł się całkiem zdrowo i myślał dość intensywnie, a te paskudy na filmach potrafiły tylko ślinić się, wybałuszać gały i wpieprzać ludzi.

Zastanowił się dłuższą chwilę. Nie. Nie był głodny.

Za to stanowczo przydałoby się jeszcze kilka piw dla rozjaśnienia umysłu. Wstał więc z kanapy i zamyślony ruszył do sklepu. Ledwie wyszedł z klatki, gdy wbiegły na niego dzieciaki, przebrane za diabełka, turlonia i inne stwory.

Koleđnicy – pomyślał, odprowadzając wzrokiem roześmianą grupkę.

Zaraz potem diablątko odwróciło się, wyszczerzyło ostre kły i błysnęło czerwonymi oczyma. Franek zrozumiał, że nie patrzy na przebierańców. Serce załomotało, omal nie wyskakując mu z piersi.

Widząc przerażenie na twarzy mężczyzny, diablątko zachichotało i, machnąwszy ogonem, pobiegło za przyjaciółmi.

Franek pędem zawrócił do mieszkania. Aż tak nie potrzebował tego piwa. Zresztą, w szafie z ubraniami miał zachomikowaną niedopitą, święteczną wódkę. Nada się nawet lepiej.

Wpadł do pokoju i zaczął szperać między bluzami i koszulkami, skotłowanymi w odwiecznym chaosie kawalerskiej szafy. Nim dotarł do butelki, usłyszał stukanie w okno. Na parapecie siedziała kawka, wyczekująco przekrzywiając łebek.

Franek wpuścił ją do środka z ogromną ulgą, że wreszcie nie jest sam.

– Co jest?! – wrzasnął, dając upust całej panice i frustracji. – Widzę jakieś potwory na ulicach! I gadające kawki na dodatek! Co to za siara?!

Ptak usiadł wygodnie na oparciu jedyne go krzesła w pokoju. Wydawał się zadowolony, choć trudno powiedzieć, po czym można to było poznać. Odczekał spokojnie, aż mężczyzna wyrzuci z siebie cały strach oraz litanię przekleństw, po czym powiedział:

– Aha!

Franek zamilkł, zdeorientowany.

– Co, „aha”? Jakie „aha”? Nie odpierdalaj maniany, wrono, bo cię na rosół przerobię! Co mi się stało?

Gdyby kawki potrafiły wzdychać, ta właśnie by to zrobiła.

– Upraszam o wyrażanie się, bo kiedyś wzburzony, przestaję pojmować twe słowa. Musimy starać się porozumieć, nie- prawdaż?

– Prawdaż! Nie ściemniaj, tylko naw... mów mi, czemu cię słyszę.

Rozmówczyni zakołysała się na boki na chudych nóżkach.

– A więc, było to za księcia Probusa...

– Co? Co ty mi tu bajkę zaczynasz opowiadać, czy ki pieron? – zirytował się Franek.

– Nie... Historię swoją próbuję przekazać – odparła, zbita z tropu. – Zaklęta jestem, jak rycerze księcia Henryka.

– Weź nie pierdol! – parsknął mężczyzna. – Nie było takiego księcia!

– N...nie?

– Nie. Był Mieszko, Bolko, kurwa... Stanisław Warneńczyk, Krak. I jacyś tam jeszcze. Ale o żadnym Henryku nie słyszałem, a historię bardzo w gimnazjum lubiłem. W ogóle nie miałem zagrożenia. Ani razu – zakończył dobitnie.

Kawka milczała chwilę, pewnie pod wrażeniem tego sukcesu polskiego szkolnictwa. W końcu jednak wróciła do przerwane go wątku:

– Był. Wierzaj mi, był taki książę i to tu, w Krakowie. Miał dobre plany, jeno zły sposób znalazł, by je ziszcic. Poprosił o pomoc Ptasia Wiedźmę, do miasta ją sprowadził, ale oszukała go.

– Jaaaaasne... – mlasnął znacząco Franek, nie do końca przekonany.

Wygugluje sobie później tego Henryka. Jak tylko skończy rozmawiać z gadającym ptakiem.

– No, a tobie co się stało?



– Ach, wszystkiemu winna zazdrość. Byłam służką na książęcym dworze. Serce oddałam innemu słudze, niezwyklej urody, męznemu młodzianowi... Niestety księżę przydzielił go Ptasiej Wiedźmie, a ona wybrała go na kochanka. On nie chciał, mimo że piękna była. Wiedźma nasza nas na... schadzce.

– Nie wiem, gdzie to jest. – Pokręcił głową Franek. – Mówże normalniej, ptaku.

– Na spotkaniu – poprawiła się kawka. – Na randce, tak? Zobaczyła nas i postanowiła ukarać Witka, a mnie usunąć z drogi, zamieniając na wieki w kawkę, jak rycerzy książęcych w gołębie. Oni dotąd po rynku latają, okruchy dziobią, a ja bez domu i rodziny tkwię w nieskończoności, nie mogąc umrzeć.

– No dobra, ale co to ma ze mną wspólnego? – spytał chłopak wprost, nie siląc się nawet na współczucie.

– Ano, ma. Mój Witko zemścił się na czarownicy. Zwabił ją do kościółka świętego Benedykta na Krzemionkach i tam uwięził, sam w tej walce życie oddając. Ona wciąż tam jest, a jej duch trzyma mego ducha na tym łez padole. Wasza rodzina przestanie cierpieć dopiero wtedy, gdy się wreszcie przeznaczenie nasze wypełni.

– Moja rodzina?

– Tak. Przecie Witko był twoim przodkiem! Wasza choroba to znak jego pękniętego serca. Sam nie mógł ubić wiedźmy, więc przysiągł, że rodzina pomści nas obydwój i skończy to, co on zaczął. Ale Ptasia Wiedźma miała potężną moc. Za Witkowym przekleństwem posłała swoje. Łamała wasze serca i tylko dziewczynkom pozwalała żyć. Z chłopców, co mają w sobie krew Witka, dopiero ty ocalałeś! Jakże mnie to zdziwiło, nawet sobie nie wyobrażasz. Podążam za tobą, odkąd byłeś dzieckiem, ale teraz dopiero usłyszałeś mój głos. Wreszcie, gdy o śmierć się otarłeś, obudziła się twoja moc. Znak to, że jesteś gotowy, by tę historię zakończyć.

Franek prychnął tylko, nie dowierzając.

– Już leczę. Idźże, ptaku, z taką bajką dla dzieciaków. Nic się kupy nie trzyma.

– Kiedy to prawda! Po cóż bym miała kłamać, wszak uwolnić się chcę. Pomyśl! Gdy zdejmiesz klątwę z rodu, wasze dzieci będą rodzić się zdrowe! Wiem, że brat twój spodziewa się syna. Możesz dziecku dać nowiusieńkie serce! Nie będzie chory. Pomyślże!

Tu trafiła celnie. Franek, choć niezbyt się rodzinie udał, za brata dałby się pokroić. Pieniądze, kariera, szkoły czy dziewczyny, nic nie było dla niego dość ważne, żeby temu życie podporządkowywać. Ale rodzina – to świętość. Cały swój czas dodany poświęcić mógł dla rodziców i Staszka.

I właśnie to wyzwanie musiał podjąć.

– No dobra – mruknął w końcu. – Tylko nie wiem, cykam się nawet na pole wyjść, bo widzę jakieś straszne stwory. Nie wiem, czy dam się radę z wiedźmą, skoro prapradziadek nie poradził.

– Spokojnie! – zaplegotała podekscytowana kawka. – To, że zmysły masz wyostrzone, tylko ci w walce pomoże. Gdyby nie to, ani mnie byś nie słyszał, ani wiedźmy byś nie zobaczył. Wy już teraz potworów nie rozpoznajecie. Za bardzo uwierzyliście, że ich nie ma i nawet jak jakiś stanie przed wami, nie chcecie poznać prawdy. Udajecie, że nie istnieją. Takie cza- sy. Bezpieczeństwo rozmiękczyło ludzi straszliwie.

Franek poczuł się jak na lekcji, gdy polonistka rozpoczynała monolog o złej młodzieży. Tak samo jak wtedy odpłynął w połowie wypowiedzi i tylko patrzył na ptaka, podskakującego w emocjach na oparciu krzesła.

– Dobra, to co mam robić? – przerwał jej w końcu.

– Och, to zupełnie proste – odparła. – Wiedźma nie ma już wiele mocy. Czeka na śmiałka, co ją oswobodzi od klątwy. Musisz wypełnić zadanie, które ci da, bo wtedy na powrót stanie się człowiekiem. W tej chwili ubijesz ją i wszyscy będzie- my wolni!

\*\*\*

Najmniejszy kościółek Krakowa stoi na wzgórzu Lasoty. Niedaleko stąd do kopca Kraka, na którym co rok, w pierwszy wtorek po Wielkanocy, obchodzi się Rękawkę. Franek bywał tu kilka razy przy tej okazji. Nie wiedział, co prawda, że świątynia nosi imię Benedykta, ani tym bardziej kim ten człowiek był, ale kojarzył miejsce, o którym opowiedziała kawka. Sam ptak został na Miodowej, by swą obecnością nie wzbudzić podejrzliwości wiedźmy.

Noc była mroźna. Miasto wciąż zdobiły jaskrawe dekoracje, ale bez białego puchu nie spełniały zadania. Hej, święta! Święta! – zdawały się krzyczeć. – Zobaczcie, jak świątecznie! Prawda, że świątecznie? Mamy gwiazdki i choinki, więc nie pomylicie z Wielkanocą! I Sylwester za chwilę, czy już czujecie ten nastrój?! Hej, rączki w górę! No, nie bądźcie tacy sztywni!

Ale bez śniegu to po prostu nie było to.

Franek dotarł na wzgórze prawie po omacku, ze wzrokiem wbitym w chodnik pod stopami. Nie chciał się rozglądać, by przypadkiem znów nie zobaczyć jakiegoś stwora. Czasem, gdy ktoś go mijał, zdawało mu się, że słyszy chichot albo szept, ale nie podnosił głowy. Oczywiście wcale się nie bał, tylko po prostu nie mógł się rozpraszać przed zadaniem swojego życia.

Był wczesny wieczór, gdy zjawił się na placu na wzgórzu Lasoty. Już z oddali dostrzegł jaśniejszą plamę na tle brunatnego krajobrazu. Gdy

podszedł bliżej, plama ta okazała się młodą kobietą w bieli, siedzącą smętnie na schodkach przed kościółkiem. Brodę oparła na przedramieniu i bez ruchu wpatrywała się w nadchodzącego mężczyznę. Dopiero gdy był już kilkanaście kroków od niej, ożywiła się nieco i wstała.

– Ty... – przemówiła zachrypniętym, choć przyjemnym dla ucha głosem. – Ty patrzysz na mnie?

Franek zatrzymał się i skinął:

– No. Nie za zimno tak w sukience popylać? – Zagrał rolę nieświadomego przechodnia. – Z bidula zwiłaś, czy jak?

– Dyc oczom nie wierzę! – Ucieszyła się kobieta. – Od lat już nikt mnie tu nie dostrzega! Duchem księżniczki jestem, od wieków uwięzionym w murach tej świątyni! Dalej jak na te schody wyjść nie mogę. Błagam, uwolnij mnie, cny śmiałku, a złotem cię obsypię!

Wyrzuciła to jednym tchem, jakby się bała, że nim skończy mówić, męczyzna odejdzie, zostawiając ją w samotności.

– Księżniczki? – powątpiewał Franek. – Weź, nie ściemniaj. Księżniczki nie mieszkały w kościołach. Teraz wszyscy na Disneyu wychowani, nikt ci w takie babole nie uwierzy.

Kobieta potrząsnęła na wpeł przezroczystymi włosami.

– Nie wiem, czym zacz jest disnej, młodzieńcze. Nie mówię, że tu mieszkała, jeno że mnie tu uwięziono! A ty, właśnie ty, możesz mnie oswobodzić od klątwy!

Franek udał, że się waha. Zaplótł ręce na piersi i z ukosa spojrział na piękną wiedźmę.

– No nie wiem... Jak znam życie, to będzie niebezpieczne, a na koniec dostanę jakąś omdlewającą gąskę za żonę. Ja co tydzień na dysce mogę mieć takich dziesięć!

– Gąski na desce...? Na bogów, nic z tej dzisiejszej mowy nie pojmuję – mruknęła zagubiona wiedźma, a głośniejszym głosem powiedziała: – Nie mam żadnego inwentarza, młodzieńcze. I nie w drobiu ci będę wynagradzać, a w szczerym złocie!

To się Frankowi spodobało. Nie szkodziło przecież, przy okazji bohaterskiego czynu, zarobić kupę kasy na utrzymanie do końca życia. Głupi by był, gdyby taką szansą pogardził.

– Ale nie dowiem się potem, że prawdziwym skarbem jest przyjaźń, czy coś tam? – spytał podejrzliwie.

– Nie! O najprawdziwszym złocie prawie! Bogaty będziesz! A zadanie wcale niebezpieczne nie jest, jeno wszystkich reguł trzymać się musisz.

– OK, spoks. – Wzruszył ramionami.

Widząc minę kobiety, westchnął pod nosem i dodał:

– Dobrze. Przemawiaj.

– Och, jakżem rada! – Klasnęła w dłonie. – Posłuchaj zatem: dam ci teraz mieszek dukatów, a ty wydasz go dziś w nocy, nim kur pierwszy zapieje. Możesz go przejeść i przepić, ale na nic innego poza jadłem i napitkiem wydać złota nie możesz. Żadnych zbytków na przyszłość, wszystko rozpuść, jakby ci na bogactwach nie zależało ani trochę. Jeśli zaś do świtu uda ci się to uczynić, wtedy mnie od klątwy uwolnisz, a dla siebie stokrotność przepuszczonej sumy zyskasz. Do końca życia pławić się będziesz w bogactwach!

Uśmiechnęła się przepięknie, a w jej dłoni pojawiła się spora sakiewka, dźwięcząc sugestywnie. Franek wziął ją i natychmiast otworzył, bo w życiu nie miał w rękach kwoty większej niż kilka tysięcy. A i to tylko wtedy, gdy wypłacił wszystkie oszczędności, żeby kupić samochód.

– No, chyba se jaja robisz, laska! – zachnął się, widząc monety. – I co ja se mam z tym zrobić? To jakieś starocie są, kurwa! Do muzeum se to zanieś! Lombard tego nie przyjmie, a co dopiero knajpa!

– Och, prawda! – opamiętała się wiedźma. – Pokaż no mi, jakich to pieniędzy teraz używacie. Ci poprzedni co i rusz inne przynosili. Tylko cenne jakieś pokaż. Co tam masz?

Franek wynalazł w portfelu dwieście złotych. Aż sam się zdziwił, że posiada tak duży nominał. Księżniczka obejrzała go ciekawie.

– Hm... – Zastanowiła się. – Wiele za to kupisz wołu? Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Ja wiem? Jestem kawalerem, nie stać mnie. Głównie kurczaki kupuję. Wołowina droga jak fiks! Gdzieś w hipermarkecie to czasem się trafi jakiś szponder, ale to mama musi zrobić, bo ja to...

– Przestań, przestań już! – prawie wrzasnął duch, po czym dorzucił łagodniej: – Cny śmiałku. Dobrze, dam ci zatem po prostu dużo takich. Wydaj je wszystkie.

I jak za dotknięciem magicznej różdżki, Franek miał nagle w rękach płócienny woreczek pełen dwusetek. Z miejsca rzucił się do liczenia.

– A, słuchaj no – zagadał w międzyczasie. – A jak to takie łatwe, to czemu się tym poprzednim nie udało?

– Ano, jeden kupił sobie futro, drugi na kobiety rozpuścił, następny nie wydał wszystkiego... no i umarło im się.

– Co?!

– Jeśli świt cię zastanie z pieniędzmi, padniesz martwy, a ja dalej uwięziona będę!

– A, to nie mogłaś o tym wspomnieć na początku?! – wrzasnął Franek. Duch zaczął się rozmywać, odchodząc w stronę drzwi ko-ścioła.

– Wydaj wszystko, nie popełniaj ich błędów. – Wiedźma uśmiechnęła się przez ramię. – Do zobaczenia o świcie!

Po czym Franek został sam na wzgórzu Lasoty. Zrobiło się jakby ciemniej i bardziej ponuro. Chłopak zaszył się w krzakach nieopodal i, przyświecając sobie komórką, skoń- czył liczyć pieniądze.

– Dziesięć tysiaków... – wyszeptał. – W jedną noc. Kurwa, nie przepiję tyle...

Wygramolił się spomiędzy gałęzi i powlókł na przystanek tramwajowy na Limanowskiego. Była prawie dwudziesta.

Czekając na tramwaj wygooglował w telefonie: „najdroższa restauracja kraków”. Przerzucił jakieś rankingi, klnąc w duchu na Internet w swojej motoroli. Wyglądało na to, że drogich miejsc w mieście jest sporo. Coś mu świtało, że to Wierzynek uchodził za niesamowicie ekskluzywny. Trzeba będzie to dziś sprawdzić. Jakby nie było – wreszcie jest okazja.

Podniósł wzrok znad telefonu i uśmiechnął się do siebie. Wtedy zauważył gołębia, przycupniętego pod wiatą przystankową. Pióra miał nastroszone i najwyraźniej spał albo nie żył. Franek zawsze miał słabość do gołębi – najpiękniejsze wakacje życia spędził u wujka na wsi, dogłądając z nim pasieki i gołębnika.

Schował motorolę i podszedł do ptaka. Nie uciekał, więc chłopak ostrożnie podniósł go z ziemi. Dopiero wtedy gołąb uchylił jedno oko.

– Ssso siem dzieje? – Starał się skupić na Franku charakterystyczne dla gatunku, obłąkańcze spojrzenie.

– To gada! – sapnął zaskoczony mężczyzna, po czym oprzytomniał: – No tak, jakżeby inaczej. Coś ci jest? Coś boli?

– Jeno życie! – jęknął ptak i głowa opadła mu bezwładnie na lewe skrzydło. – Dość już mam tej poniewierki! Nawet umrzeć w spokoju nie można!

– U-hu! – zagruchał drugi gołąb, lądując na daszku wiaty. Za nim nadlatywały kolejne. – Proszę nie zwracać uwagi na kolegę. Znalazł kilka czekoladek z wiśniami w likierze i wydziobał wszystkie owoce. Niedługo powinno mu przejść, tylko musi się wyspać. Pan go rzuci tam, gdzie leżał. To jego stałe miejsce.

Franek odłożył ptaka, już nawet się nie dziwiąc. Zaczynał powoli przyjmować tę szaloną rzeczywistość taką, jaka była.

– Ale, ale! – zaciekawiał się gołąb na daszku. Coś w jego postawie sugerowało sumiaste wąsy i zamiłowanie do koni i bitew. – Cóż to sprawia, że nas pan rozumiesz? Czar jakiś? Bo jak tu kilkaset lat fruwać, tak pierwszy raz mi się zdarza taka przygoda... nie licząc tego wilkołaka, jak mu było? Już wiem – Matejko! A ty, zdaje się, jesteś zwykłym człowiekiem! No, chyba że jakiś księżę zaklęty? Hę?

Franek otworzył już usta, żeby jakoś spróbować wytłumaczyć całą sytuację, ale ptak najwyraźniej jeszcze nie skończył napawać się faktem,

że nareszcie może się komuś wygadać.

– Książę Henryk to był dopiero... książę! Nie jesteś jakimś potomkiem jego, co? Szkoda, że nas przehandlował za złoto. No, ale też nie ma mu się co dziwić, skoro częściej nas w karczmach widywano niż na zamku. Ziemkowi do dziś zostało. – Przekrzywił głowę, by jednym okiem łypnąć na zasypiającego, pijanego towarzysza. – Książę oddał nas Ptasiej Wiedźmie, a ona przepadła niedługo potem. Odtąd latamy tu i latamy, i już głupiejemy od tego. Staramy się za czasami nadażać, nawet języka się uczymy... ziom... ale ileż można okrucy dziobać!? No, a widać, wiedźma jeszcze żyje, bo jakby zmarła, to i nam by wreszcie odejść było wolno.

– O świcie ją ubiję – wtrącił się wreszcie Franek. Podziałało – ptak się zamknął. Zamilkł z wrażenia i mrugnął z zastanowieniem.

– A to ciekawe. Opowiedz mi coś więcej o tym, mło- dzieńcze...

Więc Franek opowiedział i przez to przepuścił jeden tramwaj. Ale nawet nie żałował. Gołębnie tak się podekscytowały wizją śmierci czarownicy, że postanowiły przez całą noc oka ze swego nowego bohatera nie spuszczać.

Tymczasem chłopak pojechał wreszcie na Rynek i rozpoczął wydawanie pieniędzy. Zaczął od „Pod Różą”, gdzie zamówił wszystko, co tylko było najdroższego w karcie. Ku jego zmartwieniu, kolacja z przystawkami i deserem nie kosztowała więcej niż pięćset złotych. Szczęśliwie okazało się, że hotel posiada osobną winiarnię. I tak, popijając wino za ponad tysiąc sześćset złotych, Franek stwierdził, że właśnie stoi przed nim jego miesięczna wypłata w butelce. Ta myśl nieco go przygnębiła, więc wychylił jeszcze kieliszek.

Alkohol, pity na pełny żołądek, nie uderzał zbyt szybko do głowy. Franek wlał w siebie, ile tylko mógł i lniany woreczek z pieniędzmi zrobił się dużo lżejszy.

Przechodząc przez płytę Rynku do „Wierzynka”, mężczyzna odwracał wzrok, napotykał mieniące się twarze potworów. Kreatury poruszały się między rozbawioną młodzieżą i rozanielonymi turystami, jakby nigdy nic. Franek nie znał się na nich i nie wszystkie potrafił rozpoznać. Ale tym bardziej serce ścisnęło mu się ze strachu.

Musiał się jeszcze napić.

Maszkarony z Sukiennic odprowadziły go wzrokiem aż do niepozornych drzwi restauracji u Wierzynka.

– Jakiś dziwny, co? – spytał jeden.

– No. Zupełnie jakbym młodego od Witkiewiczów widział... Pewnie jeden z tych wyjątkowych. Byle mu na tle chochołów nie odbiło, to może jakoś pociągnie, biedaczysko.

Tymczasem Franek wszedł do najstarszej restauracji w mieście

królów. Rozczarował go brak przepychu, bo spodziewał się ścian ociekających złotem jak w bajkach o księżniczkach. I do tego te schody... po pijaku byłoby trudno.

– Proszę podać, co macie najdroższego – zażyczył sobie niczym panisko i kelnerzy z miejsca przychylniej na niego spojrzeli. Nie wiedzieli jeszcze, że nie dostaną napiwku, bo na takie rzeczy pieniędzy od wiedzmy wydać nie było wolno. Bardzo to Franka rozbawiło. Chciał domówić jeszcze jakiś alkohol, ale tu pojawił się problem – butelka Dom Perignon kosztowała niecały tysiąc, a czterdzieści mililitrów whisky o niewymawialnej nazwie – sześćdziesiąt kilka złotych. Franek mierzył się chwilę z wyliczeniem, co jest droższe, ale w końcu zamówił po butelce i tego, i tego. Ostatecznie miał tylko wydać wszystko, nie było warunku, że o świcie musi całe jedzenie i picie mieć w brzuchu.

Zjadł bażanta, zapłacił co do złotówki i uciekł po drewnianych schodach, jakby się bał, że obsługa zrzuci go z nich, jak tylko odkryje brak napiwku.

Wyszukał kilka nowych miejsc. Niestety większość restauracji zamykano przed północą. Na szczęście w tych naprawdę drogich dawano bardzo małe porcje i kasowano za nie bardzo duże kwoty.

Po raz pierwszy w życiu Franek patrzył na menu i myślał: Co tu tak tanio?

Zamawianie dań często przypominało ruletkę. Z opisu w karcie „na bulionie rybno-szafranowym z warzywami, imbirowa polenta i grzyby Enoki” zrozumiał tylko, że to jakiś rosół z ryby. Trochę go zaskoczyło to, co przyniósł kelner.

Niemniej jednak udało mu się wydać prawie całą sumę i przed samym zamknięciem lokalu wrócił do „Amarone” – winiarni przy hotelu „Pod Różą”. Kupił dwie butelki niemożliwie drogiego wina i wydał w ten sposób ostatnie trzy tysiące. W kieszeni zostały mu niecałe dwa złote. Idealnie na obwarzanka!

Niestety budki z preclami już zniknęły, a sprzedawcy poszli spać. Trzeba było poratować się całodobowym.

Dzierżąc piękną torbę z dwoma butlami wina, Franek ruszył na Grodzką, do znanego sobie monopola, w którym nie raz kupował poimprezową dobitkę.

Przed wejściem zaczęła go seksowna, rockowa blondynka w rozpiętej, skórzanej kurtce.

– Hej, nie znasz jakiegoś lokalu, żeby był otwarty do rana? Dawno nie byłam w mieście. Kiedyś tu niedaleko był „Rock’n’Roll”, ale zamknęli, skurwysyny.

Dekolt miała głęboki, pomimo zimna, i niebrzydkią twarz. Podchmielony Franek bardzo chętnie poznałby ją bliżej, tym bardziej, że

do świtu miał jeszcze kilka godzin. Rozpoczął więc klasyczną bajkę na znawcę i naściemniał coś niemożliwie. Od słowa do słowa wygadał się też, że ma kasy jak lodu i właśnie idzie z winkiem do domu.

– Mieszkam tu niedaleko, na Kaziku – rzucił od niechcenia. – Jak nie masz co ze sobą zrobić, przekimam cię u siebie, jak chcesz. Napijemy się przy okazji. Piłaś kiedyś wino za półtora tysia?

– Ile? – Błękitne oczy prawie wyskoczyły dziewczynie z orbit. – Pierdolisz? To to? Pokaż!

Butelka była trzylitrowa i brakiem zbędnych ozdób krzyczała, że jest droga.

– Daj wira! W życiu takiego nie piłam!

– Ale tu? To chodźmy do mnie.

– No procho, że idziemy, ale jak już wiem, że to tyle kosztuje, to muszę spróbować, bo się zeszczam!

Ten entuzjazm jakoś urzekł Franka. Z łaskawym uśmiechem odpakował butelkę. Wyciągnął dłoń, by podać ją dziewczynie.

Naraz, jak piorun, spadła na nich kawka. Wściekle bijąc skrzydłami rozdzieliła parę. Solidnie dzióbnęła rockową blondynkę w czuprynę.

– Nie dziel się! – zaskrzeczała dziko. – Nie dziel się, durny! Franek cofnął rękę i przytulił do siebie trunek.

Dziewczyna, przeklinając i wyjąc, uciekła pod pobliskie arkady. Mężczyzna rzucił się w drugą stronę, ale po kilku krokach zawrócił. Wpadł do monopola, chwycił batona, rzucił na kasę dwa złote i wybiegł, jakby go sam diabeł gonił.

Kawki nie było. Odleciała, ale i bez niej wiedział, jak bliski był zaprzepaszczenia wygranej. Na szczęście dziewczyna również zniknęła i Franek zdał sobie sprawę, że może nie istniała. Była jedynie pułapką, testem, pokusą.

Ponieważ miał czas i pełny żołądek, postanowił dotrzeć na wzgórze Lasoty na piechotę. Poszedł Stradomiem i Krakowską. Po drodze wstąpił do mieszkania i zabrał długi, czarny, surwiwalowy nóż. Liczył na to, że stał czterysta czterdzieści zadziała na ducha, bo srebra nie miał. A gdyby je nawet kiedyś miał, to już by go dawno nie miał, bo by sprzedał.

Był koniec grudnia, więc nim świt przyczołgał się do dawnej stolicy Wiślan, Franek zdążył przemarznąć na kość i nieco nawet zgłodnieć. Zjadł batona. Na opakowaniu był konkurs. Bardzo fajny. Szkoda tylko, że skończył się jakieś dwa miesiące temu. Franek zawsze trafiał na takie promo- cyjne opakowania.

Pomarudził pod nosem i ziewnął potwornie.

Wtedy na schodach kościółka pojawiła się piękna, złotowłosa wiedźma, udająca księżniczkę.

– Świta już! – oznajmiła z niepohamowaną radością. – Oczom swym



nie wierzę! Udało ci się, mężny młodzieńcze!

– No. Na to wygląda – bąknął zmęczony Franek. – Kasę wydałem, ale wino mi jeszcze zostało. No, ale skoro żyję, to chyba wystarczy... Możemy razem obalić, jak chcesz?

– Tak, wystarczy! – niemalże podskoczyła z radości wiedźma, ignorując propozycję. – Będę wolna!

Franek wywrócił oczyma nad babską egzaltacją.

– To co z tym złotem będzie? Jeśli można, to poproszę w setkach, bo mi z dwusetek nikt nie chciał wydawać.

Ale wiedźma jakby go nie słuchała. Wpatrywała się w swe dłonie, które zaczynały świecić delikatnym blaskiem. Blask ten rozlewał się powoli na resztę ciała i po chwili cała postać lśniła niczym złota tarcza w słońcu.

– Teraz, chłopcze! – zaskrzeczała kawka, pojawiając się ni stąd ni zowąd nad ramieniem chłopaka. – Teraz jest już śmiertelna! Ruszaj!

Napływ adrenaliny do krwi zmusił Franka do działania szybszego niż myśl. Płynnym ruchem pantery, którego by się po nim nie spodziewał żaden wuefista, chłopak skoczył ku zjawie i zagłębił ostrze noża w jej brzuchu. Na wpeł realne ciało nie stawiało oporu. Stał weszła aż po rękojeść. Kobieta jęknęła przeciągle i z niedowierzaniem.

– Nie! Czemuż to?!

Kawka wylądowała tuż obok nich, bijąc skrzydłami.

– Ty? Och, nie! – krzyknęła umierająca zjawia, nagle rozumiejąc wszystko. Zwróciła dziwne spojrzenie na Franka. – Tyś jest z krwi Witka... Cóżżeś uczynił?!

Złoty blask zaczął z niej powoli wyciekać. Wąski strumyk sunął w powietrzu, aż dotarł do kawki. Teraz ona zaczęła wchłaniać go w siebie. Skrzydła ptaka wydłużyły się, przyjmując kształt ramion. Ogon zaczął z wolna zanikać.

Franek patrzył na to z otwartymi ustami. Blask przepływał bezdźwięcznie.

Nagły dotyk dłoni na policzku ocucił go. Duch patrzył na niego gasnącymi oczyma.

– Uwolniłeś wiedźmę, synku... – szepnęła złotowłosa. – Witko dumiał, że nikt z was nie podniesie ręki na tą, którą tak kochał. Że w ten sposób wiedźma wiecznie uwięziona w ciele kawki pozostanie...

– Zamilcz! – zaskrzeczała kawka, wciąż jeszcze ptasim głosem. – To ty jesteś wiedźmą!

– Możesz mnie jeszcze ocalić, chłopcze – mówiła tymczasem tracąca blask kobieta. – Ja nie mogę zginąć... Moja śmierć odczaruje...

– Cichaj! – Zamachała ramionami kawka. – Nie słuchaj jej, Franku! Chce ci w głowie zamieszać! Uratujesz ją, to oboje nas na wieki w ptaki

zamieni! Dobrze swe zadanie wypełniłeś!

– Wiedźmie kłamstwa... – szepnęła bardzo już słaba zjawa.

– Samaś wiedźma! Ona tak już wielu do śmierci przywiodła! Pięknie wam w głowach zawraca!

Franek nie wiedział, komu wierzyć. Każda z nich mogła kłamać i każda mogła okazać się dla niego zgubą.

Cofnął się, kładąc ducha na zimnych schodach. Obie kobiety patrzyły na niego wrogo. W tej jednej chwili obie też się go bały.

Widzę potwory, lecz tych nie umiem rozpoznać – prze- mknęło mu przez głowę.

I wtedy go olśniło. Wyprostował się i odwrócił w stronę drzew.

– Hej! Panowie rycerze!

Zatrzepotały skrzydła. Spore stadko gołębi zakotłowało się tuż nad jego głową.

– Wiedźma! Ptasia Wiedźma! – gruchały wściekle.

Franek spojrział na kobiety. Zmrużył oczy. Podniósł rękę, niczym dowódca na polu bitwy i powiedział:

– Brać wiedźmę, panowie!

Gołębie rzuciły się na rozkaz. Czekwały na te słowa osiem- set lat.

Z wrzaskiem bojowym, jakiego u tych ptaków nigdy nie słyszano, rzuciły się bez zastanowienia.

Na kawkę.

– Neeee! – krzyknęła przeraźliwie, nim pazury ugodziły ją w dopiero co odzyskaną twarz.

Szarpała się i wiła, a złoty blask wciąż przenikał w nią, wzmacniając siły z każdą sekundą. Franek zrozumiał, że za chwilę bez trudu poradzi sobie z gołębiami. Szybko skoczył, unikając uderzeń skrzydeł. Zabłąkany pazur rozorał mu dłoń, ale nie poczuł bólu.

Wbił surwiwalowy nóż w serce kobiety-ptaka.

Znieruchomiała w momencie, jakby zaskoczona nagłym bólem. Upadła na trawę zmrożoną grudniowym szronem.

Potem umarła bez słowa. A w następnej sekundzie zaczęła się rozpląwać w powietrzu. Gołębie, w szale dziobania, nawet nie zauważyły, że także znikają.

– O, panowie! – gruchnął w końcu jeden, podekscytowany. – Czy też tak dziwnie się... Bo ja chyba... Chyba jesteśmy wolni!

– Koniec z okruszkami!

– Koniec z wiśniami... – dodał któryś z żalem.

Franek obserwował je chwilę, aż przypomniał sobie o ukochanej swego pradziada.

Przerażony, rzucił się, by jej pomóc, lecz i ona zniknęła. Nim zdążył

wziąć ją na ręce, uśmiechnęła się spokojnie. Wyciągnęła przezroczystą dłoń, ale nawet już nie poczuł dotyku. Kobieta rozplynęła się w ciszy, ze wzrokiem wbitym w twarz Franka, jakby rozpoznawała w jego rysach kogoś zupełnie innego.

Już po chwili promienie zimowego, pomarańczowego słońca oświetliły plac na wzgórzu. Zastały tam samotnego, młodego mężczyznę, klęczącego w zadumie na schodach najmniejszego krakowskiego kościółka.

Jak z innego świata zabrzmiał hip-hopowy kawałek Paktofoniki, ustawiony w motoroli jako sygnał połączenia.

Franek wygrzebał telefon z kieszeni.

– No siema, wuju! – rozległ się rozanielony głos Staszka.

– Baśka urodziła w nocy! Jesteś wujem, bracie! – roześmiał się szczęśliwy.

– No co ty mówisz... – wymamrotał oszołomiony Franek. – Dziś w nocy? A co z operacją?

– Nie ma żadnej operacji, stary! Mały ma serce jak dzwon! Lekarze nie wiedzą, jak to się stało, ale teściowa oczywiście uważa, że to jej zasługa. Całą ciężę się modliła do naszego papieża, wiesz...

– No, wiem. Modliła się do Jana Pawła, a to Franciszek uczynił cud – powiedział wesoło, bardziej do siebie niż do brata.

Staszek zaśmiał się, nie do końca rozumiejąc dowcip. Zresztą, to nie miało teraz znaczenia. Fala ulgi i szczęścia zalewała go po sam czubek głowy.

Rozłączyli się chwilę potem, ale Franek długo jeszcze siedział na schodkach i podziwiał wschód słońca. Otworzył butelkę wina wartą półtora tysiąca złotych i wypił za zdrowie bratanka. Bo, zaiste, był to powód do drogiego toastu.

Wiedział, że musi wrócić do ludzi i do końca życia, w sklepie, w knajpie, na ulicach, pyski wilkołaków i strzyg będą wyłaniać się z tłumu tuż przed jego oczami. Przytłaczać go będzie ich liczba i różnorodność. Ale czy w takim razie możliwe, żeby wszystkie były złe? Gdyby mordowały, ulicami Krakowa płynęłyby strumienie krwi. Chyba ktoś by to w końcu zauważył, prawda?

Z drugiej strony Franek słyszał o niewyjaśnionych zaginięciach, o sprawach, których nigdy nie udało się zamknąć, a które wyglądały jak robota psychopaty. Może ktoś powinien coś z tym zrobić...

Gdy już przemarzył do kości – wstał, zarzucił kaptur na głowę, wcisnął zgrabiałe dłonie w kieszenie kurtki i w bojowym nastroju ruszył ku przystankowi.

Jeśli więc jesteś potworem i przypadkowo zdarzyło ci się mieszkać w Krakowie, lepiej bądź grzeczny. Być może akurat teraz Franek patrzy

właśnie na siebie.

# Tomasz Krzywik

## Sepia

*„Jeżeli jest tak, jak ksiądz mówi, jeżeli potworności świata wzbudzają w nas pragnienie ładu nieobecnego w świecie, to to pragnienie jest jednocześnie aktem buntu przeciwko temu, kto taki świat powołał do istnienia, bo jest to wyrazem niezgody na ten świat.”*

**Wojciech Gunia, Nie ma wędrowca**

*(...) Lecz ujrzał za to w księżycowym blasku Wśród innych mógł kamienny grobowiec. Spojrzawszy – przykląkł na ziemię wędrowiec I złożył głowę na wilgotnym piasku,*

*I przytulony do zimnego głazu Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.  
(...)*

**Adam Asnyk, Powrót do domu**

## 1. POWRÓT

Przesuwający się za oknem krajobraz napawał mnie ja- kimś osobliwym smutkiem.

Dziwnie było bowiem patrzeć na tę szarą, wypraną z kolorów radości, ziemię. Na zalane wodą z roztopów pola, na martwe lasy, na pozbawione życia wioski i miasteczka. Niebo przykrywały kołtuny ciemnych chmur, od których gdzieś w oddali, na horyzoncie, odrywał się całun deszczu. Ten całun krył krainę, która jeszcze nie umarła, lecz ponad wszelką wątpliwość jej koniec zbliżał się nieuchronnie. Niewiele w niej pozostało życia; nie było tu nawet zwierząt, jeśli nie liczyć tych kilku wron, które krążyły po niebie bez celu, jakby w poszukiwaniu dawno zapomnianej ścieżki.

I ja szukałem w tej pustynnej krainie swojej ścieżki. Zamknięty w opancerzonym taborze kolejowym, sunącym mozolnie przed siebie, spoglądałem przez okno, licząc teraz nie godziny, ale minuty, jakie dzieliły mnie od celu. Rozpoznawałem już, choć nie bez problemów, znajome skrzyżowania, ulice, domy... Ale to nie były obrazy, które zapamiętałem z dzieciństwa, czas bowiem okrutnie obszedł się z moimi

rodzinnymi stronami: kępy szarej trawy przebijały się przez drogi, część domów została pochłonięta przez zdziczałe ogrody, a nazbyt wyrosłe drzewa pozrywały linie wysokiego napięcia. Skorodowane wraki zalegały na chodnikach. Położony w oddali kościół straszył pokruszoną dzwonnica i dziurawym dachem. Szarość, pomyślałem, wszędzie szarość i smutek opuszczonego miejsca. Ogarniało mnie osobliwe uczucie melancholii, każące wpatrywać się w tę martwą ziemię i doszukiwać podobieństw do krainy z mojego dzieciństwa, choć wiedziałem, że tamten świat dawno już umarł.

„Nie umarł” – poprawiłem się w myślach – „Nie umarł, ale umrze. Już umiera”.

– Sójka?

## 2. ZONE ROUGE

– Sójka?

– Tak? – oderwałem wreszcie spojrzenie od przesuwającego się za oknem krajobrazu i spojrzałem na siedzącego naprzeciwko mnie żołnierza. Przeglądał moje dokumenty wyraźnie poirytowany i drapał się po kilkudniowym zarostzie, niezmiennie kojarzącym mi się ze szczecina dzika.

– Słuchaj no, jest sprawa. Metryczka co do zasady się zgadza. Wiek, wzrost, waga... Waga. Tak po mojemu to chuchro z ciebie, ale niech będzie, że waga też się zgadza. Cel wizyty wpisali jako „prywatny”, a skoro wpisali „prywatny” to i mnie to gównu obchodzi. Ale powiedz mi, co Woźniak miał na myśli, wpisując w rubryce „zawód” słowo „doktor”? Jesteś lekarzem?

– Niestety nie. Jestem doktorem historii, pracuję na Uniwersytecie Warszawskim i...

– Dobra, już kapuję. Czyli jesteś uczony.

– Powiedzmy.

W milczeniu patrzyłem, jak poprawia zapisy swojego przełożonego i przerzuca kartki. Wciąż nie mogłem nadziwić się, ile dokumentów musiałem wypełnić, żeby dostać zgodę na przerzut do objętego ochroną obszaru, ale zrzucałem to na karb napiętych nastrojów społecznych i zamiłowanie urzędników do mnożenia kolejnych bzdurnych papierzysk.

– Słuchaj, panie Pawle – powiedział w końcu, odkładając plik na stary stolik między nami. Stojące na nim szklanki podzwaniały w rytm jadącego taboru. – Zakładam, że skoro jesteś uczony, to znaczy, że masz pojemny łeb i jesteś w stanie przyswoić parę informacji, chociaż nie

będę mówił o datach, czy nazwiskach. Dlatego teraz ty jesteś student i jeśli nie notujesz, to chociaż weź sobie do serca to, co ci teraz powiem.

Po pierwsze, jeśli naprawdę nie musisz, to nie pij miejscowej wody. Nie żryj miejscowego żarcia. Miałeś wziąć własne zapasy i zakładam, że skoro masz ze sobą ten cholernie wielki plecak, to pewnie zapakowałeś go po brzegi łakociami. I dobrze. A dlaczego ci o tym mówię? Bo w tej ziemi jest wciąż od zajebania arsenu. Z czym to się wiąże, to już sobie wydedukuj sam.

Po drugie, jeśli naprawdę uwierzyłeś w te historie o dziwnych zwierzakach, może o mutantach, to o tym też zapomnij. Zresztą nie wyglądasz jak ci idioci, których potem wywozimy z zatruciem do szpitala, gdzie jeszcze długo mającą i krzyczącą, bo akurat im się haluny uwidzą.

Po trzecie, tabor przyjeżdża z powrotem za tydzień. Zgarniemy wtedy z okolicy ciebie i paru naszych chłopaków, którzy pilnują, żeby nikt niewybuchów nie szukał na własną rękę. Tak, są tacy idioci. Wołamy na nich złomiarze albo rączki. Bo czasem i rączki trzeba zbierać, jak któryś z nich zacznie nieumiejętnie grzebać w złomie.

Po czwarte...

Mówił tak długo, bardzo długo. Wyliczał punkty, wlepiając we mnie przekrwione oczy i uśmiechając się lekko pod nosem, jakby sądził, że i tak tego wszystkiego nie zapamiętam. Wiedziałem, co myśli na mój temat, na temat mojego przyjazdu, ale prawdę mówiąc, miałem to gdzieś. Niemniej jego wskazówki starałem się zapamiętać; bądź co bądź był doświadczonym żołnierzem.

W końcu tabor zaczął zwalniać. Żołnierz wstał wówczas i wcisnął mi jakiś dokument pełen pieczętek i podpisów.

– Na peronie będzie na ciebie czekać komitet powitalny. Człowiek, który poprosi ciebie o dokumenty, to Aleksander Wilkowski. Będzie tutaj twoim aniołem stróżem, więc bądź dla niego miły i jak powie, żebyś wałnął z nim setkę, to wałnij z nim setkę. Kapujesz?

– Kapuję.

– No, Uczony. To w takim razie jazda do wyjścia. Czeka na nas komitet powitalny.

Kiedy wreszcie maszyna stanęła, wyskoczyliśmy na peron. Prawie nic się nie zmienił od czasu, gdy stąd wyjeżdżałem; nadal była to tylko rozchybotana wiata i kawałek popękanego asfaltu. Wyczekiwali nas tu ludzie, o których wspominał mój towarzysz. Od razu wydali mi się jacyś dziwni; próżno w nich było dopatrywać się tych wszystkich cech, z którymi kojarzyło się wojsko. Byli to bowiem osobnicy apatyczni, zgarbieni, jakby ciążyło na nich jakieś straszne brzemię. Karabiny trzymali niedbale, jeden z nich ćmił papierosa.

– Faktycznie, z daleka widać, że pan jest inteligent – stojący pośrodku „komitetu” żołnierz rzucił papierosa, przygasił go butem. – Aleksander Wilkowski. Pan to zapewne Paweł Sójka?

– W rzeczy samej.

– „W rzeczy samej”? Jasny gwint, inteligencja zawitała do ciemnogrodu. Zalewski, weź no skocz na pakę i przygotuj fotel dla pana. Niestety, panie Uczony, obawiam się, że możemy panu zaoferować tylko ciężarówkę. Ostatni mercedes utknął w bagnie.

– Darujmy sobie złośliwości – powiedziałem, wzdychając ciężko. – Jestem miejscowy.

Zalewski gwizdnął.

– A gdzie pan mieszkał?

– Leśna.

– Leśna? – Wilkowski uśmiechnął się krzywo. – Leśna, co pewnie pana ucieszy, ostała się chyba cała, no, może tylko domy mają parę sznyt po kulach. I nawet kilka osób tam wciąż jeszcze mieszka. Ktoś z pana rodziny?

– Ojciec.

– Ojciec, powiada pan... A kiedy pan ostatnio z ojcem miał kontakt? Kiedy z nim rozmawiał, kiedy się widział?

– Dawno temu. To przesłuchanie?

– Nie. – Wilkowski sięgnął po jeszcze jednego papierosa i wolną ręką wskazał na ciężarówkę. Na ten gest reszta ludzi zaczęła wchodzić na pakę, a Zalewski usiadł za kierownicą.

– To nie przesłuchanie. Tylko widzi pan, mieszkańcy wsi są ostatnio dość... nerwowi i nie sądzę, żeby pański ojciec był wyjątkiem. Podrzucimy pana na Leśną, bo i tak musimy pojechać do obozu, a to będzie nam po drodze. Tak więc, jeśli pan nie ma pytań...

Cóż miałem rzec? Usadawiłem się wraz z innymi na pace ciężarówki. Stary silnik zarzęził, kaszlnął i chwilę później wiekowy pojazd powlókł się w górę drogi. Zanurzył się w ciszy okolicy, uległ jej przygnębiającej atmosferze. Zawiózł nas prosto w szare objęcia Helenówka.

– We Francji jest taki obszar – powiedziałem nagle do siedzącego obok żołnierza, sam nie wiem czemu. Byłem poddenerwowany? – Stare pole bitwy... Wie pan, ogromna połać terenu. Skazili ją w czasie pierwszej wojny światowej, chyba bronią chemiczną... Tak jak tutaj. I to wszystko tam tak zostało i wygląda jak sto dwadzieścia lat temu. Porosło to wprawdzie zielenią, ale wojna zdaje się, że zamknęła to miejsce w czasie...

– Może i tak – żołnierz charknął głośno. – Tylko wtedy nie umieli jeszcze zabijać tak dobrze, jak my dzisiaj. I tak spektakularnie. Zresztą sam zobaczysz, ten cały Helenówek od dłuższego czasu wygląda jak



cmentarzysko... Kurwa, to może się przyśnić. Że też chciało ci się tutaj jechać...

– Musiałem ze względu na ojca.

– To ci, chłopie, współczuję. Jak tylko odpukam swoje, to wracam do Warszawy i nie pokazuję się tutaj więcej.

– Aż tak źle?

– Źle? – Spojrzał na pozostałych, którzy nas słuchali. – Chłopi, czy tu jest źle?

Niewyraźny pomruk przeszedł wśród jadących ze mną żołnierzy.

– Jest do dupy, tyle ci powiem. Jak nazywa się ta twoja strefa we Francji?

– Zone rouge.

– Jezu, nie powtórzysz... Dobra, więc wyobraź sobie, że tutaj jest jak w tej zoe-jakoś-tak. Tylko bardziej. Dużo bardziej.

– Rozumiem.

– Nie. – Żołnierz uśmiechnął się i na chwilę jego odpychająco brzydką twarz wykrzywiło zupełnie ludzkie współczucie.

– Nie rozumiesz. I jak będziesz miał szczęście, to nie zrozumiesz.

### **3. CISZA TEGO MIEJSCA NAPAWAŁA MNIE PRZERAŻENIEM**

Mój dom był zaledwie cieniem tego, co zapamiętałem z okresu przedwojennego.

Poszarzałą bryłę budynku oplótł zdziczały ogród; wiosna nie zdążyła jeszcze przyprószyć zielenią drzew czy krzewów, ale wystarczył mi sam widok splątanych szkieletów roślin, żeby zrozumieć, że przyroda konsekwentnie dążyła do zagrabienia tego miejsca. W Helenówku nie było już miejsca dla człowieka i ulica Leśna nie miała być wyjątkiem w nowym planie zagospodarowania przestrzennego natury. W dachu czerniały dziury, a zasnułe kurzem okna przywodziły na myśl oczy niewidomego. Z trudnością dopuszczałem do siebie myśl, że wciąż tutaj ktoś mieszka. A jednak – kiedy tylko znalazłem się na chodniczku prowadzącym do drzwi frontowych, te otworzyły się i wówczas, po raz pierwszy od prawie roku, zobaczyłem ojca.

To było dziwne uczucie: prowadziłem z tatą regularną korespondencję, wysyłałem mu pieniądze na życie, ale jednocześnie widziałem się z nim zaledwie kilka razy na przestrzeni ostatnich lat. Opuszczał Helenówek rzadko: przepustki były drogie, a łapówki przyspieszające proces wydania zgody też swoje kosztowały. Nigdy nie wyjechał jednak ze wsi na dłużej niż tydzień. Tłumaczył, że boi się szabrowników, którzy czasem odważali się przedrzeć na skażony teren i

rabowali domy. Jeśli o mnie chodzi, to po wojnie nie chciałem wracać do Helenówka... Zbyt dużo wspomnień. Tych złych i tych, które przez złe zostały przykryte.

Niemniej widok ojca wzbudził we mnie niepokój. Od czasu naszego ostatniego spotkania znacznie schudł. Zarostem się nie przejmowałem, to kwestia gustu, ale wyraźnie zmarniał.

– Tęskniłeś za domem? – spytał, uśmiechając się słabo. Uściskałem go mocno.

– Tak – powiedziałem i w sumie była to prawda, nawet jeśli tylko częściowa. Tęskniłem za tym, co zapamiętałem jako dom, nie za domem jako takim.

– Jestem ciekaw twojej reakcji na pokój... – mówił, prowadząc mnie do domu. – Kula strzaskała okno, ale wymieniałem szybę. Odkurzałem, pewnie że odkurzałem, ale rzadko. Wiesz, agregat... A tak to wszystko – wszystko! – jest takie jak przed wojną... Nawet twój komputer stoi tam, gdzie wtedy. Podłączysz go sobie, to zobaczysz... A pamiętasz poloneza? Nadal go mam! Nadal jeździ! Trochę go podniosłem, żeby na koleinach się nie rozleciał, ale...

Na schodach przed domem zatrzymałem się i tknięty jakimś dziwnym przecuciem spojrzałem na sąsiednią działkę, na dom Malewskich.

Nie było domu Malewskich. Była tylko szczątkowa ruina, zaledwie parę ścian na krzyż, wystające pręty zbrojeniowe i wciśnięta w kąt stara lodówka. Ogród wydawał się wypalony do gołej ziemi.

– Pawle, chodź tu! – zawołał ojciec, już ze środka. – Rozejrzyj się po domu, a ja przygotuję jakąś zupę!

„Malewska” – pomyślałem, wchodząc do domu – „Taka ładna dziewczyna...”

Wnętrze nie odbiegało od tego, co zapamiętałem. Może tylko w salonie brakowało żyrandola: z brzękiem tłuczonego szkła runął na podłogę już pierwszego dnia wojny. Ale obrazy nadal wisiały na swoim miejscu, a kanapy wciąż stały tam, gdzie zawsze. Wszystko to wydawało się znajome, niemniej towarzyszyło mi niejasne uczucie obcości, zapomnienia. Może to przez ten kurz, przez ten brud? Mama zawsze dbała o dom bardziej niż ojciec... Mama i siostry. Ale ona mieszkała teraz nad morzem, a obie młodsze siostry ze swoimi mężami w stolicy.

Mój pokój był w całkiem niezłym stanie. Ojciec nie kłamał, faktycznie wstawił nowe okno. Nie umknęło natomiast mej uwadze to, iż część książek czy drobiazgów zniknęła z półek, ale szabier był niejako wpisany w prawa wojny. Tyle dobrego, że łóżko się ostało, chociaż bez kołdry i poszewki. Położyłem plecak pod wiekową komodą, ściągnąłem płaszcz i rzuciłem się na materac. I gdy tylko znalazłem się w pozycji

horyzontalnej, niemal natychmiast poczułem uchodzące ze mnie wszystkie siły – przyjazd tutaj okupiłem ogromną ilością stresu i nieprzespanych nocy, nie mając zresztą w perspektywie pewności sukcesu.

Spojrzałem na okno. Rozciągająca się za nim szarość nieba zaczynała dogasać. Chmur przybywało, a ich gęsty kołtun potężniał z każdą chwilą. Zanosiło się na deszcz. Ale poza tym – cisza. Lecz nie taka, jaką zapamiętałem z lat młodości, to nie była zwykła cisza przed burzą. To była cisza umierającego świata, który lata świetności miał już za sobą. Nie czułem ukojenia; cisza tego miejsca napawała mnie przerażeniem.

#### 4. BAŁWAN

– Tato, powiedz mi... Co to właściwie jest?

Siedzieliśmy z ojcem w salonie, ogarnięci całunem półmroku. Jedyne blask bijący od kominka rozświetlał pomieszczenie chybottliwym światłem tańczących płomieni. Mieliśmy z tym kominkiem dużo szczęścia: późnym popołudniem, jeszcze zanim rozpadało się na dobre, postanowiłem narąbać drewna na zapas. Wyłączyliśmy więc agregat, zapaliliśmy kilka świec i rozsiedliśmy się wygodnie na kanapach, popijając nalewkę z pigwy. Na zewnątrz szumiał deszcz.

Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że na kominku pojawiła się szkaradna figurka, której nijak nie kojarzyłem z przeszłości. Nie była duża, ale wyróżniała się na tle innych suwenirów. Wyobrażała chudego mężczyznę w łachmanach, z szerokim kapeluszem na głowie, przywodzącym nieco na myśl dziecinne wyobrażenie kapelusza czarodzieja. Długa, a wykonana z niezwykłą precyzją broda opadała do pasa, gdzie przytroczone były nieproporcjonalnie wielkie sakwy.

– To? – ojciec zmrużył oczy, spoglądając na dziwo. – To jest, Pawle, Płanetnik.

– Płanetnik? Skąd go masz?

– Wystrugałem.

– Od kiedy zajmujesz się struganiem figurek? Ostatnim razem wydawało mi się, że twoją wielką miłością było myślistwo.

– Wiesz – westchnął ciężko. Wychylił się ze swojego fotela, sięgnął po kieliszek z nalewką. – Kiedy człowiek na okrągło siedzi w domu, to, uwierz mi, wynajduje sobie najdziwniejsze zajęcia. Tak więc trochę strugam, trochę rzeźbię...

– A co z jelonkami?

– Wyzdychały – wychylił kieliszek jednym haustem. – Wyzdychały albo wyniosły się stąd w cholerę. Pewnie, jeszcze dwa – trzy lata temu

wszędzie biegały jelonki, dziki, cholera, widziałem nawet parę wilków. A dzisiaj? Helenówek umiera, Pawle. Nawet ptaków jest tutaj coraz mniej. Podejrzewam, że zwierzakom nie służy arsen w glebie.

– Czyli wytruły się? – spytałem.

– Ano – Ojciec zamrugał szybko oczami. – Ale żeby było dziwniej, drzewom trucizna jakby nie przeszkadza. Pamięć-tasz las?

– Pamiętam, jak się palił. Ciężko zapomnieć coś równie spektakularnego.

– No więc w lesie, w pewnym miejscu, znowu rosną drzewa.

Sosny, buki, dęby, topole...

– Żartujesz?

– Mówię poważnie. Możemy się tam jutro przejść, jeśli chcesz. Oczywiście wcześniej musimy ci znaleźć odpowiednie buty, nie przejdiesz tam w tych swoich śmiesznych pantoflach. I jeszcze jakieś stare ubranie... Chyba będę miał jeszcze jakąś kurtkę. Niby jest już coraz cieplej, ale w okolicach Gaju lubi sobie popadać. Zresztą sam widziałeś, jaką mamy tutaj piękną pogodę.

– Rzeczywiście.

– Jesteś jakiś ponury. Coś się stało?

– Jestem zmęczony – powiedziałem, choć była to półprawda, byłem po prostu podпиты. – Siedzę w tej całej Warszawie, wdycham smog, użeram się z półgłówkami, odwalam masę papierkowej roboty... Ach, szkoda gadać.

– Nie podoba ci się miasto, co?

– Lepsze miasto niż to, co poza miastem. Tam chociaż mamy prąd i bieżącą wodę. Nie wyobrażam sobie nawet, jak bardzo muszą się namęczyć ludzie, którzy żyją... Chociażby tak jak ty.

– Co jest nie tak z moim życiem? – podchwycił.

– Nic. – ukryłem twarz w dłoniach. – Siedzisz sobie tutaj na wsi, strugasz figurki i liczysz, że akurat w danym tygodniu nie spóźni się pociąg z żywnością. Czasem z pragnienia wypijesz skażoną wodę ze studni, licząc, że znów uda ci się nie otruć. A przesyłki ode mnie czasem przychodzą, a czasem giną po drodze. Żyć, nie umierać. Chociaż raczej umierać, ale powoli.

– Pawle. – ojciec spojrział na mnie badawczo. – Po co wróciłeś do Helenówka?

Milczałem.

– Żeby mnie stąd zabrać – domyślił się. – Żeby namówić do przeprowadzki do Warszawy.

– Tato, smog i tak jest lepszy od tego, co czeka ciebie tutaj. Zresztą już nie ma go tak dużo jak kiedyś. Parę wieżowców zawaliło się w wyniku działań wojennych, stolica zrobiła się bardziej przewiewna, a i aut teraz

jeździ mniej niż kiedyś...

– Miasto to miasto. Nie zamierzam się stąd wyprowadzać. Nie dam się zamknąć w ciasnej klatce kilku pokoi.

– Zrozum, że tutaj...

– Licho wie, co mnie tam czeka! Tutaj przynajmniej wiem, co może przynieść następny poranek, następny tydzień, następny miesiąc, a miasto jest nieprzewidywalnym molochem, który ciągle zmienia się i jak rak rozrasta na wszystkie strony. Piękne dzięki za taką alternatywę.

– Przesadzasz.

– Przesadzam? – prychnął z pogardą. – Przejdziemy się jutro po wsi, to sam się przekonasz, że nie mam od czego uciekać. Niech to, a pamiętam jak mówiłeś, że nigdy się stąd nie wyprowadzisz, że będziesz tutaj mieszkał...

– Na litość boską, tato! – Tym razem to mnie poniosły nerwy. – To było przed wojną! Zanim spalili las, zanim zbombardowali część Helenówka, zanim zamienili okoliczne pola w płataninę okopów i min przeciwpiechotnych! To było, zanim dom Malewskich zamienił się w tę żalną płataninę prętów zbrojeniowych i kilku ścian! Wiesz w ogóle, co się z nimi teraz dzieje?

Ojciec zamilkł, spojrzał w kominek.

– Chryste – jęknąłem, mimo że byłem ateistą. – Oni nie przeżyli, prawda?

– Kiedy pojechaliście stąd z matką i siostrami... Jakiś zbłąkany pocisk artyleryjski trafił w ich dom. Huk było słychać w całej wsi.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– A co ci miałem powiedzieć? – spojrzał z powrotem na mnie. Wyglądał teraz na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. – O tym, jak z Poławskimi, proboszczem i kilka- ma innymi rodzinami rozrzucaliśmy gruzy? Jak wyciągaliśmy poszatki z ich dawnej sypialni? Jak urządziliśmy prowizoryczny pogrzeb na tyłach kościoła?

– Ja... A Klaudia?

– Nie wiem, co się stało z Klaudią. Nie było jej wtedy w domu.

– Czemu nie wyjechała? Przecież...

– Nie wiem.

Milczeliśmy. Na zewnątrz deszcz nasilił się, gdzieś w oddali przetoczył się niski, basowy pomruk grzmotu. Nadciągała burza.

– Pójdę już spać – powiedziałem, czując ogromne zmęczenie. – Pogadamy jutro, w drodze do tego całego twojego Gaju.

– Pogadamy – odpowiedział tata. – Ale nie licz, że mnie przekonasz.

„Jasne” – pomyślałem, wstając. – „Ciebie nigdy nie da się do niczego przekonać”.

Wziąłem jedną z dopalających się świec, pożegnałem z ojcem i poszedłem do swojego pokoju. Piętro domu było całkiem pogrążone w mroku, widziałem zaledwie kilka stopni naprzód. I gdy tak brnąłem w tę ciemność, ogarnięty jej przejmującą ciszą, poczułem pod stopą wilgoć. Spojrzałem w dół i w ostatniej chwili powstrzymałem okrzyk zdumienia.

W pierwszym odruchu, nie wiedząc czemu, myślałem, że wdepnąłem w plamę krwi. Potem jednak zobaczyłem, że plama jest więcej i ciągną się od ostatnich stopni prosto pod drzwi mojego pokoju. Uświadomiłem sobie wówczas, że to nie krew, a woda. Pochyliłem się nad niewielką kałużą i ze zgrozą zrozumiałem, że obrys wilgoci przypomina stopę. Ktoś się tutaj zakradł? Szabrownicy? Ale...

... I wówczas płomień świecy zachybotał się i rozległ się cichy syk. Poderwałem się jak oparzony i zobaczyłem, że ślady wcale nie są tak regularne, jak myślałem na początku. Nie było żadnych stóp. Spojrzałem do góry i wtedy wszystko się wyjaśniło.

Dach przeciekał. Ciemne plamy kwitły kwiecistymi wzorami na drewnianym suficie i skapywały na podłogę.

„Doktor historii” – pomyślałem, wchodząc do swojego pokoju. – „Traci głowę już pierwszego dnia na wygwizdowie...”.

Później długo jeszcze leżałem w łóżku, przewracając się z boku na bok. Nie mogłem w żaden sposób zasnąć, a moje serce poddało się osobliwemu lękowi, który miał mi towarzyszyć do późnej nocy, gdy skrajnie zmęczony opadłem w kra-inę koszmarów.

## 4. GRANICA

Polonez caro z agonicznym rżeniem silnika parł przed siebie.

Wysłuzone auto ślizgało się na zabłoconej polnej drodze, a wycieraczki z trudem ściągały deszcz. Niekiedy koła zapadały się w koleinach, samochodem zaczynało zarzucać, ale wówczas ojciec dociskał pedał gazu i polonez wyskakiwał do przodu, uwalniając się z grząskiego gruntu. Zastanawiałem się, jak długo ten wehikuł będzie jeszcze w stanie znosić taką jazdę i taką drogę, ale wszystko wskazywało na to, że to ani nie była pierwsza taka eskapada, ani ostatnia.

A na zewnątrz: pola. Ciągnęły się od naszej wsi aż po las, którego poszarzała ściana rozciągała się na horyzoncie. Przez lata zdziczały i zarosły wszelkiej maści chwastami, lecz wciąż bez problemu można było dojrzeć, gdzie rosła kiedyś pszenica, a gdzie ziemniaki czy kapusta. Jako dzieciak często kręciłem się po tych okolicach i teraz spoglądałem na te pozbawione kolorów tereny jak ktoś, kto na pokrytej bliznami twarzy szuka znajomych rys.

I wśród tych pól i łąk, mniej więcej w połowie drogi do lasu, stał

czołg. Ciężki, masywny i na wpół przykryty dziwnie poskręcany mi roślinami w niczym już nie przypominał tej strasznej ognistej bestii, jaką był kiedyś. Stracił gąsienicę, a część kadłuba rozerwał wybuch – nawet ze swojej pozycji widziałem czarną wyrwę i zwisający z niej ciężki szmat, które kiedyś nosił ktoś, kto miał imię, stopień i rodzinę. Maszyna z oddali wyglądała jak jeden z wielu porzuconych na początku wojny sprzętów rolniczych; właściwych kształtów zdawała się nabierać dopiero z bliższej odległości.

– Będziemy musieli przejść pod mostem – powiedział nagle ojciec, głową wskazując na garb widniejącego przed nami nasypu kolejowego. – Na polach wciąż leży jeszcze mnóstwo potykaczy, ale po drugiej stronie droga idzie dalej i jest, przede wszystkim, bezpieczna... Tylko że nie mamy rady tam przejechać. Auto musi zostać tutaj.

– A tam nie było przypadkiem dość miejsca, żeby przejechał samochód osobowy? – spytałem, wpatrując się w przestrzeń pod mostem. – Z tego, co pamiętam, to...

– Kiedyś może i tak, ale potem natura najwyraźniej stwierdziła, że woli zostawić cywilizację samej sobie. Woda w rzece wezbrała kilka lat temu i od tamtej pory pod mostem jest bagno. Dlatego zresztą mówiłem ci, że będziesz potrzebował solidniejszych butów aniżeli te twoje „miastowe”.

Zatrzymał poloneza. Zgasił silnik i zaciągnął hamulec ręczny.

– Poza tym Granicy lepiej nie przekraczać z technologią. powiedziec, że wszystko tutaj wariuje.

– Wariuje?

– Telefony tracą zasięg, auta stają, helikoptery spadają z nieba. – Ojciec wzruszył ramionami. – Rozmawiałem kiedyś o tym z proboszczem. Zanim poczuł powołanie, był wziętym fizykiem. I wiesz, doszliśmy do wniosku, że powstało tutaj, zaraz za tym nasypem, swoiste pole magnetyczne, które psuje wszystko, co jest choć trochę uzależnione od elektroniki.

– Więc może nie powinniśmy tam wchodzić, co? – spytałem, zapinając kurtkę. Deszcz bębnił głucho w dach, nie dając o sobie zapomnieć nawet na chwilę. – Jesteś pewien, że nie ma innej drogi do tego twojego „Gaju”?

– Ta jest całkiem bezpieczna, chodziłem tędy mnóstwo razy.

– A co z „rączkami”?

– Z czym?

– Jeden z żołnierzy opowiadał mi o ludziach, którzy grzebali tutaj w okolicy w poszukiwaniu fantów. Chyba mówił o niewybuchach, ale chodziło mu też pewnie o szabrowników. Myślisz, że nie natkniemy się na takich? Albo na ich... pozostałości?

– Nawet jeśli, to nic nam nie grozi. My nie chcemy grabić. My chcemy iść do Gaju.

Patrzyliśmy na siebie. Był całkiem spokojny, a na twarzy miał wypisane przekonanie o prawdziwości swoich słów. I to właśnie przekonanie sprawiło, że nie wytrzymałem.

– Co za bzdury!

– Słucham?

– Granica! Gaj! Pola magnetyczne! Cholera, tato! Cieszę się, że po takim czasie mogę się wreszcie z tobą przejechać i pozwiedzać okolicę, ale po co te wszystkie zmyślane historie? Już jeden z żołnierzy uprzedzał mnie, że miejscowi lubią opowiadać cuda. Ale nie myślałem, że ty też w tym siedzisz!

– Jak to?

– Jak ty w ogóle jeszcze jesteś w stanie wierzyć w cokolwiek po tym, co widzieliśmy? Dlaczego wymyślasz świat, który nie istnieje?

– Skąd możesz wiedzieć, że nie istnieje? – Wydawał się zaskoczony moim nagłym wybuchem.

– Skąd? Tato, jestem doktorem. Do-cto-rem! Naukowcem! Opieram się na faktach, badam historię i wiem, że w przeszłości człowiek spotykał się z najdziwniejszymi zjawiskami. Ale tutaj, w Helenówku? Absurd!

– Więc po co tu ze mną przyjechałeś? – Spojrzał na mnie badawczo. – Po co?

– Ja... Nie wiem.

– A ja myślę – powiedział – że doskonale wiesz, tylko jeszcze nie potrafisz się do tego przyznać.

Milczeliśmy obaj przez chwilę.

– Żyjesz w smutnym świecie, synu – powiedział, odwracając się ode mnie.

– Obaj w nim żyjemy, tato.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo obaj widzieliśmy stojący w polu czołg, czy raczej to, co z niego zostało. Obaj widzieliśmy zrujnowany dom Malewskich. I obaj pamiętamy początek wojny domowej, tylko że ja byłem wtedy jeszcze dzieciakiem, a ty już miałeś dość lat, by zapamiętać wszystko ze szczegółami. Obaj pamiętamy płacz mamy, krzyk moich sióstr i gorączkowy bieg pociągu z wymalowanym na nim w pośpiechu czerwonym krzyżem.

– I co z tego, że to pamiętamy? – Odwrócił się. Nie wyglądał na złego czy rozdrażnionego, wydawał się raczej ogromnie zmęczony. – Problem leży gdzie indziej, ale nie chcę teraz o tym rozmawiać. Myślę, że mamy przyjemniejsze tematy do rozmowy. Nadal chcesz ze mną iść?



– Chcę.

– Więc nie traćmy czasu.

Cóż więcej miałem powiedzieć? Upewniwszy się wcześniej, że auto jest zamknięte, ruszyliśmy w kierunku przejścia pod mostem.

Ojciec miał rację, nie pozostało tam zbyt wiele miejsca: rzeka wystąpiła z koryta i zamieniła swoje brzegi w bagno pełne poszarzałych trzcin i oczeretów. Jedyne przejście prowadziło tuż przy ścianie, zresztą dość oślizgłej, a pokrytej zielonkawym nalotem porostów. Szliśmy więc tą wąską ścieżką, ślizgając się na jej błotnistej nawierzchni i uważając, żeby nie zsunąć się do rzeki. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu perspektywa naruszenia tej spokojnej przybrzeżnej tafli wody napawała mnie lękiem. Nie wiedziałem bowiem, co może kryć się pod jej powierzchnią, a wyobrażenia podsuwała najdziwniejsze obrazy pełne białych ryb i anonimowych twarzy topielców. Mój ojciec z kolei zdawał się nie mieć takich wizji; parł uparcie przed siebie, zwalniając tylko wtedy, gdy akurat zapadł się w bagnie. Głowę miał podniesioną wysoko, a oczy wpatrzone w widniejącą przed nami betonową ramę, w której jaśniała perspektywa drugiej strony Granicy.

## 5. WIATR

Być może nawet ja sam uległem atmosferze tego dziwnego miejsca, bo – nie wiedzieć czemu – wychodząc po drugiej stronie nasypu kolejowego, spodziewałem się ujrzeć coś niezwykłego. Nie od razu zdałem sobie z tego sprawę; musiała minąć dłuższa chwila, zanim zrozumiałem naturę dziwnego uczucia zawodu, jaki pojawił się w moim sercu, gdy uświadomiłem sobie, że trawa tutaj jest tak samo szara jak wcześniej, a okolica tak samo opustoszała. Tylko chmury miejscami wydawały się jakby jaśniejsze; przestało wreszcie padać.

– Nie możemy iść dalej – powiedział nagle ojciec, zatrzymując się.

– Słucham? Przecież dopiero co...

Wyciągnął z przepastnej kieszeni woreczek niewielkich rozmiarów. Zanim zdążyłem zadać jakiegokolwiek pytanie, wysypał zawartość, którą okazała się mąka, na dłoń. Chwilę później zacisnął pięść, wziął szeroki zamach i cisnął mąkę w powietrze. Przez chwilę opadała bezładnie na wszystkie strony, ale zaraz uformowała coś na wzór rozdętego białego żagla, który na wietrze podryfował w naszą stronę.

– Wiatr niesie nie tylko mąkę. Pyły, ziarna, drobiny, kurz... I to, co zostało po gazach bojowych.

Miał rację. Dopiero teraz zauważyłem, że okoliczne trawy i krzewy kładą się na wietrze w naszą stronę, a w nosie czuję specyficzny, choć delikatny aromat czegoś bliżej nieokreślonego.

– Powinniśmy wracać... – powiedziałem, ale ojciec stanowczo pokręcił głową.

– Nie masz się czego bać, teraz już nie ma prawie żadnego zagrożenia. Kiedyś, zaraz po wojnie... Ale nie dzisiaj. Zresztą do lasu niewiele nam zostało, będziemy musieli po prostu poczekać, aż wiatr się odmieni. Zazwyczaj sypanie mąki załatwia sprawę, choć nie od razu.

– Słucham? A co ma mąka do...

– Płanetnik.

– Nie zaczynaj znowu mówić o...

– Pawle, wrócimy do tego później. Na razie musimy schronić się przed wiatrem.

– I gdzie zamierzasz się chować? Wracamy na tamtą stronę Granicy?

– Nie. Idziemy tam.

Spojrzał gdzieś w pole, gdzie akurat gęsto rósł poszarzały zagajnik pełen poskręcanych drzew. Nie od razu dostrzegłem sterczące tam resztki ścian i spróchniały szkielet więz- by dachowej.

– Dom Prudnickich? – spytałem. Prudniccy przed wojną byli skromną rodziną, cieszącą się w Helenówku dobrą sławą.

– Myślisz, że w ruinie będziemy bezpieczni? Przecież tam pozostały tylko gołe ściany i resztki dachu...

– Leszczuk swego czasu zaadoptował jeden pokój na formę postojówki – powiedział ojciec, ruszając w kierunku ruiny. – I w tamtym pokoju jest szczelne okno, drzwi, a i sufit się ostał. Problemy z wiatrem mieliśmy od początku istnienia Gaju, zresztą i wcześniej, jeszcze zanim Gaj powstał, przywiewało różne świństwa do wysokości nasypu kolejowego. A ludzi ciągnęło w tamtą stronę, musieliśmy więc coś wymyślić. Leszczuk pierwszy wpadł na pomysł, żeby zrobić coś z domem Prudnickich. Wziął z kilkoma chłopakami deski, brezent i mnóstwo innych drobiazgów, załadowali się na ciężarówkę i przyjechali tutaj. Jak uwinęli się z robotą, to potem przez dwa dni robili „testy”.

– „Testy”?

– Siedzieli i pili na umór. Zalali się w trzy dupy. Ale odpukać, zrobili kawał dobrej roboty. Teraz każdy, kto idzie do Gaju, ma gdzie się zatrzymać, jeśli akurat Płanetnik mu nie sprzyja.

– Dlaczego ciągle mówisz o tym Płanetniku, jakby to było coś ożywionego?

– Zobaczysz.

Zapusciliśmy się między gęsto wyrosnięty zagajnik, który najprawdopodobniej był po prostu zdziczałym przez lata ogrodem. Ostała się tutaj nawet studnia, choć teraz jej otwór przywalono stosem drewnianych palet. Ułożony na ich szczycie ogromny kamień z jakiegoś

powodu budził we mnie niepo- kój; wyglądało to tak, jakby ktoś chciał za wszelką cenę uwięzić coś na dnie studni. Ale co i po co?

Wnętrze domu było kompletnie rozgrabione. Uchowały się tylko ściany i samotny piecyk, wciśnięty w kąt salonu. I koło tego piecyka była framuga, pozbawiona drzwi, a zaklejona folią. Postojówka okazała się niewielkim pomieszczeniem, w dodatku obskurnym: pod obdrapanymi ścianami leżały butelki po wódce, a w powietrzu unosił się fetor zwietrzałego alkoholu. Okno, nawet jeśli nowe, było uwalane brązowymi plamami i kurzem. Na zewnątrz powiewała chorągiewka. Niewielki skrawek materiału wychylał się w naszą stronę.

– Co się właściwie stało z Prudnickimi? – spytałem, siadając na starym krześle.

– To długa i dziwna historia... – ojciec wyjrzał na zewnątrz.

– Ale zdaje się, że chyba mamy trochę czasu, zanim wiatr się odwróci.

– Więc?

– Widzisz... – Tata odwrócił się od okna i zwałił ciężko na sparciały materac. – Na niedługo przed wybuchem wojny Marek Prudnicki poszedł z Leszczukiem i kilkoma innymi chłopakami opijać pępkowe któregoś z nich, ale zabij mnie, jeśli pamiętam którego. W każdym razie pobalowali nieźle, a Marka tak zakręciło, że wracał do domu naokoło wsi, przez pola. To była ciepła, letnia noc, siedziałem wtedy na tarasie i czytałem gazetę. Ty już spałeś, siostry też dmuchały w poduchę, a matka... Matka nie pamiętam, co robiła, ale krzątała się gdzieś po domu. No więc siedziałem na tym tarasie, czytałem tę gazetę i nagle jak nie huknie! Spojrzałem w kierunku pól i ujrzałem tam jasność, ale jakąś taką dziwnie wykwitłą, jakby snop światła pnący się ku nocnemu niebu. Od razu psy zaczęły ujadać w całej wsi, wszyscy powychodzili na zewnątrz.

I tak jak siedziałem w luźnych spodniach i podkoszulku, tak pobiegłem. Mało co nie pogubiłem ubrań, tak pędziłem. Myślałem sobie: samolot wałnął, może jakiś meteor. Może ktoś jest ranny...

Ale kiedy dotarłem na skraj pól, okazało się, że świetlista kolumna ma swoją podstawę dalej, bo aż za nasypem kolejowym. W lesie. Niech to, gdybym miał aparat! A tak pozostawało mi tylko stać i patrzeć, a wierz mi, to był osobliwy widok: jakby nocne niebo opadło stalaktytem gwiazd ku ziemi i w ten sposób połączyły się ziemia i ogrom kosmosu; migotliwe barwy unosiły się ku niebu, zakrzywiając je w punkcie styku w specyficzny sposób. Wszystko to wydawało się zespojone rozedrganą strukturą, której natury nie potrafiłem żadną miarą uchwycić czy opisać.

Leszczuk dogonił mnie na starym motorze WSK. Jechał od lewej do prawej, wciąż zalany niemalże w trupa, ale zdaje się, że otrzeźwiał w

stopniu pozwalającym mu jako tako prowadzić. Dosiadłem się do niego, zmieniłem za kierownicą i we dwójkę pojechaliśmy w kierunku nasypu... Wtedy jeszcze przejazd pod mostem był przejezdny. I dopiero tam, będąc już po drugiej stronie, zrozumieliśmy ogrom incydentu. Las zapalił się; drzewa utworzyły ścianę ognia, na niebie wykwitła krwista luna. I pamiętaj, że lato było wyjątkowo upalne, a żniwa wciąż mieliśmy dopiero przed sobą. A pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć...

Prudnicki... Był tam, stał niedaleko nas: zanurzony do pasa w szumiącym złowrogo odmęcie pszenicy. Blask pożaru oświetlał zarys jego sylwetki, a on patrzył na pożogę i wyrastający z niej cudny, gwiazdny lej.

„Prudnicki!” – zawołał Leszczuk. – „Ochujalesz?! Wyłaż z tego pola!”

Ale Marek stał tam tylko i patrzył, jak żywioł pochłania wszystko wokół. Rzuciliśmy się w pole. Chcieliśmy go stamtąd zabrać, zdawaliśmy sobie bowiem sprawę z tego, że przeniesienie się ognia z lasu na pola jest tylko kwestią czasu. Złapaliśmy Prudnickiego, a w tego jakby nagle diabeł wstąpił!

„Puśćcie mnie!” – krzyczał. – „Chcę do gaju! Chcę do gaju!” Spojrzeliśmy po sobie z Leszczukiem pewni, że Marek stracił rozum ze strachu. Szarpnęliśmy nim, ale bez skutku; nie wiedzieć skąd Prudnicki posiadał nagle siłę mocarza. Odrzucił nas na bok i wyrwał się w kierunku ognia, krzycząc tylko: „Gaj! Gaj!”. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile siły musieliśmy włożyć, żeby wreszcie powalić go na ziemię... Ciepło od płonącego lasu zaczynało uderzać nam w twarze, wkoło latało pełno iskier i każda – każda! – mogła sprawić, że i pole zajmie się ogniem. Na tle nocnego nieba wyglądało to tak, jakby nagle na ziemi rozpętało się inferno.

Kiedy wlekliśmy oszołomionego Prudnickiego do domu, od drugiej strony lasu dobiegło nas wycie syren strażackich.

– Pamiętam syreny – wtrąciłem nagle, przypominając sobie jak przez mgłę przenikliwe wycie rozdzierające noc. – I pomarańcz nieba... To było jeszcze przed wojną?

– Dosłownie na kilka dni przed – ojciec stęknął, usadowiając się wygodniej na materacu. Zgrzytnęły stare sprężyny.

– I co się dalej działo z Markiem Prudnickim? Doszedł do siebie?

– Ano nie doszedł. Kiedy już go wyciągnęliśmy z tego pola, rzuciliśmy Prudnickiego na drogę i potem staliśmy jeszcze długo i patrzyliśmy na ten gwiazdny lej. Do dzisiaj nie wiem, co wywołało taki efekt. Ksiądz później twierdził, że to pewnie ciepło bijące od płonącego lasu. Powietrze nagrzało się, ale temperatura była największa nad drzewami... Stąd i owa rozedrgana kolumna. A Marek potem się uspokoił. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że coś mu się popsło w głowie,

nie mogłem tego wiedzieć. Dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że wpadł w alkoholizm i nie ma kontaktu z rzeczywistością. I w końcu zaginął.

– Zaginął? Ale...

– Utonął, zapił się, może ktoś go potrącił. Cholera, Pawle, nie wiem. Przepadł i już. Zostawił dom, tak jak był. I potem ten dom, jak sam widziałeś, rozkradli. Ludzie niczego nie uszanują. Potem coś wybuchło, zmiotło jedną ścianę, część dachu... I została nam tylko postojówka. Swoją drogą, parszywa i obskurna, jak sam widzisz, ale lepsze to niż nic.

– A ja przez całe życie myślałem, że las spłonął przez wojnę...

– Och, wojsko też dołożyło swoje trzy grosze. Ale to już było dopalanie zgliszczy.

W postojówce zapadło ponure milczenie. Przebywanie w dawnym domu kogoś, kto stracił rozum wzbudzało we mnie osobliwe uczucie dyskomfortu. Zresztą nigdy nie lubiłem opuszczonych miejsc. Zbyt wiele w nich było smutku, zbyt wiele znamion tragedii z przeszłości. Ilekroć przyszło mi się znaleźć w porzuconych domach – a zaraz po wojnie było takich miejsc pełno – zawsze zastanawiałem się: ile osób tutaj mieszkało? Ile umarło? Ile straciło rozum, a ile odbijało się od ścian wrzeszcząc i bełkocząc pod nosem?

– Wiatr się zmienia – powiedział nagle ojciec, wyglądając przed okno. Faktycznie, chorągiewka wyduła się w drugą stronę. – Bierz plecak i ruszamy.

## 6. OBŁOCZNIK

Moje wyobrażenia o lesie całkiem rozmięły się z rzeczywistością.

Nie było już puszczy, którą zapamiętałem z dzieciństwa. Odeszła bezpowrotnie do wspomnień w kolorze sepii, ukrytych głęboko w czasach, gdy świat wciąż pozostawał dla mnie bezmiarem kontrastów. Umarły drzewa, krzewy, trawy; umarła zieleń. Zamiast tego wkoło rozciągała się poczerniała martwota pogorzelska, pełna nagich szkieletów i wyschniętych koryt. Ziemię rozorały bruzdy wybuchów, pocięły blizny rykoszetów. Nie odnajdywałem w tym cichym miejscu nic, co przypominałoby mi czasy dzieciństwa.

– Stąd do Gaju już niedaleko – powiedział ojciec. Zatrzymał się. – Ale nie możemy iść dalej, a na pewno nie tą ścieżką. To zbyt niebezpieczne.

– Dlaczego? – spojrzałem na wijącą się między drzewami dróżkę, teraz zakrytą częściowo białymi gałązkami.

– Ta droga jest zaminowana. W czasie wojny domowej któraś ze stron w przeblysku oświecenia stwierdziła, że dobrze będzie zabezpieczyć las

w razie, gdyby tym drugim przyszło do głowy przekradać się leśnymi ścieżkami. I mieli rację: zobacz sam.

Wskazał mi jakiś punkt w oddali. W pierwszej chwili nie zwróciłem nań uwagi; dopiero po bliższych oględzinach okazało się, że widnieje tam dziura z porozrzucaną wkoło kupą szmat.

– Myny? – poczułem na karku zimny pot. – Na to się nie pisałem...

– Może i nie, ale przecież widzę, że chcesz zobaczyć ten cały Gaj. – Ojciec uśmiechnął się łagodnie. – Gdyby tak nie było, już dawno temu zawróciłbyś i poszedł do domu, prawda?

Milczałem.

– Widzisz, Pawle, wydaje mi się, że jednak gdzieś tam na dnie twojego serca drgnęła jakaś struna. I dobrze; świat bez wiary w cokolwiek byłby miejscem bardzo smutnym.

– Co za bzdura! – Ruszyłem za ojcem, który zszedł ze ścieżki i zapuścił się między drzewa. – Świat bez wiary byłby smutny? Mam ci przypomnieć, że ta cała „domówka”, jak ją teraz nazywają, to właśnie przez wiarę?

– Nie przez wiarę, nie przez religię, a politykę. Przecież dobrze wiesz, czym się różni jedno od drugiego, dlatego nie rozumiem, po co próbujesz mieszać różne pojęcia.

– Tato, wiesz, że bardzo cię kocham – powiedziałem. – Ale to, co mówisz, to jest głupota. Po co mi wiara w...

– Bo świat, który definiuje się przez racjonalne ramy, w tych ramach się zamyka; traci jakikolwiek inny wymiar. A kiedyś świat był dużo ciekawszy! Pełno w nim było cudów i niesamowitości, wszystko miało swoją duszę. Każdy kamień mógł być dziełem czegoś większego, a każda zmiana pogody zapowiedzią nadchodzących wydarzeń. A dzisiaj? Próbujeamy zamknąć świat w ramach, które sami narzucimy, a jednocześnie podświadomie chcielibyśmy, żeby w tym świecie było coś więcej. Budujemy coraz bardziej skomplikowany labirynt, który w głębi duszy pragniemy opuścić. To smutne, ale prawdziwe.

– Tylko że zamykając się w tym „labiryncie”, jesteśmy w stanie uniknąć kolejnej „domówki”, tato – odpowiedziałem mniej grzecznie, niż bym chciał. – Bo twoja wiara daje nam mentalne pocieszenie w obliczu fizycznego bólu, którego jednak wolałbym unikać i na który się nie godzę.

– Nie musisz się godzić. Wystarczy, żebyś wiedział, że jest na co się godzić albo czemu się sprzeciwiać. Spójrz.

Spojrzałem.

Kilkanaście metrów przed nami rozciągała się polana. I nie byłoby w niej nic niezwykłego, gdyby nie to, że na jej środku spoczywał monolityczny posąg wyobrażający wysokiego starca z brodą.

Groteskowo szeroki kapelusz rzucał cień na jego twarz.

– Płanetnik – powiedział ojciec głosem drżącym od emocji.

– Obłocznik. Chmurnik.

Nie potrafiłem wytłumaczyć osobliwego wstrętu, jakim napawał mnie ten dziwny, rzeźbiony bożek. Nie przypominał żadną miarą mitologicznych postaci, jakie znałem, choć po prawdzie orientowałem się przede wszystkim w mitach greckich; wierzenia słowiańskie pozostawały dla mnie od zawsze pewną egzotyką. Jednak nie dało się ukryć, że w tej postaci było coś złowrogiego i tym bardziej niepokojącego, że nie potrafiłem określić źródła owego lęku. Być może wynikało to z dziwnej, kosmicznej grozy, jaka kryła się w rysach tego pogańskiego bałwana; kolejne linie wydawały się poprowadzone zbyt precyzyjnie, żeby mogły wyjść spod dłuta człowieka.

– Co on tu robi? – spytałem.

– Pilnuje.

– Czego pilnuje?

Ojciec odwrócił się do mnie. Nie pamiętam, kiedy widziałem go równie szczęśliwego.

– Wejścia do Gaju, Pawle. Jesteśmy już blisko.

Rozejrzałem się. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, ciągnęła się szarość i poczerniała martwota. Nigdzie nie widziałem owego mitycznego Gaju, nigdzie nie przebijała się zieleń życia.

– To jeszcze nie tu – powiedział ojciec, widząc moje zwątpienie. – Jeszcze musimy trochę przejść, ale to już naprawdę niedaleko.

– Skąd się wzięła tutaj ta cała... Ten cały Płanetnik?

– Nie wiem – przyznał z zakłopotaniem. – Jedni mówią, że był tu od zawsze, drudzy, że wręcz przeciwnie: powstał dopiero po wybuchu wojny... Ciężko stwierdzić. Ale jest w nim coś żywego, coś, co odróżnia go od zwykłych kamiennych figur. Zbliży się do jego twarzy, a może poczujesz delikatny powiew... Jakby oddech.

Spojrzałem na ojca ze zdziwieniem. Oddech?

Przełamując wstręt, zbliżyłem się do figury i przysunąłem twarz do niewielkiego otworu w rzeźbionych ustach. I wówczas zrozumiałem, co ojciec miał na myśli – posąg najzwyczajniej w świecie wydmuchiwał powietrze. Ale jak?

– Teraz jest jeszcze spokojny. Wyczuł, że rozsypałem mąkę, dlatego nas w końcu przepuścił; inaczej dmuchałby w naszą stronę tak długo, aż nie potracilibyśmy zmysłów, może nawet ściągnąłby na nas burzę. A tak jesteśmy bezpieczni.

– Ale... Nie rozumiem – odsunąłem się od posągu. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że spogląda na mnie, a jego spojrzenie wwierca się w mój mózg. – Jakim cudem? Jakiś prze- ciąg, wentylacja...?

– Dlaczego mnie prześladujesz?

Odwrociłem się do ojca. Wyglądał na zmieszanego.

– Prześladuję? – spytałem.

– Przepraszam?

– Zapytałeś, czemu cię prześladuję. Czemu? Przecież ja nie...

– Nie, ty to powiedziałaś. – Tata uniósł brwi. – Zacząłeś oglądać ten posąg i nagle mruknąłeś coś pod nosem. Myślałem, że do siebie, dlatego nie odezwałem się nawet słowem.

– Jestem niemal pewien, że słyszałem...

– Pawle, nic nie mówiłem. Może to przez emocje? To możliwe. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz tu przyszedłem, to zachowywałem się, jakbym postradał rozum. Chodziłem od lewa do prawa, gadałem do siebie jak najęty, no i Płanetnik! Nie mogłem się nadziwić, skąd się tutaj wzięło takie чудо!

– Chodźmy dalej – powiedziałem zdjęty nagłym strachem. Nie wiedzieć czemu, odniosłem wrażenie, że rysy Płanetnika zaczęły nagle poruszać się delikatnie.

– Jasne. – Ojciec klepnął mnie w ramię. – Tędy!

## 7. GAJ

Nie pamiętam, po jakim czasie trafiliśmy do tego na wskroś onirycznego miejsca, wszelako wciąż pamiętam jego osobliwą atmosferę. Dziwnie bowiem było tak patrzeć na rozłożone promieniście drzewa, których zwęglone szczątki tworzyły specyficzny okrąg. Jego centralnym punktem był okazały krater o nieregularnym kształcie, najprawdopodobniej pozostałość po niewybuchu albo jakimś zbłąkanym pocisku moździerzowym. A może po meteorycie? Któż wie, być może to właśnie jakiś zbłąkany aerolit pojawił się nad naszą małą wsią, jakby naigrywając się z biblijnej gwiazdy betlejemskiej, przybył, nie zwiastując narodzin cudu, ale wojnę i cierpienie.

Cokolwiek to było, upadło tutaj dawno temu i zabrało życie z okolicy. Po krzewach i krzakach pozostały ogołocone szkielety, drzewa straciły liście. Żaden ptak nie uwił tutaj gniazda, żaden lis nie wykopał nory.

I tylko jeden dąb, choć osmalony, stał na granicy tego dziwnego miejsca – pochylony i wykrzywiony. Kilka żalosnych, szarych liści chwiała się na osamotnionych gałęziach.

– Gaj? – spytałem ojca niepewnie. Spojrzałem na niego i ze smutkiem stwierdziłem, że na jego twarzy pojawiła się ta straszna mieszanina rozczarowania i zdumienia, gdy rze- czywistość nijak nie przystaje do tego, co umysł zapamiętał jako piękne i wybujale.



– Ja... Musieliśmy się zgubić... – powiedział zawstydzony.

– W porządku.

– Pawle, ja...

– W porządku. Bywa i tak. Może tutaj był Gaj, jeszcze nie tak dawno temu. Ale ta ziemia jest skażona, drzewa mogły wymrzeć, a zwierzęta pójść w swoją stronę. Dla nich powietrze nie musi być toksyczne, wystarczy sama gleba. A teraz wracajmy, zanim się ściemni.

Ze wstydem przyznaję, że czułem wówczas pewnego rodzaju żal, chociaż nie powinienem był go czuć. Bo i czemu? Do kogo? Przecież ojciec wierzył w to, co mówił, nie mogłem zarzucić mu kłamstwa. Oszukał nie tylko mnie, ale i siebie. A ja? Przecież wiedziałem, że ten Gaj nie istnieje, że nigdy nie istniał i istnieć nie mógł. To było wbrew naturze naukowca wierzyć w coś równie nieprawdopodobnego. Dlaczego więc...

Być może spodziewałem się czegoś innego. Jakiegoś nagłego zwrotu spraw, może czegoś niesamowitego. Ale dlaczego? Cóż więcej mogło się wydarzyć na ziemi, która przetrwała tak wiele zła? Czas mojej małej wsi i jej okolic przeminął, ten świat już umierał.

– Przepraszam – powiedział cicho ojciec jakiś czas później, kiedy zbliżaliśmy się do granicy lasu. Jego głos wyrwał mnie z odrętwienia.

– Daj spokój.

– Pawle, ja naprawdę widziałem... Tam, w głębi lasu. Buki, dęby, brzozy. I dąb! Największy dąb, jaki w życiu...

– Tato... – Przystanąłem. Przytrzymałem go za ramię. Spojrzał wtedy na mnie i wówczas, po raz pierwszy od wielu lat, spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Wierzę ci – powiedziałem i po dłuższej chwili, nie wiedząc czemu, powtórzyłem. – Wierzę.

Spoglądaliśmy na siebie jakiś czas. Bez słów, bez gestów. Zadrżał. Myślałem, że to dreszcze, może zmarł, ale nie – jego oczy zasły łzami. I drżał tak przez chwilę, krztusząc się szlochem, a kiedy wreszcie uściskałem go mocno, nie wytrzymał. Rozplakał się i dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo był już słaby i jak bardzo dokuczała mu samotność.

\*\*\*

Zmarł jakiś czas później, już po moim powrocie do Miasta. Dowiedziałem się o tym od Leszczuka. Zadzwonił do mnie pewnej deszczowej soboty, gdy wyciągnięty w swoim fotelu czytałem książkę i popijałem whisky z lodem. Pamiętam to jak dziś: krople deszczu ściekały po oknie, rozmazując wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie. Informację przyjąłem względnie spokojnie. Podziękowałem za jej przekazanie, doceniłem, że podjął się tego trudnego zadania i życzyłem

milego dnia.

Potem długo siedziałem w mojej ciasnej klatce kilku pokoi i czekałem, aż pochmurny dzień stanie się ciemną nocą, aż półmrok stanie się mrokiem, nastanie ciemność i wszystko, co dobre, zgaśnie.

## 8. Pleroma

Gdy po wielu latach przyszło mi znowu znaleźć się na obszarze Granicy, uderzyło mnie, jak niewiele tutaj się zmieniło. Wciąż był to przede wszystkim przestwór łąk przeplatanych lasami i rozlewiskami, gdzieś tylko na horyzoncie ucięty niewyraźnym kształtem wymarłej już wsi. Z trudem odnajdywałem dawne drogi czy ścieżki; od dłuższego czasu anemiczna przyroda zagarniała ten teren dla siebie. Mozolnie, ale konsekwentnie. O tym, że ta ziemia wciąż nie została do końca zapomniana, świadczyły już tylko konstrukcje wsparcze. Teraz na tle burzowych chmur ich gałęziste struktury wyglądały jak tajemnicze struktury z innej rzeczywistości. Wiało.

Przystanąłem. Zrzuciłem plecak z ramion i zaciągnąłem się cudownie świeżym powietrzem, ciesząc się wszechobecną ciszą. A potem, po dłuższej chwili, upadłem na kolana, rozgarnąłem kępy szarej trawy i położyłem się w ich gęstwinie. Przyłożyłem ucho do wilgotnej ziemi.

Nigdy nie przyszło mi zobaczyć owego „kosmicznego słupa”, o którym wiele lat temu opowiadał mi ojciec; w czasie późniejszych wędrówek nie zwracałem uwagi na wiatr i nie sypałem mąki, by przebłagać Płanetnika. Przemierzałem okolicę z aparatem, drwiąc z pola magnetycznego. Uważałem tylko na miny, o których mówili mi żołnierze, chyba po mieszkańcach Granicy przejmując nabożny lęk przed tym terenem, przypisując mu właściwości niemalże magiczne. Lecz ile naprawdę było w tym magii?

Na wywołanych przeze mnie zdjęciach jedyną magią Granicy pozostał jej spokój i dziwna kolorystyka przywodząca na myśl sepię. Dopiero później zrozumiałem, że nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mogło być inaczej. Granica już na zaw- sze miała pozostać obrazkiem świata, który umarł.

Przewróciłem się na plecy i spojrzałem w białoszare obłoki kłębiące się tam, na górze. Było w nich coś pięknego, choć na specyficzny smutny sposób.

Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, dlaczego właściwie tutaj wracam. Nie pozostało tu nic, co by mogło mnie tutaj trzymać; rodzinny dom zgodnie z prawem dotyczącym Granicy przypadł Skarbowi Państwa, a nasza rodzina otrzymała skromne odszkodowanie za wywłaszczenie. Odpowiedź przychodziła zawsze ta sama.

Spokój.

Było coś kojącego w ciszy, jaka tu panowała. Dopiero tutaj odnajdywałem własne myśli, własne życie pozbawione zgiełku. Na ironię zakrawał fakt, że już po śmierci ojca zrozumiałem, że Gaj, o którym tyle mi opowiadał, istnieje. Nie było to jednak określone miejsce czy punkt, ale cała Granica; jej przestwór, jej cisza, jej spokój. Gaj istniał i ja wierzyłem, że istnieje.

Kiedy zamknąłem oczy, wiatr zmarszczył powierzchnię traw, a z chmur spadł pierwszy tego roku wiosenny deszcz.

Kanie – Warszawa, marzec 2017

## Piotr Ferens

# Cmentarzysko demonów

*Imperium Lechickie – rok 856*

Niezwykle długa i uciążliwa zima ciągnęła się w nieskończoność. Dni wlekły się jak umęczeni wędrowcy, co wygnani z zapomnianej krainy ciepła, bieżą przed siebie bez celu i jakiegokolwiek nadziei. Zimno wciąż niepostrzeżenie wślizgiwało się do chat przez wszelkie z możliwych szczelin, by z zachłannością kraść każdą z napotkanych drobin ciepła. Nawet sam ogień zdawał się przysypiać, gdy jego płomień schwytało w mroźne kleszcze, spowolnieniu się poddawały. Powiadano, iż wietrzna potęga Strzyboga w jednej chwili potrafi złapać ów żywioł w pułapkę i tym samym powstrzymać go od choćby najmniejszego ruchu. Nad wyraz rzadki to bywał widok, ale ponoć byli tacy, którzy tę niecodzienną na własne oczy ujrzeć okazję mieli.

Wielu ludzi zamieszkujących gród Waremhi pomarło tej zimy, po części z głodu, po części zmorzeni chorobami różnymi, a niektórzy straciwszy światło życia ze swych oczu, sami z rozpaczą targnęli się, by żywot swój zakończyć. Najczęściej kruche ciała starców Weles przygarniał do się, lecz i nad dziecięcą mogiłką niejedną to raz płacz był się rozlegał. Widać, iż Strzybóg litości nie miał, by w trakcie tych ciemnych, pustych dni oraz nocy aż po świt wypełnionych samym li tylko mrozem i śniegiem, owych dusz z zimna skostniałych Welesowi naganiać. Pewnikiem owi bogowie wzajem się dogadali i teraz część pomarłych w Strzybogowym królestwie służyć musi, co lodem odwiecznym skute i gdzie mróz bez wytchnienia odwieczne losy tej przerażającej krainy rzeźbi.

Mimo nieustannego obcowania ze śmiercią i wypełniającego każdego z mieszkańców smutku, z cichą wytrwałością czekano dnia, w którym lodowy dech zimy powstrzyman zostanie. Nieustannie wznoszono modły i odprawiano wszelkie zaklęcia. Rzucano nożami lub kamieniami, które to – jako wiadomo – niemałą moc odegnania upartych i groźnych bóstw mają. Mimo to mozolne dni, wypełnione mrokiem splecionym z mrozem, ciągnęły się w upartą nieskończoność. Lecz nawet i pokonany człek, ma jeszcze jako tę ostatnią – nadzieję. Gdy i ona jednak polegnie, zaiste nie posiada się już nic.

Umęczeni długim czasem zimna, które zdawało się dusze z ciał wysysać, ludzie mawiali między sobą, iż to demony wszelakie, łapska

swe do ich nieszczęścia sumiennie przykładają. Nawet bagienniki<sup>1</sup> zapuszczały się w grodowe progi, czego dowodem miały być ślady błotnistej, stężalej na mrozie mazi przypominającej bagienną. Widywano też kłobuki<sup>2</sup>, które domy opuszczały. Szeptano, iż podobno jedna z dziewczek, zakopawszy pod progiem chałupy płód poroniony, na powrót owego kłobuka zawezwać do swego domostwa zapragnęła. Nie zechciał się on jednak pojawić. Razu zaś pewnego ktoś krzyk w noc podniósł, że ponoć mamunę<sup>3</sup> był widział, ale na żaden jej ślad, szczęściem, nie natrafiono. Ten i ów twierdził, iż jakoweś inne jeszcze, ze wszech miar złośliwe stwory widywał, co się blisko zmierzchu były pojawiały lub skoro świt. Pod murami grodu węszyły czy też chyłkiem pomiędzy chatami, skulone, przemykały. Po co do grodu przyłaziły? Czego tak

\*\*\*

I nagle, w ciągu zaledwie kilku dni, Dziewanna – owa pani wiosny – przedarła się przez śnieżne okowy i jęła gładzić ziemię ciepłem swych pięknych dłoni o palcach delikatnych, smukłych i długich. Wnet świat jął się przebudzać, jakoby ze snu głębokiego, rozkwitając świeżością bujnej zieleni w całej swej możliwej okazałości. W końcu na umęczonych zimą mizernych obliczach człowieczych, pierwsze promienie słoneczne zagościły, by tym samym niepewny uśmiech szczęścia na nich odmalować. Wiatr złagodniał i przybrał ciepłą barwę; muskał w podmuchach zieleniejące się pola i wzgórze, jakby chciał uspokoić do niedawna jeszcze zmarzniętą ziemię. Dziewanna szciodrze kwieciami łąki i pola obsypała, drzewa zieloną soczystością w liście przyoblekła, a na koniec radosne pieśni i trele w małe ciała ptasząt z całą mocą tchnęła.

Jako że i wraz z wiosennych dni nadejściem rodzą się burzowe imperia, tako i teraz się dziać zaczęło. Strzeliste sosny nieodległego lasu zaszumiały w ostrzeżeniu i znieruchomiały raptownie. Wiatr ucichł nagle, przycupnąwszy w dolinach. Szare chmury wtargnęły na odległy horyzont, a ich wielkie cielska pęczniały naprędce w swych rozmiarach przybierając. Naraz pojedyncza błyskawica rozpałała się z jaskrawą mocą, a w chwilę później grzmot, niczym ciężka oderwana skała, przetoczył się nad ziemią niespiesznie, wybrzmiewając drzemiącą w nim potęgą.

Nadchodził czas burz. Czas Peruna.

\*\*\*

Niebo nad waremhiańskim grodem pociemniało i stalową barwę

przybrało, niczym miecz wojownika czekającego na pierwsze krople krwi wroga. Ludzie przystawali i zerkali z niepokojem w górę, po czym ruszali dalej. Kobiety w pośpiechu zabierały suszące się na dworze uprane przyodziewy.

Zbliżało się późne popołudnie.

Wyszedszy z chaty Ragir, natknął się na Galwiarza, mężczyznę o posturze potężnej, który z uwagą obserwował pogodę.

– Płanetniki<sup>4</sup> ku nam bieżą i to coraz żwawiej – rzucił Galwiarz. – Widać, że te ciężkie chmurzyska starcy owi na linach z niemałym wysiłkiem ku nam ciągną.

– Jako rzeczesz – zgodził się Ragir. – Zaiste... Perun szykuje się do pierwszej walki tej wiosny. Miejmy tylko nadzieję, że długie ciemności zimy nie osłabiły zbyt jego siły.

– Patrzeć jeno tylko, jak piorunowymi kamieniami zacz- nie wokoło ciskać. Nigdy nie wiadomo, w co przyceluje. – W głosie Galwiarza słysząc było wyraźną obawę.

– Gdyby nie owe kamienie ogniste, Perun nie miałby szans by owe bitwy wygrywać. A tak z każdej batalii zwycięsko wychodzi i znów światło mrok zwycięża, a słońce na nieboskłon się wspina.

– Niechaj zwycięża. Bylebym tylko w łeb od niego nie dostał. Pamiętasz, jak zeszłego lata młodego Gorundę zdzieliło? Tak fiknął w powietrzu, że jeno nogi ujrzeliśmy. A jako do niego podbiegliśmy, to połowa ciała szerniała już była. Zaiste sam Weles musiał go w swym podziemnym królestwie potrzebować i z Perunem się zgadał.

– Nie pierwszy to, ani nie ostatni raz zapewne.

Burzowy pogrom nadciągał w pośpiechu nad gród, kiedy to z wież strażniczych dały się słyszeć jakieś niezrozumiałe pokrzykiwania. Raptem, chwilę później, przy wtórze zgrzytów drewnianego mechanizmu, most zwodzony jał z wolna na dół opadać. W końcu uderzywszy w umieszczony poniżej próg, znieruchomiał, łącząc tym samym gród wraz z przeciwległym fosi brzegiem.

Stukot końskich kopyt zdawał się nieść ze sobą zmęczenie i nerwowość, a być może był to jeno zwykły pośpiech, co niecierpliwością pewną zawsze jest nacechowany? Na grzbiecie zdrożonego zwierzęcia siedział człowiek. Jego ubiór wskazywał na wojownika; skórzana zbroja chroniąca klatkę piersiową, długi czterdziestocentymetrowy szeroki nóż oraz niewielka okrągła tarcza przytroczona do końskiego boku. Na mocarnym ramieniu woja zaschnięta krew połyskiwała szkarłatnie pod chmurnym niebem, dając świadectwo stoczony niedaw- no walki.

\*\*\*

Dowódca straży wartowniczej, Ratormir, wprowadził przybysza do

główniej komnaty, po czym wyszedł. Wewnątrz oczekiwał już książę Dargorad, poinformowany o niecodziennej wizycie. Był to człek o chmurnym spojrzeniu, ale sercu ze wszech miar dobrotliwym. Twarz miał nieco pociągłą, oczy duże, co pod krzaczastymi brwiami się zasadziły, a nos zaokrąglony na czubku, jakby go był co wieczór starannie wygładzał. Teraz podszedł do przybysza i uściśnawszy go serdecznie, uśmiechnął się doń pokrzepiająco.

– Jak brzmi twoje imię, bracie, i z czym do nas przybywasz? – zagadnął.

– Hubysław się zwę. Z odległego południa bieję. Od wielu dni gnam przed siebie na karku złamanie, by ludzi przed przekłętą armią papieską ostrzec, co w te strony podąża.

– Głodnyś zapewne i zmęczon okrutnie. – Książę wskazał mu miejsce przy stole i jedzenie w misach. – Posił się, a potem opowiadaj.

– Później. To, co mam do przekazania, nie winno czekać dłużej, niż musi. Złe wieści przynoszę.

– Mówże zatem.

– Jako rzekłem, z południa ku nam niedobitki armii papieskiej zmierzają. Po drodze palą i niszczą wszystko, na co się tylko natkną. Każdemu zaś, kto ich wiarę odrzuci, gwałt okrutny zadają.

– Nie dadzą nam spokoju, póki swoją wiarą naszej w pył nie zetrą! – Dargorad huknął pięścią w stół. – Jeszcze przed zimą pewne słuchy o ich zamiarach nas dochodziły.

– Jako widać, słowa szybsze bywają niżli kroki najprzedniejszego piechura, czy nawet tego, co to na koń wskoczy.

– Ale mów, bracie, wszystko, co wiesz. Każde twoje słowo cenne.

– Armia wyruszywszy dawno temu, szybko do rubieży lechickich dotarła. A gdy tylko naszą granicę przekroczyła, jęła podbojem się parać. Na nasze szczęście, zaskoczyła ich dość wczesna i sroga zima, która przez długi czas mocno ich wstrzymywała, a także bez litości szeregi przerzedzała. Jednakże, kiedy tylko dni nieco cieplejsze nastąpiły, ruszyli dalej, prąc w głąb Lechii. Jako że jednak utracili sporo ze swej siły pośród wojów, uczynili coś niepojęcie strasznego...

– Cóż to takiego? Mówże! A wartko!

– Bestyję jakowąś do się przyzwali i teraz wraz z nimi walką się para. Wielka niczym góra, a w swych poczynaniach niepomiernie okrutna. Jakem żyw, nigdy takowej kreatury nie widział.

– Czymże ów stwór w takim razie jest? Skąd go przyzwali?

– Powiadają, że... – posłaniec zająknął się.

– Że!? – ponaglił go tracący cierpliwość książę.

– Że to ichni demon, któregoż przeciw nam na walkę zawezwali. Chrześcijański jakoby. Pakt z nim podpisali, by po ich stronie okrutnością wielką się wykazywał.

– Jakiż to pakt? Gadajże!

– Że jakoby pogan – jako nas zwa – ma owa bestyja zabijać, a każdemu martwemu duszę jaźni i życia zabierać, żywiąc się nimi niejako...

– I tym samym do wrót Nawii braci naszych nie dopuścić – dokończył ponuro za niego kniaź.

– A wedle wierzeń tamtych, zbawienia taki człek już nie dostąpi. Progu rajy ichniego nie przekroczy, przez bramy niebieskie nie przejdzie, a jeno skazanym na wieczne potępienie będzie, w demonicznych trzewiach ognia piekielnego.

Dargorad wciągnął głośno powietrze do płuc.

– Walczyć będziemy do ostatniego człeka naszego! – powiedział głośno i mocno. – I albo zwyciężym, albo polegniem, choćby i w paszczy tego demona przeklętego.

– Niełatwe więc czeka cię zadanie.

– Chcesz mi tu rzec, że owa armia wraz z tą bestyją właśnie ku naszemu grodowi zmierza? – upewnił się kniaź.

– Niechybnie.

– Jak sądzisz, ile dotarcie do nas im zająć może?

– Trzy, do pięciu dni. Zależy od tempa, jakie obiorą. Kniaź Dargorad spojrział poważnie na przybysza.

– Trza czym prędzej wiec zwołać i o grodu obronie postanowić.

Posłaniec skinął głową, Zmęczon, dłoń o siedzisko oparł, czując jak słabość jedne po drugim członki jego obleka.

\*\*\*

W dużej okrągłej sali zebrali się wszyscy grodzianie. Wieści o posłańcu, który był przerażające wieści przyniósł, rozeszły się błyskawicznie. Tedy na rozmowę, co dalej począć należy, zjawił się każdy, kto żyw. Wszyscy gwarzyli ze sobą, wielce niepokojąc się o los swój, rodziny, jak i całego grodu. Pośrodku płonęło duże ognisko, rzucając złotawe poblaski na zatroskane, wymizerowane twarze.

Kniaź Dargorad wystąpił na środek i rozpoczął zebranie temi słowy:

– Chwała wam bracia i siostry! Zebraliśmy się tutaj, by podjąć decyzję o obronie grodu naszego, ziemi naszej, wiary, jako i nas samych. Zapewne wiecie już, iż zagraża nam wielkie niebezpieczeństwo. Posłaniec, który ku nam przybył życiem własnym ryzykując, aż pod lechickimi granicami podróz swą rozpoczął. Niechaj teraz opowie wam, jako i mi był przekazał to, co widział i wie. Hubysławie – zwrócił się do posłańca. – Zechciej raz jeszcze przytoczyć swą opowieść.

Hubysław wstał. Wyglądał teraz nieco lepiej. Trapiąca go bladość



ustąpiła, rana na ramieniu została oczyszczona i opatrzona, a świeża lniana koszula jaśniała czystością. Zgodnie z prośbą Dargorada opowiedział dokładnie, co był widział i przeżył. A słuchano go z uwagą największą, jedynie od czasu do czasu przerywając, by jakoweś ważne pytanie zadać. Największa ich liczba wszak owej bestyi dotyczyła, którą to wraz z siłą się wysługiwały. Chciano wiedzieć, jak wygląda, jakimi mocami dysponuje lub czy strzała czy też miecz krzywdę jakowąś uczynić jej mogą.

– Znasz może jej imię? – spytał w pewnym momencie Demosław siedzący na ławie szerokiej.

Był to siwy starzec o długich włosach. Jego oczy wodnistymi zdawały się być, a twarz naznaczona latami trosk i przeżyć, które wraz z mijającym czasem cierpliwie ryły bruzdy w jego skórze. Był najstarszym ze wszystkich pobratymców, a jako mędrzec cieszył się wielkim szacunkiem i poważaniem nie mniejszym. Nigdy nie pomijano jego zdania, choć nieraz się zdarzało, iż stało ono w aż nazbyt jawnej sprzeczności z pozostałymi.

– Jeno raz je słyszałem – odparł Hubysław. – ale strach wypowiadać. Powiadają bowiem, że nawet szept swego imienia jest ona w stanie usłyszeć, samą będąc wiele dni podróży od tego, co owo słowo nieopatrznie wypowie.

– Napisz je więc – zaproponował starzec. – Pisanego słowa żadna bestya usłyszeć nie może.

– Racja! – przytaknął ktoś. – A i, śmiem twierdzić, iż naszego runicznego pisma żaden z chrześcijańskich demonów nie odgadnie.

– Słusznie prawi – przytaknął ktoś.

Hubysław zawahał się i spojrzął na kniazia, niepewnym będąc, czy uczynić to może. Ten skinął jedynie głową, dodając mu otuchy. Schyliwszy się, sięgnął więc po kawałek patyka prosto z ognia i skreślił kilka znaków wprost na klepisku. Wszyscy zebrani zbliżyli się lub jęli poprzez innych przeciskać, by choćby zerknąć na owo imię, co tak groźnym było.

– Niechaj nikt nie waży się wypowiadać go na głos! – ostrzegł Demosław.

– Czymże to grozi? Poza tem, że usłyszeć nas zdoła?

– Każde wypowiedzenie imienia demona wzmacnia go. Sił mu dodaje i wiarę, iż ludzie nade wszystko chcą mu służyć, w nim wzbudza.

– Znasz bestyję ową? – Książ Dargorad zwrócił się do Demosława.

– Niestety. Pierwszy raz z takim imieniem demona się spotykam.

– Co więc teraz począć należy? – Twarz jego mocno zafrasowaną znać się była.

– Duchów naszych rodzimych się poradzę. – rzekł starzec

flegmatycznym tonem. – One to lepsze rozeznanie pośród im podobnych mają niżli my, żyjący tu, na ziemi. I choć nie wiem, co też mi rzekną, to abyśmy wroga takiego pokonać zdołali, co wsparciem istoty piekielnej wzmocnion, uczynić tylko jedną rzecz możemy. Niechętnym temu, ale wyboru nie mamy.

Pośród zebranych przebiegł szmer naprędce wymienianych szeptem uwag.

– Cóż to takiego, Demosławie? – zagadnął Ratormir, choć jako i reszta domyślał się ponurej odpowiedzi.

– Cmentarzysko demonów – odparł starzec, a słowa jego zabrzmiały tak, jakby puste wewnątrz siebie były, wydrążone z żywota wszelakiego, zręczną dłonią śmierci samego Welesa.

W tej samej chwili płonąca gruba gałąź rozpołowiła się z trzaskiem, wyrzucając w górę snop złotawych iskier, które opadając, gasły z sykiem jedna po drugiej niczym skry demońskie. Niewątpliwy był to znak, iż demony uważnie naradzie się przysłuchują. Dało się słyszeć westchnięcie, które z gardeł wszystkich się dobyło.

– Demosławie – zagadnął Włodzisław, mąż młody wiekiem, ale o niezwykle bystrym umyśle – jeżeli zaprawdę obudzić jakowąś bestyję z cmentarzyska zamierzasz, to skąd pewność, że zechce się z nami przeciw innemu demonowi zbratać?

– Znać trzeba, iż wszelkie stwory owe, zarówno te z naszej wiary pochodzące, jak i z obcej nam, chrześcijańskiej, mimo iż wyglądem swym odstręczają, niewiele się od nas, ludzi, różnią.

– Jakże to!? – rzuciła oburzona takim do sprawy podejściem Ciesława.

– A także to! – odparł starzec mocnym głosem.

Z niemalym trudem dźwignął się na nogi, opierając swe starcze dłonie o sękatą laskę.

– Tako jako i my – powiedział – mają swe przywary, ale i zalety także. Czegoś pragną, ode innego z daleka trzymać się starają. A skoro nasi wrogowie obiecali swoim demonom nasze dusze, tako i my obiecujemy naszej bestyi to samo. Niechaj w zachłannym szale dusze z ich ciał chrześcijańskich wyszarpie i Welesowi w darze zanoszą, który to zapewne chętnie ją za taką dobroczynność wynagrodzi.

– To prawda iż demony wielce są łase na zapłatę w duszach zadaną – zgodził się kniaź.

– Nadto pamiętać musimy, – kontynuował starzec. – iż aby zwyciężyć, trzeba wroga swego poznać jak najlepiej. O wiele lepiej niż przyjaciół.

– Demosławie... – W krąg wstąpił Przybimir.

Był to człek dość wysoki, ale o posturze nader szczupłej. Na pociągłej twarzy, głęboko osadzone oczy spoglądały na swego rozmówcę jakby z

oddali.

– Nie przeczę, iż twe słowa mądrością naznaczone – ciągnął. – Ale jedna ważka sprawa mnie trapi.

– Jakaż to?

– Po pierwsze, kogo zamierzasz z cmentarzyska demonów powołać?

– To się okaże. Wpierw, jako wspominałem, naszych duchów rad bym był się poradzić, odnośnie natury tejże bestyi, która nam zagraża.

– Zatem wysłuchaj ich porad, ale zważ, jak potem owego demona, co zawezwanym będzie, odesłać mamy. Pomnij, co przed laty się stało. Ile to łez wylaliśmy, ile...,

– Wtedy to nie ja za wezwanie demona odpowiadałem – przerwał mu.

– Prawda to. Ale trudnym było ci go odesłać z powrotem. O mało co wszyscyśmy tego życiem nie przypłacili.

– Winy w tym mojej upatrywać nie należy. Owa południca, co z biednej Płameny zmarłej podczas zaślubin się narodziła, niełatwym wszak przeciwnikiem była. Boleję nad stratą jej samej, jako i tych, których w swe sidła dopadła. Wiecie jednak wszyscy, tako samo jako i ja, iż niewielu nas w grodzie po ciężkiej zimie pozostało. Tym samym mało nas by do walki się sposobić i za oręż chwycić. Wyjścia więc innego, jako zawezwać demona na usługi nasze, nie mamy. Bo jeżeli tegoż nie uczynim i przeciw zmierzającej ku nam bestyi go nie wyślemy, wszyscy już teraz w groby możem się wspólnie swe marne ciała złożyć. Mnie tam już wiele dni nie pozostało, ale są tacy, co w sile wieku lub dopiero co żywot swój rozpoczęli. I to o nich zawalczyć musimy.

To powiedziawszy, starzec do wyjścia ruszył. Ludzie rozstąpili się z szacunkiem, przepuszczając go.

– Niegodny to oręż nasi wrogowie wobec nam rzucili – mruknął Biezpraw, przełamując ciszę, która oblekła wszystkich usta.

– Jako i oni sami niegodni – rzekła stojąca obok dziewczka – to i się dziwić nie ma czemu, że po niegodne sposoby w postępках swoich sięgać się ważą.

Milczenie na powrót zamknęło dźwięki słów w swych okowach. Jenó trzask dREW spowitych w złociste ogniowe całuny raz po raz rozbrzmiewał, jakby ktoś dziatek bezbronnych małe kości łamał.

\*\*\*

Grzmoty przetaczały się po niebie niczym wielkie głazy jenó dla zwykłej zabawy przez olbrzymów puszczone. Niebo tak ciemne było, że zdawało się, iż cięży przeogromnie nad ziemią, by lada chwila zwalić się łoskotem w dół, gruchocząc wszystko pod swym obmierzłym cielskiem. Naraz błyski, aż nazbyt jaskrawe w swej sile, ciemność nieprzebraną

przecięły, a potężny trzask ogłuszająco światem wstrząsnął. Wtedy to rozpętała się istna walka sił światła z mocami ciemności. Perun niestrudzenie, raz po raz ciskał gromy, które z hukiem potężnym na ziemię padały. Bojaźń w serca ludzkie się wkradła, by z każdym grzmotem ścisnąć je coraz silniej w swej mocarnej obręczy.

Ciężka bitwa na niebiesiech się tocząca, aż do wieczora trwała. Wtedy to gromy oddalać się poczęły, a deszcz z wolna ustawał w swej sile. Wiatr osłabł i już tylko delikatnymi muśnięciami mokre liście drzew głąskał, jakby je za siłę swego własnego żywiołu przepraszał.

I tak oto po raz kolejny, Weles został przegnany w głąb ziemi przez walecznego Peruna.

Nieboskłon krwawą łuną się przesłonił, barwiąc świat w kolorycie rdzawej krwi. Mówiono, iż to sam Perun zwycięstwo swoje raną okupił.

Coś łupnęło i drzwi do chałupy rozwarły się na oścież w jednej chwili.

– Patrzajcie, ojczu, cóżem znalazł na polu pod lasem! – Do środka wpadł dziesięcioletni Smysław.

Włos miał zmierzwiiony, oblicze czerwone, a oddech tak szybki, jakby przed samym czortem uciekał. Jego ojciec, Siemowit, właśnie drwa w stos układał przy tłącym się pale- nisku.

– Cóż takiego, synu? – Odwrócił się w jego stronę.

– Kamień ognisty! Całe drzewo rozłupało i pień popaliło!

– Doprawdy!? Pokażże no.

Chłopak wręczył niewielki kamień ojcu.

– Ciepły jeszcze – stwierdził mężczyzna, uważnie przyglądając się przedmiotowi. – Zapewne sam Perun trzymał go w swych dłoniach, zanim w ziemię nim cisnął!

– Dobry to znak, ojczu, nieprawdaż?

– Bardzo dobry. – Ucieszył się. – Szczęście naszej rodzinie przyniesie. A tego to nigdy nie za wiele w żywocie naszym. Pilnuj go zatem uważnie, by jego zapodzianie czasem nieszczęść na nas jakowyś nie sprowadziło.

– Dobrze, ojczu. Będę go strzegł jak najcenniejszej ze wszelkich znanych mi rzeczy! Wszak to podarunek od samego Peruna!

– Zaiste, synu.

Jakby na potwierdzenie tych słów dał się słyszeć zamierający w dali burzowy grzmot. Zapewno ów bóg gromowładny, usłyszawszy szczere słowa chłopaka, przytaknął im z uśmiechem.

\*\*\*

Następnego dnia, bladym świtem Demosław w towarzystwie trzech wieszczek – Rasławy, Tomiry i Niestanki oraz niewielkiej, złożonej z

kilku chwatów straży przybocznej, wyruszył ku cmentarzysku demonów. Starzec jako i pozostali jechał konno. Jego oblicze sponiewiało, albowiem złe myśli o mrocznym kolorycie zaprzętały jego głowę. W nocy, po rozmowie z duchami, dowiedział się, z kim prawdopodobnie będzie miał do czynienia. Wystarczyło jeno pokazać duchom zapisane imię bestyi, gdy te natychmiast wrzask wielki podniosły. Wierzył jedynie, iż demon, którego był wybrał, poczwarę pokonać zdoła, co to z czeluści najgłębszych wypełzła. Pewności jednak nie miał. Za to wątpliwości opadły go niczym czarne kruki. Jakkolwiek nie potoczą się losy, zdawał sobie sprawę z tego, iż tak czy inaczej, zapłata za pomoc nie będzie mała. Wiedział również i to, że innego wyjścia nie ma i szkoda czas mitrzyć, by i tak na próżno innej drogi na przetrwanie poszukiwać.

Nim z grodu wyruszyli, wszystkim miano demona, któregoż powołać zamierzał, do wiadomości podał. Wywołało to przerażenie i protesty. Szczególnie zajadle przeciw niemu Przybimir występował, wieszcząc, iż demon, o ile tylko pokona ową wrogą bestyję, nie zechce wrócić na miejsce spoczynku swego. Dziwić mu się nie należało, albowiem ów demon do śmierci jego własnego ojca się przyczynił. Tym większą więc trwogę okazywał, choćby na samo o nim wspomnienie. Z drugiej strony, nawet on sam zdawał sobie sprawę, że grodzianie bez wsparcia jakowego w walce z chrześcijańską bestyją szans najmniejszych nie mają.

W chłodnym powietrzu i ciepłych promieniach słońca orszak Demosława prosto do wyznaczonego celu zmierzał. Nie napotkawszy nikogo, jakby kto żyw pierchnął naprędce z tej krainy, pod koniec dnia dotarli na miejsce. Słońce wtapiało już pomarańczową tarczę za horyzont, a niebo z wolna powlekało się całunem ciemności.

– Rozpalmy ogień, posilmy się i odpoczniemy, nim Swaróg wraz z tarczą złocistą światło dnia całkiem przed naszymi oczyma ukryje. Potem do rytuału przywołania czas będzie przystąpić.

Rozbili obozowisko na skraju lasu, tuż pod rozłożystymi dębami. Z wybranego miejsca doskonale widać było wznoszący się na lekkiej pochyłości cmentarz, gdzie pod głazami z runicznymi inskrypcjami i znakami świętymi spoczywały demoniczne bestyje.

Czas mijał. Noc zaległa nad krainą, zmieniając widzialny świat w tajemne miejsce pełne dziwnych odgłosów i tańczących przy płomieniach ogniska cieni. Gwiazdy, które wychynęły były na chwilę, wartko skryły się ponownie pod chmurną warstwą. Chłód ostrożnie wokół blasku ognia stąpał, nie ważąc się ani na chwilę w krąg światła ciepłem naznaczonego wstąpić.

Tomira wstała i podeszła do drzemiącego Demosława.

– Już czas – powiedziała półszepem, nachyliwszy się nad nim i lekko

dotknąwszy jego ramienia.

Ten ocknął się natychmiast i potoczył nieprzytomnym spojrzeniem wokół. Zaraz przypomniał sobie, gdzie jest i jakie zadanie go czeka, co w jedną chwilę odeгнаło ode niego wszelkie senne mary, które umysłem jego zawładnęły. Czy to aby nie jakaś zmora usidlić go zamierzała? Wszak powszechnie wiadomo, że takie miejsca jak to wszelkie duchowe wszetecznictwa przyciągają.

– Chodźmy zatem – mruknął. – Nieuchronnego i tak co odwlekać nie ma.

Jedna z wieszczek wyjęła z torby Księgę Zamkniętych Bram, po czym wszyscy, wraz ze strażnikami ruszyli powoli w stronę cmentarzyska. Kiedy wyszli poza krąg przygasającego ogniska, od razu otoczył ich kąśliwy chłód nocy. Demosław zadrżał i przyspieszył kroku, by nie dać się czającemu wokół zimnu. Szli w milczeniu, przygotowując się duchowo do czekającego ich zadania.

Po niedługim czasie minęli prowizoryczną granicę cmentarza, którą wyznaczały wkopane w ziemię głazy. Wewnątrz kolejne kamienie na miejscach pochówku umieszczon były.

Księżyc przedarł się w końcu przez zasłonę chmur i oblał srebrzystym blaskiem polanę. Zalśnił na głazach, światłem tyle mdłym, co i wyzutym z ciepła wszelakiego.

– Kopcie tutaj. – Starzec wskazał miejsce pod największym z kamieni.

Strażnicy spojrzeli po sobie, a w ich oczach odbijał się strach ciemniejszy od wszystkich minionych nocy.

– Wykopcie dzban, potem możecie się oddalić. Póki naczynia nie rozpieczętuję, demon się nie wydostanie i tym samym nic nam grozić nie może.

– Z tobą przybyliśmy i razem wrócimy, Demosławie – odezwał się jeden z nich. – Wszak po to tutaj właśnie przybyliśmy.

\*\*\*

Mglista noc z wolna przedzierzgała się w chłodny świt. Wisząca nad ziemią chmurna powała popękała tu i ówdzie, w rozwarcu jaśniejące pasma ukazując. Jakby potwór jakowys w szale niebo pazurami rozedrzyć na kawałki był pragnął.

Wtem uwagę jednego ze strażników zwrócił jakiś hałas. Podeszedłszy do ostrokołu, nachylił się i wyteżył wzrok, wypatrując kształtu jakowegoś.

– Coś ku nam bieży, Ratormirze! – rzucił w stronę okna niewysokiej wieży.

Czujny dowódca natychmiast odemknął oko i zmarszczył brew. Zerwał się z ławy, by czym prędzej na zewnątrz wybiec. Nie dalej jak

kilkadziesiąt metrów dojrzał zbliżając się konno trzy wieszczki wraz ze strażnikami. Za nimi w niedużej odległości jawiła się szczupła sylwetka Demosława. Obok niego na czterech łapach kroczyła potężna istota. W tej pozycji sprawiała wrażenie przygarbionego olbrzyma i mimo iż szła w taki właśnie sposób, swoją posturą przewyższała truchtające obok niespokojnie wierzchowce co najmniej cztery razy! Idący stwór stawał daleko przed sobą przednie łapy, zaopatrzone w długie palce zwieńczone ostrymi szponami. Wyglądały one niczym mocarne ramiona i z każdym krokiem rozczapierzone wbijały się mocno w ziemię, a na powrót unosząc, wyrwały kępy trawy. Tylne nogi niczym kolumny unosiły się i opadały równomiernie. Porastająca grzbiet szczecina zdawała się być niezwykle twarda. Największe wrażenie z tej upiornej całości robił jednak ogromny, przypominający tura, łeb z kręconymi rogami. Głęboko osadzone oczy spoglądały na świat dumnie i przerażająco rozumnie. Jakby tuż za nimi skrywał się umysł potężniejszy jeszcze od zwalistego ogromu ciała. Rozległe poroże zdawało się sięgać nieba i drzeć je na kawałki. Mocarność tego stwora robiła piorunujące wrażenie. Było w nim wszystko, jakby w tej postaci zwały się wszelkie siły i nieprzebrana wielkość natury; pierwotna moc wraz potęgą nieposkromionego fizycznego żywiołu. Kroczył tak, jakby władcą był wszystkiego, co go otaczało. Ogon, ku górze wzniesion, chwiał się lekko w takt stawianych kroków, a równomierny oddech rozdymał wielką klatkę piersiową, która unosiła się i opadała niczym potężny kowalski miech. Z chrap dobywały się strugi powietrza zmiatające z ziemi drobinki żwiru.

– IDĄ! – zakrzyknął co sił w płucach Ratormir. – Wracają z demonem!

Cały gród w kilka chwil został postawion na nogi. Mała grupka wędrowców tymczasem wraz z niecodziennym towarzyszem przed brodem przystanęli. Czart na zadzie był przysiadł i łbem potrzęsnał.

– Czyżbyś, Demosławie, owego gościa w progi nasze wprowadzić zamierzał? – w tonie Ratormira pobrzmiwała lek-ka kpina.

Stwór uniósł łeb i spojrzał na niego w sposób iście przenikliwy, jakby go na wskroś przepatrzył. Ciarki woja męznego od stóp do głów w jednej chwili oblażyły.

– Jako rzekłeś, Ratormirze – odparł zapytany. – Wszak to nie wypada gości przed wejściem trzymać. A ten wyjątkowym jest i na gościnę naszą w pełni zasługuje.

– Ale... Czy to aby bezpieczne? – dodał woj z wahaniem. – Miej na uwadze mieszkańców grodu.

– Ratormirze... – Demosław z wolna cierpliwość tracić zaczynał. – Zaprosić naszego gościa w progi nasze winniśmy, jeśli pomocy od niego oczekujemy. Wiesz, iż bez tego wszyscy przepadniemy. Nikt tu serca bijącego nie zastanie. A my, jako jeden mąż, na usługach piekielnej

bestyi, co ducha naszego zniewoli, uwięzieni przez wieczność zostaniem.

Ratormirem nadal niepewność wewnętrzna targała. Demon spozierał na niego spojrzeniem półkpiącym, jakby w ten milczący sposób rzucał mu wyzwanie, czy jego odwaga sprostą temu, by bramę co i mostem zwodzonym była, roztworzyć. W końcu Ratormir dał znak swoim podwładnym i ciężka drewniana kładka jęła z jękiem z wolna ku drugiemu brzegowi fosy opadać.

Wędrowcy przeszli po niej i powoli wkroczyli na dziedziniec, na którym czekano już na nich z niecierpliwością. Na widok ogromnego stwora, co dumnie kroczył, oczy ze zdumienia otwierali, a dziatki za matkami się kryły, spozierając z ukradka, bo ciekawość zawsze od strachu o wiele większą siłą dysponuje. Kobiety zaś, mocno swe pociechy trzymały, z obawą pewną i nadzieją zarazem, na stwora spoglądając. Mężczyźni z podziwem patrzali na ogromną posturę, wierząc, iż właśnie dzięki niemu ich gród i życie ich rodzin uchronione zostaną.

– Witajcie, ludzie! – powiedział Czart głosem ciężkim, od którego zdały się drżeć pnie palisady.

Nim słowa jego wybrzmiąły, wszyscy jęknęli w przerażeniu, cofając się nieco. Nikomu wszak przez myśl nawet nie przeszło, iż stwór ów zna mowę człowieka.

– Marne z was istoty. – Głęboki ton zadudnił wewnątrz każdego z obecnych niczym wojenny bęben. – A o swej wielkości częstoście nad wyraz przekonani.

Gawieź poruszyła się niespokojnie, nie bardzo pojmując, jak owe słowa traktować należy. Czy groźbą się one jawić miały, czy tylko zwykłym twierdzeniem, że za takich właśnie ich uważa?

– Moje oczy – mówił dalej – widziały zaranie tego świata. Patrzyły na gwiazdy, które zaistniały na firmamencie tylko po to, by ich światło ponownie umarło w ostatnim konającym rozbłysku. Widziałem królestwa, które narodziły się, by potem w pył zapomnienia się obrócić. Wy – potoczył uważnym, mądrym spojrzeniem po ludziach – wyście na tym padole jeno chwilą, zbyt krótką, by to pojąć. Jeno mrugnięciem oka Doli<sup>5</sup>, córki Roda. Jako się pojawiliście, tako i przeminiecie, a ja nadal trwać będę.

Zapadło milczenie. Zawisło niczym chmura gradowa, obarczone ciężarem ważkości wypowiedzianych słów.

– Wyjaw nam swe imię, czarcie – rzucił ktoś spośród gawieźni, na odwagę się zbierając.

Demon obrócił powoli łeb i spojrzał w kierunku, skąd padło pytanie, po czym lekko jeno swe kły potężne wyszczerzył. Niektórym się zdało, iż do ludzkiego uśmiechu to przypodobne. Mimo iż Demosław wszystkim



imię demona, co go powołać zamierza, wcześniej był wyjawiał, to wiadomym powszechnie było, iż zanim z owym demonem cokolwiek czynić się zamierzy, dla własnego bezpieczeństwa, imię jego własne, przez niego samego, wypowiedziane być musi.

– Różnie mnie już zwano w trakcie tych lat, co to przez oceany czasu płyną. Wyście dla mnie imię Czarta umyślili. Zaś prawdziwie... zwę się Boidh, co w waszym języku oznacza „Tego, który powoduje strach i przerażenie”.

\*\*\*

Książ Dargorad uśmiechnął się do Demosława smutno

– Ciężkie czasy dla nas nastąpiły. Zdradź mi, na cóżeś się zgodził? – zagadnął starca. – Jaką nagrodę Powołane- mu przyobiecałeś?

– Iż duszę każdego z pokonanych zabrać sobie i przywła- szyć może, by uczynić z nią, co zechce – odparł, niecałą prawdę o pakcie wyjawiając.

– Jak myślisz? Co z nimi zrobi?

– Zapewne w darze Welesowi poniesie, bardziej w jego łaski się wkupując, co większe profity mu przyniesie.

– Obiecałeś coś jeszcze?

– Uwolnienie jego samego.

Książ milcząc w prostokąt jaśniejącego okna co na południe wychodziło się wpatrywał.

– Rozumiem.

– Uzyskałem też zapewnienie przypieczętowane jego przysięgą, iż nasz gród w spokoju pozostawi i nękać nas już nigdy nie będzie.

– Myślisz, że można mu ufać? Demosław uśmiechnął się pod nosem.

– Ludziom nie można... – odparł. – A co dopiero demonom.

– Tak. Rację masz, Demosławie. Obawiam się, że po wygranej walce może od nas dodatkowej zapłaty zażądać.

– Nie masz się czego obawiać, Dargoradzie. Zadbalem, by to się nie zdarzyło.

– W jakiż to sposób?

– Wybacz, ale tego zdradzić ci nie mogę. Wiedz, iż demony potrafią każde słowo słyszeć, nawet jeżeli tuż obok nas nie przebywają.

– Hmm. Prawdę powiadasz. Wierzę, iż stosownie zadba- leś i o siebie, i o nas.

– Najlepiej, jak mogłem. Wiedz, że gród, jako i ludzie w nim mieszkający, są bezpieczni jeśli tylko nasz sprzymierzeniec nas nie zawiedzie.

– Czy Powołany zna swego przeciwnika?

- Nic nie chciał mi rzec na to pytanie.
- A to dlaczegóż?
- Tego nie wiem. Jednak dostrzegłem, iż z jakiegoś powodu raduje go, iż będzie mógł z ową bestyją zewrzeć się w walce na śmierć i życie.
- Oby tylko tę walkę wygrał, Demosławie. Oby ją wygrał.

\*\*\*

Południowe niebo było nieskalanie czyste. Jedyne kilka delikatnych, powłóczystych smug, niczym mgły z odległych światów, nieśmiało rozciągało się tu i ówdzie. Wiatr ze wschodu przynosił coraz to cieplejsze powiewy, a ptaki roztańczyły powietrze swymi śpiewnymi trelami, radując się, iż świat znów dźwignął się z okowów zimy i z wolna ku lecie zmierza.

Nagle w całym grodzie dał się słyszeć przedziwny i przerażający zarazem odgłos. Brzmiał tak, jakby wielkie walce toczyły się po samym dnie piekieł, a z każdym ich chrobotem słychać było przeraźliwy krzyk konającej w męczarniach istoty. Kto żyw, czym prędzej za broń chwycił: miecze, noże, łuki czy piki, i po schodkach na górę się piał, by z wysokości palisady na własne oczy ujrzeć to, co dźwięk ów przeraźliwy zapowiadał. W dali zaś nic prócz wielkiej ciemnej chmury widać nie było. Omyłkowo można by ją za zbliżającą się burzę uznać, choć ciemniejszą się zdawała i podejrzanie zbyt szybko ku grodowi sunęła. Ptaki wszelkie zamilkły i pierzchły do swych schronień, a psy ujadać przestały i w dziurach się pochowały.

– Póki co, nie widzę żadnej armii – rzekł książę Dargorad stojący na palisadowym wzniesieniu.

- Wszakże coś się ku nam niechybnie zbliża.
- Chmura jakowaś, ale dziwnej natury.
- To z pewnością nasz przeciwnik – doszedł ich z dołu głos Demosława.

Wszyscy odwrócili się i zerknęli na dziedziniec. Pośrodku placu, stał starzec wraz z towarzyszącym mu demonem. Bboidh wyglądał na zupełnie spokojnego. W pewnym momencie powstał na dwie nogi i wyprostował się. Jego łeb sięgnął ponad grodowe ogrodzenie, tak iż czart wyraźnie widział całe przedpole. Skierował wzrok ku ciemnej plamie, po czym wydał z siebie ryk tak przepotężny, aż gród cały zadrżał w swych posadach, a ludzie uszy w panice zatykali, by nie oszaleć od ogromu hałasu.

Plama zamarła na moment, ale trwało to jeno mgnienie oka. Potem większa nerwowość w jej ruchach dała się zauważyć.

– Nakażcie most opuścić! – Demosław zwrócił się do do- wódcy.

Ratormir spojrział na Dargorada, który po chwili wahania skinął

krótko głową.

– Opuszczać! – zakrzyknął dowódca strażników.

Most jął z wolna opadać coraz bardziej i bardziej, by w końcu złączyć oba brzegi. Demon opadł na przednie łapy i potrząsnął lekko łbem. Szczecina zagrzechotała w ciszy jak suche trzciniowe tyczki.

– Zamknijcie za mną – powiedział, ruszając do wyjścia – I co by się nie działo, nie otwierajcie! A po walce po swą zapłatę wrócę – rzucił na odchodne Demosławowi, który skłonił lekko głowę w milczeniu całkowitym.

– Powiadam wam – jęknął stojący na placu pośród innych Kwalimir, co łagiewnictwem<sup>6</sup> się trudnił. – To coś, co niechybnie ku nam na zgubę wszelaką bieży, naszego obrońcę zgniecie jak kamień robaka, co nieopatrznie na wierzch wylazł.

– Zamilczże, człeku! – huknęła nań jego niewiasta. – A choćby i nawet, to życie nasze wiecznie wszak trwać nie będzie.

– Może i nie – westchnął Ragir, którego twarz zdobiła zadawniona, szeroka szrama od noża, którą był w walce otrzymał i którą szczyił się wielce, uznając, iż szpetność jej jeno męskiego uroku mu dodaje. – Ale ledwośmy przecie co Germanów odparli, a teraz znów do walki stawać musimy.

– To prawda – zgodziła się kobieta. – Najmniej tak z jeden rok spokoju by się nadał.

Bboidh wyszedł poza mur palisady i przystanął. Most na powrót podniesiono, jedyne wejście do grodu zamykając. Gawiedź, która do tej pory na placu stała, jęła się na palisadę wspinać, by jak najlepiej widzieć mające nastąpić wydarzenia. Walka demonów? Wszak o tym jedynie w bajaniach i legendach przy ognisku opowiadanych się słyszało! Takiego widowiska przeoczyć nie można było! Zaiste, będzie co dziatkom wspominać i przyszłym wnukom.

Oj, będzie.

\*\*\*

Czarna chmura pędziła w stronę grodu. Powoli z obłej w formie ciemności wyłaniał się inny kształt, co rozedrgany zarys ciała był tworzył.

– Patrzajcie! – zakrzyknął ktoś, dłonią na sam środek chmurzyska wskazując.

Wprost z niej wyłoniła się postać o budowie tak potężnej i twardej jako lita skała; szarawa i chropowata, z pęknięciami licznymi w skórze widocznymi. Krótka szyja wtapiała się wprost w szerokie barki, zaś klatka piersiowa wypchnięta do przodu niczym dwa wielkie kurhany się

jawiała. Łapska mocarne i długie, które to pięściami potężnymi zakończone były. Nogi jak słupy z litej skały, a pysk szkaradny, gniewem okrutnym wykrzywion, ludzki nieomal, ale aż nazbyt obcością całkowitą naznaczon. Wzrostem nieco Bboidha ów stwór przewyższał, ale nie na tyle, by nad nim zbyt wielce górować.

W tej oto samej chwili do uszu grodzian dotarł dźwięk buczliwy, narastający chaotycznie w porywach niczym wichur, co zdecydować się nie może, w którą to stronę dmąć winien. Ów odgłos wznosił się i wznosił w miarę jak bestyja wraz z nieodłączną jej chmurą do przodu parła, odległość do grodu zmniejszając. W chmurnych trzewiach nagle jakoweś cienie ludzkich sylwetek dojrzano. Majaczyły jako te duchy niepewne, co się wahają, czy wkroczyć na ową arenę walki nieuchronnej, czy też wstrzymać się winny. Po chwili, kiedy to całość przybliżyła się nieco, z czarnej mgły wyłoniły się ludzkie postacie.

– Armia papieska! – zakrzyknął ktoś tubalnym głosem, co ponad gród się wzniosł.

Było ich wielu. Nie dziesiątki, nie setki, ale tysiące ciągnące się chmurą w jednych miejscach ruchliwą bardziej, w innych spowolnioną jakby. Armia to dziwna i przerażająca w swoim wyglądzie była, albowiem nie tylko li z mężów złożona, ale i z niewiast oraz dzieciąt małych. Dziwnymi zrywami szli, jakby szarpiąc przedsię ciało, ruchowi najmniejszemu niechętnie. Ich oblicza szarawe były, z krwią zakrzepniętą na wargach, co u nagle zmarłych często widywane było. Ni ust nie otwierali, ni okiem swym nie spojierali, jeno parli naprzód w uporze, nakazem wyższych sił zawezwani. Byli wśród nich i obcy, i swoi, z terenów Lechii, co w ponure szeregi trupów zaciągnięci zostali.

Twarz Demosława w jednej chwili pobladła raptownie.

– Cóż ci jest, bracie? – z niepokojem zapytał książę Dargorad.

– Biada nam. Dusze co spętane, w martwe ciała na powrót wrazone zostały. Zaiste, ta bestyja wielką moc musi posiadać – rzekł tonem cichym i przegrany. – Jeśli nasz obrońca mu ulegnie, nie będzie dla nas ratunku.

– Żywych pośród uświadczyc nie mogę.

– Bo i zapewne ich tam nie ma. To wielce zdradziecki i nieufny stwór. Oszukał pewnie tych, co go na pomoc zawezwali. Sztuczki zna on przeróżne i w nich się od zarania istnienia wprawia. Przeto nie dziwne, iż miast panom w sutannach z krzyżem w dłoni służyć, sam ich władcą się mianował i został.

– Kim on że tak naprawdę jest, że takie rzeczy z duszą i ciałem czynić potrafi?

– Ba'al Zebûb<sup>7</sup>. Pan Podziemia, co zwanym także Władcą Much bywa. Wódz ichnich demonów wszelakich.

– Rozważnie jego imię teraz wypowiadać? Wszak sam nas ostrzegalesz...

– Teraz już czynić to możemy, albowiem przez Bboidha chronieni jesteśmy. Jednak rozpowiadać o tym nie trzeba. Ba'al Zebûb to jeden z najgroźniejszych i najpotężniejszych demonów z chrześcijańskiej kasty. Skoro tych, co go wezwali, zabił na swą stronę zaciągnął, to... – zamilkł, nie chcąc myśli przerażającej kończyć słowem wypowiedzanym.

Kniaź zamilkł także na chwilę dłuższą, po czym rzekł krótko przez zaciśnięte z bezsilności ustami:

– Bogowie o naszym losie zadecydują.

– Nie, Dargoradzie – zaprzeczył Demosław. – Dziś nie do nich przynależć będzie wybór co do losu naszego.

– A do kogóż zatem?

Starzec uniósł pomarszczoną latami dłoń i wskazał palcem na przedpole grodu, gdzie do stojącego Bboidha z wolna Belzebub z odległości się zbliżał. Obaj mierzyli się gniewnym wzrokiem.

– Li tylko do tychże dwóch stworów, co je demonami zwiemy.

\*\*\*

Łucznicy na komendę cięciwy napięli i poczęli słać strzały w nacierający na gród tłum martwych. Zdawały się niknąć w tej masie, nikomu szkody jakiegokolwiek nie wyrządzając. Groty wrażliwością w miękkie ciała się wbijały lecz ani na chwilę upiornego pochodu bynajmniej to nie powstrzymało.

Wroga bestyja była już blisko, nie dalej niż sto kroków, przeto znać już było jej rysy dokładnie, co okrutnością i złem w surowości oblicza swego rzeźbione były i to zapewne na dnie samego piekła. Nie przerywając marszu, wykonała gest wielką łapą, jakby od niechcenia, na co czarna chmura wpierw zwarła się w sobie, a potem hałaśliwie naprzód ruszyła, martwiaczy przeganiając. Wnet dostrzeżono, iż to, co wcześniej za ciemną chmurę brano, to niezliczona liczba owadów, małych, czarnych i wielce zjadliwych. Raptem w chwili kilka do celu dotarłszy, na mieszkańców grodu się rzuciły i we wszelkie możliwe szczeliny wciskać się poczęły; do ust, uszu i nosa. Jeden wielki krzyk się podniósł, bo nikt takowego ataku się nie spodziewał. Tu i ówdzie charkot się rozlegał, gdy paskudztwa w gardło lały. Ludzi strach tak wielki ogarnął, iż co poniektórzy z nich czym prędzej do chat swych czmychać zaczęli, a domostwa dopadłszy, drzwi zawarli i w trwodze wielkiej czekali, co dalej nastąpi. Niewielu odważnych na palisadach pozostało.

Tymczasem milcząca armia obojętnie Bboidha minęła, opływając go niby czarna, mętna woda, i dalej ku palisadom zdążyła. Owa ludzka zbieranina, bezrozumnie i wytrwale przed się parła; tu jakowys rycerze

ciężko w zbrojach kroczyli, obok nich zwykle niewiasty w tunikach, kowal z młotem w dłoni, dziatki małe, co bosymi stopami ziemię deptały. Dostrzeżono też i hierarchów kościelnych w szatach brudnych i przydługich, którzy to zaciągnięci wbrew swej własnej woli do armii zostali, co nie papieską zwać się teraz winna, ale miano Armii Bestyi nosić. Z wolna pierwsi z martwych do granicy fosy już docierać poczęli. Ci z przodu bezładnie do wody się stoczyli, ale to reszty bynajmniej nie powstrzymało. Leżli jeden przez drugiego, niknąc po lustrem zburzonej, mętnej wody, bez choćby krzty skargi czy krzyku jakowego. Nim się spostrzeżono, po pobratymców ciałach, inni kroczyć zaczęli i po skarpie się wspiąwszy, do palisady dotarli.

– Bierzcie kamienie i rzucajcie! – rozległ się donośny krzyk Ratormira, co od latadeł wciąż atakujących się oganiał.

Każdy, co na palisadzie miejsce zajmował, schylał się i sięgał po kamień, po czym zamach nad głowę wzięwszy, ciskał w dół, starając się wroga utrafić. Uderzeni, na ziemię padali, ale po chwili z mozołem ponownie się dźwigali i bez słowa bólu znów na palisadę napierać zaczęli. Jeno ci, którym celny rzut łeb potrzaskał, bryzgając krwią i szarą breją, na dobre już legli. Bboidh tymczasem uniósł się i zwróciwszy pysk ku dołowi, jakby do samego piekła miał przemawiać, wymruczał coś, a następnie wyprostowawszy się, trzykrotnie w dłonie klasnął, co jako grzmot burzowy się jawiło, tocząc ciężkavo i długo w rozedrganym powietrzu. Naraz wszystkie owady jako jeden zamarły i bez życia, bezładnie na ziemię padły. Czarno się na podłożu zrobiło od ich niezliczonej ilości, a pod stopami jeno chrzęst słychać było, gdy małe ciała pękały pod naporem podeszew.

Ba'al Zebûb zawył okrutnie, jakby ranion potwornie został, po czym z wściekłością, co szkaradne oblicze mu naznaczała, rzucił się wprost na Bboidha. Zwarły się ze sobą w uścisku śmiertelnym dwie siły przepotężne, mocując i szarpiąc. Dłuższą chwilę to trwało. Grodzianie jednak czasu obserwować owego pojedynku nie mieli, zbyt odpięciem ataku martwej armii zajęci, nie tyleż żwawej w swych poczynaniach, co głucho upartej. Owi bestyi niewolnicy w całkowitym milczeniu napierali, co zdało się przerażeniem o wiele większym broniących grodu zdejmować, niż zwyczajowe okrzyki bojowe, siarczyste przekleństwa, czy wyjące wrzaski ranionych. Nie ustając ni chwili, atakujący, włązili tedy jeden na drugiego, by po ramionach swych pobratymców się wspinać i coraz to wyżej sięgać.

– Piki w dłoń! – rozległ się wrzask Ratormira.

Sięgnięto po broń i co żywo wroga dźgać zaczęto. Inni wychylając się, na oślep mieczami machali, tnąc kończyny wszelakie, co im pod ostrze podlażyły, bezlitośnie siekąc łby, szyje i ramiona, z których krew gęstymi strugami ściekała niczym melasowata posoka; ciężka i ciemna.

Ci, co pierwiej do chałup uciekli, nieśmiało ponownie na dwór łeb wychylali i na powrót do obrony grodu oblężonego podążać poczynali.

Czort w końcu, siły w sobie zebrawszy, odepchnął przeciwnika z mocą, wyswobadzając się z kleszczowego ucisku. Ba'al Zebûb zatoczył się i oboje ryknęli na siebie, a ryk to był tak wielki i w potędze ogłuszający, jakoby dwie armie głos z siebie dobyły w chwili jednej, w ferworze najwyższej wściekłości.

Tymczasem zaścielające ziemię owady jęły poruszać się niemrawo, jakby ze snu jakowegoś się budziły. Z wolna odnóżami przebierać zaczęły lub skrzydłami leniwie machnęły, a co poniektóre podrywać do lotu się poczęły.

Oba demony zwarły się ponownie i zmagaly ze sobą, mocując, by kolejne rany zadawać. Powietrze raz po raz przeszywały ich głośne oddechy, czasami warknięciem wspar- te, które to z piersi jednego, czy drugiego się dobywało.

Czart odchylił się nagle i cios potężny łbem rogatym zadał, prosto w pierś przeciwnika celując. Belzebub zawył, kiedy jeden z rogów klatkę mu rozorał. Łapskiem za ranę chwycił i okręciwszy się, w ułamku chwili z tyłu przeciwnika się znalazł. Gestem zwinnym pochylił się i błyskawicznym ruchem, obiema łapskami Czarta za nogę złapał. Nim ten cokolwiek przeciw uczynić zdołał, mięśnie bestyi naprężyły się i trzask pękającej kości, niczym pień dębu przez piorun rozłupanego, dał się słyszeć. Bboidh zawył niemilosiernie i wygiąwszy ciało nieomal w łuk, wnet w pierś atakującego ostre pazury zatopił, po czym jednym szarpnięciem wydarł kawał krwawego mięsa. Odstąpił kroków kilka, kulejąc mocno i dysząc ciężko. Z jego oczu jawna nienawiść wyzierała. Pojął tedy, iż siły swe zanadto przecenił. Ale i nagroda, którą mu starzec obiecał, warta była tego ryzyka. Dusze pokonanych to jedno, ale dusza samego Ba'al Zebûba wraz ze wszystkimi, które był zagarnął – takiej pokusie z pewnością nikt pochodzenia demonicznego by się nie oparł. Pojawszy bliskość porażki, Bboidh wydał z siebie długi, przeciągły ni to skowyt, ni to ryk, przepełniony żalością zawodu i srogim gniewem. Cofnął się jeszcze bardziej, by dystans od wroga zwiększyć, co miało mu czas do namysłu zapewnić by strategię odpowiednią umyślić.

Milczący wojowie martwej armii, wciąż i wciąż napierali gromadnie. Bez chwili przerwy, bez najmniejszego wytchnienia, po trupach trupów. Jako że martwi, to zmęczenia po nich wcale uświadczyc nie można było, a palisada, jako i brama zwodzonym mostem będąca, trzeszcząc ostrzegawczo poczynala. Grodzianie zaś, z coraz to większym trudem odpychali mur ciał, nieczułych na zadawane im ciosy. Nawet ci z przeciwników, którym odrąbano ręce czy nogi, nadal się poruszali, idąc bądź pełzną przed siebie wytrwale.

– Rznąć prosto w łby! Odrąbywać! Tylko to ich powstrzymać może! –

krzyczano wszem, by każdy wyraźnie dosłyszał. Ze swadą zaczęto więc siec i rąbać wroga nieprzejednanego, a ciemna martwa posoka obcej krwi rosła plamami odzienie i twarze obrońców.

Jednakże fali trupiej armii nic już nie było w stanie powstrzymać. Znać było, iż jeno kwestią czasu będzie, kiedy ponad ostrokołem zaczną się przelewać, by grodzian wewnątrz ich własnej twierdzy zmiażdżyć.

Ogłuszone wcześniej owady, otrząsnęły się już niemal całkowicie. Znów do lotu jęły się podrywać, by ponownie grodzian atakować. Opędzanie się od nich nie na wiele się zdało, gdyż ich natręctwo nie słabło ani na chwilę, a nawet wzmagало się, co głośniejszym brzęczeniem znać w dźwięku, wielce dla ucha niemiłym, było.

Bboidh czuł piekielny ból w nodze. Z pewnością była złamana. Już napuchła i pulsowała ognistym cierniem, ponad biodro bólem wrywnym sięgając. Zwrócił się w kierunku Ba'al Zebûba. Tamten ryknął triumfalnie, wiedząc doskonale, iż szanse jego przeciwnika na wygraną znacząco zmalały.

Miał jednak zaatakować, czego Bboidh się spodziewał, tamten ruszył ku niemu, krokiem pewnym, acz nienacechowanym drapieżnością walki. Czart obserwował go czujnie, gotowym będąc w każdej chwili atak odeprzeć lub też samemu do niego przystąpić.

Ba'al Zebûb przystanął w niedużej odległości. Krew czerwieńsza od trzewi piekła, po ciele mu z piersi z wolna ściekała, kroplami grubymi na mocarne uda skapując. Na przeciwnika swego spoglądał i wtedy nagle, na jego szkaradnym pysku pojawiło się coś na kształt ironii, a błysk w oku jednoznacznie wskazywał, że bestyja wie doskonale, iż jest panem sytuacji, która nastąpiła.

– Przysięgnij – wyrzekł powoli ważkie słowa do Bboidha – że służyć mi będziesz aż poza kres czasu, a twe istnienie nie oszczędzę.

Bboidh zawahał się był na krótką chwilę. Wiedział już ponad wszelką wątpliwość, iż walkę tę, tak czy inaczej, przegrał. Teraz już tylko od niego zależało, czy ową niefortunność losu na korzyść swą, choćby i małą, w jakiś sposób obróci, czy też polegnie tu i teraz, na zawsze w niebycie ciemności się pogrążając. W końcu, ciężko łbem w milczeniu całkowitem skinął, wiedząc, iż to jedyne wyjście by żywot swój własny uchronić. Nagroda przepadła, ale przynajmniej życie zachowa.

– Dobrze więc. – Ba'al Zebûb wciągnął głośno powietrze do płuc. – Imię ci nowe nadam, byś pod nim służył mi wiernie. A brzmieć ono będzie: Diabeł.

\*\*\*

Nad grodem głucha cisza tkwiła; uparta i bezduszna. Nie słychać było żadnego odgłosu, kroku jakowego, czy choćby zmęczonego oddechu.



Pocięte członki martwych ciał armii papieskiej, przemieszane z poległymi mieszkańcami grodu, ziemię zaścielały. Pomędzy nimi wiele owadzich trupów czarnymi kropkami się odznaczało.

Naraz dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi otwieranych.

Po chwili, pośrodku grodowego placu, stanęła trójka grodzian. Siemowit trzymał za rękę swą lubą, Gosławę, a ta drugą dłoń na piersi ich dziesięcioletniego syna, Smysława, złożyła. Chłopak nieustannie zaciskał w pięści kamień ognisty, który był zdobył niedawno.

– Nie takim to nieszczęściem szczęście nasze winno być okupione – rzekł smutnym głosem mężczyzna.

– Bogowie dają nam życie – odparła kobieta. – A demony je nam odbierają.

Gdzieś daleko odezwał się trel samotnego ptaka, zdawszy się bluźnierstwem małej radości w tej krainie smutku i rozpacz. Po chwili do śpiewu przyłączyły się kolejne.

---

1 Bagiennik – demon wodny zamieszkujący bagna.

2 Kłobuk – jest to demon, który opiekował się domowym ogniskiem. Był także utożsamiany z duszą martwego płodu.

3 Mamuna – demon porywający i podmieniający dzieci. naprawdę szukały? Trudno to orzec. Ważne, iż nikt nie zaginął, co byłoby widowym znakiem działalności tychże wszetecznych złośliwców, co ludzi od zarania dziejów nękają.

4 Płanetniki – powietrzne demony, zwane także chmurnikami lub obłocznikami. Wyobrażano je sobie jako noszących kapelusze, wysokich starców o wychudzonych pomarszczonych twarzach, naznaczonych zmęczeniem.

5 Dola – bóstwo ludzkiego losu, który towarzyszy każdemu człowiekowi. Córka Roda. i z pewnym jakby wysiłkiem. Widać było po nim, iż ostatniej nocy nie na długo oko był przymknął, by w królestwie Chorsinca<sup>8</sup> odpocząć. Oprócz nich w pomieszczeniu nie było nikogo.

6 Łagiewnik – osoba zajmująca się wyrabianiem niewielkich naczyń z drewna.

7 Ba'al Zebûb – Belzebub.

8 Chorsiniec – władca wzroku, natchnienia i snu.

# Katarzyna Bromirska i Mikołaj Rybacki

## Svantevit

Opowiadanie na kanwie fabuły albumu Percival

Schuttenbach o tym samym tytule

„Drzewiej, u połabskich Ranów, dumny Budzisław urazę poczuł do ojca i zawiścią do przyrodnych zapałał.

W obawie o swe dziedzictwo niecny plan obmyślił: wraz z niemieckim plemię na dziedzinę swą przywołać.”

*„Niechęć zżera mnie,*

*Dręczy duszę.*

*Odpowiedzią jest – zemsta, zemsta, zemsta! Myślałem długo:  
zabić czy nie?*

*Bękart u władzy – zemsta, zemsta, zemsta”.*

Buba – bo tak na niego wołali – przedzierał się przez zarośla już od kilku godzin. Umówił się z grafem, niefortunnie wybierając bagna i rozlewiska w nadziei, że chaszczce skryją jego podstęp. Teraz pluł sobie w brodę, drząc z zimna, szczękając zębami, i co rusz z głośnym cmoknięciem wrywając z odmętów obuwie zassane przez żądne ofiar błocko. Nie był pewien, czy dobrze czyni, lecz palące go od wielu nocy nieznośne uczucie przesłaniało mu w tej chwili wszystko. Pragnął jedynie ulgi, rozwiązania. Z utęsknieniem oczekiwał chwili, kiedy powzięty dawno temu zamiar urzeczywistni się, a ten, którego nienawidzi, straci jakiegokolwiek wpływy i szeznią jego plany na przyszłość. Szaleńcze uczucie i okropny strach przed groźnym i możliwym grafem gnały go teraz w sam środek leśnej polany, pośród bagniska, niczym szkwał miotający strzępką gieźla w stronę mrocznej północy lub jak zgraja wynędzniałych i nieobliczalnych wikingów płynących na swych drakkarach i snekkach ku południowi.

Zobaczył ich z daleka, wszak oni wypatrzyli go wcześniej, jednak uprzedzeni, kogo się spodziewać, nie dali nic po sobie poznać. Doszedł niemal do samego środka obozowiska, zanim trzymany w poziomie okazały topór na długim stylisku zagroził mu drogę. Na zwałonym

pnium, otoczony swiatą suto i bogato uzbrojonych wojów, siedział graf Gizibert i – o zgrozo – sam biskup Dietmar!

– Nareszcie – zagaił wyraźnie zniecierpliwiony Gizibert, co Buba zauważył, jednocześnie konstatuując, że leci na kolana popchnięty z tyłu czyjąś ciężką ręką. Zobaczył zbliżającą się dłoń biskupa z wielkim pierścieniem, który ten obojętnie wystawił, patrząc gdzieś w sobie znanym kierunku.

– Myślelim, żeś stchórzył i w pole, jako żywo, nas wywiódł. Jużemy się zabierali do imaginowania, jakiej poddamy cię karze, ha ha – zaśmiał się wyraźnie rozbawiony graf.

– Nie, panie, nie śmiałbym, wybaczcie.

– Dobrze już, prowadź do swego opola tajemną ścieżką, jakieś obiecał. A żywo, póki mężowie z polowania nie wrócą!

Ruszyli, choć Buba po cichu liczył, że może strawą go ugoszczą i przy ogniu ogrzać i wysuszyć się pozwolą. Gnany przez strach i rosnące z każdą chwilą podniecenie, maszerował żwawo. Znow przyszło mu brodzić w bagnisku. Kulił się za każdym razem, słysząc saskie przekleństwa rzucane tu i ówdzie przez zbrojnych biskupa i grafa znajdujących się za nim. Do tych coraz częściej dołączały przekleństwa wypowiedane w obcym, nieznanym mu języku. Trochę do saskiego podobnym, jednak brzmiącym, jakby ktoś mułu w usta nabrał.

Szli dość długo, kiedy w końcu dał znak, że są blisko. Słońce dopiero poczęło się wznosić, powoli i nieśmiało. Zobaczyli palisadę i furtę z tyłu gródka, którą właśnie przeszedł jeden z młodszych chłopaków – kuzynów Buby – na polowanie jeszcze będący zbyt młodym. Chciał ulżyć sobie z rana wprost do płytkiego strumyka, który jedynie dla śmiechu mógłby za przeszkodę obronną robić. Najemcy zamarli w bezruchu, czekając na znak grafa. Jeden z obcych gości Sasów podniósł cicho łuk, powoli naciągając cięciwę do policzka. Gdy tylko chłopak skończył i, powoli odwracając się, sznurował portki, graf machnął ręką, a strzała pomknęła, trafiając wyrostka prosto w pierś. Na ten znak z zarośli wybiegli w pozornym nieładzie Sasi i ich groźni sojusznicy, aby zaraz na pustej przestrzeni rozdzielić się. Jedni pobiegli wprost do furty, z pluskiem rozchlapując strumyk, a inni, okrążając wały i palisadę, zwrócili się ku zamkniętej na noc bramie. W grodzie ostały się jeno niewiasty i otroki, więc mimo iż tupot i chlupot wnet wszystkich pobudził, nie było komu się bronić. Groźni Normanowie wywalili odrzwia głównej bramy, jeszcze zanim ich towarzysze – ciężko uzbrojeni Sasi – zdążyli dobiec do niej ze środka grodu.

Rozpoczęła się rzeź – nie miało być tajemnicą to, z jakim zamiarem Gizibert swoich zbrojnych przyprowadził. Zabijano zajedno – niewiasty i dzieci oraz nielicznych starych, którzy nawet próbowali się bronić, ale wobec ogromnej przewagi wroga nic wskórać nie zdołali. Pośrodku, na

dziedzińcu, przybijano właśnie za pomocą miecza do ziemi piękną kobietę, próbując odciągnąć od niej dziecko. Na widok trzymającej wciąż za matczyną rękę dziewczynki Gizibertowi zaświeciły się oczy.

– To ta? – wychrypiał do osłupiałego i przerażonego Buby.

– Czy to ona? Mówże!

– Tak, panie – trzęsącym się głosem odpowiedział Buba i zaniósł się szlochem.

Gizibert dzielił go od niechcienia w głowę i ruszył ku dziewczynce. Wyrwał ją z ucisku konającej matki i podążył w kierunku nadchodzących dopiero sług prowadzących konie, do wozów i biskupa.

– W topory! Ściąć bałwana! – krzyknął Dietmar i wnet jego przyboczna świta pobiegła do kąciny, gdzie zaczęła toporami rąbać posąg Svantevita. Uwinęli się szybko, owinęli posąg sznurem i przytroczyli do kilku luźnych koni.

Nim świt wstał na dobre, z wioski wyruszyła kolumna saskich i normańskich wojów, ciągnąc po ziemi – jak świadectwo poczynionej przed chwilą zbrodni – zrąbany posąg boga Ranów. Nad głowami jęły kłębić się dymy spalonych chat. Nikt żywy nie ostał się we wiosce.

– Tak, jakem ci przyrzekł, ha ha! – zaśmiał się Gizibert, z konia wskazując na palącą się osadę. – Teraz to twoje. A że jeno jedno z bliźniąt przy tej pogańskiej suce znaleźliśmy, okopconą nieco dziedzinę ci ostawim! Bywaj! Ha ha ha – zaśmiał się i obrócił koniem tak, żeby ten zadem zwałił Budzi- sława w strumyk. Sasi i Normanowie ryknęli śmiechem i taszcząc, co tam któremu się z łupów udało zdobyć, ruszyli za Gizibertem.

Zamiast ulgi, radości, czy nawet mściwej satysfakcji, Buba poczuł zdziwienie. Ogromne zdziwienie i niemoc. Leżąc w na poły zdeptanej trawie i w strumyku, zrozumiał, jak bardzo go oszukano. Powoli docierało do niego, co też uczynił i jakie czekają go następstwa niecnego uczynku. Jeśli do tej pory paliło go nieznośne uczucie, które zgasić się spodziewał sojuszem z Germanami, to teraz zdjął go tępy strach. W tym strachu i bezsilności mozolnie zaczął czołgać się za nikiącymi w lesie napastnikami.

\*\*\*

– Ojczy, długo jeszcze czekać mamy? – rozległ się zniecierpliwiony dziecięcy szept.

– Cierpliwości, synu. Nie potom brał cię na łowy, żebyś się jako dziecię zachowywał. A ciszej! Bo gotów żeś zwierzyne spłoszyć – choć szeptem, to jednak groźnie odezwał się przyczajony mąż z przygotowanym do rzutu oszczepem, przeznaczonym wyraźnie na coś większego niżli płochliwy zając.

– Mirko i Bożek zazdrośni ogromnie, żeś mi tatko pozwolił na łowy wyruszyć – ziewając, powiedział chłopiec, nie przejmując się zbytnio naganą w głosie ojca.

– No już, cichaj. Musimy teraz wtopić się w puszcę, bo jeszcze na pośmiewisko i ja, i ty wyjdziemy, żadnej zwierzyny nie przynosząc – wyszeptał łagodnie Mścibór, tężając jednocześnie od nagłego niepokoju, który spłynął nań gdzieś z koron drzew. Wydało się, jakby znad niedalekiej tafli jeziora, przy którym polowali, uniosło się coś – ni to opar, ni to dym. Usłyszeli cichy plusk i nagle gęstą ciszę nocy przeciął – niczym ostrze miecza – głośny wrzask kruka, który niespodziewanie i nie wiadomo skąd zawirował nad nimi, wydając głosy płaczliwe i skarżące.

– To zły znak – szepnął Mścibór. – Zbierajmy się do do- mu! Żywo!

Wyciągnął przewieszony przez ramię krótki róg i zadął, dając znak towarzyszom czającym się w lesie. Nie czekając na Przeczka, ruszył energicznie w stronę osady.

Zgliszcza dopalały się jeszcze, gdy dobiegli do opola. Przeczko, który został sporo w tyle, zastał milczącego ojca tulącego się do zamordowanej matki. Powoli nadchodzili wojowie – ci, którzy usłyszeli znak – i ze zgrozą odkrywali makabryczną prawdę. Było cicho – wokół znajdowali się jeno mężowie, którym nieprzystojnie było lamentować, lecz smutek i żalność przepęlniały powietrze. Szybko jednak dało się odczuć rodzące się również wściekłość, gniew i chęć zemsty. Do wieczora sprawnie zbudowano pogrzebowy stos, nadciągnęli też pozostali mężowie z wioski. Zaraz po ciałopaleniu, na zgliszczach rano jeszcze tętniącego życiem gródka, rozpoczął się wiec.

\*\*\*

– Spójrz w wodę! – zasyczał głos tuż za jego uchem. – Wejrzyj w toń!

Głosy pojawiały się coraz częściej i coraz trudniej było się im oprzeć. Z całych sił walczył, aby ich nie posłuchać. Wiedział, że gdy tylko jego wzrok napotka tafle czarnego, połyskującego wodą bagniska, upiorna ręka utopca chwyci go nieuchronnie za gardło i wciągnie pod wodę. Starał się uspokoić i nie patrzeć pod nogi, co było trudne, zważywszy na to, że brodził czasami aż do połowy ud w gęstej brei i co rusz wpadał w zdradliwe dziury i zagłębienia. Wyczuwał też na polu coś martwego, co jednocześnie ruszało się i łapało go za nogi, a nawet sięgało do jego pasa, miecza i tarczy. Za sobą wyczuwał nieskładne ruchy podążających ku niemu martwców. Już od dłuższego czasu przedzierał się przez bagna, coraz straszniejsze przy wschodzącym w pełni księżycu. Dążył do jedyne miejsce, w którym mógł dowiedzieć się prawdy i zasięgnąć rady. Do miejsca, przed którym starszyzna zawsze przestrzegala i

którego już za otroka bali się i unikali wszyscy. Było to wszak jedyne miejsce, gdzie mógł odnaleźć pomoc. Ogarniał go strach. Strach o ukochaną córkę, przesłaniający chwilowo rozpacz z powodu śmierci umiłowanej żony. Oddalił też od siebie zupełnie myśl o najstarszym synu Budzisławie, który wzrosłym będąc, sam musiał sobie radzić. Teraz najważniejszym było dowiedzieć się, czy Niestanka żyje i w czyjej mocy się znajduje.

Rozmyślania przerwały mu znacznie głośniejsze niż dotychczas bulgoty, charkot i plusk. Rozejrzał się wkoło, nagle zrobiło się bardzo cicho. Już wcześniej kumkanie żab i gędzba świerszczy zamarła, teraz jednak cisza stała się namacalna i gęsta niczym polewka w Szczodre Gody. Był już niemal na miejscu. Przed nim znajdował się większy niż inne staw, teraz o zmaconej falą tafli, jakby kto przed chwilą w sam środek toni gwałtownie wrzucił.

– Zbliź się – coś zasyczało mu w głowie. – Podejdz, wędrowcze! Sława Ci, zacny mężu, spójrz w toń – odezwało się naraz wiele głosów – starych i młodych, trzęsących się i stanowczych.

– Spójrzyj w toń – zagulgotało mu w głowie, a czarna powierzchnia tuż przed nim wybrzuszyła się i przybrała kształt najpierw wyłupiastych oczu, a potem wielkiego żabiego pyska. Chciał zamachnąć się trzymanym w prawicy mieczem, lecz nie mógł się w ogóle ruszyć.

– Witaj, wędrowcze! Czego szukasz? Czemu burzysz spokój nocnych stworzeń?

Chciał odpowiedzieć, wykrzyczeć pytanie o córkę, o rodzinę, o to, co się stało i, przede wszystkim, kto jest temu winien, lecz mówić też nie mógł. Żabi pysk wyciągnął się na wysokość jego głowy na długiej, zupełnie do tego stworzenia niepasującej, giętkiej szyi. Oplotł Mścibora niczym wąż, a potem przypatrywał mu się to z jednej, to z drugiej strony. Stwór rozwarł pysk, wraz z niesamowitym wyziewem smrodu z głębi jego czeluści wychynął język, a właściwie wiele języków, które jak macki oplotły twarz przybysza. Potwór łypnął nedorzecznie wyłupiastymi, całkowicie mętными oczami.

– Szukałeś mnie – stwierdził raczej, niż zapytał, bulgoczący głos w głowie woja. – Oto jestem – Wodnik! Chcesz poznać prawdę? Gotowyś na nią? – pytał trochę bez sensu potwór, albowiem Mścibór w dalszym ciągu nie mógł mówić, a od momentu, kiedy oplotły go języki, nie bardzo mógł też myśleć. Pogrążył się w ociążalym, męczącym letargu, jego świadomość wpadała w jakąś otchłań.

– Poznaj więc prawdę – wysyczał wodnik i Mścibór poczuł, jak z ogromną lekkością zostaje rzucony w ciemną toń. Ostatnim, co dojrzał, były zamykające się nad nim gęste, czarne wody.

Najpierw z ciemności wyłoniły się zielonkawo połyskujące, bardzo długie łodzie pełne okrutnych wojowników. Obraz rozplynał się i

zobaczył coś w rodzaju stołu ofiarnego, nad którym wisiał wizerunek germańskiego boga – tego, o którym powiadali, że został przybity do dwóch skrzyżowanych żerdzi, a którego truchło teraz kapłani obcej wiary nosili na pamiątkę. Ten jednak nie był smutny i umęczony jako zwykle, a wyszczerzony w okrutnym uśmiechu i zachlapany krwią. Krew kapłała na niego ze złotego kielicha, który ukazał się nagle Mściborowym oczom. Obraz zamazał się, zafalował, zmienił. Pojawiła się kolejna okrutnie uśmiechnięta twarz, tym razem dziwnie znajoma. Mścibór był pewien, że już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Właściciel twarzy rytmicznymi ruchami, z ogromnym zaangażowaniem, mrużąc coś pod nosem, wbijał wielki, ozdobny sztylet w ciało małego chłopca wstrząsane konwulsjami. Krew kapłała na ten sam kielich leżący na ołtarzu, roześmianą twarz saskiego boga i wszystko wokoło. Poniżej leżało mnóstwo ciał dzieci pomordowanych strasznie, niektóre z poobcinanymi głowami i członkami. Nagle obraz znów się zmienił i Mścibór zobaczył okrutnika pokornie klęczącego w wielkiej saskiej świątyni. Klęczał przed postacią, która również wydawała się wojowi znajoma. Tak! To był biskup Dietmar! A ten, który kaźnił dzieci, to jego bratanek Gizibert! Teraz sobie przypomniał! Tymczasem obraz zafalował i wszystko zaczęło wirować w ogromnym tempie – brodzący w błocie jego syn Budzisław, Normanowie wysiadający z łodzi, sikający do fosy Mirko – przyjaciel Przeczka, biegnący Sasi, jego ukochana powalona ciosem, Gizibert wlokący Niestankę, Budzisław strącony koniem do rzeki, wreszcie Svantevit walący się pod ciosami toporów. Nagle wszystko się rozplynęło.

Obudził się, kiedy już dniało. Leżał na brzegu bagniska w zupełnie innym, nieznanym sobie miejscu. Z początku nie mógł pozbierać myśli, ale obrazy poczęły nań spływać coraz szybciej. Poczul ucisk w piersi i usłyszał coś, jakby rozkaz: „Pomścij ich! Pomścij nas! Odbierz posąg!”.

Rozpacz, wściekłość na Bube, strach były niby przytłumione, jakby znajdowały się w oddalonym zakątku jego umysłu. Ich miejsce zajmował spokój i dokładna wiedza o tym, co powinien zrobić. Miał jednak wrażenie, że nie wychodziło to z niego, a z kogoś innego – jakby ktoś nim sterował. Nie był jednak w stanie się nad tym zastanawiać, jakaś siła kazała mu działać. Wstał i zaczął przedzierać się do swoich. Ze zdziwieniem spostrzegł, że gdy wstawał, był ranek, a teraz chwile jeno dzieliły od zachodu słońca, ale tym też długo nie zaprzętał sobie głowy. Tajemnicza siła pchała go naprzód, jednocześnie coś go gonilo, pełzło tuż przy ziemi, powodując narastający niepokój. Czuł, że musi się spieszyć.

*„Z podniesionymi głowy maszerują  
na spotkanie ze śmiercią.  
Bojowy zagrział róg, odwrotu nie ma.  
Svantevitowe dzieci w morderczy idą bój”.*

– Dlatego szybko trzeba nam uderzyć na Sasów i odebrać nasz posąg. W drogę zatem radzę się gotować! – zakończył przemowę Mścibór, przyglądając się z niepokojem twarzom starszyny, kapłanów i zamożniejszych wojów. A zebrało się tu sporo ludu z kilkunastu okolicznych wiosek i zagród oraz – co napawało go największą nadzieją – zbrojny hufiec ze świątyni arkońskiej pod przewodnictwem szanowanego żercy Sędowina. Zajadłym był on wrogiem Sasów i ich podstępnej religii, co gwarantować mogło powodzenie wyprawy.

– A co z wikingami? Dostojem tak znacznej sile? Na jakież posiłki liczysz? Pomorzanie, Wieleci czy Obodryci nas wspomogą? – ozwały się głosy. Szum powątpiewania – ku przerażeniu Mścibora – począł się rozprzestrzeniać. Na środek, dostojnie i powoli, wyszedł żerca arkoński Sędowin i spokojnie, acz dobitnie oznajmił:

– Wróżbę poczynim! Konia Svantevitowego przez włócznie przepuścimy i obaczym, czy którą potraci. Obaczym, czy nam pójdzie wojować bogowie nakazują, czy może siódła bronić przed najazdem. Wróżbę o świecie uczynim! A jeśli bogowie zamiarom wojennym przychylni... Mścibora wojewodą uczynim!

– Sława! Sława! Sława! – rozległy się naraz krzyki oznajmujące aprobatę zarówno dla propozycji Mścibora, jak i pozostawienia decyzji bogom.

\*\*\*

*„Miecze ku słońcu!  
Nasza krew północna – nie z ognia, lecz z lodu!  
Stajemy do walki, niesiemy zniszczenie.  
Pod skrzydłem kruka żyjemy, ginimy...”.*

Wikingowie krępowali ostatnich jeńców zdatnych do niewoli, dobijali niezdatnych i zbierali ostatki porzucanej na poboju broni. Zdradzieccy Ranowie, odprowadzani nienawistnym wzrokiem właśnie związywanych pobratymców z innych plemion utworzonego w celu wyprawy sojuszu, ze wstydem spuszczały głowę i zbierały się do odejścia. Szybko nadchodził wieczór. Pole bitwy pustoszało i kiedy raniony w walce Mścibór – nierozpoznany jako dowódca wyprawy dzięki swojej nikłej sławie – odzyskiwał przytomność, nie było już nikogo, kto chciałby i mógłby go pojmać. Chwiejnym krokiem, zamroczony, szukał jakiegoś oręża i próbował zrozumieć, co się



właściwie stało. Zauważył gramolącego się z ziemi, paskudnie rannego młodego drużynnika załogi arkońskiej. Pomógł mu usiąść, napoił odrobiną wody i wypytał o przebieg bitwy.

– Jesteś pewien, że nasi zdradzili? – ze zgrozą i obrzydzeniem upewniał się Mścibór, nagle rozumiejąc, czemu zawdzięcza awans na wojewodę.

– Tak, panie. Nie dość, że Sasi z normańskimi przybłędami wiedzieli, gdzie nas uderzyć, co żeś sam jeszcze mógł spostrzec, zanim powalonyś został – Mścibór odruchowo dotknął głowy, w którą dostał na szczęście tylko drzewcem długiego, północnego topora, który skruszył się na szłomie, ale większej krzywdy mu nie uczynił, zamroczył go jedynie na czas jakiś, gdy głowa jego od impetu w kant własnego szczytu uderzyła – to jeszcze większość naszych wyrzynać jęła tych, co od Wioletów i Obodrytów przyszli, zdradliwie w sojusz idąc Sasom i Normanom. Ja po drodze do hufca przystałem, przed tatkiem w tajemnicy i bez pozwolenia, dlatego nic o podstępie nie wiedział. Anim się obejrzał, jak mieczem mnie własni druhowie w nogę cięli – zapłakał chłopak. – Nie wyżyję, ani chybi – przeszedł w wyjący szloch.

– Ostań tutaj, ognia ci wnet skrzeseam, coby cię wilcy lub inne, gorsze stworzenia do rana nie tknęły. Sam muszę za Sasami ruszyć. Przyślę tu kogo, jak tylko będę mógł – rzekł Mścibór i jął zbierać chrust i gotować ognisko. Nietrudno mu to szło – stratowanych drzewek było mnóstwo wokoło, a i same drzewce połamanej broni na pokaźny stos by starczyły.

*„Słyszę gdzieś w oddali cichą pieśń.  
Raróg, ptak ognisty, odrodził się.  
Tylko śnieżna burza będzie znać,  
Ilu było nas, ilu wróci stąd”.*

\*\*\*

Znów przedzierał się samotnie, wypatrując tropów Sasów i wikingów niczym na polowaniu. Jednak jego myśli biegły co chwila w inną stronę. Kipiał żądzą zemsty, żalem i wściekłością na pobratymców. Jak mogli go tak zdradzić? Jak mogli dopuścić do przelania bratniej krwi? Teraz wszyscy byli wrogami: zajedno biskup i Sasi, okrutni zbóje z północy, zdradzieccy sąsiedzi i bracia. Nie mógł ufać nawet obodrzyckim plemionom, przez których ziemie się przedzierał, i którzy w jawnej wojnie z Sasami byli. Nie wiedział, jak daleko sięgają macki spisku obłudnego kapłana, i kto spotkany może go Sasom wydać. Dlatego unikał zagród, wiosek, gródków i ludzkich osiedli. Wędrował lasami, omijając nawet dawno opuszczone obozowiska. Początkowo nie miał żadnego planu. Pchała go naprzód żądza mordy i desperacja zaszczutego zwierzęcia. W miarę upływu czasu jął rysować mu się

pomysł. Podkradnie się na tyle blisko, ile będzie mógł, i w szaleńczym, samobójczym ataku zabije Giziberta, a jak bogowie dadzą, to i biskupa. W rzadkich chwilach jasności jego umysł dostrzegał liczne wady tego planu, a nawet to, że właściwie poza tymi wadami nic innego ów plan nie posiadał, ale te chwile były naprawdę nieliczne. Jedynie odruchowa ostrożność uratowała go od wykrycia przez czujne wojsko saskie, rozpuszczone na zwiady i podjazdy. I jedynie instynkt kazał mu, pomimo bliskości wroga, szukać i czekać stosownej do ataku chwili.

\*\*\*

*„W tę ciemną, kryształową noc  
W mroku ukryty mogę znów  
Wyzwolić żądze, oswobodzić je  
Z okowów przenajświętszych ślubów”*

Budzisław wiele dni błąkał się, niczym zwierz śledząc drużynę Giziberta. Zdzczał przy tym jako wilk lub niedźwiedź. Najpierw nie wiedział, co czyni – trawiony wyrzutami sumienia i rozpaczą, prawie obojętnie laźł za wojami. Dopiero widok klęski pobratymców i zdrady jego własnego plemienia, jako żywo przypominające mu zdradę uczynioną w zaślepieniu przez niego samego, pobudził go do działania. Od dłuższego czasu wymykał się Sasom i podejrzliwie węszącym Normanom, którzy na rozkaz przezornego Giziberta mieli go pojmać, gdyby się zbliżył. Nabrał takiej wprawy i doświadczenia w tych swoich działaniach, że coraz śmielej podchodził do obozowiska. Teraz postanowił chwacko i z tupetem wykraść Niestankę. Długo czekał na sposobność, a przy tym coraz spokojniej i metodyczniej udoskonalał swój plan. W końcu nadarzyła się okazja: wojska biskupa i Giziberta rozdzieliły się. Było to już głęboko na saskich ziemiach. Dietmar odszedł na południe do Merseburga, większość Normanów podążyła do siebie, na północ, swojego wodza, jarlem w ich mowie wołanego, ostawiając jeno, coby jakieś sprawy z Gizibertem dopełnił – pewnikiem o żołąd za wyprawę szło. Sam Gizibert z przybocznymi swymi i jarla zboczyli na zachód i skierowali się ku małemu jezioru, na którego środku niczym źrenica w oku znajdowała się mała wysepka. Tam Buba zwiertzył okazję. Zbrojnych było mało i nie pilnowali się tak, jak w kraju Obodrytów – nie wystawiali licznych wart, a i wartownicy niezbyt sumiennie przykładali się do swych obowiązków. Widno Gizibert czekał na kogoś, bo kilka dni już popasali na brzegu jeziora. Budzisław zauważył, że stosunki między sojusznikami pogorszyły się i wikingowie coraz mniej przychylnie patrzą na Sasów. Ci z kolei niepewni, w mniejszej liczbie będąc i baczenie na północnych rabusiów mając, niezwykle nieostrożni się stali. Na taki rozwój wypadków tylko czekał

Buba. W nocy zakradł się pod namiot samego Giziberta, w którym, jak za dnia wypatrzył, trzymano jego siostrę.

– Kiedyż ten przekłety Uno przybędzie?! – usłyszał uderzenie pięści w stół i gruchot zrzuconej zastawy. – Nie lza mi samemu do ceremonii przystępować! – Jeszcze jeden cios w mebel. – Idź, powiedz jarlowi Knutowi, że jutro z rana się rozmówimy, bo dziś boleść mnie znów zdjęła. I wyślij tam kogo naprzeciw Unolda!

– Panie, już trzech poszło! Ludzie boją się Duńczyków, mało nas – zastękał ktoś uniżenie.

– Nie jęcz mi tu! Wyślij jeszcze jednego. I wina przynieś więcej. Z rana się rozmówię i z naszymi, i z przekłętymi Normanami – Gizibert ciężko gruchnął na zydeł, po czym dało się słyszeć głośnie gulgotanie przelewanego wina. Minęła dłuższa chwila. Buba odczekał, aż usłyszy miarowy oddech Giziberta, upewnił się jeszcze, że sługa, który przyniósł wino, dostatecznie daleko odszedł ku ogniskom, skąd niosło zamierającym gwarem rozmów, i powoli, po cichu przecinając sukno namiotu, zakradł się do środka. Jak podejrzewał, przy jednej z żerdzi przytrzymujących konstrukcję schronienia, zwinięta w kłębek, spała Niestanka. Przywiązana była do masztu grubym powrozem, tuż pod nogami grubo ciosanego stołu, za którym siedzący na rzeźbionym zydlu, spity winem Gizibert chrapał w najlepsze. Poza nimi nie było nikogo w namiocie. Panował nikły półmrok dopalającego się łojowego kaganka. Budziszlaw złapał Niestankę. Jedną ręką obejmując głowę i zatykając jej usta, drugą usiłował w niewygodnej pozycji odciąć powróż. Po kilku niezwykle napiętych chwilach udało mu się tej sztuki dokonać, nie pozwalając wrzasnąć rozbudzonej nagle i przestraszonej dziewczynce, jednocześnie nie alarmując szamotaniną śpiącego Sasa. Ścisnął siostrę oburącz i cicho wymknął się właściwym otworem wejściowym. Miał szczęście: od frontu namiot oświetlony był łuczywem, ale wartownik mający pilnować swego pana wymknął się do nieopodal palącego się ogniska rozpuścić język z kompanami. Buba, kryjąc się w ciemności i zaroślach, zakosami przemknął z Niestanką aż do jeziora i bezszelestnie, nie bacząc na protesty dziewczynki, wślizgnął się do wody.

– Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?

– Nie poznajesz? To ja – twój brat Buba!

– Ten straszny człowiek mówił, żeś nas zdradził i że cię ubili.

– Nie wierz mu. Toć żyję. Popłyniem do wyspy i tam cię ukryję, będziesz bezpieczna, siostrzyczko. Sam wrócę i zemszczę się na nim za twą mać!

– Nie, nie zostawiaj mnie, proszę! – zapłakała Niestanka.

– Wrócę po ciebie rankiem, nie bój się. To już niedługo.

\*\*\*

*„Duchy przychylnie Wołam was, wzywam,  
Przybądźcie tutaj  
W miejsce magiczne  
Pomóżcie, proszę, nie dajcie zginąć.  
Dusze złośliwe Odgońcie precz!”*

Ranek nadszedł, Buby jednak nie było. Przerazona i zziębnięta Niestanka ukryła się w nadbrzeźnych zaroślach i z narastającą trwogą obserwowała brzeg jeziora. Akwenik był niewielki, doskonale widziała małe sylwetki ludzi, konie, a nawet namiot, w którym była wcześniej przywiązana. Ta bliskość sprawiła, że ogarnął ją jeszcze większy strach. Buby nie było widać, a na brzegu od świtu panowało ogromne poruszenie. Ludzie biegali, coś krzyczeli, zjeżdżali konni. Wszystko to nie wyglądało zbyt dobrze. Niestanka bała się coraz bardziej. Zmarzła i mokra od mżawki, która nadeszła wraz z rankiem, zeszywniała ze strachu, cały prawie dzień w zaroślach spędziła. Bezwiednie zaczęła modlić się do bogów, a później do Dziadów, a nawet i upiórów – słowem wszystkich mocy, które mogły jej pomóc w ucieczce przed srogimi Sasami, a zwłaszcza przerażającym Gizibertem. Bała się też o Budzysława. Nigdzie nie mogła go dojrzeć. Kiedy słońce powoli chyliło się już ku zachodowi, z przerażeniem zauważyła, że z szuwarów Sasi wypychają na taflę jeziora ukryte wcześniej łodzie. Obserwowała, jak wsiadają do nich razem z Normanami, jak szykują wiosła. Gdy byli gotowi, powoli zaczęli sunąć ku wyspie. Była pewna, że ją odkryją i zaraz złapią. Jęła mocniej się modlić przez łyzy i zanosząc się od szloch, przyzywała już półgłosem wszystkie najstraszniejsze demony, o jakich kiedykolwiek słyszała.

– Czzzeeggooo chceesz? Pooo coo nasss przyyyzyywasszzz? Nieee wieesz, zeee nieeebezpieeczneee... – usłyszała nagle. Jej przerażenie osiągnęło już taki poziom, że nawet nie zdziwiło jej to, że słyszy głosy w głowie. Po chwili pomyślała, że pewnie ze strachu rozum jej odjęło. Tym bardziej, że wszystko dookoła pociemniało, łodzie jakby rozpląnęły się we mgle, która magicznym sposobem nagle się podniosła, a wokół niej zamajaczyło mnóstwo cieni, jakby postaci przemykających tak, by nikt ich nie zauważył. Teraz już całkiem wyraźnie słyszała pytanie wewnątrz swojej głowy, ale jednocześnie miała wrażenie, że wszystkie krzewy dookoła przemawiają.

– Coo naam ofeerujesz za pomooc? Czegóóó to moożeemy żądać zaa uraatoowaniee taaakieego bezbroonnegoo, maaarneego stwoorzeniaaa jaak tyyy? Czeemuuu maaamy ci pomóóc?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, wydusiła z siebie jeno jęk i nieskładne błaganie. Jęła obiecywać służbę do końca życia albo

dozgonną wdzięczność, wszystko to jednak okropnie nieskładnie i niezrozumiale z powodu spazmatycznego szlochu.

– Dooooobrze juuuż! Pomożemy ci przeez wzgląd na twoojeego ojcaa i lossyy tweego luuuuuuu! Tu jest starożyytnee cmentaaryskooo zaapomniaanej cywilliizzacjiii! Miejsceee pozaa czaaaseem! Tu jeeesteś bezpiecznaa! Nee daaamy cięęę twym prześlaadowcom, a oo tym, jaaak nam sięęę odwdzięęcysz, pomóówimy póóóóźnieej!

\*\*\*

Mścibór próbował zbliżyć się do obozowiska kilkakrotnie, jednak nie miał szczęścia. Raz o mało go nie pochwycili, drugi raz natknął się na wysłanego, widno w poselstwie, Sasa i o mało nie wydał się, gdy nie udało mu się go zaskoczyć i walka krótka, lecz zażarta wynikła. Co gorsze, na tyle głośna, że na wszelki wypadek przyczał się na dzionek dostatecznie daleko, aby ani Sasi, ani czasem na zwiady wychodzący Normanowie go nie przydybali. Wskutek tego, gdy znów próbował się podkraść, trafił w najgorszy moment – gdy wszyscy ładowali się do łodzi z zamiarem przepłynięcia na wyspę. Nie mógł ani podejść, by podsłuchać, ani popłynąć za nimi, bo nie dla wszystkich Sasów miejsca w łodziach starczyło i ci, którzy zostali, jęli się do rozniecania ognisk, najwyraźniej z zamiarem nocowania na brzegu. Gdy tak węszył i podkładał się, popełnił największy błąd, bo zapomniał o sprawdzeniu tyłów, przez co wyjechał wprost na niego mały poczet jakiegoś dostojnika spieszącego do obozu w sześć koni. Nie miał jak uciec, otoczony konnymi z jednej strony i zbrojny-mi na brzegu jeziora z drugiej. Po kilku prewencyjnych ciosach drzewcem w głowę i w nogi oraz paru kopniakach, szybko go związano i przytroczono do nadbrzeżnego drzewa, oczekując na dalsze rozkazy.

– Jesteś nareszcie, dlaczegóż to kazałeś nam tak długo na się czekać?! Przecież wiesz, że nie lza mi bez ciebie ceremonii zacząć! – z wyrzutem, jednak dość łagodnie jak na swój porywczy charakter, zwrócił się Gizibert do gramolącego się z konia Unolda, w skrócie wołanego Unem. Był to zaufany sługa Giziberta i tajemny sojusznik w jego paskudnych praktykach, których ofiarami były porywane dzieci. – Dobrze, żeś w końcu przybył, ale jak zapewne już wiesz, nic na razie nie będzie z naszych planów, bo dziewczyna zaginęła. Rozesłałem już kilkunastu zbrojnych po okolicy, żeby ją pochwycili. Nie mogła uciec daleko, tedy bierz się do przygotowań, bo jak tylko ją złapiemy, zaczynamy! A kogóż mi tam przywiodłeś? – przerwał teraz, spostrzegłszy wyciąganego z łodzi Mścibora. Ten, postawiony na brzegu wyspy i docucony tęgim kopniakiem, padł na kolana akurat na wprost innego jeńca

przywiązanego do drzewa i tępo patrzącego w przestrzeń.

– Budzisław? To ty? Cóżś narobił, synu?! – krzyknął i zapłakał Myślībór, ponieważś zdając sobie sprawę, że powinien milczeć.

– Synu? Budzisław? – zdumiał się Gizibert, patrząc to na jednego, to na drugiego. – A to ci dopiero! Dwa raki nam w sidła wpadły! – ucieszył się i jał bacznie przyglądać się Mściborowi, sprawdzając jego więzy – No to się zabawim, czekając, aż moi dzielni druzynnicy złapią tę młodą suczkę, twoją córkę – powiedział Gizibert wyzywająco, z bliska patrząc Mściborowi w oczy.

– Dosyć, panie grafie! – wstając, rzekł nagle dotąd zdawało się obojętny potężny Norman z długą, plecioną brodą. – Mielim się policzyć, mielim dostać, co nam należne i do kobiet na zimowe leże wrócić. Żadna to dla nas rozrywka – ubijanie związanych mężów. Nuże! Dawaj, co nasze, bo cierpliwość jeno wspomnieniem się ostała!

– Jarlu Knucie, wybaczcie tę zwłokę – odpowiedział Gizibert, nie odwracając szaleńczo rozognionych rosnącym podnieceniem oczu od Mścibora. – Pozwólcie jeno dokończyć wróżdy rodowej, której niechący stałem się stroną – teraz graf odwrócił twarz ku Knutowi – Pozwólcie dokonać słusznej zemsty i już każę wydobyć obiecany dla was łup. Zgodzicie się?

– Byle żywo – mruknął wielki wiking, ale nie usiadł, jeno jakby w gotowości czekał, a wraz z nim jego kompani, co nie uszło uwagi ani Mścibora, ani Giziberta. Ten ostatni jednak, podniecony do granic możliwości, nie zważał już na nic, a zwłaszcza na przewagę Normanów, zarówno w uzbrojeniu, doświadczeniu, jak i w liczbie.

– Masz ostatnią szansę – wysyczał cicho Budzisławowi do ucha. – Zdradź, gdzie dziewczka, to szybką śmiercią zginiesz. Budzisław, wydający się dotąd obojętnym i otępiałym, nagle skoncentrował się i ukazał rozumne oblicze, na jego twarzy odmalował się uśmiech tryumfu i z całą mocą splunął w twarz Gizibertowi. Ten nie przejął się zbyt, nawet jakby tego oczekiwał. Chwycił go za włosy, jednocześnie szybkim, wprawnym ruchem wyciągnął bardzo misternej roboty piękny sztylet, niechybnie obrzędowy.

– Oto twój syn, Mściborze, zdrajca i sprzedawczyk. Oddał mi twoje dziecię, twą ukochaną córkę w zamian za władzę. Oddał mi, a ja uczyniłem z nią to, co i z resztą pogańskiego pomiotu! Odesłałem do piekła ku chwale mojego pana, brata Odkupiciela – Satanaela! Tak, twoja córka nie żyje! – zaśmiał się okrutnie Gizibert i z rozmachem ciął po gardle Budzisława, który począł charczeć, jakby chciał coś wykrzyknąć w ostatniej chwili. – A teraz nie żyje twój pierworodny syn! Ile masz jeszcze dzieci do oddania? – szaleńczo śmiał się Gizibert. – Zaraz i ty zginiesz ku chwale naszego pan... – urwał nagle, z rozmachem walnięty w głowę styliskiem duńskiego topora przez jednego z normańskich

wojów. Nikt z Sasów nie zauważył znaku danego wcześniej przez jarła, ani ich szybkiego jak błyskawica ataku. Już po chwili wszyscy Sasi byli martwi albo w pętach.

\*\*\*

Przeczek spał bardzo niespokojnie, już od kilku nocy. Wieści od ojca nie było od czasu, kiedy woje, którym udało się zbiec po bitwie, przynieśli wieści do osady. Martwił się o ojca, ale mimo powtarzanych szeptem plotek o jego śmierci, czuł, że rodzic jest bezpieczny. Czuł też jeszcze coś innego. Może to wpływ zbliżającej się pełni? Tej nocy było najgorzej – wiatr wył przeciągle, przez szpary w chacie wdzierał się dojmujący chłód. Księżyc świecił mocno i rozświetlał mrok chaty magicznymi promieniami przedzierającymi się przez otwory na dym i przez niedokończone, świeże poszycie dachu. Chłopiec wiercił się na posłaniu, denerwował go cały czas mocno wyczuwalny swąd spalenizny. Niewiele udało się uratować z gródka, ale poczęto budować chaty w miejscach ich poprzedniczek. Przeczek nie mógł zasnąć. Wstał, wyszedł przed chatę. Widok spalonej wioski skąpanej w upiornym, zimnym świetle miesiąca w pełni wywołał w nim jednocześnie lęk i coś na kształt fascynacji. Skierował się nad strumyk. Idąc, zobaczył jakby jakąś postać przemykającą między krzakami. Doznał tego dziwnego, nienazwanego uczucia bliskości, jakie zwykł był czuć w obecności swej siostry. Jakże mu jej brakowało. Byli ze sobą związani od zawsze, nigdy się nie rozstawali. Starzy ludzie mawiali, że są magicznym rodzeństwem – jak Siem i Rgieł. Odkąd wrócił z pamiętnego polowania, po którym zastali zgliszcza, a jego siostra przepadła, uczucie bliskości zniknęło, a jego miejsce zajęła dojmująca tęsknota. Teraz nagle, wraz z majaczeniem ni to promieni księżycyca na wzruszonych nocnym wietrzykiem liściach, ni to futra jakiejś nocnej, małej zwierzyny, uczucie bliźniaczej obecności znowu powróciło. Delikatne i nieuchwytnie, ale jednak obecne.

– Hej! Kim jesteś? – rzucił zduszonym szeptem w ciemność. Bez przekonania poszedł za majakiem, niepewny, co ma właściwie uczynić. Wyszedł już prawie w las, wprost na małą polankę będącą jakby bramą do kniei, prowadzącą z ludzkiego opola, gdy nieoczekiwanie unieruchomił go widok, który mu się ukazał. Ogarnęło go przerażenie, choć jednocześnie pojawiły się ciekawość i nadzieja. Sceneria wydawała się makabryczna i nierealna jednocześnie, z drugiej jednak strony nie czuł się jak we śnie, tylko jak w najrealniejszej jawie. Na polanie, prawie dokładnie na środku, stała Niestanka, ubrana tak samo, jak kiedy ostatni raz ją widział, ale jakby starsza. Z jej rozpuszczonych w nieładzie włosów kapąła woda, jak gdyby padał deszcz, choć przecież księżycowe niebo nad nimi było bezchmurne. Na twarzy dziewczynka miała wyraz ni to przestachu, ni to jakiejś zaciętości. Stała, lekko drząc, i patrzyła

wprost na Przeczka, nic nie mówiąc. Następnie powolnym i płynnym ruchem podniosła rękę i pokazała za siebie, nie ruszając resztą ciała ani o włos. Wtedy dopiero zauważył, a może dopiero z ciemności zaczęły się wyłaniać inne postaci. Również dziecięce, ale w ich twarzach i posturze nie było nic naturalnego. Były to dzieci makabrycznie okaleczone i powykęcane, niektóre nadpalone, jakby zdjęte ze stosu pogrzebowego. Ich twarze wyrażały bezbrzeżne cierpienie, ich nogi były zakrwawione, jakby przed śmiercią wszystkim im uczyniono coś znacznie okropniejszego niż tylko okaleczenie. Część z nich miało poderżnięte gardło, inne zdjętą skórę z rąk lub nóg, niczym rękawice lub nogawice. Niektóre nie miały włosów, jeno łyse czaszki – widno skóra została zdjęta wraz z włosami. Kilkoro z dziatwy przybitych jeszcze było do prowizorycznych krzyży, do jakich modlili się Sasi. Jedna z dziewczynek, stojąc po prawicy tuż przy Niestance, bezradnie przytrzymywała wylatujące jej przez dziurę w brzuchu jelita. Było w niej coś dziwnego – jakby w tej malutkiej dziewczynce chęć zabawy własnymi członkami, wynikająca z niezrozumienia tego, co się stało, walczyła z zagubieniem i przestraciem. Wydawało się, że nie czuje bólu. Większość dzieci sprawiała teraz wrażenie, jakby bardziej interesował ich Przeczko niż własne cierpienie. Wszystkie patrzyły na niego z ogromną intensywnością. Przeczko był przerażony, jego gardło było jednym wielkim soplem lodu, a wszystkie mięśnie stężały i nie dawały się poruszyć. Byłby uciekł, nie zważając na widok swojej siostry i nadzieje, jakie on wzbudził, ale nie mógł. Przerażenie wbiło go w ziemię. Za chwilę zresztą nie miał już jak, bo dzieci otoczyły go i odcięły drogę ucieczki.

– To sen – zdołał ni to zapytać, ni to stwierdzić i naraz, jakby wszystkiego było mało, począł słyszeć. Do tej pory wszystko działało się w ciszy – upiornej, makabrycznej ciszy, lecz nagle, gdy sam ją przerwał, zaczęły go dochodzić głosy dzieci. Mówiły, a właściwie jęczały, charczały, skowyczały, mamrotały z bólu i błagały w różnych językach. Słyszał słowa germańskie, saskie, normańskie, ale też mnóstwo nigdy niepoznanych. Słyszał też swojskie, słowiańskie, a te rozbrzmiewały ogromnym bólem i strachem:

– Mamo, gdzie jestem?

– Proszę, nie! Zrobię wszystko!

– Panie, ja już nie mogę. Panie, litości! Będę grzeczna, uczynię, co każecie.

– Nie chciałem obrazić waszego boga. Szanuję go, jak ojciec kazali naszym szanować.

– Panie, darujcie! Okropnie boli!

– Co robicie? Co ze mną będzie? Będzie bolało? Później przyjdzie matuś?



Gwar i hałas gęstniał, a w tym rozgardiaszu dosłyszał cichy, choć wyraźny szept znajomy – szept Niestanki:

– Nasz tatko umiera! Ocalić mnie chciał, ale przybył za późno. Musiałam ratować się innym sposobem. Teraz mamy zadanie, braciszku. Ja żyję, ja wrócę, ale jeszcze nie teraz. Odnajdź tatkę i powiedz mu, że żyję, zanim pójdzie za rzekę do Dziadów. A potem musisz zatrzymać tych okrutnych ludzi z południa i zachodu, którzy łąją o jednym bogu – szept stał się znacznie bardziej natarczywy i świdrujący, był jak rozkaz. – To oni zrobili to tym dzieciom! Przypatrz się i nie zapomnij, poprowadź naszych braci do walki. Niech zmyją hańbę zdrajców! Ukarz złoczyńców – niemych, nieznających mowy Sasów i ich okrutnego boga, w imię którego popełniają zbrodnie. Wygońcie ich z tej ziemi na wieki, albo sami szczęście! Tak powiedzieli mi ci, na których służbie teraz jestem. Żegnaj Przeczko. Jak bogi dadzą, obaczmy się jeszcze. A pamiętaj, com ci rzekła. – Na koniec usłyszał jej normalny, dźwięczny głos, a przerażające dzieci zniknęły. Na chwilę zostali sami, jakby poszli na nocną, leśną przechadzkę, i jakby nic się nie stało. Stali i uśmiechali się do siebie na środku polany. Wiedział jednak, że to nie jest prawdziwe spotkanie, jeno sen. Proroczy i przepełniony magią, ale jednak tylko sen.

\*\*\*

*„Wody przeczystej mocą  
Wzywamy i zaklinamy!  
Niech graf przeklęty szczerze  
We krwi się własnej utopi!”*

Mścibor miał ogromne doświadczenie. Wiele lat już na wyprawy chadzał, i na Sasów, i na Normanów, ale też dalej z Rusami na pogranicze wielkiego Bizancjum, czy łupić Greków. Walczył z dzikimi, stepowymi Awarami i jeszcze dzikszymi Madziarami. Jednakże wielodniowe podkradanie wykończyło go, do tego był pobity, a za to Gizibert, pomimo wielkiego guza na głowie, sprawiał wrażenie pełnego sił. Nie znał go jednak zbyt dobrze i nie zdawał sobie sprawy z dwóch rzeczy. Po pierwsze graf niewiele miał okazji wojować z mężem, a uprawianie małych dzieci nie dodawało mu doświadczenia w walce. Druga sprawa to fakt, że Gizibert był ogromnie przerażony. Nagłe odwrócenie się od niego wikingów, u których prawość i wyznawane zasady wzięły górę nad zepsuciem, sprawiło, że bał się przeogromnie. Teraz przybysze z północy postanowili raz a porządnie zakończyć wszystko, oddając spór w ręce Odyna, konfrontując Giziberta i Mścibora w pojedynku na miecze. Grafa przerażał nie tylko bunt wikingów, ale równie mocno trwożę wzbudzała wizja równej walki z rosnącym

Słowianinem. Do tej pory w całym swoim życiu nie miał okazji na taką próbę, żył w błogiej bańce bezpieczeństwa. Jeśli coś mu zagrażało, to mógł albo posłać więcej swoich ludzi, albo zarządzić odwrót, bądź zmienić sojusze. Do tej pory zawsze w ten sposób mógł wykaraskać się z każdych kłopotów. A ostatecznie zawsze pomagał mu wuj biskup, na którego z całą pewnością mógł liczyć, bo wiedział o nim rzeczy, o których nikt nie powinien wiedzieć, zwłaszcza wrogowie w Rzeszy. Teraz miał polegać jedynie na swych umiejętnościach i jakości broni, którą z pogardą rzucił mu jeden z Normanów. Tego Mścibór nie wiedział, więc zaskoczony był mocno, kiedy pierwsza, obliczona na rozgryzienie przeciwnika próba prostego ataku tuż pod podniesioną w obronie tarczą, zakończyła się trafieniem. Nie było to nic groźnego, bo graf, wzorem jarłów Północy i innych znamienitych Sasów, miał na sobie misternej roboty kolczągę. Jednak nigdy, dbając o wygląd, nie zakładał pod nią żadnego ubioru ochronnego, zresztą nie biorąc zazwyczaj udziału w walkach, nie wydawało mu się to konieczne. Teraz poczuł dotkliwie ciężar miecza, który przejechał po jego żebrach, i jęczeć zaczął tak bardzo, że natychmiast dotychczasowi sojusznicy jęli okazywać mu jawną pogardę, plując na niego i popychając, a jeden podstawiał mu nawet nogę. Gizibert cudem tylko zachował równowagę, ale już nawet nie próbował wyglądać na przeciwnika, z którym można się liczyć. Robił to jednak planowo, albowiem chytrym będąc z natury i zawsze tym nadrabiając, i teraz zrozumiał, że to jego jedyna nadzieja. Pozwolił wszystkim upewnić się, że nie będzie stawiał oporu tylko po to, by nagle odrzucić tarczę, wyrwać jednosieczny długi nóż z pasa jednego ze stojących bliżej wikingów i zamachnąć się, markując uderzenie mieczem. Myślibór, zmylony widokiem mazgającego się grafa i znając swoje położenie – nie myślał bowiem, aby Normanowie puścili go żywcem, nawet jeśli wygra walkę – dał się zaskoczyć jak pacholę. Gizibert, co prawda niezręcznie posługiwał się bronią, ale trafił Mścibora saxem w biodro, a ponieważ ten nie miał kolczej, ani innego opancerzenia, dotkliwie ucierpiał. Nie na tyle jednak, by już wyrwany z marazmu, nie poradzić sobie z grafem. Odrzucił tarczę i już sprawnie, bez wpadek, jął miecz w obie dłonie i najpierw ciął grafa po ręce trzymającej zdradziecki oręż, potem po nogach, pozbawiając go jednej i połowy drugiej, następnie siadł Gizibertowi na piersi i napawając się zemstą, zagłębił poziomo trzymane ostrze miecza powoli w jego gardle. Na koniec osunął się na ziemię, zemdlony wpływem krwi.

*„Gdy odejdiesz, wspomnisz tylko  
smutny, krwawy zachód słońca  
I blask śniegu, i śpiew ptaków,  
które oplakują cię.*

*Dziady czekają tam na ciebie,  
po tamtej stronie czarnej wody.*

*Kiedy słońce wstanie rano,  
koło martwej rzeki staniesz.  
Tam drewnianym przodków traktem  
W drogę swą ostatnią pójdziesz”.*

\*\*\*

*„I za tysiące lat  
Przetrwa słowiański ród.  
Pamiętać będzie wciąż  
I dawnych bogów czcić”.*

## **EPILOG:**

Wikingowie opatrzyli ranę Mścibora, zanim odeszli, oddali jednego ze zniewolonych Słowian jako jego służbę i zostawili go na wyspie. Tam znalazł go Przeczko. Martwego już jednak, zmarł bowiem od gorączki, jaka wdała się w ranę na biodrze. Przeczko nie zdołał powiedzieć ojcu, że Niestanka żyje. Sam zresztą nie był tego pewien, ale układając dla ojca stos, podpalając go i celebrując tryznę, myślał cały czas o tym, co usłyszał od siostry. Później stał się nieprzejednanym wrogiem saskiej wiary, ich pogromcą i przywódcą wielkiego połabskiego powstania.

## Mariusz Orzeł Wojteczek

### Już nigdy nie spadnie tu deszcz

Była burzą.

Nie tylko w moim życiu, w którym pojawiła się nagle, niespodziewanie, gdy niebo zasłane było ciężkimi chmurami barwy martwych gołębi, a z góry chlustało wiadrami wody. Była burzą dla każdego, kto ją spotkał na swojej drodze. I dla tych, którzy nigdy jej nie zobaczyli. Znali ją, oni wszyscy, choć nie mieli o tym pojęcia.

Była burzą.

Ławka wpijała się w plecy. Zbyt wąskie, nierówno oheblowane i pociągnięte brązową, olejną farbą deski nijak nie chciały dopasować się do kręgosłupa. Albo i kręgosłup do nich. Jednakowoż bolało, ale mimo tego nie miałem ochoty wstać. Cierpiętniczo znosiłem te katusze, kierowany jakimś wewnętrznym, ukrytym masochizmem zmieszanym w koktajlu z lenistwem i zaciekawieniem dotyczącym treści czytanej właśnie książki. Nie pamiętam, co to było. Chyba jakiś Polak, człowiek z telewizji. A może z radia? Tak dawno nie słuchałem radia... Nie pamiętam... Książki czasem czytam, póki jest widno, bo żal marnować olej na tak ekstrawaganckie, niepotrzebne rozrywki. A i samych lektur coraz mniej, zbyt łatwo się pałą... Mroczna wizja Bradbury'ego spełnia się, choć z innych względów, niż zakładał. Ludzie nie niszczą książek z nienawiści. Teraz prym wiedzie pragmatyczność i chęć przetrwania. I żar lejący się z nieba. Dzień po dniu, bezustannie, wysuszając świat jak za- pomnianą skórkę pomarańczy.

Siąpił wtedy deszcz, lekki, jesienny. Już chłodny, ale nie zimowy, nie pachnący śniegiem. Jeszcze nie tchnący mroźnym powietrzem. Uspokajał mnie zawsze taki deszcz, koił, budząc niezrozumiałą, nieokreśloną tęsknotę, którą w niezrozumiały nawet dla mnie sposób – lubilem. Wiem, dziwne, że ktoś siedzi w siąpiącej mżawce, na niewygodnej ławce parkowej i czyta, niepomny na powiewy wiatru, wilgoć i jesienny chłód. Ale to już taka tradycja, że jeden dzień w tygodniu pojawiam się z nową książką na tej ławeczce. Ot, dziwactwo książkowego mola. Miałem takich dziwactw w swoim życiu wiele, teraz nie mają już znaczenia. Teraz niewiele ma znaczenie.

Siedziałem na tej właśnie ławce i czytałem zadrukowane drobną czcionką strony, niepomny na katusze wykrzywionych pleców i na

krople znaczące mokrymi śladami strony, kiedy usłyszałem stukot obcasów na granitowej kostce alejki. Obcasy zamilkły, najwyraźniej przystając przy mnie.

– Niech pan schowa książkę. Zmoknie – powiedziała cicho, a ja wzdrygnąłem się, podnosząc wzrok.

Takie twarze widuje się tylko w filmach. Wąska, pociągła, niby oblicze porcelanowej lalki, a jednak z delikatnym rumieńcem i oczami, w których błyskały żywe, srebrne ogniki. Kaskada platynowych włosów, choć gdzieniegdzie przetykanych czarno-granatowym pasemkiem, okalała ją woalem tajemniczości i figlarnego uwodzenia. Albo ja tak poetycko to chciałem wtedy widzieć. Nie wiem, pamiętam, że mi stanął.

Zasłoniłem krocze książką; lekkie, lniane spodnie nijak nie pomagały. Niby nieadekwatne do jesiennej aury, ale jedyne czyste, wygrzebane z głębi szafy. Pragmatyczność nad modę, nad wymogi pogodowej aury. Cały ja.

– Słucham? – wydukałem. Nie byłem dobry w rozmowach z kobietami. Nie umiałem być dowcipny, zabawny, elokwentny. To znaczy, w rzeczywistości. W myślach umiałem to wszystko, a kobiety lgnęły do mnie jak w książkach Wolskiego. Ech, w myślach, kurwa. Członek nadal próbował się wyprężyć. Docisnąłem książkę, chyba mnąc kartki.

– Zaraz będzie burza. – uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu było więcej słodczy, więcej słońca i migotliwych iskier w oczach niż w całej pierdolonej Gopłanie. Przełknąłem ślinę. Nie pomagała jej rudoczerwona, mocno za krótka sukienka, kończąca się hen, wysoko, gdzieś za połowę smukłego uda. Taliowana pod biustem, z krótkimi rękawkami trzy czwarte stanowiła idealne opakowanie dla tej drobnej burzy, która wparadowała w moje życie. I która zniszczyła je kompletnie. Nie tylko moje, zresztą.

– Nie sadzę – mruknąłem, patrząc na zaciągnięte sinymi kłębami niebo. Mówiłem, że nie umiem prowadzić elokwentnej konwersacji, kiedy nie jestem w swojej głowie? Myślam, znaczy? Tamtego dnia nie byłem. – Popada chwilę i przejdzie.

Później powiedziała mi, że urzekła ją moja nieudolność. Moja bezradność małego kociaka, który moknie na deszczu i którego nie sposób nie przygarnąć do domu. Przygarnęła. Mokrego, z deszczówką chlupocząca w butach. Nie wiedzieć skąd (a raczej wtedy nie wiedziałem) nagle niebo zrobiło się wręcz czarne. I lunęło, jakby ktoś, tam u góry, przewrócił nad nami wiadro pełne zimnej wody. Nawet nie próbowaliśmy uciekać.

Teraz wiem, skąd i jak. Ta burza, znaczy. Wtedy nic nie rozumiałem. Chłonałem jej obraz, jak wiruje w kroplach rozbryzgujących się na jej skórze, jak sukienka przylega do mokrego ciała, obłapiając je lubieżnie i

mrugając do mnie zawadiacko oczkiem sprutego szwu pod lewą pachą.

Książka zmokła wtedy do cna. Zapomniałem zabrać ją z ławki. I znaczące, wiekopomne słowa jakiegoś pisarza zmył deszcz. Zmilił w papkę, którą ptaki wykorzystają jeszcze do budowy gniazd. I potem miejskie wrony będą recyto- wać wiersze.

Mieszkałem wtedy na Praskiej, w starej kamienicy o ciężkich drzwiach i z pachnącą kurzem, wiecznie ciemną, nawet za dnia, klatką. Ponoć w miejscu, w którym straszy. Sąsiadkom z drugiego podobno samo spadło lustro. I ktoś do drzwi pukał, a nikogo nie było. Czasem myślę, czy to nie ja akurat, po pijaku, ale nigdy się do tego nie przyznałem. Maria śmiała się, kiedy opowiadałem jej tę historię. W progu mieszkania zrzuciła mokrą sukienkę i zaciągnęła mnie do sypialni. Pozwoliła mi zatonać w sobie, a ja długo nie chciałem wracać na powierzchnię.

Rano zadzwoniłem do pracy, że mam grypę żołądkową. Podejrzewali kaca, ale gówno tam. To był najlepszy seks w moim życiu.

Maria była burzą, która wtargnęła do mojego świata. Burza pachnie deszczem, mokrą trawą i chłodnym po deszczu słońcem. Ona też tak pachniała. Ale niewiele wtedy rozumiałem.

Kiedy się śmiała, to jakby deszcz bębnił o parapet. Dźwięcznie, nostalgicznie. I zawsze z jakimś smutkiem, którego nie potrafiłem, a może nie chciałem pojąć...

Kiedy pytałem, skąd się wzięła, uśmiechała się łobuzersko, odgarniając z czoła kosmyk włosów i mówiła:

– Jak to skąd? Spadłam z nieba.

Nie zdawałem sobie sprawy wtedy, ile w tych słowach prawdy.

Nie wiem, czemu stało się to, co się stało. Lato było piękne. Gorące, choć dni przetykane były gwałtownymi, ulewami i burzami, oczyszczającymi parne powietrze.

Uwielbiałem na nią patrzeć, kiedy jadła gofry, kiedy kruchym wafelkiem zgarniała z nich bitą śmietanę i zbliżała do ust. Zawsze smarowała się po twarzy i marszczyła nos, kiedy chciałem ją obetrzeć serwetką.

Myślałem, że zawsze będziemy razem.

Nie wiedziałem o niej wiele. Nie wiedziałem prawie nic. Często wyjeżdżała. Mówiła, że taka praca. Kim była? Stewardessą? Być może. Czasem wspominała o Paryżu, o Londynie, czy obcych nawet z nazwy miastach gdzieś w Nairobi. Tam bywała najrzadziej, ale mówiła, że nawet tam musi czasem spaść deszcz. Nie rozumiałem.

Chciałem, by wszystko to trwało wiecznie, by nigdy nie opuszczała mnie na zbyt długo. Chciałem siadać na szerokim, malowanym olejną

farbą, pękniętym parapecie i oparty o szpaletę gapić się na deszcz spływający po szybie. Zawsze kiedy u mnie była, padało. Czasem był to lekki, ożywczy deszczyk, czasem, kiedy wracała zmęczona albo zła, jaskrawe błyskawice przecinały niebo. Milczeliśmy wtedy, nie wiedzieć czemu, i mijaliśmy się chłodno, bezpłciowo, bojąc się własnego dotyku. Ale rano zawsze wstawało słońce. A jej już nie było, kiedy się budziłem i palcami badałem wilgotną jeszcze, wygniecioną poduszkę.

Kiedy zacząłem się bać? Że nie jestem jeden, że w tych wszystkich miastach, które odwiedza, w każdym z nich jest taki ktoś jak ja, jakiś żalorny nieudacznik, który mókł w deszczu tak długo, by wzbudzić jej litość? Ilu jeszcze jak ja tonęło w niej, w jej pachnącym wilgotnym powietrzem ciele, by nad ranem budzić się w zroszonej potem pościeli, kiedy jej już nie będzie? Nie wiem. Może to zapach męskich perfum, który poczułem? Może spinka od mankietu, która zaplątała się w jej ubraniach? Nie wiem.

Wtedy milczałem. Nie pytałem, nie robiłem scen, nie dociekałem. Nie starałem się poznać prawdy, a oszukać samego siebie. Pragnąłem wierzyć. W nią. W nas.

Nigdy nie potrafiłem pisać o miłości. A zawsze chciałem. Snuć sonety, układać wiersze, zapełniać strony równymi liniami zagmatwanych, romantycznych opowieści. I nigdy nie umiałem.

Jeśli coś piszę, to na smutno. Jakbym się upijał tym smutkiem, tą tęsknotą za czymś, czego sam nie umiem nazwać. Za nie-samotnością?

Ona była jak burza, która wtargnęła w moje życie. Wyrwała mnie z marazmu, ze stagnacji, samotności, z braku poczucia przynależności do czegoś, czegokolwiek. Kurwa, ja nawet do biblioteki się zapisać nie umiałem!

Ale przy niej... Dla niej byłem kimś. Może i zbitym, przemokniętym psiakiem, którego trzeba przygarnąć. Ale jednak kimś. Nie bezbarwną kalką człowieka jak większość.

– Kto to jest? – moje pytanie zawisa w powietrzu między nami. Odrywa wzrok od okna, za którym zacina lekka, jesienna mżawka. Pijemy kawę, mój kubek z Thorgalem ma uszczerbioną krawędź. Mile parzy mnie w dłoń. W mieszkaniu jest zimno, stare mury trudno nagrzać latem, ale jesienią szybko potrafią stracić ciepło. W pokoju czuć lekką woń grzyba, choć nie widać jeszcze wykwitów na ścianach.

– Kto? – pyta z wyrazem nostalgii na twarzy. Jest jakaś senna, apatyczna. Mniej się uśmiecha. Może to jesień? A może coś innego...

– Ten, z którym mnie zdradzasz – wyrzucam z siebie gorzką gulę żółci, obrzucam ją błotem, gorszym niż stek wyzwisk. Palce zaciskają się na kubku, kciuk wpycha się w oko Thorgalowi, jakbym chciał mu je wydłubać. Czekam. Sekunda, dwie. Trzy sekundy ciszy. Trzy sekundy jak

sześć lat. Spogląda na mnie ze zdziwieniem. Mam nadzieję, że krzyknie. Że zadrży jej warga. Że uderzy mnie dłonią, da mi w pysk, jak tylko zraniona kobieta potrafi. Że splunie za obelgę. To wszystko było- by lepsze.

– A kto kiedykolwiek mówił, że jesteś jedyny? – pyta, podnosząc się z krzesła. Z jej postawy, z ułożenia dłoni, z napięcia mięśni unoszących szczupłe ciało, bije w oczy pogarda. Przesuwa swój kubek po drewnianym blacie. Dźwięk szurania zdaje się nienaturalnie głośny. – I ten pierwszy?

Nie patrzę na nią. Wbijam wzrok we własne kłykcie, oplecione jak jakiś dziwaczny egzozkielet na kubku z kawą. Tym z Thorgalem, wiecie. Mam ochotę rzucić nim o ścianę. Co mnie powstrzymuje? Sam nie wiem.

Kiedy słyszę głos zatrzaskujących się za nią drzwi, czuję, jak po twarzy spływa mi łza.

Wciąż nie wiem, czemu to zrobiłem. Nie umiem wytłumaczyć się sam przed sobą, nie umiem wyjaśnić, czemu. To było łatwe. Nadspodziewanie. Kilkanaście sekund, wytrzeszczone oczy, usta rozchylone, łapczywie chwytające powietrze, strużka śliny spływająca w kąciку warg. I koniec. Zwiotczała w moich rękach, kiedy serce przestało bić. Serce? Czy ona miała serce?

Po kilku chwilach jej ciało zmiękło, stało się przezroczyste, galaretowate. Rozmokła skóra, jakby ktoś za długo moczył tekturę. Spomiędzy prześwitujących, spływających z ciała płatów skóry zaczęły wyłaniać się organy. Błysnęło blade płuco, nadęta powłoka żołądka. Kikuty żeber, sklepione łukowo pod kształtnymi piersiami, zdawały się wykonane z lodu.

Po chwili ciało rozpląnęło się wilgotną plamą po podłodze. Wsiąknęło w dywan.

Czy wtedy uwierzyłem? Nie, cholera. To przyszło później, kiedy przestał padać deszcz.

Jest gorąco. Spieczony, półpłynny asfalt już nawet nie śmierdzi, albo ja tego nie czuję. Szyb w oknach dawno nie ma, popękały z gorąca.

Nawet w nocy, choć temperatura trochę spada, nie robi się wiele chłodniej. Powietrze jest suche, smakuje jak pył. Gardło mnie boli, ale nie mam już nic do picia. Wilgoć w rondelku pod folią zbiera się powoli, nienachalnie, pół szklanki powinienem mieć na wieczór.

Ciał z ulicy już nikt nie zbiera. Rozdęte, napuchnięte gazami, siniejące ciało sąsiadki spod szóstki leży rozciągnięte w poprzek chodnika. Leży, gdzie upadła. Psy nie rozwłóczą jej szczątków, bo nie ma już psów. Wyzdychały z gorąca. Ludzie idą w ślad za nimi. Kap, kap. Zamiast kropel padają na ziemię zwłoki.



Minęło pięć miesięcy od śmierci Marii. Która nie była Marią, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Jej śmierć... zabrała ludziom deszcz. Tak o, po prostu. Skoro nie ma Bogini Deszczu, to zdychajcie z gorąca, skurwysyny!

Dawniej, u nas, nazywali ją Ślągwa. Albo Dżdża. Przodkowie znaczy. Ci mądrzejsi, którzy wierzyli. My zapomnieliśmy, więc prawie nikt nie rozumie, co się dzieje. Mądre głowy gderają z telewizora, ale telewizja padła. Nie nadają od jakiegoś tygodnia. Ale ja wiem. Znalazłem jej pamiętnik.

Czy takie jak ona piszą pamiętniki? Kurwa, nie wiem! Znałem tylko jedną. Ta pisała. Czula się samotna. Mając tyle lat, można się czuć samotnym. Tysiące lat, dziesiątki imion, setki miejsc. Wszędzie musi czasem padać deszcz. Musiał. Teraz Ziemia wysycha. Marszczy się jak skórka wystawionej na słońce pomarańczy. Spieczona pęka jak naskórek poparzony ogniem, odsłaniając cuchnące ropą rany. I nie ma już nadziei.

Pewnie bym nie uwierzył. Pewnie bym ją wziął za wariatkę. Ale widziałem rozpuszczające się ciało. Poza tym wystarczy wyjrzieć przez okno.

Uff, jak gorąco. Ocieram czoło, przesuвам po stole kubek. Ten z Thorgalem, wiecie. Ma uszczerbiony brzeg. Spadł mi kiedyś ze stołu, dziwne, że się nie rozbił. Teraz jest pusty, skoro nie mam co pić. Nawet rzeki wyschły.

Świat zdycha.

Firanki w wybitym oknie kołyszą się, poruszane delikatnym tchnieniem wiatru. Cisza. Obraz za oknem faluje od gorąca, po drugiej stronie ulicy miga mi w okiennej dziurze sąsiadka. Jest naga, pewnie przez ten upał. Ubrania, a ściślej brudne szmaty, które za nie uchodzą, obcierają spocone ciało, pozostawiając – w najlepszym wypadku – piekące zaczerwienienia. Na zewnątrz trzeba je nosić, by chronić skórę przed palącym promieniowaniem słońca. Wewnątrz budynków, w złudnym cieniu jest człowiekowi bez nich lepiej.

Jej obwisłe piersi marszczą się, ciało jest posiniaczone. Przez plecy biegnie czerwona pręga zadrapania. Pewne była w markecie na obrzeżach miasta. Tam ponoć zostały jakieś butelkowane mineralne. Rany na ciele znaczą, że nie ona jedna tam poszła. To, że nadal tu jest, oznacza, że była silniejsza.

Odwraca głowę i patrzy przez chwilę w moją stronę. A może to złudzenie? Falujące powietrze zniekształca obraz, oczy pieką mnie od gorąca. Kiwam do niej w niemym pozdrowieniu, które znaczy tyle, że nie mam złych zamiarów. Że tylko kryję się tu jak szczur, a nie czaję, by zaatakować i odebrać jej zapasy. Poznaje mnie, bo odmachuje ręką i

znów zaczyna ignorować moją obecność. Jeszcze mi mignie jej blady tyłek, kiedy się pochyli, po czym znika w głębi mieszkania.

Jej widok nie podnieca mnie, choć jest ładna, niespełna trzydziestoletnia. Ale marnieje, gaśnie w oczach. Brak wody, niedożywienie. Brud i lęgające się z niego choroby.

Niedługo wszyscy umrzemy.

Przypomina mi się stara piosenka, zaczynam bezwiednie nucić pod nosem:

*Już nigdy nie spadnie tu deszcz*

*Ona odeszła, gdzieś*

*Już nigdy nie spadnie tu deszcz*

*Wszystko skończone jest*

A żebyś, kurwa, wiedział, Nick, śmieję się w duchu, choć naprawdę to zbiera mi się na płacz. Czemu to zrobiłem? Czemu wtedy, tamtego dnia zacisnąłem palce na jej gardle, miażdżąc krtań i wyduszając z niej ostatni oddech, ostatnie tchnienie?

Nie wiem, mówiłem już, nie umiem się nawet sam przed sobą wytłumaczyć. Teraz nawet już nie mam komu. Wiem jedno. Już nigdy nie spadnie tu deszcz. Przeze mnie.

## Honza Eraserhead Vojtišek

### Najodleglesze wspomnienie

Jak daleko sięga twoja pamięć? Zastanów się. Dokąd potrafisz wyprawić się umysłem, brnąc pod prąd w rzece czasu? Ile lat zajmie ci, zanim dotrzesz do obcej białej plamy, której nie będziesz umiał rozpoznać, która nie przemówi do ciebie żadnym głosem? Tak jak ja mówię teraz?

Popytaj znajomych. Tyle możliwych opowieści. Tak wiele wariantów i scen. Raz będzie to kulka z piasku rzucona w twoją matkę; innym razem – pierwsza zabawka, doświadczenie... Znałem takich, co twierdzili, że pamiętają własne narodziny. Uważałem, że to bzdury. Teraz nie dałbym już głowy. I może ty też nie.

Moje najodleglesze wspomnienie nie jest tak stare, jak można się spodziewać. Może mógłbym wycisnąć ze swojego umysłu coś nawet starszego. Ale to jedno jest najprzejrzystsze, najmocniejsze. Poza nim nie jest już tak jasne i wyraziste. I być może nigdy nie będzie, bo nawet ono zanika.

Nieśmiałe dziecięce pytanie, pełne wątpliwości i strachu.

Towarzyszyło mi przez całe życie. Wpływało na wszelkie aspekty mojej egzystencji. To niedorzeczne, ale wszystko zaczyna niespodziewanie nabierać sensu. Być może. Ty możesz to wyjaśnić, właśnie ty. Dlatego się do ciebie zwróciłem.

Bałem się wszystkich lasów, ale ten za naszym domem napełniał mnie szczególną grozą. Być może z powodu nie-dalekiego położenia, bliskości, którą wyczuwałem za każdym razem, gdy wychodziłem z domu. Był tam, po prawej. Pozornie nieruchomy i cichy w swej niemożliwej do zignorowania obecności. Jednak zawsze uważałem, że wodził mnie na pokuszenie, że do mnie szeptał. W objęciach lasu stawałem się typowym mieszczuchem. Chodniki i chłód betonu przemawiały do mnie bardziej niż trawa i drewno. Industrialne odgłosy ludzkiego życia były mi miłsze niż pieśń wiatru w gałęziach drzew. Matka podśmiewała się ze mnie. Im byłem starszy, tym bardziej. Nie z kpinią, nie z szyderstwem, matczyzna miłość nie pozwoliłaby jej na taką kąśliwość. A jednak przy nadarzającej się okazji drażniła się ze mną. Sam być może z czasem zapomniałbym o tym dziecięcym pytaniu, ale ona zachowała je w umyśle, by w przypływie dobrego humoru odświeżać mi pamięć. Przypominała mi, że choć jako syn ufałem jej w wielu sprawach, nie byłem skłonny przyjąć jej odpowiedzi za

prawdziwą i ostateczną.

Być może wpłynęło to na moje życie bardziej, niż byłem gotów przyznać. Kiedy matka umarła pół roku temu, nagle zostałem sam. Nie miałem nikogo, tylko nieoczekiwanie puste, ciche mieszkanie. Matka przemówiła po raz ostatni w dniu swojego pogrzebu – ot, takie miała poczucie humoru. Nie mogłem wyrzucić jej odpowiedzi z głowy, póki trumny nie pochłonęła ziemia. Wszyscy się rozeszli, tylko ja zostałem, aż całkiem jej nie zakryli, dopóki ziemia nie uciszyła głosu mej matki, nagle wcale nie tak miłego.

Gdy znalazłem się znów w milczących czterech ścianach, wiedziałem już, co należy zrobić. Nie żeby tego ode mnie oczekiwała, ale wiedziałem, że ucieszyłbym ją. Byłby to znak, że idę naprzód. Sam, ale niezależny, zdany na siebie. To nic takiego. Tysiące ludzi to robią. Każdego dnia. W tej chwili.

Wyszedłem na zewnątrz i udałem się do lasu. Nie zatrzymując się, kroczyłem w głąb, dalej i dalej. Nie doświadczyłem żadnego nagłego przebudzenia, olśnienia, zrozumienia. Cholera, zwyczajny las i tyle. Skupisko drzew poprzecinanych gęstwiną krzewów, wyrastające z poduszek mchu, tego natu- ralnego, miękkiego dywanu.

Nic szczególnego; nic, co by mnie przerosło. Po prostu spacerowałem. Podążałem ścieżką widoczną wśród opadłego igliwia. Rozglądałem się, podziwiając rozłożystość koron, pieszcząc korę, błędząc czubkami palców pomiędzy jej bruzdami. Wciągałem powietrze i cieszyłem się przyjemnym zapachem.

Oto był las. Wcześniej nie miałem pojęcia, jak naprawdę wygląda. Teraz wiedziałem. Las to las. Nic niezwykłego, nic szczególnego.

I chyba nie byłem tego dnia sam, bo nieoczekiwanie w oddali mignęły mi kontury ciała znikającego za drzewem.

Prędko zwróciłem się w tym kierunku, zatrzymałem się i zacząłem. Po chwili ujawniła się. Dziurawe jeansy, kraciasta koszula, brązowe, falujące włosy, uśmiech na ustach. Czyżby był przeznaczony dla mnie? A może typowa męska próżność kazała mi tak myśleć?

Zatrzymała się na krótką chwilę. Potem odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku. Ale ten ruch ręką, tak niepasujący do sytuacji...

Nie mówię, że nigdy nie miałem kobiety. Nie wyobrażajcie sobie za dużo. Ale nie ma też o czym się rozpisywać. Może to było powodem i dlatego pewne rzeczy interpretowałem w taki, a nie inny sposób – przez własną ignorancję czy niedoświadczenie.

A jednak gest, który zrobiła, mówił sam za siebie. Wyglądała tak normalnie. Kobieco. Prawdziwie. Ludzko. Nawet teraz nie mogę sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jeszcze czułem się tak jak wtedy, w tych lasach. Może to przez otoczenie, tak bardzo dla mnie nietypowe.

Była piękna.

Poszedłem za nią.

Na pewno się zorientowała. Musiała słyszeć, jak deptałem po suchych gałązkach.

Przebiegła kawałek, objęła mijane drzewo jak starego przyjaciela, rozrzuciła włosy niczym wachlarz.

W tej chwili bałem się prawdopodobnie bardziej niż ona.

To było widać.

Wychyliła się zza pnia i posłała mi uśmiech. Tym razem odsłoniła zęby.

Podniosłem dłoń i zamachałem.

Odpowiedziała tym samym, a potem prędko pobiegła w dół zbocza, ku sercu maleńkiej dolinki. Minęła wąski, niespokojny strumień i ukryła się za drzewem. Zniknęła za nim jak ksiądz Otík w tej starej komedii<sup>1</sup>.

Złakłem się i przyspieszyłem kroku. To uczucie, że już się nie pojawi, że po prostu zniknęła, było niewiarygodnie silne. Nie wiedziałem, co się właściwie dzieje, ale nie chciałem, żeby się skończyło.

Rozległ się śmiech. Z lewej strony pnia wynurzyła się jej twarz, przecięta szerokim uśmiechem. Jasny promień słońca przepłynął przez jej włosy, głaszcząc je tak łagodnie, jak nie potrafiłaby ludzka ręka. Jej zęby lśniły, w oczach błyskały iskierki. Potem twarz znów zniknęła, tylko po to, by zaraz wychylić się z drugiej strony.

Jak wspominałem, nigdy nie radziłem sobie za dobrze w kontaktach z płcią przeciwną, ale nie jestem też durniem. Szybko dotarło do mnie, że ta kobieta bawi się mną. Co za miłe odkrycie! Znając dzisiejsze czasy, spodziewałbyś się raczej, że będzie spłoszona. Ale ona prowokowała mnie do uczestniczenia w tej zabawie. Nie wiedziałem, jak daleko będzie skłonna to pociągnąć, ale w tej chwili udzielał mi się jej entuzjazm.

Zatem uśmiechnąłem się i podążyłem za nią. Nie jak drapieznik, lecz w zgodzie z regułami zabawy.

Ona jakby tego właśnie oczekiwała. Wystawiła język, obróciła się na pięcie i pomknęła wzdłuż strumienia w głąb doliny. Włosy falowały za nią jak peleryna, drobne pośladki opakowane w jeans pompowały niczym tłoki w dobrze naoliwionej maszynie.

Przyspieszyłem nieco. Nie chciałem jej dogonić, jeszcze nie, nie przyszła odpowiednia pora. Nie mogłem też pozwolić, żeby zniknęła, żeby to wszystko skończyło się przedwcześnie.

Musisz mnie zrozumieć. Nie miałem większych nadziei. To było tak nieoczekiwane i niewiarygodne – być może takie rzeczy są na porządku dziennym w lesie, może unikanie go było naprawdę idiotyzmem z mojej strony – lecz nie roztrząsałem tego. To się po prostu działo – i było przyjemne. Niezwykłe. Tylko w ten sposób o tym myślałem.

Przewróciłem się raz czy dwa. Suche liście okazały się bardziej zdradliwe niż przypuszczałem. Ale nic mnie to nie obchodziło. Mknęła jak sarna. Nie patrzyłem pod nogi, szukałem wzrokiem jej pleców. To był ciekawy widok. Tyle ruchu, tyle życia na tak małej przestrzeni. Kwadraty na jej kraciastej koszuli zdawały się przemieszczać jak w jakimś mozaikowym mechanizmie. Przeskakiwały z miejsca na miejsce. Zbiegła po zboczu, jakby w ogóle nie dotykała ziemi.

Może dałem się zahipnotyzować, może wpadłem w trans. Może po prostu pozwoliłem porwać się chwili. Zatrzymałem się dopiero, gdy poczułem nagły chłód pełznący z dołu, od moich stóp.

Nieruchoma powłoka liści sprawiła, że zobaczyłem powierzchnię wody dopiero gdy wpadłem po kolana. Małe jeziorko w objęciach bagien. Piękny to widok, ale zdradliwy.

Stałem i zawołałem za nią:

– Hej, jeśli chcesz się jeszcze bawić, chodźmy gdzieś, gdzie jest bezpiecznie!

Zwolniła, odwróciła zmysłowo głowę – mówię prawdę, brak doświadczenia nie oznacza, że tego nie rozpoznałem – spojrzała mi w oczy i skinęła prowokacyjnie w kierunku, w którym biegła. Potem widziałem już tylko jej poruszające się symetryczne plecy i pośladki.

– Szlag – mruknąłem, wylazłem z wody i rozejrzałem się za ścieżką, którą mógłbym ominąć bagno.

Pobiegłem kawałek dalej, niż było trzeba, ale ona sama postarała się, żebym nie stracił jej z oczu. Gdy już niemal mieliśmy się rozdzielić, zwalniała lub zmieniała nieznacznie kierunek.

Kiedy zorientowałem się, że dystans między nami zaczyna się zmniejszać, usłyszałem muzykę. Mówię prawdę. Nic stłumionego czy nieokreślonego. Ostre, charakterystyczne brzęczenie strun.

Odwróciłem głowę w jej stronę. To był błąd. Walnąłem w drzewo w dzikim pędzie.

Lub raczej... powinienem był walnąć.

Prawda jest taka, że przeszedłem przez nie na wylot. Rozumiesz?

Nie przez gałęzie, lecz przez pień, jakby był hologram. A nie był.

Zatrzymałem się natychmiast. Kątem oka zauważyłem, że ona także przystanąła.

Wtedy dostrzegłem, że mimo to nie jest nieruchoma. Jej wyraźne kontury i krawędzie falowały jak obraz w nagrzanym powietrzu.

Moje zmysły były rozbudzone. I nie bez powodu. Ogarnął mnie chłód. Nie wyimaginowany, lecz prawdziwy. Ubrania miałem przemoczone. Nie tylko do kolan, lecz aż po szyję. Przeciągnąłem dłonią po mokrych włosach i, ku mojemu zaskoczeniu, wyciągnąłem z nich na wpół zgniły dębowy liść. Łagodny zapach lasu błyskawicznie przeistoczył się w

wilgotny, stęchły odór rozkładu.

Rzuciłem szybkie spojrzenie za siebie, na powierzchnię wody.

Wiesz, wiedziałem, co się działo. Nagle wszystko się zatrzymało i moje zmysły odzyskały kontakt z rzeczywistością. Trochę to potrwało, bo biegłem tak szybko, że zostawiłem je w tyle. Teraz widziałem prawdę. To, co się naprawdę wydarzyło. Jakby dla potwierdzenia kropla odnalazła drogę do mojego ucha i ogłuszyła mnie. Szmer przybrał na sile. Gdybym włożył palec do ucha, prawdopodobnie poczułbym igły.

Zrezygnowany i pogodzony z moim losem spojrzałem na kobietę. Mieszkała się z powietrzem, uśmiechała się. Łagodnie wzruszyła ramionami.

W tamtej chwili mówiła nie tylko matka, ale także ja.

– Ale mam – odezwał się mój zalękniony dziecięcy głosik.

– Czy w lesie za domem mieszkają wróżki?

– Nie bój się – odpowiedziała wtedy i powtórzyła to potem wielokrotnie, nie tylko w moich wspomnieniach. – Wróżki istnieją tylko w bajkach.

Gdy jej głos ucichł, kobiety nigdzie nie było. Odtąd nigdy więcej jej nie widziałem. Szybko pogodziłem się z moim stanem. Bo co innego można było zrobić? Ale tego właśnie żałuję, tej niepewności. Tylko w tę jedną rzecz matce nie uwierzyłem. W tę jedną, dokładniej mówiąc, wątpiłem. A potem odnalazłem prawdę tylko po to, by znów pogrążyć się w wątpliwościach. Nie jestem przekonany, czy naprawdę widziałem ją w lesie. Rozumiesz? Chciałbym mieć dowód. Świadka.

Dlatego ci to opowiadam. Wiem, że mnie słyszysz. Czujesz delikatny chłód w uchu, gdy sączę do niego strumień słów. Tu jestem. Uwierz mi. Blisko ciebie.

Czy chcesz iść do lasu? Nie bój się, jest tutaj, tuż za rogiem, tylko kawałeczek... Popatrz tam.

Na tę wodę.

Chodź, tylko się rozejrzyj... Tylko się rozejrzyj. Może też ją zobaczysz.

Wtedy będę wiedział, że to nie był tylko sen, przedśmiertna halucynacja.

Chodź...

Nie cackaj się tak z sobą.

Bardziej przekonujący już być nie potrafię.

---

<sup>1</sup> Komedial, o której mowa, to czeski film „Słońce, siano, truska-wki”. Choćby dlatego, że byłem w lesie, ale wcale się nad tym nie zastanawiałem. Ciekawy sposób, by pokonać lęk.

# Flora Woźnica

## Najwyższy czas, by naprawić swój błąd

### GDZIEŚ W POLSCE, ROK 2051.

Krew była wszędzie. Spływała mi po twarzy, rękach i wsiąkała w ubranie pacjenta, czterdziestolatka z uszkodzoną arterią szyjną. Tryskała z rany, barwiąc mój fartuch na jaskrawoczerwono. Przyjechaliśmy dosłownie w ostatniej sekundzie, niemalże z prędkością światła wyjmując potrzebny sprzęt z karetki i usiłując zatamować obfity krwotok. Rodzina poszkodowanego krzyczała, trzęsąc się w szoku. Mój kolega musiał odciągnąć i przytrzymać jego żonę, bo ta nie chciała odstąpić od ciała. Tylko ich syn stał spokojnie, ze łzami w oczach. To on szybko ocenił sytuację i starał się jakoś zatamować uszkodzoną tętnicę. Niestety, metalowy pręt, który został szybko wyjęty z szyi mężczyzny, uszkodził naczynie tak bardzo, że ten praktycznie od razu całkowicie się wykrwawił. Po kilku kolejnych sekundach zmarł. Sprawdziłam jeszcze, czy na pewno nie ma pulsu.

– Neeeeeeeeeee! – Kobieta szarpała się, próbując wyrwać się z rąk mojego współpracownika. – Mordercy! Ratujcie go, na co czekacie?!

– Przykro mi to mówić, ale niestety pani mąż zmarł – wydusiłam z siebie, starając się nie patrzeć w jej załzawione oczy, w których widoczna była bezgraniczna rozpacz.

– To niemożliwe!!! Zabójcy! Ścierwa! On wciąż żyje! Ratujcie go!

Nie mogłam tego dłużej słuchać, zbyt wiele razy byłam świadkiem podobnych sytuacji. Nasz sprzęt z czasem stawał się coraz lepszy, ale wciąż nie mógł działać cudów. Aparatura, która poradziłaby sobie z takim ciężkim przypadkiem, nadal kosztowała miliony złotych i szpital nie miał funduszy, by ją zamówić. Ostatnio zmarło kilku moich pacjentów, a miesiąc wcześniej rozwiodłam się z mężem, niemogącym znieść trybu mojego życia, więc tym bardziej byłam wyczerpana. Postanowiłam, że jeszcze tego samego dnia rozerwę się trochę i wybiorę się ze znajomymi do klubu, należało mi się w końcu trochę odpoczynku. Namawiali mnie na to od miesiąca. Zresztą, zawsze najbardziej relaksowałam się podczas potańcówek, w gronie znanych mi ludzi i z dobrym drinkiem w dłoni.

\*\*\*



Po osiemnastej byłam już u siebie i szykowałam się do wyjścia. Zdążyłam się trochę zdrzemnąć i zjeść późny obiad, a także dobudzić się dużą ilością kawy i zimnym prysznicem. Przytuliłam też mojego kota, Maurycego, przemiłą, dużą znajdę o czarnej sierści, a także wyczesalam go i dałam mu kolację. Miałam ochotę wyrzucić z siebie wszystkie negatywne emocje. Założyłam ulubioną sukienkę i zrobiłam sobie makijaż. Zostawiłam Aurelię, mój mały skarb, pod opieką jej starszej siostry, licealistki, na którą zawsze mogłam liczyć.

Wyszłam o dwudziestej, zadzwoniłam po taksówkę i pojechałam do klubu. Kiedy wysiadłam z samochodu, do moich uszu dobiegły dźwięki szybkiej, energicznej muzyki. Uśmiechnęłam się i przyśpieszyłam kroku, wchodząc do środka.

Sala była ogromna. W jej kątach zostały umieszczone duże kanapy, na których siedziało mnóstwo dobrze znanych mi osób oraz ich znajomi. Część z nich została odgradzona stołami zastawionymi przekąskami i alkoholem. Wszystko pachniało słodkimi perfumami. Nad głównym parkietem świeciła dyskotekowa kula, ale przy ścianach panował półmrok, rozświetlany jedynie blaskiem świec i niewielkich lamp ściennych.

– Wanda, cześć! Chodź tu do nas! – Mój kumpel od razu mnie zauważył, choć nie widzieliśmy się od kilkunastu lat.

– Arek?! Cześć! Tak długo się nie widzieliśmy, co u ciebie słychać?! – Przysiadłam się do niego, nie mogąc uwierzyć, że w ogóle się nie postarzał.

– A, widzisz, trochę się u mnie pozmieniało. No i na plus, całe szczęście. Założyłem własną klinikę, mam udziały w firmie farmaceutycznej i jeszcze w paru innych miejscach.

– Wow, no, to gratuluję! A w ogóle świetnie wyglądasz, jakbyś wciąż miał dwadzieścia lat! Jak ty to robisz? Lata ciężkiej pracy nie odcisnęły na tobie żadnego piętna?

– Widzisz, stać mnie na dobre suplementy, to korzystam. À propos, mam coś dobrego dla ciebie. Od razu postawi cię na nogi. Wydajesz się bardzo zmęczona, więc z pewnością ci się przyda.

– Miałam dziś ciężki dzień, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Co to w ogóle jest, coś z kofeiną?

– Można tak powiedzieć, jedno z moich najnowszych odkryć, zawsze pomaga mi w trudnych chwilach, nic wielkiego, a działa. Chcesz jedną? – Arek podał mi małą, białą tabletkę.

– OK, skoro mówisz, że mi pomoże, to spróbuję. Jest tu gdzieś woda?

– Woda? Nie, możesz popić to nawet drinkiem, nic ci się nie stanie, sam często tak robię.

Popiłam tabletkę dużą ilością mojito i odetchnęłam. Faktycznie, po

chwili poczułam się, jakbym właśnie się wyspała. Lekko wyostrzyły mi się zmysły i dostałam zastrzyku energii. Postanowiłam, że wykorzystam ją na parkiecie.

– Chodź, musimy jakoś uczcić nasze spotkanie! – Chwyciłam Arka za dłoń i pociągnęłam go w stronę tańczących.

– Idę, idę. Daj mi sekundę, też wezmę tabletkę. Tańczyliśmy jakieś dwie godziny, szumiało mi w głowie, wreszcie poczułam się szczęśliwa, jakby na chwilę znikły wszystkie troski i zatrzymał się czas. Chciałam, żeby ten moment trwał wiecznie i wzięłam drugą pastylkę. Tak bardzo potrzebowałam się zrelaksować.

– Słuchaj, masz może tego trochę więcej? Zapłacę ci.

– No co ty, nie trzeba, trzymaj jedno opakowanie, zapewne ci się jeszcze przyda. Zasłużyłaś sobie, twoja praca na pewno kosztuje cię sporo nerwów.

– Dziękuję. Muszę już wracać, w razie czego zostawiam ci mój numer telefonu.

– Jasne, do zobaczenia!

Gdy wychodziłam, zauważyłam, że idzie za mną dziwny, postawny mężczyzna. Miał białe, kędzierzawe włosy. Poruszał się bezszelestnie i wyglądał dość upiornie. Przyśpieszyłam kroku, śpiesząc się do taksówki. Na szczęście go zgubiłam.

Kiedy dotarłam pod dom, poczułam, że wyostrzają mi się wszystkie zmysły. Upewniłam się, że niczego nie zostawiłam w klubie i już chciałam podejść do drzwi frontowych, gdy nagle usłyszałam hałas. Wiatr wiał coraz mocniej, zdając się mieć źródło ze strony pola zboża położonego tuż przy domu. Po chwili zauważyłam tego samego mężczyznę, który zwrócił moją uwagę pod klubem. Tym razem stał nieruchomo wśród kłosów, spoglądając w moją stronę. Dwie sekundy później zniknął i uznałam, że po prostu coś mi się przewidziało, w końcu byłam lekko podpiita.

Ruszyłam przez ogród, chcąc jak najszybciej położyć się spać, by rano wstać wcześniej do pracy. Kiedy spróbowałam otworzyć drzwi frontowe, spostrzegłam, że te już są uchylone. Byłam pewna, że zamknęłam je przed wyjściem. Coś musiało być nie tak, moje dzieci nie wychodziły nigdy po zmroku bez pozwolenia.

Weszłam do środka, ostrożnie zapalając lampę w przedpokoju. Zdjęłam płaszcz i buty, położyłam na szafce torebkę. W pokoju mojej córki wciąż świeciło się światło, więc podeszłam do niej, chcąc zapytać, czemu nie śpi o tak późnej porze.

– Amelko? Wróciłam, czy wszystko jest w porządku? Cze- mu jeszcze nie śpisz?

Nikt mi nie odpowiedział. Wtargnęłam do pokoju, żeby sprawdzić,

czy coś się nie stało i ujrzałam przerażający widok. W środku nie było mojej córki, tylko dwóch mężczyzn i kobieta w kominiarkach. Wszyscy we krwi. Przetrzęsali szafki. Gdy mnie zauważyli, wyciągnęli broń.

– Nie ruszaj się, paniusiu, to może ujdiesz z życiem. Mów, gdzie są pieniądze.

– Tak, zaraz wam pokażę, chodźcie za mną.

Trzęsłam się w szoku, starając się jakoś opanować i ułożyć plan działania. Moje dzieci wciąż mogły żyć, krew na ubraniach przestępców nie musiała przecież należeć do nich. Oddychałam głęboko, chcąc szybko zaprowadzić ich do salonu. Tam rozwiały się moje wszystkie wątpliwości. Starsza córka leżała w kącie, obejmując młodszą. Podłoga była skąpana w krwi, ich twarze poranione, a z oczodołów wystawały noże.

– Neeeeee!!! – Wpadłam w prawdziwą furję, błyskawicznie wyrwałam noże wbite w ciała moich córek i w ekspresowym tempie rzuciłam się z nimi na morderców.

Jakimś cudem zdołałam wbić ostrza w klatki piersiowe przestępców. Poczułam się niewiarygodnie silna, mój gniew narastał. Raniłam ich twarze, wbiłam ostrza w szyje i dodatkowo podciąłam gardła. Zdjęłam im kominiarki i odkryłam, że jeden z nich to mój były mąż. Z wściekłości wykonałam kilkanaście kolejnych pchnięć, upewniając się, że tego nie przeżyją i odczułam zmęczenie. Stawałam się potwornie senna. Nie mogłam utrzymać się dłużej na nogach i upadłam.

\*\*\*

Gdy się obudziłam, wszystko mnie bolało. Słońce za oknem wskazywało na to, że zbliżało się południe. Obok mnie leżał mój kot, cały we krwi i z rozharataną łapą. Nigdzie nie widziałam ciał przestępców. Jednak nie to było najgorsze, moje córki jeszcze żyły, ale właśnie wykrwawiały się na śmierć. Nie było żadnych śladów po nożach w oczodołach, tylko poranione torsy. Spojrzały na mnie, a starsza córka wydusiła przed śmiercią:

– Ma... mam... dlaczego... dlaczego nas zabiłaś?

– Zaraz, jak to?! – zaczęłam łkać, nie wiedząc, o co jej chodziło. Nic się nie zgadzało. Zamiast zwłok morderców blisko mnie leżały tylko martwe ciała córek i męża, ale w zupełnie innym ubraniu, niż miał na sobie w nocy. Przez godzinę siedziałam w bezruchu, nie mogąc się uspokoić i zacząć myśleć racjonalnie.

W końcu przypominałam sobie o zamontowanych w domu kamerach i postanowiłam odtworzyć nagranie z zeszłej nocy. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Na filmie nie było żadnych przestępców, tylko ja, były mąż i córki. Ujrzałam, jak wchodzi do domu, kołysząc się i

mrucząc coś pod nosem, a następnie rzucam się z kuchennym nożem na eksmęża i dzieci, wyzywając ich od morderców, ranię kota i mdleję.

Wpadłam w histerię, łkając i chcąc, by to wszystko okazało się tylko złym snem. W końcu wyjęłam z torebki opakowanie po dziwnych tabletkach, które dał mi stary znajomy i przeczytałam ich skład.

Pastyłki składały się ze sporyszu z polskiego zboża, środków pobudzających, kokainy, LSD, jakichś nowych specyfików reklamowanych jako cudownie odmładzające, czyli odwracające proces starzenia się organizmów i innych substancji spotykanych głównie w składzie dopalaczy, a także takich, których nazwy przeczytałam pierwszy raz w życiu. Z pewnością miały więc działanie silnie halucynogenne, zaś ze względu na niespotykaną dotąd mieszankę składników, ciężko byłoby przewidzieć efekty ich działania na ośrodkowy układ nerwowy. To one musiały wywołać mój stan zeszłej nocy. Nie mogłam uwierzyć w to, że byłam taka głupia i je zażyłam. Z drugiej strony, mój znajomy zawsze cieszył się szacunkiem i zaufaniem wśród naszego grona, więc nie mogłabym go podejrzewać o posiadanie i rozdawanie tak szkodliwych, nielegalnych medykamentów.

Załamalam się, otworzyłam okno i cisnęłam resztę leków w trawę. W końcu wpadłam na genialny plan. W domu przechowywałam trochę sprzętu medycznego, który dopiero znajdował się w trakcie testów. Miał on za zadanie pomagać przy reanimacji pacjentów, a także przywracać funkcje życiowe zaraz po ich śmierci, dając im nawet szansę na całkowity powrót do życia.

Nagle usłyszałam dziwny charkot. Obróciłam się i ujrzałam, że w salonie nie ma ciała mojego męża. Myślałam, że ktoś się włamał, ale wyszłam przez uchylone już drzwi do ogrodu i zauważyłam sznur zawiązany na gałęzi. Na dole kończył się pętłą, a w niej znajdowała się szyja eksmężonka, który najwyraźniej jednak przeżył wczorajszą noc, a budząc się dzisiaj, zapewne ujrzał martwe dzieci i postanowił się powiesić. Przez kilka sekund nie mogłam zaczerpnąć oddechu, ale szybko się otrząsnęłam i postanowiłam wrócić do środka, spróbować przywrócić do życia córki.

Mój wielki, czarny jak smoła kot, który o dziwo zdawał się już czuć dużo lepiej, zaczął powoli chodzić i spojrzął na mnie z ciekawością, świecąc bystrymi oczyma. Ułożył się naprzeciwko, a ja wyjęłam potrzebną aparaturę. Podłączyłam ją do prądu i, według załączonej instrukcji, rozkroiłam klatki piersiowe córek, chcąc uzyskać dostęp do ich tętnic i serca. Nagle usłyszałam odgłos pukania do drzwi. Wstałam i cicho do nich podeszłam, chcąc sprawdzić przez wizjer, kto za nimi czeka, ale nikogo nie ujrzałam.

Wyszłam na zewnątrz i obejrzałam się dookoła. Na drzewie nie było ani trupa, ani sznura. Z drugiej strony posiadłości zauważyłam jednak

stojącą w oddali postać, która po chwili zaczęła do mnie podchodzić. Poruszała się ociężale i chybotałiwie, wołając me imię. Miała czerwone oczy bez źrenic i długi, karmazynowy jęzor. Wisielec przybliżał się do mnie, ukazując się w ubraniach zmarłego. Nie namyślając się długo, zaczęłam uciekać. Demon przyśpieszał, zaś jego ciało znajdowało się już w lekkim stopniu rozkładu, jakby wisiało tam co najmniej dwa tygodnie i mocno cuchnęło.

Wbiegłam do domu i zabarykadowałam się. Straszycie drapało paznokciami drzwi i próbowało je wyważyć, ale na szczęście te były zbyt ciężkie i masywne, aby mu się to udało. Odetchnęłam z ulgą, rozmyślając nad sposobem pozbycia się go i wybrnięciem jakoś z tej fatalnej sytuacji.

Kocie oczy wręcz żarzyły się w półmroku, gdy zbliżyłam się do córek, by sprawdzić, czy podłączone urządzenia choć trochę im pomogły, ale niestety nie zaobserwowałam żadnych oznak życia. Westchnęłam i pogłaskałam kota, który od razu zaczął mrużyć, czujnie mnie obserwując.

Przez pół godziny wyczekiwałam jakiejś reakcji ze strony dzieci. Potem zaczęła mnie boleć głowa. Z uchylonego okna zlatywały się motyle. Siadały na meblach i ścianach, czasem lekko trzepocząc skrzydłami. Tymczasem moja migrena przybierała na sile, a stojący za drzwiami wisielec coraz mocniej w nie uderzał. W końcu udało mu się zrobić dziurę koło klamki i dostał się do środka. Byłam zbyt zmęczona, żeby się obronić, więc wyszłam z domu tylnymi drzwiami, chcąc schować się za drzewami.

Kiedy ukryłam się za roślinami, zauważyłam, że z rzuconych w trawę pastylek wydobywa się zgniłozielony płyn. Kwiaty rosnące wokół niego charakteryzowały się silniejszym zabarwieniem od reszty, a okoliczne krzewy i chwasty, których kiedyś się pozbyłam, rosły znów w tym samym miejscu, jakby nigdy nie zostały ścięte. Pojedyncze drzewa stały się mniejsze, a ich korony zdrowsze. Przypominały te sprzed lat, jak gdyby nagle odmłodziły.

Zwłoki byłego męża mnie nie zauważyły, ale ni stąd, ni zowąd pojawił się mój kot. Jego oczy stawały się coraz bardziej jaskrawe, jakby płonęły żywym ogniem. Oblizwał rany i spojrzał na mnie z nienawiścią. Głowa zabolala mnie jeszcze bardziej, dodatkowo usłyszałam nagłe bzyczenie. Szukałam jego źródła, ale zdawało się pochodzić wprost spod mojej czaszki i stawało się coraz intensywniejsze. Po chwili całe podwórze zmieniło się w zalesiony zagajnik, a dom stał się bardziej wątki i trzął się.

Zza drzwi frontowych dobiegły mnie głosy dzieci. Wkrótce ujrzałam ich sylwetki. Wyszły z budynku. Wyglądały zdrowo, ale kurczyły się w błyskawicznym tempie. Młodziły, aż zostały z nich tylko kwilące

niemowlęta. Oblana medykamentem ziemia przekształcała się, stając się bardziej bagna, a wylany gdzieś asfalt zniknął, świecąc się na zielono. Nie mogłam się ruszyć i krzyknąć, miałam wrażenie, że za chwilę coś rozsadzi mi głowę od wewnątrz.

Wisielec podszedł do mnie, ale po sekundzie upadł, rozkładając się. Natychmiast zaczęły zjadać go robaki wypełzające ze świeżej, miękkiej ziemi. Miejsce, w którym wcześniej stał, pokryło się kwiatami. Mój dom tracił swój dawny kształt. Po chwili zmienił się w skały i źródło, z którego wypływał strumień. Przez środek łąki przepływała niewielka rzeka.

Otworzyłam usta, a z nich wyfrunął szerszeń. Chwilę później owady zaczęły wylatywać z moich uszu i nosa. Tępy ból rozsadzał mnie od środka. Zdażyłam jeszcze usłyszeć dziwne miauczenie mego kota, który zdawał się wypowiadać słowa: „Jam jest Wargin i dokonuję zemsty za zniewagę. To miejsce wkrótce wróci do swoich korzeni. Jestem zbulwersowany ludzkim brakiem rozwagi i bezsensownym niszczeniem ziemi plugawymi substancjami, ale wykorzystam ich odmładzające moce, by przywrócić naturalny porządek”. Następnie ujrzałam mężczyznę z białymi, kędzierzawymi włosami. Tym razem tańczył w polu, a kłosa zbóż podążały za jego ruchami, kołysząc się na wietrze i szepcząc: „Oto nasz król, Sporysz, który zwiastuje nam urodzaj i dobrobyt”. Podałam się wołaniu z dołu, kładąc się w błocie. Ból ustąpił, a ja uniosłam się w powietrze, stając się rojem szerszeni, który rozsadził mą czaszkę.

## **MIESIĘCZNIK PARANORMALNY**

*W pewnym mieście w Polsce zauważono dziwną anomalię. Część miejscowości nagle zaczęła zarastać roślinnością. Okoliczne drzewa rosną szybciej niż zazwyczaj. Struktura terenu przypomina tę sprzed kilkunastu wieków. Ponadto niektórzy ludzie zaczęli tracić pamięć i nie potrafią przypomnieć sobie swoich bliskich. Część z nich powtarza popularne niegdyś legendy o słowiańskich demonach i bóstwach przyrody. Nikt nie wie, co jest przyczyną tych dziwnych zjawisk i zachowań*

## Sandra Gatt Osińska

### W pełnym słońcu

– Piotruniu, tylko nie oddalaj się za daleko!

Usłyszawszy za sobą krzyk mamy, zaczął pedałować szybciej, aby zniknąć jej z oczu. Miał dosyć tej nadopiekuńczej kobiety. Niedawno skończył dziesięć lat, był już dużym chłopcem! Chciał uciec i poczuć odrobinę upragnionej wolności.

Kochał prędkość. Uwielbiał czuć powiew wiatru w gęstej, kędzierzawej czuprynie. Pragnął przekraczać swoje limity i pokonywać samego siebie, zwiększając po trochu przebyte dystanse. Tu, na wsi, to było zupełnie inne, nowe doznanie. Chłopiec wciągał w płuca świeże powietrze, przesiąknięte wonią polnych kwiatów i wypalonej od słońca trawy. Słuchał szumu pszenicy kołysanej wolno przez wiatr. Delektował się chwilą. Cieszył się, że matka pozwoliła mu zabrać rower na wakacyjny wyjazd.

Znowu się z nią pokłócił. Kobieta coraz częściej była nerwowa i nie do wytrzymania. Ostatnio nawet zdarzyło jej się szarpnąć Piotrusa, gdy ten poprosił o zrobienie kanapki. Wiedział, że w tamtej chwili zajmowała się liczeniem rachunków, ale zależało mu na posiłku zrobionym przez nią. Kanapki mamusi smakowały najlepiej.

Kątem oka zauważył, że coś poruszyło się w gęstwinie wysokich roślin. Piotruś zatrzymał się gwałtownie. Zobaczył dzikiego królika, kicającego po polanie. A może to był zając? Nie znał się na zwierzętach. Nie cierpiał ich. Kiedyś, dawno temu, błagał mamę o psa. Co prawda po odejściu taty ich życie stało się trudne, mama pracowała za dwoje. Sądziła, że byłby to dla niej niepotrzebny obowiązek. Ale przecież Piotruś sam mógłby zająć się zwierzątkiem! Wychodziłby z nim, karmił, bawił się... Poza tym to nie musiał być koniecznie pies, chłopiec zadowolony się nawet świnką morską czy chomikiem. Niestety, mamusia była nieugięta. Po wielu miesiącach próśb Piotruś zdążył zniechęcić się do zwierząt. Uważał je za głupie i nikomu niepotrzebne.

Chłopak zeskoczył z roweru i delikatnie położył go na poboczu. Powoli zbliżał się do zająca, chcąc go przestraszyć, lecz ten, zaniepokojony, od razu zaczął uciekać. Piotrek pobiegł w kierunku zwierzęcia. Z gardła rowerzysty wydobył się wojowniczy okrzyk, przechodzący w pisk. Spłoszony zając przyśpieszył i po chwili zniknął z pola widzenia chłopca. Ten zatrzymał się gwałtownie i upadł na kolana, wbijając sobie drobne kamyki w skórę.

– Psia kość! – wyszczał, otrzepując się z brudu. Jedno kolano zostało przecięte, z rany sączyła się szkarłatna krew. Łzy potoczyły się z oczu Piotrusia. Podeszedł do roweru, głośno pociągnął nosem i kopnął swój pojazd. Wytarł zwisającego gluta w rękaw bluzy.

Usiadł na ziemi i wyciągnął z plecaka wodę. Upił kilka sporych haustów i wytarł twarz brudną dłonią. Połał krwawiącą ranę, aby ją oczyścić. Rozglądał się po okolicy, lecz ta nadal pozostawała dla niego nieatrakcyjna. Tylko łąki, pola i lasy. Tu kompletnie nic się nie działo! Serce dziesięciolatka pragnęło przygód. Rozpierała go niesamowita energia, której nie mógł spożytkować. W dodatku robiło się niesamowicie gorąco, a zegar wybił dopiero dziewiątą godzinę.

Kiedy jakiś czas temu mamusia powiedziała mu, że latem pojedą do *ciocireni*, chłopiec długo zastanawiał się, czym jest ta ciociarenia. Czy to jakiś egzotyczny plac zabaw? Albo inne miejsce rozrywki? Pomimo niepewności Piotrek odczuwał swoistą ekscytację. Mama coraz rzadziej wyjeżdżała z synem, często z powodu braku pieniędzy lub wolnego w pracy. Po dotarciu na miejsce chłopiec czuł ogromny zawód. Magiczne i tajemnicze miejsce, które spędzało mu sen z powiek, okazało się wiejską chatką na odludziu, a *ciociarenia* tak naprawdę była ciotką Renatą, siostrą mamusi. Chłopca rozpierała złość. Pragnął wrócić do domu, do swoich zabawek i kolegów! Lecz widząc, jak bardzo mama cieszyła się na widok siostry, postanowił nie okazywać rozczarowania. Gdy miał dość siedzenia z kobietami, brał swój stary rower i ruszał na przejażdżkę.

W ciągu ostatnich kilku dni zdążył zobaczyć stary, rozpadający się młyn, koryto zaniedbanej rzeki i mnóstwo popadających w ruinę budynków. Wieś, w której stał dom ciotki, była bardzo biedna. Zamieszkiwali ją głównie starsi ludzie, dla których praca na gospodarstwie pozostawała jedynym zajęciem, jakie znali. Każda młoda osoba wyjechała do miasta, aby tam rozpocząć nowe, lepsze życie. Piotrek wcale im się nie dziwił. Był jedynym dzieckiem w okolicy i bardzo doskwierała mu samotność. Ciocia nie posiadała ani zabawek, ani potomstwa. Miała za to burego kota, którego widok doprowadzał chłopca do szału. Najchętniej połamałby mu nogi i wrzucił do stawu. Na szczęście kot również nie przepadał za Piotrusiem. Raz nawet nasikał mu do butów, które suszyły się na tarasie.

*Jeszcze tylko trzy dni...* – pocieszał się w duchu Piotruś. Położył się i popatrzył przed siebie. Na niebie płynęła leniwa chmurka. Zapowiadał się kolejny, upalny dzień. Chłopiec pogrzebał w kieszeni polarowej bluzy i wyjął czapkę. Założył ją na głowę, a następnie ściągnął polar. Schował go do plecaka. W głowie analizował dotychczas przebyte trasy. Zawsze na rozstaju dróg wybierał drogę z tabliczką „Kościół”, która wskazywała na prawo. A jakby tak zmienić trasę i wy- brać tabliczkę z napisem



„Cmentarz”? Co prawda nie miał ochoty na błądzenie po grobach i zwiedzanie krypt, ale może w pobliżu znajdowało się coś ciekawego? Jakaś tajemnica, która czekała na odkrycie?

Poczuwszy napływ entuzjazmu, chłopiec wsiadł na rower i zaczął pędzić w przeciwną stronę niż wcześniej. W głowie miał tylko jedną myśl – przygoda. Marzył o tym, by przeżyć coś niesamowitego, o czym mógłby opowiadać kolegom ze szkoły. Inni w jego wieku wyjeżdżali z rodzicami do ciepłych krajów, odwiedzali największe parki rozrywki na kontynencie, czy chociażby chodzili na premiery filmów do kina. Piotrek nie mógł sobie na to pozwolić. Większość dnia spędzał na graniu na komputerze. Czasem czatował z obcymi ludźmi, aby nie odczuwać samotności. Jednak najlepszą rozrywką pozostawały wycieczki rowerowe. Niestety w rodzinnym mieście większość dróg znał już na pamięć.

Minął posiadłość ciotki tak, aby pozostać niezauważonym. Jej chata, mimo że skromna, była bardzo zadbana. Kobieta należała do tych „wiecznie zapracowanych”. Nigdy nie miała czasu wpaść do mamusi, nawet na święta. Dopiero kiedy ojciec Piotrusia odszedł, nagle zadzwoniła z propozycją wakacji w swoim domku. Mimo złości na siostrę, mama uznała, że przyjadą. *Ach, ta mama, wiecznie niezdecydowana* – pomyślał Piotruś.

Zatrzymał się na rozstaju dróg. Przeczytał uważnie obie tabliczki. Zawahał się. Cmentarz kojarzył mu się z czymś strasznym, a Piotruś należał do bojaźliwych dzieci. Zawsze miał koszmary, gdy tylko usłyszał jakąś straszną historię. O oglądaniu horrorów w ogóle nie było mowy! A cmentarz... Kojarzył mu się głównie z trupami, które mogły w każdej chwili obudzić się do życia i schwytać go w swoje nadgniłe objęcia. Jednak jeśli nie pojedzie w nieznanym kierunku, nie zobaczy nic nowego, a to oznacza brak przygód.

Chłopiec skręcił w stronę cmentarza. Nabrawszy prędkości, pojazd podskakiwał na nierównym terenie niczym w trakcie jazdy konnej. Choć z czoła chłopca zaczęły spływać kropelki potu, jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. W końcu znalazł jakiś cel swojej wyprawy! Kto wie, co znajdzie w drodze do parku nagrobków? Może jakąś fajną, opuszczoną stodołę, po której będzie mógł się wspinać? Albo jakiś skarb ukryty w snopie siana? Zaczęły się żniwa, więc rolnicy codziennie wyprowadzali na pola swoje ciężkie maszyny. Jednak tu, w drodze na cmentarz, wciąż rosły wysokie połacie pszenicy i żyta. Gdzieś tam widać było intensywnie niebieskie chabry i czerwone maki, które wyglądały jak błyszczące oczy małych chochlików.

Zamyślony Piotrek nawet nie zauważył, gdy na drogę wyszło małe dziecko, próbujące złapać podskakującą żabę. Rowerzysta gwałtownie zahamował i przeleciał przez kierownicę. Upadł na twardą ziemię,

kalecząc sobie dłonie. Przez chwilę był w lekkim szoku, a przed oczami tańczyły mu mroczki. Analizował, co się przed chwilą stało, gdy nagle wyrosło nad nim czworo niedużych postaci. Ujrzał zdziwione twarze dzieci.

Dzieci. Jednak mieszkał tu ktoś młody. I to mniej więcej w jego wieku! Chłopiec podniósł się i usiadł z wyprostowanymi nogami. Podczas gdy nieznajoma przeproszała za najmłodszego kolegę, Piotrek uważnie przyglądał się jej twarzy. Była jakaś dziwna. Spojrzał na pozostałe dzieci. Cała zgraja wydawała się dość... zjawiskowa. Najmłodsze dziecko przyglądało mu się uważnie, jakby widziało ufoludka. Zaraz, przecież to oni są cudakami!

– Bardzo cię przeproszam za Janka! – dotarł do niego głos dziewczynki.

Zlustrował ją wzrokiem. Oczy nieznajomej były wyłupiaste i bardzo szeroko rozstawione. Przypominała trochę ropuchę. Białka miały intensywnie żółty kolor, zaś pionowe źrenice przypominały te kocie. Skóra postaci wydawała się błyszczeć lekkim, zielonkawym kolorem. Kiedy wyciągnęła swoją dłoń, aby pomóc wstać Piotrkowi, poczuł lepki uścisk. Jakby dotykał obślizgłą rybę. Mimo to pozwolił się podciągnąć, aby stanąć na nogach.

– Nic się nie stało – powiedział niepewnie Piotrek.

– Janek, przeproś chłopca – nieznajoma skarciła najmłodsze dziecko. Chłopiec popatrzył na nią wielkimi ślepiami.

– Przeproszam – szepnęło dziecko, opuszczając szybko głowę, aby uniknąć wzroku Piotrka.

Rowerzysta zauważył, że malec miał przerzedzone blond włosy, pomiędzy które wpleciono wodorosty. Wydawało się, że niektóre kosmyki lekko się poruszają. W dłoniach trzymał schwytaną przed chwilą żabę. Siedziała nad wyraz spokojnie. *Cholerny płaz, jak zawsze winne durne zwierzę* – pomyślał Piotrek.

– Mówiłam, głuptasie, żebyś uważał – dziewczyna o kocich oczach skarciła Janka. – Nie chcemy, żeby stała ci się krzywda.

Janek ukrył żabę w dłoniach i przycisnął ją do klatki piersiowej, jakby to był jego największy skarb. Od chłopczyka było zażenowanie.

– Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało – podsumował Piotrek, aby załagodzić sytuację. Nie chciał, by mały czuł się obarczony winą. W końcu to tylko dziecko.

– Jestem Ania – uśmiechnęła się nieznajoma, wyciągając swoją dłoń. Piotrek uściśnął jej rękę, rumieniąc się lekko. Zazwyczaj nie gadał z dziewczynami. Wstydził się. Tym bardziej, że koleżanki z klasy uważały go za niewartego uwagi odludka.

– To jest Wojtek.

Ania wskazała na wysokiego chłopaka o długich, kościstych kończynach. Miał ogromne uszy i zbyt wąską górną wargę, która obnażała jedyneki. Pod jego nosem widać było zarys pierwszego, młodzieńczego zarostu. Matowa skóra wydawała się niezdrowo blada i prześwitująca, zaś wokół szyi widniała czerwona pręga, jakby odcisnął się na niej sznur. Chłopcy uścisnęli swoje dłonie.

– A to Tomek. – Palec Ani skierował się ku niewysokiemu, krępemu brunetowi o wielkich, czarnych oczach. Jego pyzate policzki oblały się rumieńcem. Miał mnóstwo piegów. Ukłonił się i podał rękę Piotrkowi. Wydawał się najnormalniejszy ze wszystkich.

– Janka już poznałeś – dodała dziewczynka, wskazując na najmniejsze dziecko, które jeszcze niedawno ścisnęło w dłoniach żabę. Policzki Janka wyglądały na pełne. Coś w nich trzymał. Uśmiechnął się głupkowato, a spomiędzy jego warg wysunęła się tylna nóżka zaginionego płaza. Janek szybko wciągnął ją niczym makaron i połknął.

Piotrek poczuł gwałtowne torsje. Próbując opanować mdłości, wmawiał sobie, że ma zwidy. Słyszał o ludziach jedzących żaby, ale nie na surowo. Mimo obrzydzenia zmusił się do podania ręki Jankowi, ale ten schował się za Anią.

– Jest nieufny wobec obcych – powiedziała, przytulając dziecko do siebie. Pogładziła je po główce.

– Podobno tutaj, na wsi, nie ma żadnych dzieci... – zaczął pytająco Piotruś.

– Wszędzie są dzieci – odparła Ania oburzonym głosem. – Na całym świecie, nawet w najodleglejszych krainach. Tylko my... jesteśmy trochę inni. Dorośli nas nie lubią i wolą udawać, że nie istniejemy, więc trzymamy się od nich z daleka.

– A wasi rodzice? – dopytywał ciekawski mieszczuch. Dzieci zrobiły duże oczy. Wyglądały na zaskoczone i zdezorientowane przez takie pytanie. Janek spuścił głowę, a Tomek zaczął kopać kamyk. Dopiero teraz Piotrek zauważył, że chłopiec ma kopyta zamiast stóp.

– Nie mamy rodziców – odpowiedział Wojtek. Piotrek kontynuował swoje małe przesłuchanie:

– To kto się wami opiekuje?

– Alina – powiedziała Ania. – Ona zajmuje się wszystkimi dziećmi z okolicy. Głównie dba o to, żebyśmy nie biegali zbyt długo po polach. Bardzo tego nie lubi. Czasem przegania także rolników. Ale jest dla nas miła.

– Coś jak anioł stróż? – podsumował Piotrek.

Na twarzach dzieci pojawił się dziwny uśmiezek.

– Są jeszcze jakieś inne dzieci? – ciągnął dalej rowerzysta.

– Tylko my. Zagubione wiejskie duszyczki – zaśmiał się Tomek.

– Ale nasze grono wciąż się powiększa – dodała Ania. – W zeszłym roku dołączył do nas Wojtek. Byli też inni, ale... odeszli.

– Dokąd? – drążył Piotrek.

– Nie wiemy. Może stara Wieśka ich porwała. Podobno kiedyś wykradała dzieci mieszkańcom wsi.

– Kim jest Wieśka?

– Wstrętną Babą Jagą – powiedział gniewnie Janek.

– Nie lubimy jej. Raz podobno chciała ukraść Janka, gdy ten spał, ale się nie dał – zaśmiał się Wojtek.

– To nie było śmieszne! – oburzył się malec. – Bałem się, jak nigdy w życiu. Nawet nie wiesz, jak bardzo śmierdziało jej z buzi!

Wszyscy roześmiali się głośno. Nawet na twarzy Piotrka pojawił się niepewny uśmiech. Mimo że dopiero co poznał tę bandę, zdążył ją polubić. Czuł się jak wśród swoich.

Nagle Ania dotknęła ramienia Piotrka, krzyżąc:

– Berek! Gonisz!

Nowi koledzy Piotrka zaczęli uciekać, głośno się przy tym rechocząc.

– Ale co ja zrobię z rowerem?!

– Zostaw go! Tutaj i tak nie zagląda nikt ze wsi – odpowiedziała Ania i wbiegła między złocistą pszenicę.

Piotrek oparł swoją maszynę o pobliskie drzewo. Spojrzał jeszcze raz na swój pojazd, jakby prosił go o pozwolenie na odejście. *Wróć po siebie* – pomyślał – *Ale teraz... teraz czas na przygodę!*

Biegł co sił w nogach. Słyszał intensywne stukanie kopyt. Były tuż za nim. Piotrek wiedział, że nie ma szans na ucieczkę. Jego serce biło szaleńczo, a płuca nie nadążały z pompowaniem powietrza. Poczul dotyk dłoni na ramieniu. Czas jakby nagle spowolnił, a wszystko dookoła prawie się zatrzymało. Chłopiec wiedział, że to już koniec.

– Berek! – krzyknął Tomek radosnym głosem.

Piotruś zatrzymał się gwałtownie. Miał nieprzyjemną zadyszkę, w dodatku strasznie kręciło mu się w głowie. Bawili się już od dłuższego czasu, a miastowy całkowicie stracił poczucie rzeczywistości. Spojrzał na zegarek. Była dwunasta godzina, słońce grzało coraz intensywniej.

Wyciągnął z plecaka butelkę wody i wypił do dna. Schował pusty plastik, żeby nie śmiecić. Dotknął kędzierzawej czupryny, a ta okazała się niesamowicie nagrzana. Zgubił gdzieś czapkę. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, żeby jej poszukać, ale wiedział, że to bezcelowe. Morze wysokiej pszenicy wydawało się nie mieć końca. Ani początku. Wszędzie otaczało go nieruchome zboże. Nie wiał nawet najmniejszy wiaterek. Powietrze wręcz stało w miejscu, potęgując poczucie gorąca.

– Co? Wymiękasz?

Z kontemplacji wyrwał go głos Ani, która stała nieopodal.

Koło niej skakał niespokojnie Janek.

– Tu jestem, nie złapiesz mnie! – krzyczał entuzjastycznie.

Uraziło to dumę Piotrusia. Nie dogonię? Niedoczekanie twoje! – zahuczało mu w głowie. Przykucnął na chwilę, udając, że wiąże but, podczas gdy Janek zbliżał się do niego. Dziecko specjalnie irytowało starszego kolegę. Lubiło wyprowadzać innych z równowagi.

Nagle Piotrek zerwał się do biegu, próbując dotknąć Janka. Niestety malec miał rację, miastowy okazał się niewystarczająco szybki. Poruszanie się w zbożu nie stanowiło dla niego codziennej rozrywki, dlatego słabo sobie z tym radził. W ziemi znajdowało się dużo kolein, wyłobionych przez rolniczy sprzęt. Piotrek wciąż nie mógł wyjść z podziwu, z jaką gracją dzieci je omijają. Czuł się jak niepełnosprawny, podczas gdy inni skakali jak sarenki. Raz o mało nie wywinął widowiskowego orła. Na szczęście nikt tego nie zauważył.

Na drodze goniącego pojawił się Wojtek, który nie zdążył zrobić uniku. Po dotknięciu ręki kolegi, dumny z siebie miastowy zaczął uciekać. Wiedział, że był łatwym celem, ale nie chciał się poddawać. Mimo zmęczenia walczył dalej w obronie swojego honoru. Nie tolerował porażki, choć berek nie należał do zabaw, gdzie zostawało się jednoznaczny zwycięzcą. Piotrek biegł, nie oglądając się za siebie.

Raptem coś poczuł. Mocne szarpnięcie nogawki sprawiło, że wylądował na ziemi. Upadł, uderzając się w kość ogonową. Zapiszczał z bólu. Spojrzał na swoją nogę. Widział rękę, oplecioną wokół własnej kostki. Ktoś złapał go i nie chciał puścić. Dopiero po chwili do chłopca dotarło, że dłoń wyrasta z suchej, popękanej ziemi. Powykręcane palce o długich paznokciach wbiły się w materiał, przebijając skórę.

– Uciekaj – usłyszał chłopiec.

Przetarł zmęczoną twarz, strącając krople potu z czoła. Niczym oparzony, podniósł się i próbował biec dalej, lecz dłoń uparcie go trzymała.

– Uciekaj – ponownie wyszeptał głos w głowie Piotrka.

Z transu wyrwało go gwałtowne uderzenie. Wojtek z impetem wpadł na niego i obaj się przewrócili. Chłopiec z pręgą na szyi roześmiał się głośno.

– Berek! – krzyknął, podnosząc się z ziemi. – Czemu nie uciekałeś?

– Coś... – zaczął Piotrek, spoglądając na postrzępioną nogawkę spodni. – Coś mnie zatrzymało.

Lecz gdy spojrział w kierunku koleiny, z której wyrastała niedawno dłoń, ujrzał jedynie kamienie i pył. Równie dobrze mogły być to pokruszone kawałki kości. Przez plecy chłopca przebiegł dreszcz. Czyżby miał omamy? Bardzo długo przebywał na słońcu. Zbyt długo. Czuł pragnienie palące delikatne gardło. Ścierpnięta skóra wokół ust pękała,

powodując lekkie krwawienie. Sięgnął do plecaka po wodę, ale ujrzał jedynie pustą butelkę. Zaklął cicho.

Obserwował, jak Wojtek ucieka przed nim z szerokim uśmiechem na twarzy. Każdy wyczekiwał na ruch Piotrka. Janek i Tomek krzyczeli coś radośnie, zapewne aby wyprowadzić goniącego chłopca z równowagi. Ten zrobił dwa kroki do przodu, lecz po chwili się zatrzymał. Bardzo kręciło mu się w głowie. Świat wirowało, a pszenica zaczęła kołysać się w nieznanym mu tańcu.

Ania spojrzała na Piotrusia, mrużąc oczy. Zauważyła, że coś było nie tak. Gestykułując, przyprowadziła pozostałych chłopców do porządku. Całą grupą podeszli do Piotrka.

– Wszystko gra? – zapytała z troską w głosie.

– Nie czuję się za dobrze – wysapał chłopak. – Nie mam już wody, a strasznie chce mi się pić.

Resztką śliny zwilżył wargi, poczuł metaliczny smak na języku. Wszyscy stali w pełnym słońcu. Piotrek zauważył, że upał nie przeszkadza innym dzieciom. Wydawało mu się to dość dziwne. Nawet jeśli całe życie spędziły na wsi, nie sądził, by były aż tak odporne na wysoką temperaturę. Chociaż kto wie? To ich świat.

Spojrzał na zegarek. Była trzynasta godzina. Mamusia uprzedzała, aby wrócił do domu na jedenastą i przeczekał największy skwar. Żałował, że jej nie posłuchał. Żołądek podszedł mu do gardła, a po chwili jego treść spoczęła na ziemi między nogami chłopca. Czuł się paskudnie.

– Niedobrze – powiedział cicho Tomek.

– Masz takie śmieszne bąble na twarzy – roześmiał się Janek.

Ania spiorunowała go wzrokiem.

– Alina – powiedziała stanowczo. – Trzeba znaleźć Alinę! Chłopcy popatrzyli na nią szeroko rozwartymi oczami. Widząc, jak Piotrek osuwa się na ziemię, zrozumieli powagę sytuacji. Janek, Tomek i Wojtek wymienili się znacząco spojrzzeniami, a przez ich twarze przebiegł lekki uśmiech. Rozbiegli się w różnych kierunkach.

Ania ukłękła obok Piotrusia i pogładziła go po twarzy. Czuł niesamowity ból, jakby ktoś podpalił mu twarz. Bał się.

– Spokojnie. Alina ci pomoże – powiedziała Ania uspokajającym tonem. – Lubię cię. Fajnie byłoby gdybyś z nami został. *Został? Przecież nigdzie się nie wybieram...* – pomyślał chłopiec.

– Bawiłbyś się z nami każdego dnia – kontynuowała dziewczynka, mierzwiąc włosy Piotrusia. – Już zawsze.

Mijały sekundy. Minuty. A może i godziny. Piotruś miał wrażenie, że usycha. Skóra cierpła mu coraz bardziej, zaś oczy bolały od ostrego słońca. Nie pomagało nawet ich zamknięcie. Nagle poczuł, jak delikatne dłonie unoszą jego głowę. Ktoś położył ją sobie na kolanach. Ania? Nie,

ręce były zbyt duże, jak u dorosłego. Rozchylił swoje powieki i ujrzał nieznaną mu dotąd postać o niesamowicie bujnych blond włosach. Kobieta uśmiechała się szeroko, gładząc rozpalone czoło oraz policzki chłopca. Była zupełnie inna niż mamusia. Jej dotyk wydawał się lżejszy od wiatru, ale równie kojący. Jędrna skóra zaś pachniała letnimi kwiatami. Kobieta nie miała ani jednej zmarszczki. Ubrana była w zwiewną sukienkę, podkreślającą małe piersi, a na głowie spoczywał starannie upleciony wianek z chabrów. Nieznajoma wydawała się idealna.

– Dobrze się spisaliście – powiedziała swoim anielskim głosem. – Zostało mu niewiele czasu.

– Masz to, czego chciałaś. Chyba zasłużyliśmy na jakąś nagrodę? – uśmiechnął się szeroko Tomek.

– Zrobisz to? – niecierpliwiał się Janek. – Zrobisz?

– To zależy, czy on tego chce – wtrąciła się spokojnie Ania, oblizując nieznacznie językiem dwa malutkie kły.

– Polubiłem go – skwitował Wojtek.

– Alino, proszę! – jęknął Janek.

Resztką sił Piotrek spoglądał to na dziewczynę, to na bezchmurne niebo. Czuł błogi spokój, radość i bez troskę. Poza jego matką nikt nie dotykał jego włosów. Nie wiedział, że to aż tak przyjemne doznanie. Słońce wręcz parzyło go w oczy, dlatego wzrokiem częściej wracał do promiennej twarzy Aliny.

– Wydaje się sympatyczny... – zaczęła Alina, drażniąc się lekko z oczekującymi dziećmi. Widząc ich skonsternowane, pełne napięcia twarze, zaśmiała się uroczo. Pochyliła się nad Piotrusiem:

– To co? Chcesz z nami zostać? – zapytała Alina.

*Co? Zostać?* – do Piotrusia z trudem docierały słowa Aliny. Chyba już to gdzieś słyszał. Chciał wrócić do mamy i wtulić się w jej wątle, zniszczone ciało, pachnące tytoniem. Pragnął żyć z nią, być dalej jej kochanym syneczkiem. Lecz co to za życie? Wciąż pieniądze, zmartwienia i płacz. A tutaj? Tutaj go akceptowali. Wreszcie miał kolegów!

To był najlepszy dzień w jego życiu. Tylko zabawa, śmiech i przyjaciele. Wreszcie się z kimś zaprzyjaźnił! Nie chciał tego przerywać, nie chciał kończyć tej błogiej bez troski. Odprężenie, jakie czuł, powoli zamykało mu oczy. Również dłoń Aliny delikatnie sunęła po powiekach chłopca. Z jej gardła wydobył się słodki śpiew. Piotruś zasnął, kojony łagodnym śpiewem. Śnił, choć co jakiś czas budziła go ogromna suchość w ustach. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje mu głowa. Skóra płonęła żywym ogniem, lecz nie mógł się ruszyć, był zbyt słaby. Sen stawał się coraz cięższy, a oddech płytszy.

Nie usłyszał nadciągającej maszyny rolniczej. Nie dotarł też do niego głos matki, której zrozpaczony krzyk słyszała cała wieś. Nie było już trosk i zmartwień. Liczył się jedynie słodki głos Aliny, który zagłuszał wszelkie myśli o codzienności.

Kobieta zdjęła z włosów swój chabrowy wianek i ułożyła go na głowie Piotrusia. Roześmiała się. Po chwili chłopiec poczuł pocałunek złożony na swoich ustach. Przyjemne, miękkie muśnięcie kobiecych warg. Wtedy już wiedział, czego pragnie.

Gdy Alina odsunęła się od Piotrusia, powoli nastawał już wieczór. Dzieci podbiegły do chłopca i otoczyły go. Wszyscy przyglądali mu się z zaciekawieniem, pragnąc poznać jego wybór. Skóra chłopca ściągnęła się i skurczyła na całym ciele. Wargi odsłoniły rząd zębów, zaś kości palców przebiły nabłonek niczym pergamin. Oczodoły miał puste, oczy prawdopodobnie eksplodowały pod wpływem gorąca.

Nagle drgnął jeden palec. Zaraz po nim następne. Piotrek uniósł dłoń i dotknął swojej twarzy. Przetarł ją, aby pozbyć się zmęczenia i resztek snu. Mimo że usilnie tarł miejsce, gdzie powinny być powieki, dalej nic nie widział. Wszyscy przyglądali mu się podejrzliwie. Janek wtulił się w sukienkę Aliny, a Ania złapała Wojtka za rękę. Dopiero po dłuższej chwili ujrzeli dwa płonące ogniki.

Piotrek, ujrawszy Alinę, wiedział, że już nic nie będzie takie samo. Zmieniła go. Pomogła narodzić się na nowo. Zamierzał już zawsze oddawać należną jej cześć. Podszedł do dzieci i objął Janka. Potargał jego blond włosy. Lubił tego wrednego gnojka. Uwielbiał całą gromadkę. Pozostałe dzieci zgromadziły się wokół niego. Przytulili się mocno.

– Witaj w rodzinie – szepnęła Ania, rzucając mu się na szyję.



# Grzegorz Kopiec

## Dziennik praktyk

Kimkolwiek jesteś, ty, który to czytasz, musisz uciekać. To nie jest dobre miejsce. Weź ten dziennik, ale nie czytaj go teraz. Proszę – zrobisz to potem. Uciekaj! Opuść las, nim on cię dopadnie. Ratuj życie. Uciekaj, błagam!

Później poznasz powód mych nalegań.

Pozostaje mi wierzyć, że posłuchałeś i zostawiłeś za sobą to... Nie wiem nawet, jak to nazwać. Sanktuarium? To chyba najwłaściwsze słowo, nie uważasz? Bo czym mogłoby to być, jeśli nie wzniesionym ludzkimi rękami sanktuarium ku jego czci? Nie sądzę, aby coś tak monumentalnego mogło powstać za sprawą natury... lecz mniejsza o to.

Jeśli czytasz te słowa, mnie zapewne nie ma już wśród żywych – zresztą tak samo jak pozostałych. Wierzę jednak, że od chwili, kiedy spisuję te słowa, nie minęło zbyt wiele... Tygodni? Miesiące? Lat? Jest poniedziałek, 17 lipca 2017 roku. Zbliża się wieczór. Jestem sam, bez nadziei na ratunek. Piszę służbowym ołówkiem w służbowym notatniku, które to otrzymałem na początku praktyk w nadleśnictwie od swojego opiekuna, Tomasza Giergi – niespełna dwa tygodnie temu. Zewsząd otacza mnie mrok. Tu, w najgłębiej położonym miejscu groty panuje tak cholerna czerń, że nie sposób dostrzec konturów wnętrza. Nikły blask telefonu komórkowego – oczywiście bez zasięgu – dostarcza oświetlenia, jest ono jednak na tyle słabe, że stąd, gdzie siedzę, nie potrafię dojrzeć sklepienia czy otaczających mnie ścian. Co do zasięgu, to w całym tym parszywym lesie go nie było. Nawet jednej pieprzonej kreski. Ani przez moment. Jakbyśmy, przekraczając próg zielonego królestwa, zupełnie odcinali się od cywilizacji.

Do tej diabelskiej groty trafiłem w niejasnych dla mnie okolicznościach – biegnąc na oślep i wierząc w ocalenie. Chociaż zawsze uważałem się za człowieka, dla którego las nie stanowi tajemnicy, a już na pewno nie ten okalający ziemię lubliniecką, tak dziś muszę przyznać, że w okolicę przeklętej jaskini trafiłem po raz pierwszy. Nigdy nawet o niej nie słyszałem. Słowo „przeklęty” wydaje się być także właściwym określeniem dla całego lasu, który najpewniej został opanowany przez złe moce. Może to w jakimś sensie przedsiónek piekła? Wiem, brzmi to absurdalnie, jak wyznanie paranoika, ale wkrótce wszystko zrozumiesz, a wtedy podziękujesz mi za uratowanie życia. Mam tylko nadzieję, że starczy mi na wszystko czasu. Chociaż... skoro skrzeczenie ptaków jest w

tej chwili ledwie słyszalne, to powinienem mieć go wystarczająco. Ptaki, dźwięki lasu. One zapowiadają jego przybycie.

Nazywam się Marcin Zagała, mam dziewiętnaście lat i wraz z rodzicami, Agnieszką i Krystianem, mieszkam w Lublińcu przy ulicy Kościuszki 91. W tym miejscu pragnę cię prosić o przysługę. Jeśli od napisania tego listu nie minęło Bóg wie ile czasu i istnieje cię szansa, że mama lub tato wciąż żyją, niech także poznają jego treść. Niech ta niewyszukana prośba stanowi moją ostatnią wolę.

Przed dwoma tygodniami, 3 lipca, rozpocząłem praktyki w lublinieckim nadleśnictwie. Jako że jestem synem drwala, siłą rzeczy wpojona została mi miłość do lasu i wiedziałem, że swoją przyszłość związę pośrednio lub bezpośrednio właśnie z nim, chociaż w dobie komputerów i mojej smykałki w tej materii spodziewałem się raczej pracy stricte biurowej.

I tak też wyglądało kilka pierwszych dni. Siedziałem za archaicznym kineskopowym monitorem i do jeszcze starszego arkusza kalkulacyjnego wpisywałem różnego rodzaju wartości, stanowiące wyniki abstrakcyjnych raportów. Jednakże w czwartek, 6 lipca, mój opiekun oznajmił, że od następnego dnia dołączę do przyjezdnej grupy drwali i pilarzy, którzy to, drogą przetargu, zostali wyłonieni do wykarczowania lasu pod nową drogę na trasie Lubliniec – Bytom. Drogę umownie nazywaną S11. Prawdę powiedziawszy, nie to było moim życiowym celem. To znaczy, nie wycinka setek tysięcy drzew tylko po to, aby zniwelować nadmierne natężenie ruchu na krajowej jedenastce. Lecz byłem (jestem)zaledwie praktykantem i nie miałem prawa głosu – jeszcze nie (a z perspektywy tego, co mnie dziś czeka, już nigdy nie będę miał). Pod koniec pracy w biurze otrzymałem od przełożonego instrukcję „co? gdzie? kiedy?” oraz polecenie, że moja osoba ma pełnić funkcję wyłącznie reprezentacyjną. Jeśli zdarzyłoby się, że kierownik zespołu wymagałby zaangażowania w jakiegokolwiek „ciężkie” roboty, miałem o tym natychmiast zameldować.

Nazajutrz pojawiłem się w umówionym miejscu kilka minut przed czasem. Na parkingu przy internacie WAM – w którym dla przybyłych z całego Śląska drwali nadleśnictwo zorganizowało noclegi – stało kilka samochodów. Moją uwagę przykuły dwie toyoty Land Cruiser II, każda wyposażona w osiem miejsc siedzących i przymocowane na dachach pojemne, ręcznie spawane boxy. Nie zdziwiło mnie więc, kiedy z hotelu wyszło dwóch pilarzy i zatrzymało się właśnie przy jednej z nich. Kilka minut później wokół samochodów kręciło się kilkunastu rostrych ludzi. Nie wiedziałem, który z nich ma pełnić zaszczytne miano mojego tymczasowego szefa. I nim zdołałem o to zapytać, naprzeciw grupy stanął Władysław Pilecki – wielki, gładko ogolony mężczyzna, mający w

swej postawie i głosie coś charyzmatycznego. Coś niepozwalającego mu się sprzeciwić.

Po pseudo-apelu sam do mnie podszedł i oznajmił, bym w lesie nikomu nie pałętał się pod nogami. A najlepiej bym zrobił, jeśli w ogóle nie wyjdę z samochodu.

Zasiadłszy w wyjątkowo wygodnych jak na mikrobusy fotelach, ruszyliśmy ulicą 74. Górnośląskiego Pułku Piechoty w stronę obwodnicy Lublińca. Tam samochody skręciły na południowy-wschód. W ten słoneczny piątek na drodze panował wyjątkowy spokój. Gналиśmy w dwóch blisko trzymających się toyotach w stronę Kokotka. Lecz nie ta miejscowość była naszą stacją końcową. Jakies dwa kilometry wcześniej, tuż po przekroczeniu przejazdu kolejowego, prostopadle przecinającego krajową jedenastkę, skręciliśmy w lewo. W las. Utwardzonym duktem pokonaliśmy kolejne kilometry, nim samochody ostatecznie zatrzymały się u celu. W miejscu, które znałem doskonale, a do którego tak niedawno wybierałem się z tatą na grzyby. Już nigdy z nim tu nie wrócę. Nigdy też nie zabiorę swojego syna w te rejony.

Las był piękny. Zdrowe, silne świerki i sosny pięły się do słońca, dumnie prezentując swe heroiczne postawy. Biedne, nic nie wiedziały o świętokradztwie, które w najbliższych dniach miało się na nich dokonać. Byłem wściekły, gdyż pieklący się we mnie buntownik nie mógł się temu przeciwstawić. Mogłem jedynie biernie przyglądać się, jak na moich oczach tysiące drzew zostaje bezpowrotnie unicestwionych.

Nie wiem, czy ktokolwiek poza mną zdawał sobie sprawę, do jakiej rzezi dojdzie tu w najbliższych dniach. Jeśli tak, to drwale nie dali tego po sobie poznać. Opuszczali samochody w iście szampańskich nastrojach, jakby czekali tylko na to, kiedy będą mogli wprowadzić swoje piły łańcuchowe w ruch.

Szef podzielił nas na cztery grupy. Dwie cztero- i dwie trzyosobowe. Ja zostałem przydzielony do jego teamu. Ostatecznie w każdej z ekip znajdował się jeden pilarz, a pozostali stanowić mieli jego wsparcie. Jak się później okazało, każdy z tu obecnych potrafił obsługiwać piłę łańcuchową, a rozdzielenie obowiązków w takiej formie było zaplanowaną i dokładnie wyważoną strategią Pileckiego. Następnego dnia podział grup miał wyglądać zupełnie inaczej, a rola wiodącego pilarza trafić do kogoś innego. Tak było w innych ekipach. W naszym zespole tylko Władysław Pilecki pełnił tę funkcję. Zadaniem pozostałej dwójki (moja rola ograniczała się do prowadzenia obserwacji) było układanie w stos gałęzi ze ściętego i okrzesanego drzewa oraz składowanie przy drodze metrowych belek, na jakie cwiartowano pień.

Każda ekipa udała się we wskazane przez dowódcę miejsce. My także w pełnym milczeniu ruszyliśmy w ślad za Pileckim. Szedł przed nami i przyglądał się kolejnym drzewom, jakby szykował listę ofiar niczym

Michael Myers w popularnym slasherze. Nieraz przystanął i jakby się nad czymś zastanawiał, uciekał wzrokiem do górujących nad nami szczytów drzew. W końcu dotarliśmy do wybranego miejsca. Byliśmy kilka kroków za nim, ale w chwili, gdy się zatrzymał, my także stanęliśmy. Dopiero wtedy skupiłem wzrok na jego pilarence Stihl. Był to MS 661 z wyjątkowo długą prowadnicą, model, na punkcie którego chorował mój tata, a na który nigdy nie było go stać. Władysław Pilecki ruszył w stronę upatrzonej przez siebie ofiary, a my, jak te barany, bez słowa podążyliśmy za nim. W oddali runęło pierwsze tego dnia drzewo. Jak się okazało – jedyne. Stary, jak zwykli do niego mówić pozostali drwale, zatrzymał się przy rosnącej sośnie i, oparłszy o nią dłoń, pochylił się. Trwał tak przez dłuższą chwilę. Wtedy zrozumiałem, że nie jestem jedynym, którego wycinka zdrowych drzew przyprawia o słabość. Zapytałem człowieka stojącego najbliżej mnie, czy z szefem wszystko dobrze. Usłyszałem w odpowiedzi, że *Władek zawsze odprawia jakieś modły, kiedy przyjdzie mu ści-nać co innego niż suszkę*. Po chwili Pilecki klęknął. Byłem przekonany, że to dalsza część ceremonii, jednak nie. Władysław Pilecki spoczął na kolanach, aby odpalić pilarkę. Zaplótł dłoń na uchwycie linki rozrusznika i... Tego dnia nie było mu dane za niego szarpnąć. Kiedy miał to zrobić, dobiegł nas męski krzyk. Całą czwórką spojrzeliśmy w kierunku, z którego rozlegało się nawoływanie i zobaczyliśmy biegnącego w naszą stronę człowieka, którego Pilecki przydzielił do pierwszej ekipy. Biegł do Starego i kłął jak szewc.

Nie słyszeliśmy ich rozmowy, ale po chwili obaj zerwali się do biegu. Wiadomość, którą usłyszał Władysław Pilecki, musiała być na tyle przejmująca, iż ten nie dość, że nie raczył nam nic powiedzieć, to zostawił swoją beczenną piłę. Spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni. Wtedy dwóch moich towarzyszy ruszyło za tamtymi. Ja, wiedząc, ile wart może być sprzęt szefa, wpięram się do pilarkę.

Wszyscy zebrali się przy jednym z drzew, tworząc półokrąg, i z przerażeniem w oczach czemuś się przyglądali. Podeszedłem do ciasno zbitych robotników, precyzyjnie się przesuwałem przez tłum. Na ziemi, wsparty o pień, pólleżał martwy mężczyzna. Nie kojarzyłem tego człowieka, a jego rozłupana siekierą czaszka, z ostrzem wbitym w sam środek twarzy, nie ułatwiała rozpoznania denata. Mimowolnie przeliczyłem wszystkich stojących, upewniając się tym samym, że trup zaledwie kilka chwil temu był jednym z wesołych drwali opuszczających toyoty. Przed ciałem klęczał Pilecki, kręcąc głową i zapewne zastanawiając się, co robić w obliczu tak absurdalnej sytuacji. Ostatecznie, wstając, oznajmił, aby nikt nie ruszał Zenka. Sam zaś wsiadł w samochód i odjechał. Mogłem się tylko domyślać, że pojechał do nadleśnictwa albo na policję. Nagle mnie tchnęło. A czemu nie zadzwonić i tego nie zgłosić? Sięgnąłem po telefon i właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że w lesie nie było odrobiny

zasięgu. Swoją drogą w głębi tej dziczy nikogo nie powinno to dziwić.

Po niespełna godzinie Władysław Pilecki przyjechał z powrotem, ciągnąc za sobą dwa policyjne radiowozy i karetkę pogotowia.

Jeden z funkcjonariuszy rozkazał, byśmy udali się w kierunku samochodów. Tam miał zająć się nami inny mundurowy. On zaś, przyniesioną przez siebie policyjną taśmą, odgrodził teren wokół Zenka. Jakich później podjęto się tam prac, tego nie wiem – z drogi nie sposób było czegokolwiek dostrzec. Zebraliśmy się całą ekipą wokół policyjnego opla, a siedzący w nim funkcjonariusz raz po raz prosił kogoś z nas do środka, po czym zadawał kilka rutynowych pytań. W większości przypadków nie trwało to dłużej niż pięć minut. Byli jednak tacy – przede wszystkim trzej przydzieleni do grupy z Zenkiem – którzy maglowani byli nawet i kwadrans. Czekać na swoją kolej, rozmawialiśmy o tym, co zaszło. Jak się okazało, najwięcej do powiedzenia miał Andrzej Formela, powtarzający każdemu z osobna (prócz mnie – mnie traktowano jak obcego – swoje jednak podsłuchałem) tę samą wersję. Zgodnie z jego relacją Zenon Przybyła zaraz po ścięciu drzewa – bo to jemu przypadło stanowisko pilarza – odstawił piłę na pozostały po pięknej sośnie pień i podszedł do Andrzeja z prośbą, aby ten pożyczył mu siekiery. Prośba nie była czymś niezwykłym, więc Formela odstąpił mu narzędzie. Zaskoczyło go natomiast coś innego. Zenek zamiast wrócić na miejsce, gdzie na wolnych obrotach wciąż pracowała piła łańcuchowa, poszedł w zupełnie inną stronę, pozostając głuchym na pytanie Andrzeja: „Kaj leziesz?”. Nie odpowiadając, zniknął za drzewem. Po chwili rozbrzmiał krótki, urwany nagle krzyk. Dotarłszy na miejsce całą trójką, zastali kolegę leżącego z rozłupaną na pół czaszką. Dalszy przebieg wydarzeń był wszystkim znany. Co jednak istotne, a do czego Andrzej wrócił dopiero po rozmowie z policjantem – jakby mundurowy otworzył mu umysł właściwymi pytaniami – to, że głos Zenka w chwili, kiedy poprosił o siekiere, zdawał się być jakiś nienaturalny, mechaniczny. Jakby Przybyła został otumaniony, a nawet zahipnotyzowany.

Kiedy każdy zrelacjonował swoją wersję wydarzeń, szef nakazał nam wszystkim jechać do bazy. Jego samego miała odstawić policja.

W poniedziałek rano ponownie stawiałem się pod hotelem. Przy jednej z toyot czekało już kilku mężczyzn. Wśród nich był Andrzej Formela. Po przywitaniu dowiedziałem się, że w sobotę nie pojechali do lasu (mój grafik nie uwzględniał pracy w weekend, w przeciwieństwie do ich kontraktu), gdyż policja przez trzy dni prowadziła działania na miejscu zbrodni. Decyzja o tym, by drwale mogli wrócić do pracy, pojawiła się dopiero w niedzielę wieczorem.

Kiedyśmy się wszyscy zebrali, nastąpił krótki apel Starego, po którym

pojechaliśmy na miejsce wycinki. Swoisty niepokój poczułem już w chwili, gdy wyszedłem z samochodu. Po bladych twarzach współpracowników wnioskowałem, że nie jestem w tym odosobniony. Ledwie przed siedemdziesięcioma dwoma godzinami – niemalże na oczach wszystkich – zabił się jeden z nich, a co gorsza nikt nie znał powodu, jaki mógł skłonić Zenka do takiego czynu. Zanim zaczęliśmy, Andrzej Formela oznajmił, że nie da rady nic dziś zrobić, że to miejsce go przeraża i w ogóle to nie chce być następny. Zapytany, co ma dokładnie na myśli, oznajmił, że Zenek leżał w kostnicy przez niedzielę i niewątpliwie weźmie niejednego ze sobą. Pilecki kazał mu się zamknąć i, ku ogólnemu zaskoczeniu, pozwolił, by tego dnia nie pracował. Formela zamknął się w jednej z toyot ze szczerym zamiarem niewyściubiania nosa na zewnątrz.

Tego dnia udało nam się spuścić kilka drzew. Praca wrzała i wszystko funkcjonowało jak w szwajcarskim zegarku. Makabry, która miała nadejść punktualnie o trzynastej, nikt się nie spodziewał.

Z uwagi na fakt, że dwóch ludzi z całej ekipy było niedysponowanych, Władysław Pilecki poprosił, czy nie wsparłbym ich fizycznie, w zamian za co zaoferował mi całkiem sowite wynagrodzenie. Propozycja była dla mnie jak znalazł. Zgodziłem się. Zgodziłbym się nawet, gdyby nie zaproponował mi pieniędzy – których zresztą nigdy na oczy nie zobaczyłem. Oczywiście w nadleśnictwie nikt by się o tym nie dowiedział, a ja mogłem w końcu poczuć się jak jeden z nich – nie jak konfident wysłany przez zleceniodawców, ale pełnoprawny członek zespołu. Moim pierwszym zadaniem zleconym mi przez Władysława Pileckiego było wyciąganie na drogę gałęzi pozostałych po okrziesaniu ściętych drzew. Ułożony przeze mnie stos zapłonął około dziesiątej. Z uwagi, że czerwiec i lipiec były raczej deszczowe, nie było najmniejszej obawy o to, że las mógłby się zająć.

Po przeciwnej stronie drogi pracowała ekipa, w której pilarem wiodącym był całkiem młody, bo trzydziestojednoletni Damian Graś. Mimo licznych drzew dzielących nasze grupy mieliśmy dość dobry kontakt wzrokowy. Kiedy więc pilarka Grasia od dłuższej chwili pracowała na maksymalnych obrotach, dowódca niechętnie skierował ku niemu wzrok. My także. Nie więcej niż trzydzieści metrów od nas zobaczyliśmy obraz, który do dziś przyprawia mnie o dreszcze. Graś klęczał na ziemi przed czymś, co zostało ustawione na sztorc. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to właśnie pracująca na zwiększonych obrotach pilarka. Dwóch jego pomocników biegło w jego stronę, chcąc powstrzymać go przed... Sam nie wiem, co zamierzał zrobić. Spojrzałem na Pileckiego w tej samej chwili, w której ten pojął, do czego za chwilę dojdzie. Zerwał się w miejsca. Ja wraz z Markiem (nie pamiętam jego nazwiska, być może nawet nigdy go nie poznałem) pobiegliśmy za nim,

z trudnością dotrzymując mu kroku. Damian nachylił się do pracujących ostrzy. Nim dotarliśmy na miejsce, te z łatwością przegryzły się przez mostek, rozrywając wnętrzości. Przybyliśmy za późno. Wszyscy. Nawet Andrzej Formela, który wbrew obawom opuścił swój azyl. Stary doskoczył do konającego Grasia. Damian leżał na boku, a pracująca nadal spalinówka rozrzucała wokół strzępy ciuchów i fragmenty ciała. Po zaledwie kilku sekundach Pilecki wyglądał, jakby ostatnie osiem godzin spędził w masarni, ćwiartując świeże podroby. Co jednak ważne, Graś wciąż żył. Dowódca klęczał obok niego, majstrując coś przy pilarence, a ja nie pojmowałem dlaczego, do cholery, jej nie wyłączy. Wtedy to zobaczyłem. Przy pomocy sznurowadła Damian Graś unieruchomił dźwignię gazu oraz jej blokadę, nie pozwalając tym samym, aby silnik choć na chwilę stracił werwę. Potworny jazgot nagle złagodniał, aż w końcu na dobre ucichł. Pilarka skończyła swą rzeź, lecz pozostawała wewnątrz ciała żyjącego wciąż Damiana Grasia. Każdy z nas wiedział jednak, że nie ma najmniejszej szansy, aby z tego wyszedł. Graś zakrzuszył się, wypluwając czerwoną breję. Po chwili z jego ust zaczęła toczyć się lśniąca krew. Soczyście zielone źdźbła trawy spowiła czerwona farba, jednocześnie pojąc sobą leśne runo. Ziemia sprawiała wrażenie, jakby syciła się tym, co otrzymała w ofierze. Chociaż wtedy uznałem to za dziecinną myśl, w obliczu sytuacji, w jakiej obecnie się znajduję, jestem święcie przekonany, że tak właśnie było. Ta ziemia... w tym lesie... ona syciła się gasnącym ludzkim życiem. Władysław Pilecki objął dłońmi głowę Damiana i delikatnie obrócił w swoją stronę. Zapytał go – męża i ojca dwóch córeczek – co go do tego skłoniło. Odpowiedź, przerywana atakami kaszlu, każdemu ze stojących wokół ludzi wydała się równie niedorzeczna jak upiorna. Usłyszeliśmy trzy słowa: „Las mi kazał”, po czym Damian Graś skonał.

Nie wiem, jak długo staliśmy w tym milczącym kręgu. Kilka minut? A może tylko kilka sekund? Z perspektywy tego, co się wydarzyło, wiem jedno. Kiedy na własne oczy widzisz umierającego człowieka, czas przestaje mieć znaczenie. Ciszę przerwał Formela, dolewając oliwy do ognia. Zaczął swój wywód i nie wiedzieć czemu, nikt nie kazał mu się zamknąć. Mówił, aż powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Dopiero wtedy zamilkł. Z jego chaotycznego przemówienia zapamiętałem tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, że stało się dokładnie tak, jak przewidział – że Zenek weźmie ze sobą kogoś do grobu. Takiej wypowiedzi można było się po Andrzeju Formeli spodziewać, jednakże to, co powiedział później, sprawiło, że skupiłem na nim uwagę. Jego słowotok zaczął oscylować wokół kogoś czy czegoś, co sam nazwał leszym, a któremu to mordowanie lasu w jego własnym królestwie zupełnie nie odpowiada; że jeśli nie zaprzestaniemy swych działań, ofiar będzie więcej. Słowa w jego ustach brzmiały jak spowiedź kogoś

obłąkanego, zważywszy jednak na późniejsze wydarzenia, o których niebawem tu wspomnę, oraz miejsce, w którym piszę ten dziennik, pozostaje mi powiedzieć tylko jedno – ten stary skurczybyk mówił prawdę i dziś wszyscy możemy żałować, że nie wzięliśmy jego słów na poważnie.

Późniejszy scenariusz wydarzeń w lesie rozegrał się analogicznie jak ten sprzed trzech dni. Policja, zeznania i powrót pod hotel.

Prace nad karczowaniem lasu zostały wstrzymane na cały tydzień, w związku z czym musiałem na te kilka dni wrócić do biura, do wypełniania nikomu niepotrzebnych obowiązków w nadleśnictwie. Tam nie działo się nic, co wymagałoby utrwalenia na tych stronach, dlatego pominię tę kwestię i przejdę do wydarzeń istotnych, do wydarzeń z dnia dzisiejszego. Choć nie, wspomnieć muszę jeszcze o jednym. Wczorajszego popołudnia ni stąd, ni zowąd powrócił do mej pamięci monolog Formeli i jego wzmianka o leszym. Słowo to, tak dla mnie obce, w niepojęty sposób zakorzeniło się w umyśle, nie dając spokoju. Zasiadłem więc przed komputerem i na kilka godzin zatraciłem się w wirtualnym świecie, szukając wszelkich informacji na ten temat. Na jego temat – bo jak się szybko okazało, był on leśnym bóstwem, demonem, w którego wierzyli dawni Słowianie. Chociaż każda odnaleziona informacja zdawała się mieć potwierdzenie w wydarzeniach sprzed siedmiu i dziesięciu dni, to względem tego, co przeczytałem, rzeczywistość okazała się znacznie brutalniejsza. Oswoiwszy się z nową wiedzą, miałem poważne obawy, czy powinniśmy wracać do lasu. Za tym, abym zaryzykował, przemawiał jeden, jedyny argument – rano musiałem stawić się wpierw w nadleśnictwie, a do lasu pojechać później rowerem (nie miałem ani samochodu, ani prawa jazdy). Ponadto kto przejmowałby się jakimiś wiejskimi zabobonami w obliczu tak słonecznego poranka, jaki mnie dziś powitał. Strach wypełnia nasze umysły głównie wtedy, kiedy nie mamy świadomości tego, co czai się za zasnutymi czernią oknami.

Z zewnątrz zaczynają dochodzić do mnie odgłosy przyrody zwiastujące nieszczęście. Wiatr jakby mocniej duje i zawodzenie leśnego ptactwa nabiera wyraźnego brzmienia. Czas nagli. Muszę zatem skupić na rzeczach ważnych.

W nadleśnictwie miałem spędzić nie więcej niż godzinę, aby dokończyć katalogowanie raportów na temat pożarów, do których doszło w lasach podlegających pod lublinieckie nadleśnictwo. Życie zweryfikowało moje zdolności i zadaniu musiałem poświęcić znacznie więcej czasu – zeszło mi aż do jedenastej. Kto wie, może podświadomie sam spowalniałem swoją pracę. Kiedy skończyłem, przebrałem się w robocze ciuchy i pojechałem do lasu pełen nadziei, że tym razem nie



doszło do żadnego niewytłumaczalnego samobójstwa godnego uwagi agentów Muldera i Scully. Wszak zbliżało się południe, a żadne niepokojące wiadomości nie nadeszły.

Pierwszą toyotę zobaczyłem kilka minut przed dwunastą. Wiem to, gdyż chwilę wcześniej utwierdziłem się w przekonaniu, że wraz z przekroczeniem granicy lasu zasięg telefonu spadł do zera. W jednej chwili jest pełny, krok dalej nie wykonasz nawet połączenia alarmowego. Zbliżałem się do samochodu, podświadomie czując, że coś mi tutaj wyraźnie nie pasuje. Nie wiedziałem jednak, skąd ten niepokój. Nagle pojąłem. Odkąd wjechałem do lasu, jedyne, co słyszałem, to szum rowerowych opon, toczących się po utwardzonym dukcie, oraz stukanie dzieciółów o pnie drzew. Inne dźwięki nie istniały. W końcu ucichły także koła. Las delektował się swą własną symfonią, niezakłóconą ludzkim zgiełkiem. Oparłszy rower o toyotę, rozejrzałem się. Nie zobaczyłem nikogo, żadnego cienia czy sylwetki przemykającej pomiędzy najdalej położonymi sosnami. Kilkukrotnie krzyknąłem, lecz odpowiadało mi tylko echo. Zacząłem niepokoić się nie na żarty. Nie wiedząc do końca, jak się zachować, udałem się w miejsce, w którym tydzień wcześniej pracowałem z Władysławem Pileckim. Obrany kierunek okazał się nienajgorszym. Zobaczyłem nowe powalone drzewo, jednakże poza jego ścięciem, nic więcej przy nim nie zrobiono. Nawet jedna gałąź nie została odcięta od głównego pnia. W miejscu, gdzie dorodnej sośnie podcięto nogi, dostrzegłem pilarkę szefa. Pokrywa silnika była jeszcze ciepła, a mnie dla kontrastu przeszył niewytłumaczalny ziąb. Do paniki było jednak daleko – tak przypuszczam, choć ile sił w nogach pogałem w stronę roweru. Chwyając za kierownicę, skarciłem się w myślach. Cały strach wynikał jedynie z lektury, którą zaserwowałem sobie dzień wcześniej. Natychmiast uruchomiłem zdrowe myślenie i po chwili miałem kilka logicznych odpowiedzi dla zastanej sytuacji. Odłożyłem rower i wkroczyłem w przeciwległą część lasu – do teraz żałuję, że nie pozwoliłem sobie być tchórzem. Pokonując kolejne dziesiątki metrów zielonej przestrzeni, raz po raz nawoływałem „kolegów”. Minąłem pozostawione samym sobie miejsca pracy kolejnych ekip, wciąż wierząc w to, że wszyscy, dajmy na to w ramach wspólnej przerwy śniadaniowej, zebrali się w okolicy, gdzie pracowała ostatnia trójka.

Tam ich znalazłem.

Początkowo nikogo nie zauważyłem. Wokół panowała cisza, mącona jedynie spontanicznie, lecz nierównomiernie strzelającymi w ognisku igliwiami i gałęziami. Obleciał mnie strach, wykręcając moje ciało, jakbym doznał krótkotrwałego ataku epilepsji. A po chwili, będąc nie dalej niż kilka kroków od płonącego stosu, usłyszałem szelest. Podniosłem wzrok do góry, skąd dobiegał, przekonany, że zobaczę

wiewiórkę czy inne niewielkie stworzonko. Na pewno nie to, co ujrzałem. Świat przysłoniły mi zbliżające się z wyjątkową szybkością czarne podeszwy butów. Zanim zdołały trafić mnie w głowę, uskokczyłem w bok, lecz nie odpowiednio szybko, gdyż męskie, ciężkie jak diabli obuwie trafiły mnie w ramię, tym samym zwiększając impet mojego upadku. Rozciągnąłem się na miękkiej ściółce i błyskawicznie odwróciłem na plecy. Nade mną z wybałuszonymi oczami kołysało się martwe ciało Władysława Pileckiego, a był to dopiero początek koszmaru. W następnej chwili z kolejnych drzew zaczęły pikować ludzkie sylwetki, jedna po drugiej, zataczając okrąg wokół ogniska, aż ostatnie ciało zawisło kilka metrów za mną, zamykając tę śmiertelną ruletkę. Wszyscy jak jeden kołysali się w stałych odstępach od siebie, co z centralnie usypanym stosem ogniska przywodziło na myśl jakiś rytualny obrzęd.

Nie wiem, jak długo ślęczałem na ziemi, patrząc na ten nedorzeczny spektakl, pamiętam jednak, co zmotywowało mnie, by czym prędzej zabierać dupę w troki. Siedziałem w pokracznej pozycji, nie mogąc się zdobyć na ruszenie z miejsca, gdy usłyszałem narastający ni to szum, ni jazgot. Skupiłem na nim swoją uwagę, chwilowo zapominając o dziesięciu wi-sielcach, wśród których brakowało Andrzeja Formeli. Potęgujący z każdą chwilą zamęt miał w sobie coś nienaturalnego, jakby do kilku panoszących się w okolicy dzięciołów dołączyły dziesiątki zastępów wszelkiego rodzaju ptactwa, skrzeczących i nawołujących się nawzajem. Szmerzy dochodziły także z niższych partii, co tłumaczyłem zbliżającymi się leśnymi drapieżnikami. Wilki, lisy, a może nawet niedźwiedzie. Zawodzenie nasilało się, ja niczego jednak nie potrafiłem zobaczyć. Wtedy do tego niepojętego słuchowiska dołączyło coś jeszcze, przez co momentalnie podniosłem się na sztywne nogi. Szept. Ludzki, w pełni zrozumiały szept. Miałem wrażenie, jakby ktoś stał tuż za mną i ściszym głosem zwracał się wprost do mojego ucha. Mimowolnie spojrzałem na Pileckiego, spodziewając się Bóg wie czego. Szept rozbrzmiał ponownie, a jedyne czego mogę być pewien, to że nie wydobywał się z martwych ust Starego. Oskarżenie przez długi czas kołatało się w mej świadomości. Na samo jego wspomnienie przechodzą mnie dreszcze.

Winnyś. Zapłać.

Instynkt nakazał mi uciekać, lecz nie potrafiłem obrać właściwego kierunku. Otaczające mnie hałasy zdawały się dobiegać zewsząd. Wtedy to zobaczyłem – dziwną postać, zdającą się przeczyć prawom natury. Po przeciwległej stronie ogniska, pomiędzy dwoma nieruchomymi ciałami coś stało. Nie był to człowiek. Nierzeczywisty stwór, wielki jak trzech mężczyzn potoczył ku mnie ospale. Nie potrafię jednoznacznie określić tego, na co patrzyłem. W tamtym momencie przypomniałem sobie słowa

Damiana Grasia, który oznajmił Pileckiemu, że „las mu kazał”. Musiałem zobaczyć, aby uwierzyć. W tej jednej chwili pojąłem jego słowa i wiem, że nie sposób opisać tego inaczej. Doprawdy zbliżało się do mnie ucieleśnienie lasu. Ogromna sylwetka porośnięta długimi kępami zaschniętej trawy, której głowa – choć nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, czy to coś miało głowę – zwieńczona była albo rozłożystymi gałęziami, albo przeogromnym porożem. Więcej ci nie powiem – zabrakło mi odwagi, aby zapoznać się pozostałymi detalami.

Strach przeszył mnie na wskroś. Musiałem uciekać, lecz pojąłem nagle, że nie wiem, w jakiej części lasu się znalazłem. Doznałem jakiegoś paraliżu umysłu, przez który zupełnie straciłem orientację. Ja, wychowany na tych ziemiach, nie wiedziałem, gdzie jestem. Odwróciłem się plecami do ogniska i popędziłem przed siebie, wierząc, że obrałem właściwy kierunek. Do drogi nigdy nie dotarłem. Biegając przez las, oddalałem się od leśnego monstrum. Wnioskowałem to po cichnących dźwiękach, które zwiastowały jego pojawienie się. Nigdy jednak nie było mi dane od nich uciec na dobre. Po kilku godzinach nieustannej gonitwy za wolnością nie natrafiłem na żaden znajomy krajobraz, żaden dukt, którym mógłbym dostać się do krajowej jedenastki. Co i raz spoglądałem na telefon w nadziei, że złapię choć odrobinę zasięgu. Bezskutecznie. Mimowolnie sprawdzałem też godzinę. Do tej niezwyklej i monumentalnej groty wpadłem około dziewiętnastej, a ponieważ szanse na skuteczne odnalezienie wyjścia z lasu po zmroku były bliskie zeru, postanowiłem się w niej schronić. Nie miałem też siły biec dalej, tym bardziej, że oskarżycielskie podszepty doprowadzały mnie do psychicznego wycieńczenia. Jak pisałem wcześniej, myślę, że to sanktuarium ku jego czci. Wzniesione być może przez dawnych Słowian, którzy względem lasu i mieszkających w nim stworzeń odnosili się z szacunkiem, może nawet przestachem. Dziennik ten piszę przy czymś, co wygląda na kamienny ołtarz. Brak tu jakichkolwiek dekoracji, może poza niezliczonymi symbolami na ścianach. Znaki te – od wczoraj – nie są mi obce. Na wiele z nich natrafiłem w Internecie i wszystkie odnosiły się do starosło- wiańskich wierzeń.

Bateria w telefonie jest już na wyczerpaniu, nie będę więc w stanie dalej pisać. Jednak wszystko to, co chciałem przekazać, ująłem w tym dzienniku. Szepty nasilają się od kilku minut. Nie słabną. Dziś dołączę do nich. Stanę się ofiarą.

Pozostaje mi wierzyć, że moje zapiski ocala choć jedną istotę. Chowam dziennik w wewnętrznej kieszeni kurtki w obawie przed zwierzyną, która zapewne dość szybko odnajdzie moje martwe ciało. Mam nadzieję, że papier nie będzie godnym uwagi posiłkiem.

Żgenaj, kimkolwiek jesteś.

*Aktualizacja. 10 września 2017 około godz. 21:00*

Dziś postanowiłem w końcu uzupełnić swój dziennik. Od dłuższego czasu ten dość osobliwy testament leżał na regale wśród wielu książek, głównie o tematyce nawiązującej do dawnych, ludowych wierzeń, które nabyłem po tym, kiedy, wbrew wszelkim oznakom na ziemi i w powietrzu, odnaleziono mnie żywego. Rano, 18 lipca, około 5:30 zostałem ocucony przez znajomego mężczyznę. Stał nade mną i uderzał mnie ożywczo po policzkach. Leżałem w rowie przy drodze krajowej numer 11 nieopodal znanego mi wjazdu do lasu. Andrzej Formela przypatrywał mi się pytająco. Pokręciłem głową. Zrozumiał bez słów. Westchnął znacząco, podniósł się z klęczek i pomógł mi wstać. Dopiero wtedy dostrzegłem niecodzienne, rozgrywające się wokół zamieszanie. Samochody policji i karetki pogotowia stały przy krawędzi lasu. Na ich dachach leniwie obracały się niebieskie światła. Formela pomógł mi wydostać się z wykopu i przekazał pod opiekę pielęgniarka. Z późniejszej relacji Andrzeja Formeli dowiedziałem się, że pokłócił się z Pileckim i w trosce o swoje życie – cytuję – „*rzuciłem to w diabły*”. Starał się przekonać pozostałych, lecz byli obojętni na jego argumenty.

Ja, po opatrzeniu drobnych ran i otarć, zostałem oddany w ręce policji, którym to opisałem wydarzenia, których doświadczyłem dzień wcześniej, wskazując także miejsce zbiorowej ofiary. Zanim mnie puścili, usłyszałem w ich radiu, że wysłani do wspomnianej części lasu funkcjonariusze zastali wszystko tak, jak im to opisałem. Na pytanie, w jaki sposób znalazłem się przy drodze, nie potrafiłem wtedy odpowiedzieć.

Od tamtego czasu doświadczam jednak bezustannie tego samego snu. Otulony, w czyichś przepastnych ramionach przemierzam bezdenną ciemność. Jasny blask księżyca raz po raz oświetla bezkształtną, niosącą mnie postać, która nieprzerwanie szepcze: *Niewinnyś*.

PS. Do dnia dzisiejszego nie wznowiono prac przygotowawczych pod nową drogę. Zaś z nieoficjalnych źródeł wiem, iż trwają modernizacje projektu, które zakładają wytyczenie nowej trasy, omijającej przekłete terytorium.

*Lubliniec, 25 stycznia 2017*

# Michał Stonawski

## Reguła niczego

### I

Marcin Przybyszewski obudził się z twarzą moką od łez. Przez chwilę leżał, zdezorientowany, próbując uspokoić oddech. W uszach wciąż słyszał echo swego własnego, rozpaczliwego krzyku. Nie to jednak wyrwało go ze snu. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą ktoś nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Był tak blisko, że oślinione, zimne wargi lekko drażniły małżowinę leżącego.

Marcin gwałtownie usiadł na łóżku, otworzył oczy, ale otaczająca go ciemność została. Przez chwilę poczuł się (o ile mógł nazwać to „czuciem”), jakby nie istniał. Potem odetchnął i wymacał blat nocnego stolika. Otworzył szufladę i wyjął stamtąd dwa przedmioty. W mroku coś zaszeleściło, rozległo się kliknięcie – jak wystrzał z pistoletu – i mały płomyk oświetlił jego twarz. Kiedy papieros zgasł, w jego miejscu pozostała żarząca się główka. Marcin zaciągnął się głęboko. Dopiero kiedy wypuścił dym z płuc, napięte do tej pory mięśnie rozluźniły się przyjemnie.

Natychmiast wstał i podszedł do okna, próbując nie trafić stopą w żaden mebel. Szarpnął za firanki, skrzypnęła klamka. Do pomieszczenia wleciało ożywcze, nocne powietrze, przesiąknięte zapachem trawy. Zdawało mu się, że wyczuwa w nim też nikłą woń mułu dochodzącą od małego jeziora, położonego nie dalej niż dwa kilometry na południe. Nigdy tam nie był, lecz obiecał sobie, że wybierze się na wycieczkę, kiedy tylko skończy się jego praca.

Raz jeszcze zaciągnął się dymem i mocniej wychylił przez okno. Przed sobą miał pogrążony w cieniu dziedziniec, który usiłowała oświetlić pojedyncza żarówka, zawieszona na drewnianym słupie pośrodku. Jedyne światło poza nią dawały trzy żółte latarnie przy szosie opodal. Szosę widać było tylko z wysokości drugiego piętra.

Niżej widok ograniczony był przez gruby, klasztorny mur.

\*\*\*

Dzień w Opactwie Benedyktynów zaczynał się wcześniej, ale Marcin zdążył się już do tego przyzwyczaić. Kwadrans przed szóstą zasiadł w kościelnej ławie i pokornie zwiesił głowę. Przed nim leżał brewiarz,

wystarczyło tylko otworzyć na pierwszej zakładce.

W powietrzu unosił się zapach kadzidła i tej specyficznej wilgoci, której doświadczyć można wyłącznie w świątyni. Co jakiś czas słyszał miękkie kroki stawiane na posadzce. Stękały drewniane stalle w prezbiterium, prócz tego panowała jednak niczym niezmacona cisza. Tę przerwał dopiero początek *Laudes*, jutrzni połączonej z *Invitatorium*. Dopiero wtedy zdecydował się podnieść spojrzenie. Usta niemal same zaczęły odśpiewywać psalm sześćdziesiąty szósty. Poddał się tej melodii niemal całkowicie. Już nie siedział w twardej ławie, lecz wszedł gdzieś pomiędzy chwalących Boga zakonników. Nie słyszał ani swojego, ani ich głosów. Zdawało się, iż te połączyły się i śpiewa tylko jedna osoba, której silny głos odbija się echem w całym kościele i leci gdzieś dalej i wyżej.

Oczy Przybyszewskiego pozostawały jednak żywe i skupione. Błąkały się po twarzach zakonników, szczególnie je badając. Jak dwa szperacze przekradały się po obliczach zatraconych w zachwycie i tych, na których pojawił się wyraz znudzenia, może nawet rozdrażnienia. Widziały zadumę, zachwyt, rezygnację i obojętność. Śeldziły porozumiewawcze spojrzenia i sekretne znaki. Tam na ołtarzu toczyła się dyskusja, której nie rozumiał, a którą chciał i musiał poznać. Zakonnicy, którzy od lat nie wyrzekli słowa, dzielili się uwagami i opowiadali sobie dowcipy. Ci, którym śluby milczenia były obce, naradzali się i żywo wymieniali poglądy. Nikt nie zwracał uwagi na gościa, jednego z wielu, którzy przewijali się przez klasztor w ostatnich latach.

Tymczasem Marcin próbował zapamiętać jak najwięcej. Oddzielić sprawy ważne od błahych, zaś wśród tych pierwszych – te codzienne od sekretów. Było to trudne, nie znając kodu, którym się posługiwali. Nikt jednak, kto miał wprawne oko i trochę doświadczenia, nie mógł przeoczyć niby to przypadkowych zmian póz i ruchów dłoni. Z całą pewnością musiał być to język. To jednak, co było treścią przekazu, mimo wysiłków ciągle mu umykało.

Coś nagle zakłóciło jego koncentrację. Przestał śpiewać. Znów słyszał pojedyncze głosy i stękanie drewna. Zdezorientowany, rozejrział się nerwowo. Z pozoru nic się nie zmieniło, bracia dotarli już do psalmu sto czterdziestego dziewiątego, za chwilę miała się zacząć wygłaszana z pamięci lekcja któregoś z apostołów. Przybyszewski odetchnął głębiej. Ufał swojemu instynktowi. Coś musiało się zmienić na ołtarzu. Wysilił wzrok. Na pewno nie była to tajna komunikacja, ta w okolicach psalmów pochwalnych zwykle zamierała. Nikt też niczego nie ruszył, ani nie przeniósł. To byłoby zbyt łatwe do zauważenia. Ale coś zdecydowanie było nie tak.

Właśnie wtedy zrozumiał. Opactwo liczyło osiemnastu zakonników. W prezbiterium zgromadziło się ich o jedną osobę więcej. W cieniu, pod samym ołtarzem stał sztywno wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

Mimo swej postury nie wydawał się wcale niezdarny, lecz gibki, żylasty. Szerokie bary zdradzały tężyznę fizyczną, lekko niedbała poza – pewność siebie. Włosy miał potargane, szczękę kwadratową. Nie pasował do terenów Wielkopolski, wyglądał jak rasowy góral. Od stereotypowego wizerunku mieszkańca południowej części kraju odróżniały go jednak zaciśnięte kurczowo usta, na których próżno byłoby się było doszukiwać choćby śladu ciepłego uśmiechu. Marcin zobaczył to, kiedy zakonnik podniósł na niego spojrzenie zajmujących stanowczo zbyt dużą część twarzy oczu. Przybyszewski zachwiał się i mocniej chwycił brzegu ławy.

Oczy te były pozbawione białek. Tęczówki koloru rdzy rozrosły się na niemal całą ich powierzchnię. Usta zaś wykrzywiły się w paskudnym, pogardliwym uśmiechu. Zakonnik odwrócił się i zszedł z podwyższenia, nie niepokojąc przy tym współtowarzyszy. Wkrótce zniknął w cieniu zakrystii.

Dopiero wtedy Marcin zdał sobie sprawę, że stracił czucie nogach i opadł z rozmachem w ławę. Trącony brewiarz spadł na podłogę. Część z braci rzuciła karcące spojrzenia. Mężczyzna schował głowę w ramionach, udając, iż oddaje się modlitwie.

Próbował nie syczeć z bólu. Czucie w całym ciele wracało milionami wbijanych w nie szpilek. Tak jakby przez ostatnią godzinę krew prawie w ogóle w nim nie krążyła.

\*\*\*

Śniadanie upływało bez rozmów. Benedyktyni, jak i wiele innych zgromadzeń, surowo przestrzegają ciszy nocnej trwającej od godziny dwudziestej pierwszej aż do ósmej rano. Nawet jeśli śniadania czy kolacje odbywałyby się w innych godzinach, ograniczone są zgoła zasadą, by te właśnie posiłki spożywać w skupieniu. Nie oznacza to oczywiście, iż nie można się odezwać, by, na przykład, poprosić siedzącą naprzeciw osobę o podanie masła. W tym wypadku czyni się to jednak szeptem, by nie przeszkodzić innym.

Z początku Marcin miał problemy z przyzwyczajeniem się do nowych zasad. Zdziwiło go jednak, jak szybko reguła milczenia przestała mu przeszkadzać. Już po paru posiłkach stwierdził, że ten zwyczaj mu się spodobał. W jakiś sposób się wyciszył i zwrócił uwagę na to, co dokładnie znajduje się na talerzu. Wcześniej liczyło się tylko, by czymkolwiek zaspokoić poranny głód, często w biegu i na mieście, w drodze do pracy.

Tak też było ostatniego dnia przed wyjazdem. Spieszył się na pociąg i za posiłek musiał mu wystarczyć hamburger kupiony w McDonaldzie w drodze na dworzec. Zasnął, ledwo zdążył się umyć, porwać z fotela

podróżny plecak i ucałować ciągle zaspaną żonę. Teraz miał aż za dużo czasu na wszystko. Nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo podeszło mu klasztorne życie.

Nigdy nie był zbyt religijny. Szczerze mówiąc, ostatnią styczność z chrześcijaństwem miał w trakcie bierzmowania, przez uszczypliwych nazywanego „oficjalnym pożegnaniem młodzieży z Kościołem”. Rzecz była nagminna szczególnie w szkołach katolickich prowadzonych przez zakonne siostry. Ich sposób „ewangelizacji” młodzieży opierał się zwykle na nakazie wiary - bez jakichkolwiek wyjaśnień. Jakby religię można było wykuć na blachę, tak jak matematykę czy regułki gramatyczne. Jeśli dodać do tego zbuntowanych nastolatków, na skutki nie trzeba długo czekać. Marcin miał nieszczęście uczęszczać właśnie do takiej szkoły – skutecznie wypleniła z niego jakąkolwiek sympatię dla wiary. Nie tylko chrześcijańskiej.

Nie stał się ateistą, choć z perspektywy lat oceniał, że byłoby lepiej, gdyby tak się stało. Problem polegał na tym, że do takich szkół trafiały zwykle dzieci ze specyficznych rodzin z określonymi już tradycjami. Jeśli zniszczy się w nich wiarę (a Marcin uważał, że właśnie w nim została ona zniszczona), pozostaje młody człowiek głęboko przekonany, iż istnieje mityczne „coś więcej”, lecz niewiedzący, co z tym faktem zrobić. Idealna pożywka dla sekt.

Siedząc przy jednym z trzech wielkich stołów ustawionych w refektarzu, doszedł do wniosku, iż temat Kościoła stał się dla niego w jakiś sposób przekleństwem. Już jako dziennikarz po studiach napisał swój pierwszy reportaż właśnie o zakonnych gimnazjach, niejako mszcząc się za lata udręki. I choć odniósł sukces (jak większość osób, które na celownik obrały sobie katolików), przypięto mu łatkę człowieka zajmującego się sprawami Kurii, pedofilią wśród księży, czy ujawnianiem lekarzy z powodów wiary niewykonujących zabiegów aborcji. Jego teksty lądowały zwykle na stronach internetowych gazet, służąc tylko do nabijania oglądalności i generując nic niewnoszące dyskusje, podczas których ludzie z radosnym kwiczeniem topili się nawzajem w gównie. Ważniejsze, polityczne tematy, te za które mógł liczyć na więcej niż połowę stawki, umykały mu sprzed nosa. Nikt też nie był zainteresowany trzymaniem go w redakcji. Wystarczyło, jeśli był tak zwanym „współpracownikiem”, czyli krótko mówiąc dziennikarską dziwką, chwytającą się kontrowersyjnych tematów, byle znów jakoś przeżyć i nie musieć wysłuchiwać jójczenia żony.

Tak też było i tym razem. Kiedy dwa tygodnie temu wybrał się na spotkanie z redaktorem jednego z poczytniejszych pism, nie obiecywał sobie wiele. I nie pomylił się.

Marcin przeszedł przez rynek i przedelfilował obok restauracji „Pod gruszką”, gdzie mieścił się Krakowski Klub Dziennikarzy. Przybyszewski



bywał tam tylko na spotkaniach ze znanymi pismakami i rautach, podczas których nie nawiązywał zwykle nowych znajomości i nie udawało mu się znaleźć lepszych zleceń. Zamiast tego upijał się w towarzystwie takich jak on, którzy zamiast rozgłosu dorobili się etykiet.

Wojtek czekał już na niego przy jednym z zacienionych stolików w głębokiej piwnicy klubu Kulturalnego. Na kanapie pod ścianą schlewała się młodzież szkolna, parę dziewczyn wyglądało, jakby jeszcze nie opuściły gimnazjum, chociaż Przybyszewski z doświadczenia wiedział, że te akurat mogły się już poszczycić posiadaniem dowodu osobistego. Wystrzegać należało się natomiast tych, które zdecydowanie wyglądały na ponad dwadzieścia lat, zaś zabieg demakijażu odsłaniał (z reguły już wtedy nagą)nastoletnią prawdę. Marcin przekonał się kiedyś o tym na własnej skórze, chociaż wolał nie wracać do tych wspomnień.

Podszedł do stolika, ucisnął rękę koledze i poszedł do baru zamówić piwo. Co go ucieszyło, dodatkowo dostał banię wiśniówki. Zaniósł ten zestaw z powrotem do Wojtka. Ten widać na to czekał, bo z uśmiechem wskazał na swój nieopróżniony jeszcze kieliszek. Stuknęli się i popili piwem. Wódka wchodziła jak złoto, zamówili więc jeszcze parę szotów. One też wchodziły nienajgorzej. Barman, z wyglądu drwał nalegający, by mówić do niego „Zapałka”, zarzekał się, że jest to wyrób własny i że „zawsze warto wziąć więcej, niż potem latać dwa razy”. Potraktowany taką przemową Marcin wziął jeszcze parę kieliszków i tak obładowany wrócił do stolika.

Pogadali chwilę o głupotach, ostatnim meczu Wisły, z którego Marcin kojarzył tylko wynik, dziewczynach pod ścianą („ładne dupy!” – uznał Wojtek),pośmiali się z ostatniej afery politycznej i zgodzili co do tego, że prezydent jest idiotą. Słowem, odrobili pańszczyznę.

– No dobra, Wojtas. Mówiłeś, że masz dla mnie coś ciekawego... – Przybyszewski zawiesił głos. Powstrzymał się od wyjęcia komórki i rzucenia okiem na godzinę. Obiecał żonie, że postara się załatwić sprawę szybko, mieli jeszcze podjechać do jednej z nowych galerii handlowych, które ostatnio rozrastały się w Krakowie jak guzy w mózgu. Portfel bolał go na samą myśl.

– Ano tak... tak. Słuchaj, jest okazja na zdobycie większego hajsu. Tyle tylko, że na parę dni znikniesz z chałupy. Podwędziłem ten temat jakiemuś studenciakowi na stażu, więc nie wybrzydzaj.

– A co on na to?

– Kto? – dziennikarz potrząsnął głową w zdziwieniu. Marcin pociągnął kolejny łyk piwa.

– No, ten student.

– Student? A co ty się studentem przejmujesz, przecież mówiłem, że na stażu. Sirota taka, mówię ci. Pisać poprawnie nie umie, czytać chyba

też nie... nie wiem, czego oni teraz uczą na tych studiach. Za naszych czasów już nie uczyli, teraz to chyba oduczają... Ja się nie dziwię, że studencikom się nie płaci, bo i za co, za dysleksję?

Zarechotał i wziął kolejny łyk, prawie opróżnił kufel.

– Nieważne zresztą – kontynuował już spokojniej. – Jeśli taki jesteś ciekawy, to ci powiem tyle, że przeniosłem go do prowadzenia Facebooka. Choć i to pewnie spierdoli. No, chyba że chcesz mu oddać temat?

Teraz z kolei to Marcin się zaśmiał, choć mniej szczerze. Był już zmęczony. Cały dzień biegania po mieście w upale i alkohol rzadko chodzą w parze. Nawet jeśli chodzi tylko o parę szotów i piwo.

– No coś ty. Mów, co masz.

– Teraz gadasz do rzeczy. Sprawa wygląda tak, że musisz się zdecydować w tej chwili. Inaczej bym załatwił to przez telefon, ale zaraz idę do starego i muszę mu powiedzieć, że mam współpracownika...

Przybyszewski skrzywił się, ale nie przerywał.

– ... więc wiesz, szybka męska decyzja. Mamy cynk, że w jednym z klasztorów ojców jakichś tam dzieją się jakieś jaja. W skrócie chodzi o to, że księża wyrabiają nalewkę... bardzo dobra swoją drogą, spróbuj... no i nie do końca zgadzają im się rachunki. Sprawa byłaby pewnie trupem, gdyby nie to, że nikt nie wie, gdzie idą te pieniądze. Wygląda na to, że nawet nie opuszczają klasztornych murów. Czyli kolejny przekręt finansowy. Na szczęście jest możliwość odwiedzin. Więc jedziesz tam jako dziennikarz... tego nie ukryjemy... robisz niby reportaż o życiu za murami i wieszysz. Może coś ciekawego znajdziesz, może przy okazji gwałcą tam nowicjuszy, kto wie. Jak się nie uda, to przynajmniej będzie reportaż o klasztorze. Do następnego numeru. I co ty na to?

Przybyszewski westchnął.

– Jezu, nie macie już o czym pisać? Poza tym strasznie to naciągane.

Wojtek tylko wzruszył ramionami.

– Zaczyna się sezon ogórkowy stary. Politycy wybywają na wakacje, to o czym mamy pisać, o UFO? Chwalmy Bożę, że kościelna instytucja nie robi sobie przerw i zawsze jest pod ręką. To jak, bierzesz? To tylko parę dni i za wynagrodzenie też sobie gdzieś pojedziecie z Agnieszką... No, wynagrodzenie plus oszczędności, rzecz jasna. O ile coś wywieszysz, inaczej stawka zwykła.

– Dobra, biorę – bardzo się starał, by w jego głosie nie było słycać rezygnacji.

Wojtek, wyraźnie uradowany, dopił piwo.

– No i cudnie – skwitował. – Materiały wyślę ci wieczorem.

To co, kończysz? Bo muszę lecieć, stary czeka...

Agnieszka nie przyjęła nowin o rychłym wyjeździe męża z

uśmiechem, ale ją także przekonał argument pieniędzy. Prawdę mówiąc, potrzebowali tej forsy, by wyjść z dołka. Marcin nie sądził, by gdziekolwiek w te wakacje pojechali (choć czasami żartował o truskawkach w Norwegii).

Dwa dni później pociał się w pociągu. Okazało się, że „klasztor ojców jakichś tam” nie jest żadnym z tych położonych najbliżej miasta. Sprawa dotyczyła miejsca oddalonego o setki kilometrów. Klął jak szewc, ale materiał był już klepnięty.

Już na poznańskich peronach, zdziwiony, odebrał telefon od Wojtka.

– No, słuchaj, stary... jest jeszcze jedna rzecz. Zapomniałem ci powiedzieć, mam nadzieję, że się nie gniewasz? Wiszę ci piwo, jak wrócisz.

– No, dobra, dobra. Streszczaj się, strasznie tu głośno – rzeczywiście, dyspozytorka właśnie po raz dziesiąty powtarzała tę samą kwestię po anglo-polsku.

– Mamy taką informację, że w tym klasztorze doszło do jakiś odstępstw od kanonów wiary. W skrócie, może być duży news, wyobrażasz sobie? Księża, którzy założyli sektę... Pomyślałem sobie, że ktoś z twoją przeszłością ma największe szanse, by to wyniuchać.

Przybyszewski o mało nie zmiądzzył telefonu w dłoni. Bąknął tylko, że coś przerywa sygnał i zerwał połączenie. Był wściekły, że dał się wpuścić w takie bagno. Ten artykuł mógł go pogrążyć jeszcze bardziej, spychając do brukowców zajmujących się sprawami UFO i rzekomych nawiedzeń.

Im dłużej jednak przebywał w zakonie Ojców Benedyktynów, złość przeradzała się w niezdrową ciekawość. Bo im dobitniej się przyglądał, tym bardziej był pewien, że dzieje się tu coś niezwykłego.

Nie miał tylko jeszcze pojęcia jak bardzo.

\*\*\*

Goście, jeśli wyrazili taką ochotę, mogli spędzać czas swojej izolacji od świata, próbując życia zakonnego: modląc się razem z mnichami, o tych samych porach doby wstawać i udawać na spoczynek, a nawet pracować. Duchowni nie mieli co do tego żadnych przeciwwskazań, wręcz cieszyli się, kiedy przybywało rąk do pracy. Na co dzień i tak musieli zatrudniać ogrodników, którzy pomagali im prowadzić przyklasztorne sady i utrzymywać w czystości budynek. Jediną pracą, której nikt obcy nie mógł się podjąć, było wytwarzanie klasztornej specjału, słynnej w całej Europie Benedyktynki.

Marcin miał okazję skosztować tej nalewki na długo przed otrzymaniem zlecenia i ciągle nie był przekonany, czy mu smakowała. Intensywny, ziołowy smak jednocześnie go odrzucał i ciekawił. Już w

pociągu poprzysiągł sobie, że raz jeszcze spróbuje klasztornego specjału i być może przywiezie go z powrotem Agnieszce.

Okazja nadarzyła się szybciej, niż przypuszczał. W północnej części ogrodu benedyktyni uprawiali niektóre z ziół wypisanych na tajnej recepturze sławnego alkoholu. Tam właśnie został skierowany do pomocy.

Praca w ogrodzie była następną rzeczą, którą Marcin poznał od nowa. Czuł się jak dziecko, kiedy pierwszy raz chwycił do ręki grabie. I szybko odnalazł w tym spokój i kolejną okazję do podglądania mnichów. Zakamarki klasztornych ogrodów aż się prosiły, by wykorzystywać je do poufnych rozmów. I rzeczywiście, prócz spowiedników i spowiadających od czasu do czasu pojawiały się milczące postaci w habitach. Byli to bracia, którzy złożyli śluby milczenia. I tak jak na ołtarzu, tak i tu toczyły się zażarte dyskusje na migi. Przy czym rozmawiający zdawali się być czymś zestresowani. Kiedy tylko pojawiał się w polu widzenia, natychmiast ukrywali dłonie w rękawach, rzucali mu beznamiętne spojrzenia i wracali w stronę klasztornych murów.

Atmosfera zdawała się być napięta, a emocje rosły z dnia na dzień. Marcin odniósł wrażenie, że gdzieś pod klasztorną rutyną kryje się strach. Maskowany, choć widoczny w ukradkowych spojrzeniach, zaciśniętych ustach, czy drżących dłoniach. Gdyby Przybyszewski był zwykłym gościem, zapewne niczego by nie spostrzegł. Jednak Wojtek nie mylił się co do niego, doświadczenie z przeszłości pozwalało widzieć teraz więcej.

Co ciekawe, jedyną osobą, która zdawała się być całkowicie wolna od nerwów, był młody braciszek, terminujący dopiero do zakonu. Bartek, jak przedstawił się przy pierwszym spotkaniu, był tu od paru lat, lecz dopiero pod koniec przyszłych wakacji zamierzał złożyć śluby.

– Więc wiesz – śmiał się niedługo po tym, jak uścisnęli sobie prawice – jeszcze nie jest dla mnie za późno, mogę uciec!

– To czemu nie uciekniesz? – zapytał rozbawiony dzień- nikarz.

– Tam? – Bartek wskazał na bramę. – Zwariowałeś? Tam jest piekło – uśmiech zamarł mu na ustach.

Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, prawdopodobnie mniej. Przybyszewski nie dowiedział się nigdy, dlaczego chłopak zdecydował się dołączyć do klasztoru, lecz z półsłówki i przemilczeń doszedł do wniosku, że cokolwiek zostawił za sobą, musiało być dla niego wyniszczające. Mówiły mu o tym jego przedwczesne zmarszczki mimiczne, cienie wokół oczu i minimalne zakola, które nie powinny się były pojawić jeszcze przynajmniej przez dziesięć lat.

Z miejsca polubił młodego, tryskającego zapałem nowicjusza. Być może właśnie takich osób potrzebował Kościół, by zdobywać, a nie

odpychać wiernych. Gdyby Marcin chciał się jeszcze modlić, modliłby się właśnie o to, by Bartek zawsze pozostał sobą. Uśmiechnął się więc, kiedy już z daleka zobaczył chudą sylwetkę na tle porośniętego bluszczem muru. Chłopak z werwą wyrwał chwasty, pilnie uważając, by nie uszkodzić rosnących obok ziół. Tym zaś dosypywał wykopanej, świeżej gleby i od czasu do czasu czule je gładził. Obok, między grządkami wygrzewały się trzy koty, które kandydat do zakonu przekornie nazwał Szatan, Lucyfer i Belzebub. Dodać należy, iż te imiona przyjęły się w całym zakonie i nieraz było słychać donośny głos któregoś braci, wołającego Szatana pośród ogrodów. Zawsze wtedy Marcin uśmiechał się do samego siebie. W klasztorach kobiecych takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia.

– No i cóż, Bartek. Zostałem ci przydzielony do pomocy – zagadnął, kiedy doszedł na odległość sprzyjającą konwersacji.

– Tyle że ja w zasadzie tu skończyłem – uśmiechnął się chłopak. – Popatrz, jak ładnie... Szatan, zostaw Lucka! Jezu, z tymi kotami... W każdym razie ładnie rosną te zioła. Uporałem się z robotą szybciej, niż się spodziewałem, więc może uda mi się trochę polenić. Do obiadu zostało jeszcze parę godzin. Muszę tylko zanieść ten kosz. – Wskazał ręką na zebrane zioła. W głowie Marcina zapaliła się ostrzegawcza lampka. Nigdy nie był jeszcze w zakonnym laboratorium i miał co do tego miejsca swoje podejrzenia.

– Słuchaj – powiedział. – To skoro zostałem ci przydzielony, to może ja zaniosę opatowi kosz? A ty udaj się na modlitwy, czy co tam uważasz za odpoczynek...

Bartek uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Dzięki ci wielkie!

Przybyszewski lubił nowicjusza za wiele rzeczy. Także za naiwność.

\*\*\*

Kiedy wszedł do piwnicy, opat stał właśnie pochylony nad stołem, mieszając w dosyć sporym garze. Obrócił się akurat na tyle, by dostrzec gościa kątem oka. Łyżka wypadła mu z ręki, a on sam oparł się o blat z nagle pobladłą twarzą.

– Wyjdź! Wyjdź! – zaskrzeczał.

Zaskoczony Przybyszewski zamarł z koszem w ręku. Duchowny najwyraźniej zdał sobie sprawę z wybuchu emocji, bo nagle jakby skurczył się i zmałał.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam – wymamrotał. – Przestraszył mnie pan. Ja... nasza receptura jest mocno strzeżona, osobom postronnym nie wolno tu przebywać.

– Nie wiedziałem, to ja przepraszam. Chciałem tylko przynieść nowe

zioła – Marcin podniósł koszyk, ale nie spuszczał z opata spojrzenia. Miał wrażenie, że w jego strachu było coś więcej, niż tylko chęć ukrycia receptury.

Stary odetchnął głębiej. Po chwili uśmiechnął się do rozmówcy.

– Szkoda została wyrządzona, a ja nie powinienem być się unosić. Nie, niech pan zostanie, tylko postawi koszyk na tym taborecie przy drzwiach. – Odczekał, aż Przybyszewski to zrobi, po czym kontynuował. – Mogłem się spodziewać, że prędzej czy później będzie się pan chciał tu dostać jako dziennikarz. Z obecnego etapu produkcji nie dowie się pan nic więcej, niż jest to opisane w jednej z tych tysięcy receptur w Internecie. No, ale skoro już pan tu jest, to mogę pana nieźle wykorzystać – zaśmiał się ochryple.

– Wykorzystać?

– Dokładnie tak. Eksperymentuję nad nowymi mieszankami i tak się składa, że przyda mi się opinia z zewnątrz. Można więc powiedzieć, boskie zrządzenie... Niech pan siada, proszę, tu za stołem.

Podszedł do jednej z szafek. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. W środku dziennikarz zobaczył przeróżne zlewki i buteleczki opatrzone ręcznymi etykietami. Mnich przez chwilę mrucał coś do siebie, potem wybrał parę i postawił przed gościem. Zaraz też zjawiły się kieliszki wyjęte z jednej z szuflad. Wyglądało na to, że pracownia jest odpowiednio urządzona. Na każdą okazję.

– A wie ojciec – zagadnął Marcin. – Byłem właśnie bardzo ciekaw tutejszych specjałów. No i proszę, mam okazję być testerem!

Opat ze stęknieniem opadł na taboret po drugiej stronie stołu. Ręką podrapał się po nakrapianej łysinie bez śladu choć- by jednego włosa.

– Wybrańcem Bożym – poprawił z uśmiechem. – I szczęściarzem, o tak. Nikt przed panem nie pił jeszcze tych odmian naszego lekarstwa. I zapewne nikt się nie napije, może więc się pan śmiało nazwać prawdziwie urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą.

Otworzył pierwszą z butelek i rozlał zawartość do kieliszków. Szybko chwycił swój i stuknął się z Marcinem.

– Na zdrowie! – rzucił i gwałtownie wychylił swoją porcję. Skrzywił się. – Nie, nie... za dużo jałowca... jak pan sądzi? – pytał, nalewając porcję z następnej butelki.

– Bardzo... intensywne – wydusił przez ściśnięte gardło Przybyszewski.

Stary pokiwał głową.

– Tak myślałem. Czy wie pan – spytał, nie czekając z następną kolejką – jak prawdziwie wspaniałą nalewką jest Benedyktynka? Niech pan sobie wyobrazi, że oryginalna receptura liczy sobie ponad pół tysiąca lat! Pół tysiąca! Mówi się, że gdy po raz pierwszy jeden z mnichów ją

spróbował, zakrzyknął *Deo Optimo Maximo!* Najwyższemu Bogu chwała! Tak wspaniała była to receptura. Niestety, przepadła w pożarze w czasie rewolucji francuskiej. Do dziś możemy tylko zbliżyć się do ideału. Zresztą, tak jak w życiu, ciągle dążąc do Boga, nieprawdaż?

Skrzywił się i nalał sobie następny kieliszek. Już nie czekał na gościa. Przybyszewski nie oponował, miał wrażenie, że dzieje się coś, co może okazać się kluczem do tajemnicy klasztoru.

– Więc do dziś na butelkach widnieje napis DOM, właśnie od tej sentencji... tej... tego kłamstwa, jak zresztą wszystko inne! – wrzasnął nagle mnich i cisnął kieliszkiem w ścianę. Po jego pooranych starością policzkach popłynęły łzy. Chwycił największą z butelek i przywarł do niej jak niemowlę do piersi matki.

Dziennikarz, jak skamieniały, obserwował.

– To wszystko, te wszystkie lata, to całe poświęcenie, czy rozumiesz?!

– Opat zerwał się zza stołu i począł krążyć po pomieszczeniu, wymachując rękami. – Nie, oczywiście, że nie! Tacy jak ty tylko niszczą! Niczego nie rozumiecie! Tam, za bramą, kończy się Królestwo Boże! A tu?! Same zgłiszcza...!

Naraz zwalił się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

– Niech pan idzie – załkał. – Niech się pan wynosi...

Przybyszewskiemu nie trzeba było powtarzać. Zobaczył dość i zdecydował, że nie chce widzieć więcej. Miał uczucie *deja vu*, to wszystko już kiedyś przeżył, prawie identyczny starzec z twarzą w dłoniach, złamany i pozbawiony woli życia. Nie wierzył tylko, że taka sytuacja może go czekać za klasztor- nymi murami.

Bijące na alarm dzwony kościoła usłyszał, jeszcze zanim wydostał się z pracowni. Zewsząd zbiegali się mnisi, oderwani od codziennych prac. Razem z nimi wbiegł przez bramę. Zatrzymał się dopiero pod samym ołtarzem, gdzie, jak inni, padł na kolana. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Tuż nad ołtarzem, na kryształowym żyrandolu wisiało ciało zakonnika. W chudej sylwetce Przybyszewski rozpoznał młodego nowicjusza. Jego habit barwiła ciemniejsza plama. Krople moczu uderzały o marmurową posadzkę, tworząc śmierdzącą kałużę. Na twarzy chłopaka wykwitł uśmiech ulgi. Z rozluźnionej dłoni wypadł nagle zwitek papieru i miękko opadł pomiędzy nogi Przybyszewskiego. Ten schylił się jak we śnie, podniósł go i przeczytał:

*Nie umiem dłużej kłamać.*

Od strony bramy nadleciał gardłowy, rozpaczliwy krzyk. Zebrani odwrócili się, widząc zgarbionego, szarego na twa- rzy opata.

– Popełniliśmy błąd, taki straszny błąd – zaskrzeczał starzec, a potem

runął na posadzkę krzyżem. Jego ciałem wstrząsały konwulsje płaczu.

\*\*\*

Kościół wypełniały szepty gorączkowych modlitw. Świateł nie zapalono, na ołtarzu stały tylko świece. Z zewnątrz dobiegał szum deszczu, który, zgodnie z prognozami pogody, nadciągnął wczesnym wieczorem.

Wszelkie klasztorne prace zostały odwołane. Tak samo jak posiłki. Jeden z braci podszedł parę godzin temu do Przybyszewskiego, wyjaśniając, że klasztorna kuchnia jest otwarta, gdyby czegoś potrzebował, lecz on tylko pokręcił głową.

– Będę pościł razem z wami – powiedział.

Na przemian klęczał i siadał, dając wytchnienie kolanom, wokół modlili się zakonnicy. Nie wszyscy, część z nich siedziała w milczeniu, ze spojrzeniami utkwionymi w pustce. Paru co jakiś czas zerkało na niego, a z ich oczu zniknęła wszelka życzliwość. Przybyszewski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest tu intruzem.

– To nie są zbyt piękne okoliczności do wyciszenia, prawda?

Szept rozległ się tuż przy jego uchu. Mężczyzna drgnął i obejrzał się raptownie. W ławie za nim klęczał jeden z mnichów. W mroku trudno było powiedzieć który. Twarz osłaniał mu kaptur, on sam skulił się w pozycji modlitewnej.

– Nie musisz odpowiadać, choć myślę, że aż wyłazisz ze skóry, by dowiedzieć się, co tu się zdarzyło, prawda, pa- nie dziennikarzu?

Marcin tylko skinął głową.

– Wszyscy będziemy opłakiwać tego wspaniałego, wrażliwego chłopca – ciągnął szeptem mnich. – Czy odmówisz ze mną modlitwę?

Nim dziennikarz odpowiedział, ławka za nim skrzypnęła, zakonnik wstał i dosiadł się do niego. Z kieszeni wyciągnął sporych rozmiarów różaniec.

– Chwyć – powiedział. – Chwyć jedną część. Nie musisz nic mówić, wystarczy, że razem ze mną przełożysz parę paciorków. Mężczyzna niepewnie dotknął koralików. Niemal natychmiast łagodny głos po prawej zaczął deklamować:

– *Salve, Regina, mater misericordiae, vita, dulcedo et spes nostra, salve...*

Nie wiedząc nawet kiedy, Przybyszewski dołączył, szepcząc w ojczystym języku słowa dawno zapomnianej modlitwy. Miał uczucie, jakby odnalazł coś bardzo ważnego – bał się, jednocześnie drżąc z podniecenia. Znał bardzo dobrze to ściskające żołądek uczucie. Takiego samego doświadczył prawie dziesięć lat temu, kiedy spotkał Natalię. Powinien był się wtedy przeciwstawić.



Powinien był zrobić to teraz.

\*\*\*

Natalia miała okrągłą, dziecięcą wręcz twarz, włosy często wiązała w warkocz. Mimo swoich dwudziestu trzech lat wyglądała na piętnaście, może nawet mniej. Wrażenie to potęgował jej mikry wzrost. Jedynym, co odróżniało ją od dziecka, były duże, pełne piersi, zawsze ciasno opięte przez cienką bluzeczkę, która aż się prosiła, by ją podwinąć.

Nosiła kolorowe ubrania, często poszarpane jeansy i flanelowe (zawsze na nią za duże) koszule z podwiniętymi rękawami. Aż trudno było uwierzyć, że kiedyś była zafascynowana mocniejszą muzyką – teraz Closterkeller przegrywał zwykle z płytami Grateful Dead czy starymi kawałkami Janis Joplin.

Zdawało się, że była wiecznie zadowolona z życia. Marcin pamiętał, jak często słyszał jej śmiech. Pamiętał też ostry, oszłamiający aromat jej skóry, którym nasiąkało niemal wszystko, czego dotknęła. Bez względu na to, czy były to jego ubrania, koc, na którym leżeli przytuleni na jednej z łóżek krakowskiego Zakrzówka, czy łóżko, w którym się kochali.

Czuł jej zapach na długo po tym, jak w końcu powiesiła się w swoim mieszkaniu.

Kiedy się spotkali, Marcin chodził do drugiej klasy liceum. Mimo różnicy wieku, a może właśnie dzięki niej, szybko znaleźli wspólny język – ona, rozmawiając z kimś, kto wydawał się zbyt dojrzały na swój wiek, a mimo to pełen młodzieńczych ideałów, zapału i niewinności, on – znajdując kobietę, która nie zachowywała się jak mała księżniczka i nie zajmowała wyłącznie tematyką melanzji i lizania w obskurnych toaletach jeszcze obskurniejszych nocnych klubów.

– Wiesz, że kiedyś byłam gotką? – zapytała pewnego razu, kiedy odwrócił do komputera i puścił w odtwarzaczu któryś z nowych kawałków Iron Maiden.

– Taką... ostrą? – zapytał. Język mu się plątał. Wypili wcześniej trochę wódki i cały czas miał uczucie, że plecie od rzeczy.

Położył się koło niej i opuszkami palców zaczął pieścić jej sutek. Przymknęła oczy i zamruczała jak kotka. Była bardzo wrażliwa. Kiedy pieścił jej cipkę, prężyła się, rzucała i krzy- czała. Czasem spadali na podłogę, nabijając sobie siniaki.

Wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Tak, taką ostrą. Ale też bardzo smutną... wiesz czemu.

Wiedział. Opowiedziała mu, jak raz po raz uciekała z domu od krzyków i alkoholowego odoru, jak raz po raz wracała, albo przywieziona policyjną suką, albo głodna i zmarznięta. Nie opisywała szczegółów, nie musiała. Wiele razy wodził palcami po bliznach na jej

plecach. Kiedyś zapytał, co zostawiło takie ślady. Wtedy, na małą chwilę, zobaczył na jej twarzy wspomnienie smutnej, bezradnej dziewczynki.

– To był kabel, taki od żelazka... Ale nie chcę o tym mówić. Chodź tu, przytul.

Czasami zachowywała się jak mała dziewczynka. Czasami chciała nią być.

Pierwszy raz poprosiła, by ją zbił, kiedy oboje już byli w Grupie.

Grupa była tym, co tak znacznie wpłynęło na jej zmianę i – jak mówiła – wskazało drogę. Z początku Marcin przychodził do nich raz w tygodniu, potem częściej, z reguły popołudniami. W końcu zaczął opuszczać dla nich pojedyncze lekcje, wkrótce całe dni. Jego rodzice cieszyli się, kiedy wracał późnymi wieczorami – byli przekonani, że wreszcie znalazł sobie przyjaciół. Nie pomylili się zbyt, w Grupie rzeczywiście byli jego przyjaciele. Spędzali czas na biwakach, wędrownkach po lasach i przy ogniskach. W zimie organizowali narciarskie wypady, w lecie – wspólne wakacje w górach.

Wspólnie też modlili się do drzew i kamieni. Nie mieli żadnych rytuałów jak rodzimowiercy. Skupiali się na energii kosmosu, odnajdując ją zarówno w otaczającym świecie, jak i w sobie nawzajem, wymieniając się partnerami.

O tym jednym Marcin nie wiedział. Nie zyskał jeszcze odpowiedniego stopnia wtajemniczenia, nie mógł więc przypuszczać, że ich opiekun, sześćdziesięcioletni Włodek, miał zostać ojcem nowego mesjasza. Nie podejrzewał też, że matką miała być Natalia.

Dowiedział się tego niedługo po jej śmierci, kiedy roztrzęsiony udał się do domu Włodka. Wtedy właśnie, zanim jego dawni przyjaciele pobili go i wyrzucili za bramę, ostatni raz widział zrozpaczonego, klęczącego na środku pokoju mężczyznę.

Człowieka, który stracił wiarę.

\*\*\*

– *Ut haec mysteria sacratissimo Beatae Mariae Virginis Rosario recolentes, et imitemur quod continent, et quod promittunt assequamar. Per eundem Christum, Dominum nostrum. Amen.*

Odetchnął. Przez chwilę nie słyszał niczego, nawet oddechu swojego towarzysza. Powoli budził się z letargu, bolały go kolana, zaschło w gardle. Palce zgrabiwały od panującego w świątyni chłodu. Drżącą dłonią odłożył różaniec na ławkę przed sobą i usiadł. Dopiero wtedy się rozejrzał, omiatając wzrokiem opustoszały kościół.

Przez witraże przesączał się słaby blask świtu. Świece musiały wypalić się już dawno, nie było już czuć nawet dymu. Jedyną, prócz niego, postacią był milczący, zakapturzony zakonnik. Dziennikarz

cierpliwie czekał, aż tamten się odezwie.

– Znów płaczesz – powiedział po chwili. Głos miał chropowaty, jakby zniekształcony.

Marcin z niedowierzaniem podniósł ręce do twarzy i zaraz cofnął, rzeczywiście czując na nich wilgoć.

Przypomniał sobie noc i łzy na policzkach. Naraz głos, który szeptał mu wtedy do ucha, wydał mu się bardzo znajomy. Ale co ten człowiek miałby robić w jego celi...? Nie, to musiał być sen.

– Dziękuję, że brat na mnie czekał – ze zdziwieniem odkrył, że sam charczy, jakby od dawna nie używał gardła. Albo wręcz przeciwnie, jakby go nadużywał. – Nie sądziłem, że to się może stać... widzi brat, nie jestem za bardzo religijny...

Mnich zaśmiał się cicho, ale prawie natychmiast zamilkł.

– Jesteś za bardzo rozmodlony jak na apostatę. Co jest podwójnie ciekawe, biorąc pod uwagę, kim jesteś.

Nim mężczyzna zdążył wydusić choćby słowo, zakonnik wstał i, utykając, wyszedł na środek nawy głównej.

– Czy mógłbyś mi podać moją laskę? – zapytał uprzejmym tonem, a kiedy Przybyszewski spełnił prośbę, wsparł się na kiju i odetchnął z wyraźną ulgą. – Dziękuję, przyjacielu. Chodź, potowarzyszysz mi na dzwonnice. Przywitamy dzień.

Szli powoli w stronę pogrążonego w mroku ołtarza. Dziennikarz był pewien, że powinien już widzieć żyrandol leżący pod ołtarzem, tam, gdzie zostawili go strażacy, lecz wszystkie dalsze kształty dziwnie się rozmywały. Zwalił to na karby zmęczenia, tak samo jak wyraźny spadek sił i bolące kolana.

– Płakałeś – mruknął zakonnik. – To już siódmy dzień, kiedy z twoich oczu ciekną łzy. I pierwszy, w którym się odezwałeś. A skoro tak, powinienem chyba... jak to ująłeś, przejść do rzeczy.

– Przepraszam, bracie, ale nie rozumiem...

– Zrozumiesz. Czy pamiętasz, jakie reguła ojca naszego, Benedykta, wyróżnia rodzaje mnichów?

Dziennikarz zastanowił się nad tym pytaniem. Podczas swojego pobytu w klasztorze wiele razy zagadywał podczas pracy mnichów o życie tutaj. Nie przypominał sobie jednak, by objaśniali mu regułę. Potrząsnął głową.

– Nie, niestety.

Laska równomiernie stukała o posadzkę. W całym kościele roznosiło się echo, odbijając się od splekanych ścian.

– Otóż cztery są rodzaje mnichów. Pierwszym i najczęściej spotykanym są cenobici, pełniący służbę pod regułą i opatem. Drugim, już nie tak powszechnym, są anachoreci. Pustelnicy. Zwykle bardzo

świętobliwi i silni, by podolać brakowi bliźniego i pustce wokół. Trzecim rodzajem są gyrovagi, mnisi Podróżują oni od klasztoru do klasztoru, czasem pozostając w jednym z nich parę dni, czasem nie. Głoszą przykładnie dobrą nowinę, ale obce im są szczęśliwe dni odosobnienia. Czwartym zaś i ostatnim są sarabaici. I tu ojciec nasz, Benedykt, nazywa ich rozmiękłymi jak ołów. Wykolejeńcami, nie uznającymi żadnej reguły. To właśnie my, tu i teraz. Dzięki tobie.

Przystanęli. Przybyszewski uśmiechnął się kpiąco.

– Nie, nie... naprawdę nie sądzę, że byłbym zdolny wykoleić klasztor. Myślę jednak, że mnie brat z kimś pomylił.

Mnich westchnął ciężko.

– Czy pamiętasz dzień, w którym miał miejsce ten straszny... wypadek? Pamiętasz, jak tamten chłopak zwiślał, tu, przed ołtarzem? Nie pamiętasz, mam rację?

– Oczywiście, że pamiętam! – zachnął się dziennikarz.

– Przecież to się stało parę godzin temu!

Cichy śmiech znów przetoczył się po pustym kościele.

– Teraz już rozumiem – powiedział duchowny i odgarnął kaptur. W mdłym świetle ukazała się kwadratowa szczęka i surowa twarz. Z tym, że kiedy ostatnim razem Marcin go widział, mnich nie miał ani zapadniętych policzków, ani głęboko osadzonych w pooranej zmarszczkami twarzy oczu. Starzec uśmiechał się teraz do niego prawie bezzębными ustami.

– Płakałeś – mówił, kiedy Przybyszewski się cofał. – Myślałem, że to sygnał, jak obiecałeś. Nie wiedziałem, że po tylu latach dopadnie cię typowo ludzka skleroza!

Zaśmiał się histerycznie.

Dziennikarz potknął się o skraj okrywającego go habitu i byłby upadł, gdyby nie pomocna dłoń... Opiekuna... Brata. Księdza, który teraz z pełną powagą spojrzał mu w oczy.

– Czy pamiętasz? – zapytał.

Pamiętał. Z niedowierzaniem błędził palcami po pomarszczonej twarzy, krótkiej, siwej brodzie i wychudłym ciele, nawykłym do modlitw i skromnych, klasztornych posiłków. Przed oczami przelatywały mu wspomnienia ostatnich trzydziestu lat w klasztorze. Trzydziestu lat, które spędził, milcząc, pracując i modląc się, jako zaginiony dziennikarz, a wkrótce prosty zakonnik, wreszcie przełożony domu gości. Następca stojącego przed nim człowieka.

– Czy pamiętasz, jak się spotkaliśmy?

Miał zaprzeczyć, zamiast tego upadł na podłogę i załkał, chowając twarz w dłoniach. Kiedy sięgnął poza wspomnienia o podróży, zleceniu, żonie, dawno już pewnie martwej. Kiedy jeszcze nie kierował tym

ciałem. Był wszystkim. Był niczym. A potem stał się.

## II

Nasława. Takie było jej imię. Miała okrągłą, dziecięcą wręcz twarz, włosy często wiązała w warkocz. Mimo swoich dwudziestu trzech lat wyglądała na piętnaście, może nawet mniej. Wrażenie to potęgował jej mikry wzrost. Jedynym, co odróżniało ją od dziecka, były duże, pełne piersi, ciasno opięte przez suknię. Mimo jej wieku, żaden z mężczyzn zamieszkujących sioło, ani też z tych, którzy czasami tam gościli, nie odważył się jej tknąć. Nasława była przeznaczona bogom i tylko oni mieli do niej dostęp. Nie czuła się z tego powodu źle – wręcz przeciwnie, zawsze tryskała radością i wydawało się, że to ona jest dobrym duchem wioski, dzięki któremu plony są obfite, a okoliczne lasy bogate w zwierzynę.

Strzebor, mimo że od niej młodszy, zapragnął jej niemal w tym samym momencie, kiedy odkrył rodzące się w sobie pożądanie. Dojrzewał, patrząc jak ona zmienia się w kobietę, której nigdy nie będzie przyrzeczony żaden mężczyzna i czuł gniew. Na bogów, którzy w swoim okrucieństwie sprawili, że nie pragnął żadnej innej. Na siebie, że nie potrafił innej zapragnąć, a wreszcie na samą Nasławę, której uroda z wiekiem nie gasła, a jeszcze przybierała na sile – na przekór. Niemalże kpiąc sobie z niego.

Wcześniej nauczył się polować. Tylko w gęstych borach mógł znaleźć ukojenie, tropiąc i klucząc tygodniami, by wreszcie zadać śmiertelny cios i wrócić do sioła, wzbudzając coraz większy szacunek zamieszkujących tam rodzin. W ich wiosce wielu mężczyzn trudniło się myślistwem, ale tylko Strzebor wracał z najlepszym łupem. Najpiękniejszymi skórami, najsmaczniejszym mięsem i największą zwierzyną, ciągniętą przez las na specjalnie zbudowanych saniach. Wyobcowany, nieufny wobec ludzi i wśród nich czujący się niezręcznie, podczas swoich długich wędrówek poznał las lepiej niż ktokolwiek inny. Rozumiał jego naturę, słuchał drzew i szumu wiatru. Czasem polował tak, jak zwykł to robić jego dziad – nie łukiem i strzałą, ale nieustanną i wycieńczającą gonitwą za zwierzyną, mogącą trwać nawet parę dni. Dni nieustającego biegu, podczas których szybkonoga sarna nie miała czasu na sen, należyty odpoczynek, czy znalezienie pokarmu. Strzebor czuł, że za każdym razem pojedynkuje się na śmierć i życie – kto padnie z wycieńczenia? Kogo organizm szybciej się przegrzeje? Czyja motywacja, by żyć, jest silniejsza?

Kiedy w końcu odnajdywał swój cel, sarna leżała na ziemi. Dyszała ciężko, zamglonymi oczami wpatrując się w nadchodzącego dwunogiego

potwora. Z pyska toczyła się jej krwawa piana. W jej spojrzeniu Strzebor niemal widział błaganie i poddaństwo. Podobało mu się to. Kiedy wyciągał nóż, dostawał zwykle silnej i długiej erekcji. Zadawał szybki cios, dziękując bogom i duchom leśnym, że kolejny raz pozwoliły mu wygrać. Robił to jednak z czystego przyzwyczajenia. Gdzieś w głębi ducha wiedział, że to nie duchy i nie bogowie odpowiadali za jego sukces, ale on sam. Nagroda była zwykle warta zachodu – mięso tak zabitego zwierzęcia smakowało nieporównywalnie lepiej, niż gdyby powalił sarnę z zaskoczenia jednym, czystym strzałem. Tym sekretem jednak nie podzielił się z nikim prócz Nasławy.

Zdobył ją tak samo, jak zdobywał zwierzynę – niezłomnym uporem i konsekwencją. Nigdy nie zdradził się przed nią ze swoimi uczuciami. Nigdy nie musiał, bowiem takich rzeczy nie sposób ukryć przed kobietą. To tylko ułatwiło sprawę. Nachodził ją więc, mamił i bawił opowieściami o cudach znalezionych w lesie. Większość z nich, jak jezioro pełne rusalek czy grotą mówiących ludzkim głosem niedźwiedzi, były zmyślane – być może i o tym wiedziała, lecz podobały jej się jego opowieści. Kusił ją wolnością, której - jako wybranka bogów – nigdy nie zaznała, a i ta nędzna namiastka jaka była jej dana, miała wkrótce ulec zawężeniu do obszaru świętego gaju i twardego siennika. Nie chciała i nie planowała pogłębiać tej znajomości poza przyjętą normę. Za każdym jednak razem, kiedy przynosił jej znaleziony w mateczniku kiel niedźwiedzia czy obtoczony w rzece kryształ, ulegała mu coraz bardziej. Aż w końcu, zupełnie jak pokonana sarna, leżała wśród drzew z podwiniętym gieżłem. Oddychała szybko, jakby właśnie kilka razy okrążyła wioskę i patrzyła w jego oczy z mieszanką strachu i błagania. A on, zupełnie jak w trakcie polowania, czuł budzącą się erekcję, dumę i uczucie spełnienia.

Nasława odebrała sobie życie dwa lata później, będąc w ciąży z przewodniczącym kapłanów w świętym gaju. Kiedy Strzebor zawitał tam z wizytą, zastał tylko płytki grób i trzęsącego się, wychudłego starca, który stracił wiarę.

– On miał nas zbawić. Uchronić przed końcem – wychrypiał kapłan. – Przecież tak właśnie miało być!

Padł na ziemię i zawył jak zranione zwierzę. Strzebor uciekł, z niedowierzaniem oglądając się na święte drzewa, których pożółkłe, martwe liście zaścielały całą polanę, mimo że była pełnia lata.

\*\*\*

Strzebor obudził się z twarzą mokrą od łez. Przez chwilę mrugał, nie do końca wiedząc, gdzie się znajduje i kiedy. Było ciemno. Las był cichy. Nienaturalnej atmosfery nie psuł nawet najłżejszy powiew wiatru.

Przez chwilę leżał zdezorientowany, próbując uspokoić oddech. W uszach wciąż słyszał echo swojego własnego, rozpaczliwego krzyku. Nie to jednak wyrwało go ze snu. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą ktoś nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Był tak blisko, że oślinione, zimne wargi lekko drażniły jego małżowinę.

Coś było nie tak. Czuł to całym ciałem, poczynając od napiętych mięśni, poprzez niemal schowane w podbrzuszu jądra, stalową obręcz zaciskającą się mu na żołądku, kończąc na krwi szumiącej w skroniach. Nigdy jeszcze nie odczuwał czegoś takiego, nie w lesie. Cokolwiek wyrwało go ze snu, musiało być... Kroki. Teraz wyraźnie słyszał ciężkie stąpanie gdzieś niedaleko. Niedźwiedź? Niedźwiedzie tak się nie poruszały. Nie na dwóch nogach – a cokolwiek czaiło się w ciemności, było ciężkie i właśnie w ten sposób się przemieszczało. Poczul, jak wszystkie włosy na jego skórze podnoszą się nagle.

– Matko Mokoszo, duchy lasu, ziemi i wody, miejcie mnie w opiece – wyszeptał. Potem przypasał nóż, chwycił łuk i strzały i wyczołgał się ze zbudowanego wczoraj naprędce szałas.

Było zimno, co niespecjalnie go zdziwiło. Zima miała nadejść lada dzień. Większość rosnących tutaj drzew była już naga. Las zasypiał lub może już spał, czekając tylko, aż okryje go biały puch. Dla Strzebora oznaczało to długie miesiące udreki w jednej chacie z żoną, coraz częściej zrzedzającą o potomka. Co było najgorsze, myśliwy odkrył, że sam zaczyna skłaniać się ku tej opcji. Lata mijały, a on sam z każdym rokiem bardziej ich doświadczał. Rzadko już polował, uganiając się za zwierzyną i robił to tylko w letnich miesiącach, niedaleko od wioski. Od czasu, kiedy parę lat temu spadł ze skalnej skarpy, łamiąc przy tym nogę, nie mógł poszczycić się już tak dobrymi wynikami, jak niegdyś. Pobolewała go na zmianę pogody i kiedy przeciążał ją w biegu. Zeszłej zimy ze zdziwieniem odkrył, że niektóre z włosów w jego brodzie zaczynają być siwe. Sąsiedzi, chociaż przywykli do braku dziecięcych śmiechów w Strzeborowej chacie, zaczęli sugerować mu zmianę tego stanu. Zapewne stała za tym Mojmira, która nie szczędziła okazji, by zaciągać go na swój siennik, kiedy tylko był w domu. Nie wiedziała jednak, że jej mąż już w młodości posiadał wiedzę, którą zwykle nie interesowali się mężczyźni, a której uczyły zazwyczaj znachorki i doskonale wiedział, kiedy wrócić do domu, a kiedy go opuścić na kolejne polowanie, więc, czy odwiedziny krewnych w dalekich wioskach po drugiej stronie boru. Musiał jednak przyznać, że przydałby się ktoś, kogo mógłby nauczyć trudnej sztuki polowania, tak jak i jego nauczył ojciec, a ojca dziad. Kiedy zaś przed kolejną wyprawą do matecznika podeszła do niego znachorka, wkładając w rękę zioła i z uśmiechem sugerując, iż te sprawią, że „znowu poczuje się po nich jak dojrzewający mężczyzna”, podjął decyzję. Tej zimy Mojmira dostanie dokładnie to, czego chciała.

Teraz, po raz pierwszy w całym swoim życiu pomyślał, że mógłby nie wrócić do domu. Żelas, który do tej pory był dla niego czymś dobrym i znanym, mógłby okazać się miejscem, gdzie spocznie, bez szans na prawidłowy pogrzeb, rozszarpany przez wilki i nawiedzający to miejsce po śmierci, za karę. Jako zły mąż, ojciec, którym nigdy nie był i myśliwy, który poniósł klęskę.

Ta ostatnia myśl zmusiła go do działania. Nie mógł ponieść klęski. Każdy, ale nie on – bo on i las, byli jednym. Zmarszczył brwi i skulony zaczął skradać się w stronę w stronę, z której słyszał wcześniej niepokojące odgłosy.

Ani jedna gałązka nie złamała się pod jego stopami, ani jeden krzak nie zaszeleścił. W dolinie matecznika powietrze stało i gdyby było lato, z pewnością byłoby parno. Późną jesienią jednak, niedługo po Dziadach, nocami zaczynały się już przymrozki. I rzeczywiście, gdzieniegdzie widział biały nalot na nagich gałęziach. Schodził coraz bardziej w dół, ku płynącej języcznemu jarem rzece. Przed sobą widział gęstniejącą mgłę – nic niezwykłego, w okolicy rzeka rozlewała się w płytkie moczary, zwykle rojące się od insektów.

Nagle to dostrzegł. Ciemny kształt, przesuający się we mgle, na tle drzew. Brak księżyca i chmury uniemożliwiały mu zobaczenie więcej, miał jednak wrażenie, że zwierzę ten porusza się w pozycji wyprostowanej. Wypuścił powoli powietrze, które niemal natychmiast zamieniło się w kłęb pary. Było coraz chłodniej, być może nadchodził pierwszy śnieg. Powinien obrócić się i odejść w stronę wioski. Tak nakazywałyby rozsądek. Po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu Strzebor zamiast rozsądkiem pokierował się ciekawością.

\*\*\*

Leżała pod grubym wysokim bukiem. Zaraz obok następna, koło wystającego ze ściółki głazu. Jeszcze inna koło wydeptanej przez zwierzęta ścieżki. Każda z nich naga, kształtna, piękna i... martwa. Z niedowierzaniem kroczył wokół ciał, patrząc na odrobinę zbyt drapieżne twarze, odrobinę zbyt długie ręce, odrobinę za ostre paznokcie, migdałowe oczy i lekko zielone włosy. Z mocno bijącym sercem przyklęknął przy jednej i z wahaniem dotknął jej perłowej skóry, tak niesamowicie gładkiej i delikatnej w dotyku. Podniósł jej wargę, z rozszerzonymi oczami lustrując rząd ostrych, białych kłów. Boginki. Wszystkie martwe. Z mgły wyłaniały się kolejne ciała.

Śnił. Teraz był tego niemal pewien. Przez całe swoje życie nigdy nie spotkał żadnego z cudów, o jakich opowiadano czasem podczas długich, zimowych wieczorów. Lasy były pełne zwierzyny, ale jeśli były w nich duchy – nigdy nie znalazł dowodu ich obecności. Aż do teraz. Musiał



więc to być sen.

Wyprostował się i nie próbując się już skradać, ruszył w dół zbocza. Co jakiś czas widział kolejne ciała. Czasami nie były to boginki. Widział wily, północnice. Wodniki, leżące nieruchomo wśród drzew, plecami do wody. Jakby uciekały przed czymś, co i tak je dopadło. Mgła pachniała dymem, jak kadzidło używane w trakcie obrządków. Doszedł do brzegu rzeki i skręcił w lewo, w stronę rozlewisk. Niemal potknął się o martwe ciało leszego. Obszedł je i w siwo-białej, gęstej jak mleko mgłę szedł przed siebie. Nie czuł już strachu, zdziwienia, ani nawet złości. Nie czuł nic. I tak było, aż mgła się skończyła.

A skończyła się tak nagle, jakby ktoś wykroił ją nożem. W samym środku mokradeł tworzyła idealny, wirujący krąg wokół małej wysepki, oblanej ze wszystkich stron naturalnym oczkiem wodnym. Strzebor stał przez chwilę na granicy mgły i czystego, świeżego i niesamowicie chłodnego powietrza i czuł się tak, jakby się obudził. Naraz krzyknął rozzwierając i w jego krzyku był zarówno strach jak i ból. Na brzegu, pod jego stopami leżał niedźwiedź o posturze człowieka, zamiast drugiej pary nóg mający – jak człowiek – dłonie. Charczał. Z pyska leciała mu krew. Strzebor nie zwracał jednak na niego uwagi. Rzucił się do przodu, nie bacząc nawet, że zamiast wpaść do lodowatej wody, biegnie po jej powierzchni. Liczyła się tylko naga, leżąca na płaskim kamieniu kobieta z wzdętym brzuchem, nabrzmiałymi piersiami i dziecinną twarzą, którą widział w snach nawet teraz, blisko trzydzieści lat po tym, jak odebrała sobie życie.

Dopadł do Nasławy i zaniósł się płaczem, wyczuwając jej oddech.

– Jak... jak... – bełkotał.

Popatrzył na wznoszącą się nad kamieniem dziwną konstrukcję – dwie belki zbite w krzyż. Nic nie rozumiał. Nie chciał zrozumieć, bo liczyło się tylko to, że w rękach trzymał młodą, jakby zaklętą w czasie Nasławę.

– Jak...?

– Ona nie żyje, Strzeborze – usłyszał łagodny, kobiecy głos.

– Nie zmienisz tego.

Obrócił się i zamarł, nagle wyjątkowo dobitnie zdając sobie sprawę, kto przed nim stoi.

Kobieta nie była niesamowicie piękna. Była średniego wzrostu, blond włosy miała rozpuszczone. Oczy niebieskie. Uśmiechała się lekko, jakby trochę melancholijnie. Mokosza.

Za nią we mgłę widział postaci, które znał, chociaż nigdy ich nie widział. Chociaż wyglądały jak cienie, wiedział dokładnie, kim i czym są.

Padł na kolana, zgarbiony, bezwładny, skulił się przy ziemi. Strwożony popatrzył na stojącą przed nim boginię. Nie wyglądała na

boga. Zmarszczki wokół oczu i ust upodobiały ją bardziej do chylącej się ku starości kobiety. Była przygarbiona, wydawało mu się, że widzi bijący od niej ból.

Uśmiechała się smutno.

– Umieramy, Strzeborze. Mieliśmy szansę trwać tak, jak trwamy od wieków, ale zepsułeś to. Nie narodzi się już ten, który mógłby odwrócić bieg wydarzeń. Ten, który miał narodzić się z dziewicy. Przeznaczonej nam.

Jej smutek był tak dojmujący, że cały świat zdawał się go doświadczać. Okoliczne drzewa pochyliły się z przenikliwym skrzypieniem. Temperatura spadła nagle drastycznie, w powietrzu pojawiły się płatki śniegu. Leżąca za nim Nasława jęknęła cicho, on sam poczuł wzbierające w oczach łzy, które zaraz zaczęły kapać na ściółkę.

– Tak... – westchnęła stojąca przed nim pani. – I nie. Nie znikniemy, staniemy się nowym, tak jak to było wcześniej i będzie później. Nie da się już tego zmienić. Ziemia potrzebuje odpoczynku. Nadchodzi krzyż i musimy się zmienić. Ale ty, Strzeborze, jesteś zmianą. Sam wybrałeś tę drogę.

Nie rozumiał. Trząśł się cały, bojąc się cokolwiek powiedzieć czy poruszyć.

– Nie musisz rozumieć. Wystarczy, że zapamiętasz tę myśl: wszystko jest jednym. Zapamiętaj to, kiedy staniesz się niczym. Będziesz zmianą, której świat zawsze potrzebuje. Pamiętaj o tym, Strzeborze. Wszystko jest jednym.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak westchnienie, ostatni oddech umierającego. Zawiał wiatr i obraz bogini rozproszył się jak smuga dymu. Rozwiała się też mlecznobiała mgła. Szeroko otwartymi oczami obserwował znikające po drugiej stronie zbiornika ciała. Naraz usłyszał za sobą ruch.

Obrócił się akurat, by zauważyć, jak Nasława, albo to, czym się stała, wstaje i rozwiera usta pełne ostrych jak igły zębów. Rzuciła się na niego z jękiem ni to cierpienia, ni złości i wgryzła w szyję. Nawet nie bolało. Przez chwilę czuł na sobie jej ciężar i niezdarnymi ruchami próbował raz jeszcze ją objąć, przytulić, potem i ona rozwiała się w nicłość.

Zwalił się na ziemię, dławiąc krwią.

Ostatnim, co zobaczył, był górujący nad nim krzyż.

### III

Opiekun znalazł go w klasztornych ogrodach. Świadomość istnienia przytłaczała go, odczuwał ból ciała, ruch krwi, smród przetrawionych

pokarmów, moc popędu i parcie przemiany materii. Nie mógł się ruszyć, zamiast tego krzyczał, raniąc własnym krzykiem uszy.

Ręka, która chwyciła go za ramię, była nowym rodzajem cierpienia i ulgi jednocześnie. Całym sobą karmił się chęcią pomocy.

– A więc się udało... – powiedział rozedrganym głosem człowiek.

Pamiętał późniejsze dni, tygodnie i miesiące, kiedy z wolna zaczęli sobie nawzajem wierzyć. Nie pamiętał za to, jak znalazł się w tym ciele. Nie żałował też dziennikarza, którego ciało przejął. W końcu nie miał powodów do żalu, od teraz sam był Marcinem Przybyszewskim.

Opiekun opowiedział mu o księgach, których bracia nie powinni byli czytać, a które znaleźli w dawno zamurowanej piwnicy. Opowiadał o rytuałach, których nie wolno im było odprawiać. O grzesznej, w jego mniemaniu, chęci potwierdzenia wiary i czymś, co miało poskutkować ściąganiem bytu astralnego do fizycznego świata. Wbrew Kościołowi, papieżowi i Bogu, za to z ciekawości i strachu. Była to opowieść o sukcesie i – jak się miało okazać – także o klęsce. Do końca jednak zakonnik wykazywał właściwą ludziom dozę sceptycyzmu. Potrzebował dowodu, a zamieszkujący ciało byt mógł mu go zapewnić.

– Daj mi rękę – poprosił. – Pokażę ci i udowodnię.

Serafin, na co dzień postawny, szeroki w barach i surowy opiekun gości, teraz pochylił się z naiwnością dziecka nad leżącym człowiekiem. Chwilę później chciał krzyknąć, lecz nim zdążył, stał się kocem okrywającym nieznanego. Potem łóżkiem, na którym ów leżał. Potem powietrzem, które wydychał z ust i swoim własnym krzykiem.

Kiedy znów wrócili, zapłakał, chowając twarz w dłoniach.

– Jak, jak, jak? – pytał, zdławionym głosem.

– Nie wiem – odpowiadał byt. – Nie powinienem być kimś. Bo byłem wszystkim, każdą częścią świata. Jednocześnie bytem i nicością. Wy chyba nazwiecie to... Bóg.

– Byłeś... Bogiem?

Leżące na łóżku ciało dziennikarza przymknęło oczy. Usta rozchyliły się w sztucznym, stanowczo zbyt szerokim uśmiechu, dodatkowo z oczu płynęły łzy. Byt, Bóg – to coś, co Serafin i jego współbracia sprowadzili (a może stworzyli?) było szczęśliwe i smutne jednocześnie.

– Nie, nie byłem Bogiem. Mnie nie było, to co się tam... znajdowało, trudno znaleźć słowa, są zbyt ograniczone, to co tam było, było jednocześnie wieloma, jak i jednym. Ciągłe się mnożącym. Ale bez myśli i bez uczuć. Bycie wszystkim oznacza bycie niczym, Serafinie.

– Więc Bóg, całe Świętych Obcowanie, to wszystko... nie istnieje? To chcesz powiedzieć?

Leżący pokręcił głową.

– Istnieje, Serafinie. Bo wszystko istnieje. Ale rozplywa się, rozmywa

w wielości i jedności. Jestem ja i jest nas wielu, jestem wszystkim i niczym. Nie ma... mnie, mojej osoby, tak jak rozumiem to teraz. Rozumiesz? Przed światem nie było, jak to zwiecie, Boga, bo nie było świata. I był Bóg, bo nie było niczego. Wszystko jest niczym i na odwrót, tu nie ma wykluczenia, jest znak równości. Czy nie rozumiesz? Wszystko jest jednym.

Kapłan siedział skamieniały na krześle. Z jego twarzy powoli odpływała krew.

– Więc nie ma... nie ma istnienia po śmierci? Ciało uśmiechnęło się i kiwnęło głową.

– Chyba zaczynasz rozumieć. Jesteś mądrym człowiekiem, Serafinie. Nie ma też nikogo, kto by was słuchał. Jest tylko świat i nicość, z której składa się materia. Nawet bogowie stworzeni są przez was – bo coś, co zdolne jest postrzegać, kreuje rzeczywistość. Nie ma więc żadnego boga, chociaż ten potrzebny jest do życia. Kiedy zdasz sobie z tego sprawę, pojmiesz, że wszystko jest jednym. Twórcie więc bogów na swoje podobieństwo! – zaśmiał się ochryple. – Wszystko jest jednym.

Serafin nie odpowiadał. Siedział z pobladłą twarzą jak posąg. Był, który kiedyś był Strzeborem, postanowił kontynuować:

- A jeśli by głębiej się zastanowić... myślenie, ciągle mnie zadziwia! Jeśli by więc pomyśleć, nigdy nie było nawet stworzenia świata. Wy po prostu nie istniejecie.

\*\*\*

Stali obaj w opustoszałym, zrujnowanym kościele. Nad ołtarzem zwieszał się wielki krzyż, na którym przybity był Chrystus o czterech twarzach. Każda patrzyła w inną stronę. Każda krzyczała z bólu.

Marcin Przybyszewski uśmiechnął się pogodnie. Nareszcie wszystko do siebie pasowało. Wszystko było jednym. Rewolucja skończyła się, świat się wyludniał. Powracał do swojego naturalnego stanu – nicości. Naraz Marcin poczuł się bardzo, bardzo stary i zmęczony. Westchnął.

– Pamiętam, Serafinie. Tak wiele już lat, zdążyłem się przyzwyczaić do bycia.

Starzec naprzeciw uśmiechnął się cierpko.

– To dobrze czy źle?

– Ani tak, ani tak. Idziemy?

Brat Serafin spojrział na ciemne drzwi zakrystii. Gdzieś tam były schody, którymi mieli dostać się na dzwonnice. Kiedy szli, podtrzymując nawzajem zniszczone ciała, starzec za- pytał jeszcze:

– Więc jak ci się spodobało istnienie? Strzebor uśmiechnął się krzywo.

– Czas spędzony tu i wspomnienia tego człowieka, moje

wspomnienia, to za mało. Stałem się nim, ale już nie chcę. Istnienie jest pełne bólu i bezradności, Opiekunie. Komplikujecie sobie istnienie, mogłoby być pięknie – myśleć. Ale zamiast tego jest dużo bólu. Chyba właśnie dlatego nazywacie nie- istnienie rajem.

– Nie każdy tak sobie to wyobrażał. Wielu wręcz stwierdziło, że zostaliśmy oszukani. Te wszystkie śmierci... nie żal ci braci?

– A tobie żal? Widzisz w ich istnieniu większy sens, Se- rafinie?

Starzec zamilkł.

Doszli na szczyt wieży. Słońce właśnie wstawało, znacząc chmury purpurą. Podupadły, zarośnięty budynek zakonu pod nimi pogrążony był jeszcze w cieniu. Wokół rozpościerał się święty gaj poświęcony Mokozy. Zmiana się dokonała. Z jakiegoś powodu Strzebor wcale nie był z tego powodu zadowolony. Przez chwilę obserwowali, wdychając poranne, rześkie powietrze.

– Opiekunie?

– Tak?

– Musisz mi pomóc. Za długo byłem, teraz boję się przestać.

Zakonnik kiwnął głową. Objęli się w braterskim uścisku i razem przeszli przez barierkę.

Chwilę później byli niczym.

Kraków, 1 lipca 2017

"Mam nadzieję, że powyższy wywód historyczno-literacki wystarczająco dobrze uzasadnia, czemu uważam wydaną rok wcześniej antologię Krew zapomnianych bogów oraz niniejszą, Słowiańskie koszmary, za wydarzenia na naszym gruncie bezprecedensowe, nowatorskie i przełomowe. Młodzi twórcy poruszają się na jeszcze słabo zbadanym, nieomal dziewiczym terenie, a jednak, działając w odmiennych warunkach niż ich literaccy antenaci, wyzbywają się dawnych kompleksów i zahamowań, czerpiąc bez wahania z przebogatego źródła rodzimej demonologii. Świat słowiański nie jest w ich utworach, jak we wcześniejszej polskiej literaturze, prząsny, pocziwy i infantylny, lecz stanowi wybuchową mieszankę tajemniczości i grozy, demonizmu i okrucieństwa. Świadczy to o chęci przełamania wielowiekowego szkodliwego szablonu, ale też o poszukiwaniu nowego stylu „swojskości”, nowego paradygmatu Słowiańszczyzny i odmiennego wzorca kulturowego, odwołującego się do przedchrześcijańskiej tradycji”.

Witold Jabłoński



LUBIE  
GROZE.PL



MISTERIUM GROZY

